



**UUK**

A.E. VAN VOGT

KRYPTA BESTII



# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI. . . . .	2
Potwór z morza . . . . .	3
Krypta Bestii . . . . .	28
Nie tylko umarli... . . . .	50
Odtwarzanie przeszłości . . . . .	69
Daleki Centaur . . . . .	96
Obrona . . . . .	115
K o o o t ! . . . . .	117
Zmartwychwstanie. . . . .	131
Integracja . . . . .	146
Precz z Ziemią! . . . . .	170
Duplikaty z kryształu . . . . .	211
Namiastka nieśmiertelności . . . . .	260
Tajemnica farmy . . . . .	264

# Potwór z morza

## *The Sea Thing*

Stwór wygramolił się z wody i stał przez chwilę, słaniając się jak odurzony na ludzkich teraz nogach. Wszystko zdawało mu się dziwnie niewyraźne; zaćmiony umysł usiłował przystosować się do nowej postaci i chłodnego dotyku mokrego piasku pod stopami.

Z tyłu, od oświetlonej księżycem plaży, dochodził szmer fal. A przed nim...

Było mu dziwnie nieswojo, gdy tak patrzył przed siebie, w mrok. Czuł niechęć, bezmierną, przygnębiającą niechęć do wyjścia poza linię wody. Dręczący niepokój targnął jego rybie nerwy, gdy uświadomił sobie, że nadrzędny cel nie pozostawia mu innej możliwości, jak tylko iść naprzód. Nigdy dotąd strach nie miał przystępu do jego chłodnego rybiego umysłu, a teraz...

Zadrzał, gdy powietrzem ponurej nocy wstrząsnął chrapliwy, rubaszny śmiech. Ten przyniesiony przez łagodny ciepły pasat, dziwacznie zniekształcony przez odległość, bezcielesny śmiech przeszył półmrok księżycowej nocy z drugiej strony koralowej wyspy. To właśnie ten gardłowy, arogancki śmiech wywołał chrapliwy odzew z gardzieli potwora. Lodowaty, bezlitosny, szydarczy grymas wykrzywił jego twarz, tak że przez krótką straszliwą chwilę przypominała ona pysk rekina tygrysięgo, jego twardy, dziki łeb, ledwie zachowujący ludzki kształt. Stalowe zęby kłapnęły z metalicznym odgłosem jak szczęki rekina atakującego ofiarę.

Dysząc spazmatycznie potwór nabrał powietrza w płuca. Po tej krótkiej chwili częściowego powrotu do pierwotnej, rybiej postaci powietrze wydało mu się dziwnie nieprzyjemnie suche i gorące; doznał przykrego uczucia dławienia, które wywołało męczący atak kaszlu, krztuszenia się oparami białej piany. Wpił się silnymi — ludzkimi teraz — palcami w szyję i stał tak przez straszliwą chwilę walcząc z ciemnością ogarniającą jego umysł.

Brała go dzika furia na tę ludzką postać, jaką przybrał. Nienawidził swego nowego wcielenia — tej bezradnej istoty wyposażonej w ręce i nogi, w małą, okrągłą, fatalnie sklepioną czaszkę i w żmijowatą szyję przytwierdzoną nietrwale

do niemal solidnej bryły kruchego ciała i szkieletu; w ciało nie tylko nieprzydatne w wodzie, ale prawdopodobnie również bezużyteczne i w innych okolicznościach.

Myśl ta pierzchła, kiedy z napięciem zaczął się wpatrywać w niewyraźne kontury wyspy. Nie opodał ciemność gęstniała fantastycznie w jeszcze głębszy mrok — drzewa! Dalej były też inne skupiska ciemności, ale nie mógł rozróżnić, czy są to drzewa, wzgórza... czy budynki.

Jedno z nich z całą pewnością było budynkiem. W otworze niskiego, rozłożystego baraku migotało nagle żółtopomarańczowe światło. Właśnie wtedy, gdy potwór ogarniał go posępnym wzrokiem, w otworze przesunął się jakiś cień, przesłaniając światło. Cień człowieka!

Ci biali zdecydowanie przewyższali aktywnością ciemnoskórych krajowców z okolicznych wysp. Jeszcze nie zapadł świt, a oni już byli na nogach i szykowali się do pracy.

Potwór prychnął z raptowną głuchą złością na samą myśl o tej ich pracy; zapiekło go to żywym ogniem. Jego usta wykrzywiły się w odrażającym grymasie niepohamowanego gniewu na te ludzkie istoty, co ośmielają się polować na rekiny i zabijać je.

Lepiej niech się trzymają lądu i żyją tam, gdzie ich miejsce. Bezkresny żywioł — morze — nie jest stworzony dla tego gatunku, a ze wszystkich stworzeń morskich to właśnie rekiny — władcy — są święte, nietykalne. Nie wolno na nie ciągle urządzać polowań! Samoobrona to pierwsze prawo natury.

Warcząc przez zęby z niewypowiedzianą furią potwór szedł wielkimi krokami wzdłuż ciemnoszarego brzegu, a potem skierował się w głąb lądu, prosto w kierunku żółtego światła migoczącego blade w przedświcie wczesnego poranka.

\* \* \*

Niknący opasy księżyc żeglował na falach ku zachodowi, gdy Corliss dźwignął swe zwaliste cielsko i wspiął się stromym urwiskiem z tego miejsca nad brzegiem morza, gdzie się mył, w stronę kuchni. Idący przed nim Holender Progue przestąpił próg chaty, a jego potężna sylwetka przesłoniła mdłe żółte światło żarówki.

Corliss usłyszał jego przenikliwy ryk:

— Co, śniadanie jeszcze nie gotowe?! Tylko byś spał na okrągło, ty obiboku zasmarkany!

Corliss zaklął w duchu. Właściwie to nawet lubił tego potężnie zbudowanego Holendra, jednak czasami był on irytujący wskutek porywczego, groźnego usposobienia.

— Zamknij się, Progue! — zawołał ostro.

Progue odwrócił się w drzwiach i burknął:



— Jestem głodny, szefie. Niech cholera weźmie tego londyńskiego cwaniaka za to, że każe mi czekać! Ja... — urwał.

Corliss widział, jak tamten rozgląda się na boki. Oczy lśniły mu słabym żółtym blaskiem, gdy patrzył na bladą, bezkrwistą kulę księżyca.

— Powiedz mi, Corliss, jesteśmy tu wszyscy, prawda? — W jego głosie brzmiał dziwnie natarczywy ton. — Cała szesnastka? Tu, po tej stronie wyspy?

— Tak było jeszcze przed chwilą — odpowiedział Corliss ze zdziwieniem. — Widziałem całą bandę, jak się gramolili z baraku i szli się myć. A bo co?

— Popatrz na księżyc — rzucił Progue nerwowo. — Może zrobi to jeszcze raz.

Jego ogromne ciało aż zeszywniało, tak intensywnie wpatrywał się w księżyc; Corliss na chwilę zdusił więc w sobie wszelkie pytania. Podążył śladem jego wzroku.

Sekunda wlokła się za sekundą; do duszy Corlissa wkradło się pełne grozy uczucie niesamowitości. Widoczna na pierwszym planie wyspa jawiła się ciemnym kształtem z wyjątkiem tego miejsca, gdzie posępna biała ścieżka księżycowa biegła w gęstym, mrocznym pokosie w głąb cichego, ciemnego ładu.

Za wyspą widać było ciemny błysk wód laguny, za nią ciemniejszy jeszcze ocean, a w oddali, na bezkresnych wodach tajemniczy blask księżyca kładł świetlną drogę.

Był to niesamowity widok — ta noc pod ciemnobłękitnym niebem Południa. Plusk fal o nadbrzeżny piasek; daleki, stłumiony, posępny ryk fal, które waliły z niespożytą siłą o płytko zanurzone skały otaczające wyspę poszczerbionym pierścieniem ochronnym. Fale zaś, widoczne w ciemności jako długa, rozpryskująca się, połyskliwa biel, niczym pokruszone szkło, kłębiły się i opadały, pękały i nacierały, ryczały i łomotały, w odwiecznym zawziętym boju morza z lądem.

A ponad nimi wisało nocne niebo; księżyc, tak jasny i blady, z wyglądu nasycony, opuszczał się leniwie za ocean, na zachód.

Corliss z wysiłkiem oderwał wzrok od morza, kiedy Progue odezwał się półszepem:

— Mógłbym przysiąc... przysięgam, że widziałem sylwetkę mężczyzny w świetle księżyca.

Corliss uwolnił się spod uroku tego wczesnego poranka.

— Wariat — mruknął. — Człowiek tutaj, na tym odludziu? Na Pacyfiku? Masz halucynacje.

— Możliwe — mruknął Holender. — Rzeczywiście, jeśli tak rzecz ująć, wygląda to na szaleństwo. — Odwrócił się niechętnie. Corliss poszedł za nim na śniadanie.

\* \* \*

Potwór zwolnił instynktownie, gdy żółtopomarańczowe światło ze szpary pod drzwiami zalało mu stopy. Wewnątrz słychać było ludzkie głosy; przytłumiony szmer rozmowy. Dochodziły stamtąd także inne dźwięki i słaba woń nieznanых potraw.

Zawahał się na chwilę, a potem wszedł prosto w krąg bladego światła. Cały spięty, stanął w otwartych drzwiach, wpatrzony swymi rybimi oczami w scenę, jaka się przed nim rozpościerała.

Wokół olbrzymiego stołu siedziało szesnastu mężczyzn obsługiwanych przez siedemnastego.

Właśnie ten usługujący, kościsty chudzielec, odrażająca karykatura człowieka w białym zatłuszczonym fartuchu, spojrział w górę, wprost w oczy wchodzącego.

— A niech mnie! — wykrzyknął — jakiś obcy! Skąd się tu, u diabła, wzięłeś?

Szesnaście głów poderwało się w górę. Szesnaście par oczu mierzyło przybysza chłodnym, twardym wzrokiem, pełnym zdziwienia i domysłów. Pod tymi badawczymi, czujnymi spojrzeniami potwór odczuł nieokreślony niepokój, jakby cień trwogi, lodowate przecucie, że tych mężczyzn nie będzie można tak łatwo zamordować, jak mu się to wydawało.

\* \* \*

Mijały sekundy. Potwór odniósł nagle niesamowite wrażenie, że ma przed sobą nie kilkanaście, ale milion par oczu, wodzących za nim, błyszczących — milion utkwionych w nim badawczych, podejrzliwych spojrzeń. Zwalczył w sobie to uczucie, a wtedy nastąpiła pierwsza przykra reakcja na pytanie małego londyńczyka. Ledwie to nieprzyjemne wrażenie dotarło do jego świadomości, już inny mężczyzna powtórzył pytanie:

— Skąd się tu wzięłeś?

Skąd! Pytanie to utorowało już sobie ścieżkę w mózgu potwora. No oczywiście, że z morza. A skądby? Jak okiem sięgnąć, tu, na tym dzikim, mrocznym pustkowiu było tylko morze; jego fale wznosiły się i opadały w nieprzerwanym rytmie, lśniące w słońcu niczym szlifowane klejnoty za dnia, nabrzmiałe i posępne nocą. Odwieczne morze, co szemrze i faluje, skrywając nieodgadnione tajemnice.

— No co — powiedział Progue ostro, zanim Corliss zdążył się odezwać — nie masz języka w gębie? Kim jesteś? Skąd się tu wzięłeś?

— Ja — zaczął obcy niezdecydowanie — ja...

Uczuł, że jego rybie nerwy przenika paraliżujący strach. Jak to możliwe, że nie przygotował sobie wcześniej żadnych wyjaśnień? Co powinien odpowiedzieć, żeby rozwiać podejrzenia tych szorstkich, dociekliwych ludzi?

— No, ja — zaczął znów rozpaczliwie, szukając gorączkowo w pamięci zasłyszanych opowieści o tym, co może przytrafić się ludziom. Nasunął mu się obraz łodzi. Skwapliwie podjął próbę: — M... moja łódź... wywróciła się. Wiosłowałem i...

— Wiosłował! — parsknął Progue. Corliss odczuł w głosie potężnego Holendra urazę, jakby to wyjaśnienie obrażało jego inteligencję. — Ty parszywy łgarzu! Wiosłował o tysiące mil od najbliższego portu! Co ty kombinujesz, co? Kogo chcesz nabrać?

— Uspokój się, Progue! — wtrącił się Corliss. — Nie widzisz, co spotkało tego faceta?

Dźwignął swą majestatyczną, imponującą postać z krzesła i obszedł stół. Chwyił z wieszaka ręcznik i rzucił go obcemu.

— Masz, rozgrzej się.

Odwrócił się do siedzących za stołem:

— Czyż nie widzicie, że on przeszedł piekło? — powiedział na pół oskarżycielsko. — Pomyślcie tylko, płynął w tej wodzie, gdzie aż się roi od rekinów, i przypadkiem trafił na naszą wyspę. Musiał być bliski obłędu. Dlatego trochę mu się pokręciło w głowie, stracił pamięć. Nazywają to amnezją. Masz tu suche ubranie.

Szarpnął z wieszaka parę starych spodni i grubą popielatą koszulę, i przyglądał się, jak przybysz mozolnie się z tym zмага.

— Patrzcie — odezwał się ktoś — on wkłada spodnie tyłem na przód!

— Sami więc widzicie — surowo stwierdził Corliss, gdy obcy niepewnie naprawił swą pomyłkę — że nie przyszedł jeszcze do siebie. Zapomniał nawet, jak się wkłada ubranie. Dobrze, że chociaż rozumie, co się do niego mówi. Chodź tu — zwrócił się do obcego — siadaj i zjedz coś gorącego. To ci dobrze zrobi po tym, co przeszedłeś.

... Jedyne wolne miejsce znajdowało się na wprost Progue'a. Obcy usiadł tam niepewnie i — równie niepewnie — przysunął sobie pełen talerz, który postawił przed nim kucharz; posługiwał się nożem i widelcem, tak jak zaobserwował, że robili to inni.

— Nie podoba mi się gęba tego faceta! — mruknął Progue pod nosem. — Te jego oczy! Może on jest i teraz słaby na umyśle, ale założę się, że wyrzucili go za burtę z jakiegoś przepływającego tędy statku. Te jego ślepie — aż mnie ciarki przechodzą!

— Zamknij się już! — ryknął Corliss w napadzie nagłej furii. — Żaden z nas nie jest odpowiedzialny za swój wygląd, za co powinienesz Bogu dziękować.

— Ba! — Progue mruczał coś jeszcze po cichu, ale do uszu Corlissa dochodziły tylko poszczególne słowa: — Gdybym to ja był szefem... wierzcie mi, ta załoga... Cholerny błąd... kiedy ja komuś nie ufam, to jest pewne... pewnie



mat z jakiegoś parowego trampa... nie mogli z nim wytrzymać, więc wyrzucili go za...

— Wykluczone! — kategorycznie stwierdził Corliss. — Żaden tramp tu nie kursuje. W ogóle nie będzie tu żadnego parowca do czasu przybycia naszego, za pięć miesięcy. Wyjaśnienia tego człowieka, chociaż mgliste, są jednak wystarczające. Płynął łodzią. Wiecie równie dobrze jak ja, że na południe od nas znajduje się kilka większych wysp z nieliczną ludnością tubylczą i paru białymi. Mógł przyplłynąć stamtąd.

— Taa! — Krzepka twarz Progue'a poczerwieniała brzydko. Corliss rozpoznał ten rys uporu sprawiający, że czasem potężny Holender był nie do zniesienia. — On mi się nie podoba. Słyszysz, ty?

Przybysz podniósł na niego wzrok; czuł, jak wzbiera w nim głucha wściekłość. We wrogości tego człowieka, jego podejrzliwości dostrzegł niebezpieczeństwo, groźbę, że każdy jego ruch będzie śledzony. Poczuł, że dławi go w gardle dzika nienawiść.

— Tak — warknął — słyszę!

Po czym zerwał się na równe nogi. Błyskawicznym ruchem sięgnął przez stół, chwycił Progue'a za klapy koszuli rozchylającej się na tęgiej szyi — i szarpnął!

Holender zawył z wściekłością, kiedy stalowe mięśnie uniosły go w górę, grzmotnęły nim o stół i jednym zamaszystym ruchem cisnęły, głową naprzód, za drzwi.

Kilka naczyń spadło z brzękiem na cementową podłogę, ale zrobione z mocnej gliny nie potłukły się.

Jakiś mężczyzna powiedział z podziwem w głosie:

— Może i on jest słaby na umyśle, ale teraz wierzę, że mógł przepłynąć taki kawał.

Pośród śmiertelnej ciszy obcy usiadł i zabrał się znowu do jedzenia. W mózgu wirowało mu mordercze pragnienie, by rzucić się na tamtego oszołomionego człowieka i rozszarpać go na kawałki. Z ogromnym wysiłkiem powściągnął tę dziką, palącą żądzę. Zorientował się, że zrobił wrażenie na tych twardych ludziach.

\* \* \*

Corlissowi ciążyła ta cisza. Żółtopomarańczowe światło, spływające z lamp zwisających z sufitu, padało niesamowitym, upiornym blaskiem na napięte twarze mężczyzn zebranych wokół stołu z surowego drewna. Ledwie zdawał sobie sprawę, że z okna po lewej stronie sączy się światło poranka, rozlewając się na podłodze matową kałużą.

Z zewnątrz dobiegał odgłos skrobania: to Progue z wściekłością zdzierał z siebie skorupę błota. Czuło się w tym gniew zmieszany z wściekłością, furię gwał-

townej, nieposkromionej natury, szalejącej teraz z upokorzenia. Corliss wiedział, że Holender jest nieobliczalny. Zdolny do wszystkiego.

Wstrzymał na moment oddech, gdy nadchmurzona twarz Progue'a ukazała się w drzwiach. Mężczyzna wszedł do środka, a jego potężna sylwetka górowała nad otoczeniem.

— Nie zaczynaj znowu, Progue — powiedział ostro Corliss donośnym, rozkazującym tonem — jeśli chcesz zachować mój szacunek.

Holender łypnął na niego straszliwym wzrokiem, z twarzą chmurną i groźną.

— Niczego nie zaczynam. Coś mnie napadło. Ale wciąż nie podobają mi się te jego oczy. I tyle.

Obszedł stół. To dziwne, pomyślał Corliss, że pomimo łatwości, z jaką ten obcy go poskromił, olbrzym nie stracił w oczach pozostałych nic ze swego autorytetu. Nie odnosiło się wrażenia, że Progue wycofał się w strachu, ponieważ było aż nazbyt oczywiste, że nie zna tego uczucia.

Usiadłszy na miejscu Progue odchrząknął i zaczął ładować do ust jedzenie w szalonym tempie. Corliss niczym echo powtórzył westchnienie ulgi, jakie wydali pozostali mężczyźni: ledwie słyszalne, jakby słaby syk. Oczyma wyobraźni zdążyli już bowiem ujrzeć barak kucharza rozniesiony na strzepy.

Jeden z mężczyzn — smagły Francuz Perratin — odezwał się pośpiesznie i właśnie ten jego pośpiech wskazywał, że bardziej mu zależy na rozładowaniu napiętej atmosfery niż na powiedzeniu tego, co miał do powiedzenia:

— Szeffie, wydaje mi się, że dwóch z nas powinno pójść i sprawdzić, czy ta bestia, którą widzieliśmy wczoraj, wypłynęła. Przysięgam, a le bon Dieu mi świadkiem, że trafiłem ją prosto między ślepia.

— Co za bestia? — zapytał wysoki kościsty mężczyzna o pociągłej twarzy, z końca stołu. — O czym ty mówisz?

— Widziano ją z łodzi numer dwa — wyjaśnił zwięźle Corliss. — Perratin opowiadał mi o tym wczoraj wieczorem, ale byłem zbyt śpiący. Jakiś wielki potwór z płetwami jak płaszczka.

— *Sacré du Nom!* — zawołał Perratin — płaszczka to łagodny baranek w porównaniu z tym stworem. Był cały szaroniebieski, a więc ledwie widoczny, i miał długi, groźny pysk rekina i ogon. . . — urwał raptownie. — Co ci jest, Mądralo? Wybałuszasz gały, jakbyś już kiedyś spotkał takiego potwora.

— Nie, ale słyszałem — odpowiedział niechętnie wysoki kościsty Anglik.

Było coś szczególnego w tonie jego słów. Corliss spojrzał na niego uważnie. Czuł głęboki respekt dla Mądrali Stapleya. Mówiono o nim, że skończył uniwersytet. Jego dawne dzieje okrywała tajemnica, ale nie było w tym nic wyjątkowego: każdy z obecnych tu mężczyzn miał za sobą jakąś przeszłość.

— Może ty tego nie wiesz, Perratin — ciągnął Stapley — ale stwór, jakiego opisałeś, to naturalna postać mitycznego władcy rekinów. Nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś usłyszę, iż on naprawdę istnieje. . .

— Na litość boską! — wtrącił się ktoś — czy mamy słuchać tych bzdur o przesądach tubylców? Mów dalej, Perratin.

Francuz popatrzył na kościstego Stapleya z niemym respektem, jaki dla tego człowieka żywił wraz z kilkoma jeszcze osobami. Ponieważ Stapley milczał, najwyraźniej pogrążony w myślach, Perratin powiedział:

— Denton ujrzał go pierwszy. Ty im o tym opowiedz, Denton.

Denton był niewysokim mężczyzną, o bystrych ciemnych oczach. Mówił jak zwykle szybko, urywanym głosem:

— Jak więc powiedział Perratin — podjął wątek — siedzieliśmy w łodzi; wielki płat mięsa dyndał w wodzie na przynętę. Musieliśmy wczoraj wziąć ciemne mięso, wiecie o tym. Wiecie też, jak strachliwe są rekiny, gdy widzą ciemne mięso. No i tak było: krążyły wokół, mało nie oszalały od zapachu, ale wystraszone, bo mięso było ciemne. Naliczyliśmy z piętnaście sztuk. Nagle dostrzegłem błysk w wodzie — i wypłynął ten potwór. W dodatku nie sam: towarzyszyło mu stado ryb-młotów, największych, najgroźniejszych rekinów, jakie w życiu widziałem. Wielkie, potężne, długachne bestie z takimi złośliwymi pyskami, wiecie, i cielskami jak torpedy. Parę z nich ustrzeliliśmy, więc wszyscy je oglądaliście. W każdym razie ten ogromny płetwiasty potwór płynął sobie pośród nich jak król.

Wiem, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Widywaliśmy już nieraz miecznika pływającego z rekinami, a także rozmaite inne rekiny trzymające się razem, jakby wiedziały, że są spokrewnione. Chociaż, prawdę mówiąc, jeszcze nigdy nie spotkałem płaszczki pośród rekinów, a przecież należą do jednej rodziny.

W każdym razie ten potwór tam był, wielki jak skała. Zatrzymał się i popatrzył na przynętę w wodzie, a potem, jakby chciał powiedzieć „Nie ma się czego bać!”, zanurkował wprost na nią. I wtedy całe stado podpłynęło i zaczęło szarpać mięso jak diabli — na to tylko czekaliśmy.

Corliss zauważył, że obcy wpatruje się w Dentona w napięciu, jak urzeczoną. Przez ułamek sekundy pojął odrazę Progue'a. Przemógł się jednak i powiedział:

— Denton chciał powiedzieć, że stwierdziliśmy, iż kiedy rekiny atakują, zanika u nich strach bez względu na liczbę zabitych towarzyszy. Cała nasza robota tutaj — czyhamy na ich niesłychanie mocną skórę — jest możliwa dzięki temu.

Obcy spojrział na niego, jakby na znak, że zrozumiał.

Denton mówił dalej:

— To właśnie się nam przytrafiło. Gdy tylko woda się uspokoiła, zaczęliśmy je wyciągać...

— Wtedy zauważyłem — przerwał mu niecierpliwie Perratin — że ten olbrzym odpływa na bok i obserwuje nas... to znaczy, tak to przynajmniej wyglądało. Mówię wam, po prostu sobie leżał i mierzył nas takim zimnym, uporczywym wzrokiem, zupełnie spokojny. Trafiłem go prosto między ślepie. Rzucił się jak użądłony muł i zapadł w głębinę niby ciężar z ołowiu.

Mówię ci, szefie, trafiłem go. Do tej pory już na pewno wypłynął na powierzchnię. Dwóch z nas powinno tam pójść i przyholować go.

— Hm! — Corliss zmarszczył brwi, jego silna ogorzała twarz zasepiła się. — Możemy posłać najwyżej jednego. Musisz wziąć małą łódź.

Potwór wlepił wzrok w Perratina. Drżał cały przejmującym, wewnętrznym dreszczem całej swej dzikiej natury. To ten człowiek strzelał z broni i zadał mu ogłuszający cios. Czuł, jak drży w nim każdy nerw na to przelotne, straszliwe wspomnienie oszałamiającego bólu od ciosu w głowę. Rozpierało go dzikie pragnienie, by rzucić się na tego mężczyznę. Z wysiłkiem stłumił w sobie tę szaloną żądzę i powiedział słabym głosem:

— Chętnie z nim pójde. W ten sposób mógłbym zapracować na jedzenie. Mogę pomagać przy każdej fizycznej robocie.

— Dzięki — odpowiedział Corliss. Miał nadzieję, że po tej pełnej dobrej woli propozycji obcego Progue poczuje się słusznie zawstydzony. . . — Aha, przy okazji: skoro nie znamy twojego prawdziwego nazwiska, będziemy mówić do ciebie „Jones”. A teraz, chłopcy, idziemy! Czeką nas ciężki dzień!

\* \* \*

To łatwiejsze, niż przypuszczałem, myślał intensywnie potwór idąc za rybakiem w parnym półmroku wczesnego świtu. Zakręciło mu się w głowie od trawiącej go gorączki pożądania. Napięte stalowe mięśnie drżały z piekielnej radości na samą myśl, co spotka tego człowieka, gdy zostaną sami w małej łodzi.

Drżąc w przypiływie ataku żądzę krwi szedł śladem mężczyzn — przez miękko uginającą się trawę, przez mroczny, pogrążony w mgle teren aż do miejsca, gdzie występ lądu sięgał szarych wód laguny. Majaczył tam jakiś długi, niski kształt, który wkrótce rozplynął się w jednopiętrową drewnianą szopę z platformą sięgającą wody.

Z budynku zalatywało fetorem. Kiedy pierwsza fala przenikliwej ostrej woni uderzyła w nozdrza potwora, ten stanął jak wryty. Martwy rekin! Cierpka woń gnijącej ryby. Oszołomiony, znowu ruszył naprzód. Kręciło mu się w głowie od natłoku natrętnych myśli, a w miarę jak smród przybierał na sile, ten strumień niezdrowych myśli z każdą chwilą stawał się coraz bardziej niepoohamowany, coraz bardziej żywiołowy.

Wbił w plecy idących gorący, rozplamiony wzrok. Walczył z diabelską pokusą, by rzucić się na najbliższego i zatopić ostre jak brzytwa zęby w jego miękkiej szyi, a potem zaatakować następnego — rozedrzeć go z okrutną, morderczą siłą na kawałki, zanim pozostali zdążą przyjąć do siebie.

A kiedy wreszcie zdadzą sobie sprawę z tego, co się stało. . . Warknął niedoświadczalnie, z dziką nienawiścią. Już niemal uległ swej żądzę krwi; czuł, jak pulsuje

nią każdy nerw, tak był zafascynowany myślą o pogromie wśród tych mężczyzn i wypruciu wnętrzości z kruchych ludzkich ciał.

Powrót do rzeczywistości powstrzymał tę obłądną pokusę. Przypomnił sobie, że on sam ma teraz także słabe ludzkie ciało. Atak na tych twardych, doświadczonych mężczyzn tu, na tej platformie, byłby samobójstwem.

\* \* \*

Potwór wzdrygnął się. Ujrzał, że Perratin się cofnął i idzie teraz obok niego.

— Pójdziemy tędy, Jones — mówił. — To dobre nazwisko dla ciebie. Nic nie mówiące — jak Perratin. Weźmiemy stąd tę małą łódź. Czekają nas dużo wioślowania. Musimy wziąć kurs prosto na zachód. Najlepsza droga, żeby się stąd wydostać. Kilka niebezpiecznych skał dzieli lagunę na parę odcinków; musimy płynąć wolniutko przy brzegu, by je ominąć, a potem wydostać się przez wyłom w załamujących się falach. Cha, cha, to zabawne! Wyłom w załamujących się falach. Chwytasz to, Jones?

Zabawne, pomyślał potwór. Zabawne! Co jest zabawne, dlaczego? Zastanawiał się, czy oczekiwano od niego odpowiedzi na to ni to stwierdzenie, ni to pytanie. Czuł rosnące napięcie na myśl, że jeśli nie odpowie, to ten człowiek może zacząć coś podejrzewać — i to właśnie teraz, kiedy już wchodzi w pułapkę. Odprężył się, kiedy smagły, niski mężczyzna położył w łodzi wiosła i zawołał:

— Wchodź. No, wchodźże!

Było wciąż jeszcze ciemno, lecz fale przybrały odcień niezwykle pięknego błękitu; brząsk piął się w górę coraz wyżej, niebo na wschodzie się rozjaśniało, aż cały horyzont stanął w oślepiającym blasku wschodzącego słońca.

I nagle pierwszy promień słońca zaiskrzył się na wodzie. Perratin odezwał się:

— Może byś tak teraz ty się trochę wziął za wiosła? Dwie godziny to aż nadto dla jednego!

Gdy tłoczyli się w wąskiej łódce, zamieniając się miejscami, potwór pomyślał z naciskiem: Teraz!

Powstrzymał się jednak. Byli za blisko wyspy: spoczywała za nimi na swym wodnym łożu, lśniąca jak szmaragd w platynowej oprawie na tle słońca. Cały świat oceanu oświetlony był niczym okazałe, pyszne widowisko — z królującą ponad nim czerwoną, ognistą kulą spoczywającą teraz całym kręgiem na falującym wodnym horyzoncie.

— *Mon Dieu!* — wykrzyknął Perratin — ależ tam aż się roi od rekinów! W ciągu ostatnich dwóch minut widziałem już chyba ponad dwadzieścia! Nasi ludzie powinni tu dzisiaj przypłynąć.

Przebierał palcami po długiej strzelbie, którą trzymał w rękach.

— Może powinienem ustrzelić parę sztuk? Moglibyśmy je przyholować, zabrałem dość liny.

Potworem targnął gwałtowny wstrząs: człowiek miał broń! Jego system nerwowy poruszył nagły alarm. To zupełnie zmieniało sytuację. Diabelnie zmieniało! Poczł, jak zalewa go fala gniewu na samego siebie, że tak skwapliwie przejął wiosła zostawiając człowiekowi wolne ręce. Zmąciło to jego pewność, że ten mężczyzna będzie łatwą ofiarą.

Słońce stało już o całe godziny wyżej na niebie, a wyspa była ciemnym punkcikiem na bezkresnych wodach oceanu, kiedy Perratin powiedział:

— To gdzieś tutaj. Wytrzeszcz gały, Jones! Chyba że te przekłete rekiny go zeżarły. Hej, uważaj, nie trzęś łodzią!

Jego głos, przenikliwy ze strachu, zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Także jego postać wydawała się potworowi oddalona, osamotniona na rufie łodzi. Pomimo to widział wszystko z nadnaturalną wyrazistością.

Smągła twarz niedużego mężczyzny, jego policzki powleczone nienaturalną bledością pod opalenizną, oczy szeroko otwarte, błędne. Ręce mu zeszywniały, lecz mimo to wciąż trzymał strzelbę.

— Co, u diabła, chcesz zrobić? W tym miejscu aż się roi od rekinów! *Sacré du Nom*, odezwij się i przestań na mnie patrzeć tym okropnym wzrokiem. . .

Strzelba wypadła mu z rąk; schwycił się kurczowo burty. Warcząc dziko, potwór rzucił się na niego i jednym błyskawicznym ruchem, z niepoahamowaną siłą cisnął go za burtę łodzi.

Woda zakotłowała się; długie, ciemne, cygarowate sylwetki wyskoczyły z głębin. Krew zmieszała się z błękitem wody. Potwór ujął za wiosła.

Drżał cały z podniecenia, zdjęty palącym uczuciem satysfakcji. Ale teraz trzeba pomyśleć o wyjaśnieniach. Ochłonawszy pogrążył się w rozmyślaniach. Wiosłował w stronę wyspy drzemiącej w ciepłym blasku łagodnego porannego słońca.

Wrócił za szybko! Słońce stało pośrodku nieba nad cichym, wyludnionym łądem. Kucharz był gdzieś w pobliżu, ale do uszu potwora nie dochodziły żadne odgłosy. Łodzie rybaków znajdowały się poza zasięgiem wzroku, za błękitnym wodnym horyzontem, który drżał leciutko na tle lazuruwej mgiełki nieba.

Czekanie było katogą. Sekundy i minuty tego wydającego się wiecznością popołudnia wlokły się śmiertelnie powoli. Potwór nerwowo spacerował po brzegu; potem leżał trawiony niepokojem w soczystej zieleni trawy, w cieniu palm, zamroczony szaleńczym chaosem myśli, rozmaitych planów, niepoahamowanych uczuć nabrzmiałych morderczą żądzą, i bezustannym powtarzaniem w duchu, z niepokojem, wyjaśnień, jakie sobie przygotował.

Usłyszał szcęk naczyń w baraku kucharza. Tętno mu podskoczyło; w pierwszym gwałtownym odruchu chciał pognać tam i zabić tego człowieka. Ale przebiegłość utrzymała na wodzy tę dziką żądżę. Lepiej byłoby pójść tam i wypróbować na kucharzu swe wyjaśnienie — ale zaniechał i tego pomysłu.

Wreszcie rybacy powrócili; ich łodzie ciągnęły długie szeregi martwych rekinów. Potwór patrzył na to palącym, bezlitosnym wzrokiem. Szarpała nim taka



dzika furia, że w przystępie szaleństwa myślał tylko o tym, by skoczyć w dół, do łodzi, i zmiażdżyć tych ludzi potężnymi niczym taran ciosami.

I wówczas z łodzi wyszedł Corliss, a potwór usłyszał swój zdławiony głos, potem zaś Corlissa wykrzykującego z niedowierzaniem:

— Zaatakował was!? Potwór z płetwami zaatakował łódź i zabił Perratina?

Corliss jak przez mgłę widział pozostałych mężczyzn, pośpiesznie wychodzących z łodzi i wykrzykujących pytania. Słońce, nisko na zachodzie, raziło go promieniami prosto w oczy; zmrużył je, stojąc na drewnianym, prowizorycznym doku. Instynktownie rozstawił nogi, jakby się przygotowywał na ogłuszający cios. Patrzył na chudą, posępną twarz obcego, o dziwacznych oczach, nieregularnym zarysie potężnej szczęki i orlich rysach. Niespodziewanie przejął go dziwny chłód przesuwający się wzdłuż kręgosłupa i do mózgu, gdzie znalazł miejsce w postaci bryły lodu.

Nie, to nie był strach przed śmiercią. Spotykał się już ze śmiercią wcześniej, potworną śmiercią. Słyszał nie raz, co przytrafiło się ludziom, których znał — a od tych opowieści mieszał się rozum. Czuł, że pewnego dnia los odwróci się od niego i zapisze tragiczny epilog jego własnego życia. Niejeden raz odczuwał dreszcz zgrozy, gdy wydawało mu się, że już nadchodzi koniec.

Nie, to nie była obawa przed śmiercią, ale wrażenie nierealności, całkowitego niedowierzania i narastającej męczącej nieufności do tego... Jonesa, wzmagającej się aż do bólu. Gdy zmusił się wreszcie, by coś powiedzieć, jego głos brzmiał szorstko i chrapliwie:

— Dlaczego Perratin nie strzelał do tej piekielnej bestii? Kilka kulek i byłoby... .

— Ależ on strzelał! — z pośpiechem wtrącił obcy, urozmaicając swą opowieść o ten nowy szczegół. Do tej pory nie pomyślał o strzelbie, ale skoro Corliss chce, żeby Perratin strzelał, to niech tak będzie. W pośpiechu mówił dalej: — Nie mieliśmy żadnych szans! Potwór tak silnie uderzył w łódź, że Perratina wyrzuciło za burtę. Próbowałem go wydostać, ale było już za późno. Potwór pociągnął go pod wodę. Bałem się, że znów ruszy na łódź, schwyciłem więc za wiosła i przypłynąłem na wyspę. Kucharz może potwierdzić, że wróciłem koło południa.

\* \* \*

Stojący za plecami Corlissa Progue roześmiał się, jego gardłowy, ponury, głośny śmiech wstrząsnął powietrzem późnego popołudnia.

— Ze wszystkich naciąganych historyjek, jakie w życiu słyszałem — powiedział — brednie tego faceta są najpaskudniejsze! Mówię ci, Corliss, coś się za tym kryje, że kiedy po raz pierwszy ten obcy zostaje sam na sam z jednym z naszych ludzi, zaraz zdarza się morderstwo. Tak, właśnie morderstwo!

Corlissowi patrzącemu na potężną postać Holendra przyszło na myśl, że on sam musi mieć taką minę jak Progue: zasepioną, ponurą i podejrzliwą. To dziwne: ale fakt, że Progue ubrał w słowa te właśnie myśli, które powstały i w jego głowie, uzmysłowił mu właśnie, jakim szaleństwem i nonsensem jest to oskarżenie. Morderstwo! Śmiechu warte!

— Progue — powiedział ostrym tonem — musisz się nauczyć trzymać język za zębami. To absurd!

Potwór patrzył na Holendra; mięśnie mu zdrętwiały, ciało miał jak obce, doznawał jedynie egotystycznego uczucia, że panuje nad sytuacją; uczucia tak silnego, że chwilowo nie był zdolny nawet do gniewu.

— Nie chcę się z tobą kłócić — powiedział. — Sam wiem, że to, co się wydarzyło, wygląda podejrzanie, ale przypomnij sobie, że Perratin opisywał nam jakiś nieznany, groźny gatunek rekina. Dlaczego miałbym mordować zupełnie obcego człowieka? Ja...

Zawiesił głos, gdyż Progue stał odwrócony tyłem i patrzył w dół, na łódź, którą wypłynęli z Perratinem. Była przycumowana w samym końcu doku, gdzie stał teraz Progue, patrząc na nią z góry. Naraz skoczył do łodzi. Potwór wstrzymał oddech, gdy Holender zniknął mu z oczu, za krawędzią pomostu. W pierwszym odruchu chciał tam podbiec, zobaczyć, co on tam teraz robi, ale się nie odważył.

— To prawda, Progue — mówił Corliss. — Jesteś cholernie szybki w tych swoich podejrzeniach. Jakież motywy...

Potwór nie słuchał dalszego ciągu. W głowie czuł zamęt. Patrzył osłupiały, jak Holender prostuje się, trzymając w rękach błyszczącą strzelbę. Wyjął coś ze strzelby — lśniący stalowy przedmiot.

— Ile kul wystrzelił Perratin? — zapytał cicho.

Potwora ogarnęło przerażenie. Wiedział, że Progue musiał mieć jakiś powód, by zadać to pytanie. Świadczyło o tym wyraźnie wyczekujące napięcie na jego twarzy. Pułapka! Ale jaka?

— No... dwie... trzy — wyjąkał. Opanował się z ogromnym wysiłkiem. — To znaczy dwie. Tak, dwie. Potem ta pletwiasta ryba uderzyła w łódź, a Perratin wypuścił strzelbę i...

Zamilkł! Zamilkł, ponieważ ujrzał na twarzy Progue'a groźny, złośliwy, triumfujący, szydrczy uśmiech.

— A więc jak to się stało — jego głos brzmiał czysto, głęboką i pieśczośliwą nutą — że ani jedna kula nie została wystrzelona z magazynka tej strzelby automatycznej? Jak pan to wyjaśni, panie Cwaniaku, Obcy, Jones... — Jego głos eksplodował nagłym gniewem: — Ty przekłety morderco!

\* \* \*

Corliss doznawał dziwnego wrażenia, że ich spokojna, bezpieczna wyspa zaczyna nagle usuwać mu się spod nóg. Było to uczucie tak niesamowite i przynębiające, mrozące krew w żyłach, jakby ta niewielka gromadka mężczyzn nie stała wcale na wyspie, lecz krucha, drewniana, bezbronna platforma znajdowała się w samym środku wrogiego oceanu. To niezdrowe wrażenie wzmagało się jeszcze wskutek tego, że długi, niski budynek całkowicie zasłaniał zielony, bezpieczny ląd. Pozostały tylko drżące cienie na ciemniejącej wodzie. Serce ścisnęło mu się niewysłowioną melancholią od tego nieustannego, uporczywego chlupotania o drewniane belkowanie podtrzymujące platformę.

Słowa Progue'a nie miały sensu. Potężna sylwetka Holendra wznosiła się przed nim, a na jego twarzy malował się tygrysi uśmiech, złowrogi i zawzięty. Przez ułamek sekundy Corliss ujrzał w wyobraźni grozę krępego smagłego Francuza rozszarpywanego na kawałki przez opancerzonego potwora z głębin. Ale cała reszta nie miała sensu.

— Zwariowałeś, Progue?! — wybuchnął. — Dlaczego, u wszystkich diabłów oceanu, Jones miałby zabijać kogoś z nas?

Potwór skwapliwie skorzystał z okazji.

— Magazynek? Nie rozumiem, o co ci chodzi! — zapytał zdezorientowany.

Holender przysunął swą byczą twarz do chudej, nieustępliwej, zakłopotanej twarzy obcego.

— Taak! — warknął. — Właśnie to cię zdradziło, bo nie wiedziałeś, co to jest strzelba automatyczna. No więc jest w niej magazynek na kule — ten ma dwadzieścia pięć i żadna nie została wystrzelona.

Potrząsk, w który się wpakował, zatrzasnął swe stalowe szczęki. Ale teraz, gdy już znał niebezpieczeństwo, niepewność i zmieszanie ustąpiły. Pozostała tylko ostrożność i głęboki żal.

— Nie wiem, jak to się stało — powiedział opryskliwie. — On strzelał dwa razy. Skoro ty sam nie wiesz, jak to się mogło stać, to ja ci nie mogę pomóc. Powtarzam, nie mam żadnego powodu, żeby zabijać kogoś z was. Ja. . .

— Domyślam się, jak to było. — Wysoki, szczupły Mądrała Stapley przecisnął się przed gromadkę mężczyzn, którzy stali w ponurym milczeniu. — Prawdopodobnie Perratin wystrzelił dwa razy — kulami ze starego magazynka. Zdążył jeszcze tylko założyć nowy, ale było już za późno. Jones mógł być tak podekscytowany, że nawet nie zauważył, co Perratin robi.

— Jones nie jest z tych, co się ekscytują — mruknął pod nosem Progue, jednak w jego głosie czuło się niechętną akceptację takiego wyjaśnienia.

— Pozostaje jednak kwestia, której nie da się tak łatwo wyjaśnić — mówił dalej chłodno Stapley. — Zważywszy, że rekiny potrafią się poruszać z prędkością do siedemdziesięciu mil na godzinę, niemożliwe, aby spotkali go w pobliżu tego

samego miejsca co wczoraj. Inaczej mówiąc Jones kłamie twierdząc, że widzieli to właśnie stworzenie. Chyba że... — zawahał się.

— Chyba że co? — wtrącił Corliss.

Mądrała wciąż się wahał. Wreszcie powiedział, prawie z niechęcią:

— Znów wracam do swego: chyba że to władca rekinów!

Mówił dalej, pośpiesznie, zanim ktoś zdążył się odezwać: — Tylko nie mówcie, że to naciągane. Sam o tym wiem. Ale pływamy na morzach południowych od lat i spotykaliśmy się już z rzeczami niewytłumaczalnymi. W naszej mentalności dokonał się niezwykle, irracjonalny przewrót. Wiem, że z naukowego punktu widzenia stałem się zabobonnym prostaczkiem. Ale mój punkt widzenia podważa ten werdykt. Uważam, że w rzeczywistości osiągnąłem stan harmonii z tym tajemniczym światem, który nas otacza. Potrafię dostrzec, poczuć, poznać rzeczy, na które jest ślepy człowiek Zachodu.

Przez te wszystkie lata bywałem w odludnych miejscach, wsłuchiwałem się w szum fal na dalekich wybrzeżach. Wpatrywałem się w księżyc Południa i jestem pod wrażeniem nieskończoności wodnego żywiołu — pierwotnego, odwiecznego.

My, biali, wtargnęliśmy w ten świat z właściwym nam wielkim hałasem, na naszych statkach motorowych, i wzniesiliśmy nasze miasta na samym skraju wody. Iluzoryczne miasta! Przywodzące w samym sercu Nieskończoności myśli o Przemijaniu. Wiecie równie dobrze, jak ja, że one nie wytrzymują próby czasu. Pewnego dnia nie będzie już białych w tej części świata, tylko wyspy i ludzie z wysp, ocean i świat oceanu.

Do tego właśnie zmierzam: siadywałem nieraz przy ognisku tubylców i słuchałem ich pradawnych opowieści o władcach rekinów i o rozmaitych postaciach, jakie przybierają one w wodzie. To by się zgadzało. Mówię ci, Corliss, to pasuje do opisu tego stwora! Z początku uderzyło mnie to, że sądząc z opisu nie mógł to być rekin. A potem, gdy zacząłem się nad tym zastanawiać, byłem coraz bardziej zaniepokojony.

Bo widzisz, władca rekinów potrafi przybrać postać człowieka! A jak inaczej wytłumaczyć fakt, że tu, na wyspę położoną o tysiące mil od najbliższego portu, przybywa człowiek. Jones jest...

Przerwał mu donośny, pełen oburzenia, gryzący ironią głos — ku zdziwieniu Corlissa — głos Progue'a:

— Skończ, Mądrało, z tymi kretyńskimi zabobonami! Lepiej idź sobie zmozczyć głowę. Nie podoba mi się zachowanie tego faceta, nie podobają mi się te jego ślepie, nic mi się w nim nie podoba! Ale żebym miał przełknąć takie brednie...

— Przestańcie już obaj tyle gadać — odezwał się Denton. Corliss ujrzał, że mężczyzna stoi na skraju budynku, skąd widać było część wyspy. — Jeśli podejdziecie tutaj i zobaczycie to, co ja widzę, przestaniecie wreszcie pleść, co wam ślina na język przyniesie. Tam, wzdłuż brzegu, płynie w naszym kierunku łódka tubylec. Macie teraz dowód, że Jones mógł dopłynąć tu łodzią!

\* \* \*

Tubylec był dorodnym młodym mężczyzną o brązowej skórze, urodziwym, świetnie zbudowanym. Wyciągnąwszy na skalisty w tej części wyspy brzeg swoje kanoe, zbliżał się z szerokim uśmiechem, z naturalną życzliwością wyspiarza wobec białych. Corliss odpowiedział mu uśmiechem, ale jego słowa były skierowane do Progue'a i „Jonesa”:

— Denton ma rację... i wierz mi, Jones, jest mi przykro z powodu tych wszystkich nieprzyjemności, jakich od nas zaznałeś.

„Jones” przyjął przeprosiny lekkim skinieniem głowy. Ale nie odprężył się. Wbił wzrok w nadchodzącego krajowca. Zesztywniał cały, czując lodowaty dreszcz na myśl o tym, że wyspiarze obdarzeni są niezwykłym instynktem.

Nieprzytomny z niepokoju zdążył wykonać półobrót w chwili, gdy tubylec zatrzymał się o parę kroków przed Corlissem. Osłonięty częściowo przez gromadkę mężczyzn klęknął, udając, że wiąże sznurowadło w butach. Słyszał głos Corlissa przemawiającego w jednym z dialektów wyspiarskich:

— Co cię tu sprowadza, przyjacielu?

Młodzieniec odpowiedział niskim, melodyjnym głosem, charakterystycznym dla ludzi tej rasy:

— Nadciąga sztorm, biały bracie, a ja byłem daleko na morzu. Sztorm nadchodzi od strony mego rodzinnego łądu, więc szukam tu schronienia. Ja...

Zawiesił głos. Corliss spostrzegł, że krajowiec wpatruje się szeroko otwartymi oczami w „Jonesa”.

— Znasz go? — zapytał.

Potwór poderwał się niczym tygrys w zatoce. W lodowatym spojrzeniu, jakim wpił się w oczy tubylca, błysnęło bezlitosne, nieprzewyciężone okrucieństwo. Śmiertelna nienawiść zdawała się łączyć tych dwu niewidzialną nicią. Wyspiarz otworzył usta, próbował coś powiedzieć, oblizwał wyschnięte wargi, a potem odwrócił się i zaczął na oślep pędzić z powrotem do łodzi.

— Co, u diabła! — wykrzyknął Corliss. — Hej, wracaj!

Krajowiec nawet się nie obejrzał. Co tchu dopadł łodzi. Jednym ruchem zepchnął ją do wody i wskoczył do środka. W gęstniejącym mroku zaczął z furją wiosłować, nie zważając na niebezpieczeństwo, krętym szlakiem głębokiej wody wijącym się wśród skał, które czyniły lagunę w tym miejscu pułapką dla nieostrożnych żeglarzy.

— Progue, zabierz resztę ludzi do składziku! — rozkazał Corliss. Po czym krzyknął donośnym głosem: — Hej, ty głupcze! Nie możesz wypływać w czasie sztormu! Nie bój się, nie damy ci zrobić krzywdy!

Krajowiec musiał go słyszeć, ale w ciemności nie było widać, czy się choćby obejrzał. Corliss zwrócił się do „Jonesa”; twarz mu stężała.

— To całkiem oczywiste — powiedział lodowato — że ten człowiek cię zna. Jesteś więc z jego wyspy albo z jakiejś pobliskiej. On się boi ciebie tak bardzo, że od razu przyszło mu na myśl, że wpadł w łapy twojej bandzie. Progue miał całkowicie rację: jesteś podejrzanym typem! Ale ostrzegam cię, źle trafiłeś! Nigdy już nie zostaniesz z żadnym z nas sam na sam, chociaż muszę przyznać, że nie wierzę, abys zabił Perratina. To niedorzeczność! Jak tylko sztorm się skończy, zawieziemy cię do wyspiarzy i tam dowiemy się wszystkiego.

Odszedł raptownie. Potwór ledwie sobie to uświadomił. Ten wyspiarz, pomyślał z gniewem, na pewno tu wróci. Zapamięta sobie, że Corliss obiecał go bronić; wie, że biali są potężni. W panice gotów mnie zdemaskować. Pozostało mi tylko jedno wyjście!

Zrobiło się już ciemniej; krajobraz był ledwie widoczny w mroku ogarniającym wyspę i wodę. Potwór ruszył szybkim krokiem ku miejscu, gdzie potok wezbranej wody spływał kaskadą do laguny. Laguna w tym miejscu była głęboka; jej dno opadało stromo wprost ze skalistego brzegu. Potwór tak był pochłonięty obserwowaniem rekina, który miotał się w rwącej kipieli, że szum tego miniaturowego wodospadu zagłuszył kroki nadchodzącego Corlissa. Nagle odwrócił się i aż dech mu zaparło, gdy ujrzał go o kilka kroków od siebie, patrzącego w dół, w czarną otchłań.

Corliss nie zdawał sobie sprawy, co go skłoniło, że zawrócił i poszedł śladem obcego. Po trosze chodziło mu o to, żeby obserwować krajowca; potem dostrzegł poruszenie w wodzie i dziwny sposób, w jaki Jones pochylał się nad brzegiem.

Przeszył go dreszcz zgrozy, gdy ujrzał w zamierającym już świetle dnia długi, ciemny, groźny kształt podobny do torpedy, który zanurzył się i zniknął w głębinie. Raptownie poderwał głowę i spojrzął na „Jonesa”, uświadamiając sobie śmiertelne niebezpieczeństwo.

\* \* \*

Potwór stał przez chwilę nieporuszony, utkwivszy wzrok w mężczyźnie. Byli sami, tuż na skraju morza. Czuł napięcie mięśni, naelektryzowanych morderczą determinacją: wciągnąć tego ogromnego groźnego mężczyznę do wody! Przykucnął, szykując się do skoku, kiedy dojrzał błysk metalu w ręku człowieka. Na widok śmiertelnej broni jego występne pragnienie ulotniło się niczym mgła w blasku słońca.

— Na Boga! — odezwał się Corliss — tam był rekin, a ty coś do niego mówiłeś! Chyba tracę zmysły. . .

— Istotnie, tracisz zmysły! — wysapał „Jones”. — Zobaczyłem rekina i odpuściłem go. Chciałbym tu rano popływać, jeśli sztorm ustanie, i nie życzę sobie żadnych rekinów w pobliżu. Wybij sobie te niedorzeczności z głowy. Ja. . .



Przerwało mu wołanie o pomoc przeraźliwy, przejmujący wrzask wstrząsnął powietrzem bladego zmierzchu niczym krzyk śmiertelnego strachu z piekielnych otchłani. Dźwięk dobiegł od strony wody, gdzie na tle czarnych odmętów i ciemnego, bezksiężycowego nieba majaczyła mgliście sylwetka krajowca. Corliss czuł, jak ścina mu się krew w żyłach.

Zapadające ciemności przygniatały go niczym koc, ciężki, lecz nie dający ciepła. O kilka kroków od niego stał ten... Jones: chudy, muskularny, o zimnych, nieludzkich oczach, błyszczących w półmroku. Uczucie, że ten bezwzględny obcy człowiek może go zaatakować, było tak żywe, że Corliss ścisnął kurczowo rewolwer i odważył się zaledwie rzucić okiem na południowy zachód, gdzie krajowiec był już tylko małym punkcikiem na ciemnej wodzie.

Instynktownie odsunął się i jeszcze raz popatrzył na hebanowe morze. Tubylec zdawał się walczyć z czymś, co atakowało go z wody, waląc wiosłem na oślep, desperacko, rozpaczliwie. Trzykrotnie jeszcze Corliss spoglądał w tamtą stronę i widział za każdym razem, jak młodzieniec trzyma się kurczowo krawędzi burty swego kanoe i prawie wisi na niej, starając się uchronić wątłą łódź od wywrócenia. Corliss pośpiesznie odwrócił się do „Jonesa”, wymachując groźnie bronią.

— Idź przodem! — rozkazał. Podniósł głos, wydając komendę ludziom stojącym na nabrzeżu: — Hej, Progue, szybko! Przyszykuj motorówkę, włącz silnik! Popłyniemy za tubylcem! Dwóch z was niech tu do mnie przyjdzie, potrzebna mi pomoc.

Po chwili zbliżyło się dwóch mężczyzn; Corliss rozpoznał Dentona i Tareytona — tęponosego i tępogłowego Amerykanina.

— Zabierzcie tego faceta do baraku i pilnujcie go, dopóki nie wrócę! — rozkazał. — Denton, masz mój pistolet!

Rzucił broń krępemu Anglikowi i pognął przed siebie. Usłyszał jeszcze tylko chrapliwy głos Dentona:

— Ruszaj się, ty... — warknął Anglik do obcego.

Silnik już grał, kiedy Corliss wskoczył do środka. Łódź kierowana przez Progue'a błyskawicznie odbiła od brzegu. Z trudem łapiąc oddech Corliss przykucnął obok Holendra stojącego przy sterze. Potężny mężczyzna zwrócił ku niemu zasępioną twarz, wyraźnie przygnębiony:

— Ależ z nas durnie, żeby nadstawiać karku tu, wśród tych skał, w takiej ciemności!

Corliss znalazł argument:

— Musimy obronić tubylca przed tym, co go zaatakowało — co by to nie było. Musimy się dowiedzieć, dlaczego on tak panicznie się boi Jonesa. Mówię ci, Progue, to dla nas sprawa życia i śmierci!

Nie było jeszcze zupełnie ciemno. Reflektor motorówki rzucał długi snop światła na wodę. Corliss obserwował w napięciu, jak łódź śmiertelnie powoli lawiruje wzdłuż linii skał okalającej kotlinę głębokiej wody stanowiącej jedyne ujście

do większej, głębszej części laguny, gdzie było już za ciemno, by dojrzeć krajowca — za ciemno z powodu czarnych, groźnych chmur nadpływających znad horyzontu, kłębiących się monstrualnie na nocnym niebie.

Nagle — zapierający dech wstrząs! Łódź się zachwiała, Corlissem cisnęło parę metrów w bok. Zamroczony, wyciągnął rękę wczepiając się w rudel, i odepchnął się do tyłu. Łódź wciąż była w ostrym przechyle, silnik chrypiał na pełnych obrotach, a potem — nie wiadomo, jak się to stało — znów płynęli dalej.

— Uderzyliśmy o skałę! — wykrzyknął Corliss.

Spodziewał się, że teraz wedrze się woda i pociągnie ich w ciemną otchłań. Dobięgl go głos Progue'a, zaintrygowany, zatrwożony:

— To nie była skała! Minęliśmy już płyciznę. Jesteśmy na głębokiej wodzie. Przez ułamek sekundy myślałem, że wpadliśmy na kanoe, ale musiałbym je przecież zauważyć.

Corliss odprężył się — a wtedy nastąpił nowy wstrząs. Grzmotnęło nim boleśnie o burtę. Rozpaczliwie, na oślep, szukał rękami jakiegoś oparcia; i wtedy zamglonymi oczami dostrzegł, że motorówka przechyla się pod niebezpiecznym kątem. Z rozpaczliwym krzykiem rzucił się w przeciwną stronę, by przeważyć ciężarem ciała. Sam jeden nie byłby w stanie tego dokonać. W duchu dziękował losowi, że obdarzył go intuicją, dzięki której wybrał właśnie tych twardych, bstrych ludzi do swej załogi; ludzi, którzy podobnie jak on sam potrafili stawić czoła każdemu niebezpieczeństwu i nie czekali w krytycznej chwili na rozkaz. Jak jeden mąż rzucili się, by zrównoważyć przechył.

Łódź wyprostowała się, prując fale.

— Wolniej! — rzucił chrapliwie Corliss. — Skierujcie reflektor na wodę! Trzeba zobaczyć, gdzie jesteśmy.

Któryś z mężczyzn przekręcił reflektor. Snop światła padł na wody laguny. Światło zaiskrzyło się na wodzie i odbiło się tak olśniewającym blaskiem, że na chwilę oślepiło Corlissa. A potem...

Wzdrygnął się. Nigdy, do końca życia, nie zapomni tej zgrozy, tego przejmującego lodowatym dreszczem widoku wirujących i zwijających się, trzepoczących i burzących wodę w czarnej otchłani koszmarnych cieni.

W widmowym, rozproszonym świetle reflektora woda aż się roiła od rekinów! Masywne skręcające się cielska połyskiwały trójkątnymi płetwami. Było ich setki — długich, przerażających, o kształcie torped.

T y s i ą c e.

Gdy tak wpatrywał się rozszerzonymi oczami w wodę, wiedział już, że gdzieś tam z pewnością było rozdarte, poszarpane na strzępy ciało krajowca. Uczuł, jak motorówka, zderzywszy się z gigantyczną rybą, chwieje się niczym człowiek cierpiący na zawroty głowy. Ujrzał zwałistą postać Holendra błyskawicznie obracającego ster. Łódź sknęła gwałtownie i wyprostowała się.

— Zawracać! — zagrzmiął Corliss. — Zawracać, jeśli wam życie miłe! Kurs na brzeg! Wyciągnąć łódź na brzeg! One chcą nas przewrócić!

Woda wirowała i wrzała; silnik pracował na pełnych obrotach, łódź drżała i skrzypiała przeraźliwie, a ponad nimi, hen, coraz dalej na niebie, wzdymały się złowrogie, czarne chmury. Pierwszy podmuch wiatru, niczym uderzenie młotem, bluznął na nich wodą, gdy w szaleńczym pośpiechu wciągali łódź na piasek.

— Szybciej! — krzyknął Corliss. — Szybciej! Zebrać sprzęt i biegiem do baraku. Zostawiliśmy Dentona i Tareytona sam na sam z tym diabłem w ludzkiej skórze. Są bez szans, bo nawet nie wiedzą, z kim mają do czynienia.

Strugi ulewnego deszczu zacinały go w twarz, niemal przygniatając do ziemi, zanim zdołał odwrócić się doń plecami. Ludzie biegli, smagani z bezlitosnym okrucieństwem w plecy przez deszcz i wiatr — długi, cienki wąż mężczyzn, rozpaczliwie próbujących ująć z piekła szalejącego sztormu.

\* \* \*

Wycie wiatru dobiegało uszu potwora siedzącego w baraku, z zeszywniałymi mięśniami i napiętymi do granic nerwami. Dla jego wyostrzonych, rozdrażnionych zmysłów, pochłoniętych jedynie myślą o ucieczce, mroczny świat drewnianych koi był miejscem nierealnym, fantastycznym. Niesamowite żółte cienie migotały na ścianach, gdy światło zwisających z sufitu lamp to rozjarzało się, to znów przygasało w szalejącym ciągu powietrza, które wślizgiwało się w szczeliny ścian tej liczej szopy.

A potem nadciągnęła ulewa. Wydawało się, że łomot deszczu zgruchocze dach. Ale przynajmniej dach był solidniej zbudowany i nie przeciekał. Rozgorączkowany, oszalały umysł potwora poraziła nagła myśl o tym, że ludzie, którzy są teraz na zewnątrz, w tej straszliwej nawałnicy, za chwilę zjawią się w baraku — o ile się uratowali. Ale nie łudził się zbyt nadzieją, że nie udało im się uciec.

Porzuciwszy jałowe spekulacje, całą siłą swej nadludzkiej woli skoncentrował uwagę na tych dwóch mężczyznach, którzy stali teraz na jego drodze do wolności i którzy muszą zginąć w ciągu dwóch najbliższych minut, jeśli ma mu się powieść ucieczka, zanim wróci Corliss i reszta załogi.

Dwie minuty! Potwór skierował zimny wzrok na pilnujących go mężczyzn, już po raz setny w ciągu ostatniej pół godziny analizując swe położenie.

Denton siedział na brzegu łóżka: niski, kłocowały, nadmiernie pobudliwy. Szurał nogami, wiercił się, z niewyczerpaną energią przesuwając wciąż palcami po błyszczącym pistolecie, który trzymał w dłoni. Uchwyciwszy badawczy wzrok „Jonesa” zeszywniał i warknął coś pod nosem; utwierdziło to tylko potwora w opinii o zawziętości małego Anglika.

— Ej, ty! — powiedział mężczyzna ostrym tonem — widzę po twoich ślepiach, że coś knujesz. Nawet nie próbuj! Jestem tu, w tych stronach, już od dwu-

dziestu lat i możesz mi wierzyć, że załatwiłem już niejednego gościa. Nie musisz mi mówić, że masz dość siły, by rozedrzeć mnie na strzępy; sam widziałem, jak załatwiłeś się z Progue'iem dziś rano, i wiem, do czego jesteś zdolny. Ale nie zapominaj, że ten mały kawałek żelaza wyrównuje nasze szansę.

Pomachał rewolwerem z wyraźną pewnością siebie. Gdybym wrócił do swej pierwotnej postaci, pomyślał potwór, potrafiłbym go zabić nawet mimo broni, ale wówczas nie mógłbym się znów przeobrazić i wydostać z tego baraku. Znalazłbym się w pułapce!

Z wolna dotarło do jego świadomości, że teraz mówi Amerykanin:

— To co powiedział ci Denton, tyczy się i mnie. Nie ma takiej rzeczy, której kiedyś tam nie zrobiłem! Na mój rozum Perratin był cholernie klawym gościem i nie podoba mi się to, jak zginął. Ostrzegam cię, w razie czego pošlemy ci kulkę w czaszkę. Wiesz co, Denton? — Zrobił półobrót; jego piwne oczy błyszcząły, nozdrza spłaszczzonego nosa się rozdeły. — A może byśmy tak wzięli go na muszkę, a Corlissowi powiemy, że próbował uciekać?

— Nie! — Denton potrząsnął głową. — Corliss będzie tu lada chwila z całą bandą. A poza tym to byłoby zwyczajne morderstwo.

— Ba — zachnął się porywczo Tareyton — to nie zbrodnia zabić mordercę.

Potwór obserwował Dentona niespokojnie: człowiek miał rewolwer; nic więcej się nie liczyło.

— Ludzie, chyba żeście poszaleli albo was tchórz obleciał — powiedział, siłąc się na obojętność. — Jesteśmy przecież na wyspie. Żaden z nas się stąd nie wydostanie. Gdybym wyszedł teraz na tę burzę, spędziłbym pod gołym niebem parszywą noc, a rano i tak byście mnie znaleźli. Chcecie tak siedzieć i pilnować mnie całą noc?

— Do licha! — warknął Tareyton — to jest myśl. Wyrzucmy go na dwór, zamknijmy się od środka i zdrzemnijmy się trochę.

W duszy potwora zaświtała nadzieja, ale zaraz zgasła jak zdmuchnięta świeca. Denton przecząco pokręcił głową.

— Nie, nie postąpiłbym tak nawet ze wściekłym psem. Ale coś przyszło mi do głowy. — Jego głos przybrał ton szyderyczy: — Tareyton, pokaż temu dżentelmenowi, co z nim zrobimy. Zdejmij linę z tego gwoźdźca za tobą i zwiąż go. Będę się temu przyglądał z tą oto małą pukawką, więc nie wydarzą się przy tym żadne niespodzianki. Miej to na uwadze, bo inaczej pożałujesz.

— Nie jestem durniem — powiedział potwór chrapliwym głosem — żeby rzucać się na Tareytona i zarobić od ciebie kulę w plecy.

W myślach zapalił się do tego: Amerykanin załoni pistolet na ułamek sekundy. A gdyby nawet nie — to nieważne. Będzie blisko, po raz pierwszy jeden z nich podejdzie blisko, a o to mi tylko chodziło. Żaden z nich nie przeczuwa, co go czeka. . .

T e r a z!

Z tygrysią szybkością skoczył na Tareytona. Jak błyskawica mignęły mu przed oczami jego wybałuszone oczy, usta otwierające się do krzyku. Wtedy poderwał go z podłogi i ruchem szybkim jak piorun grzmotnął nim w Dentona.

Ochryply ryk zdumienia Anglika złał się z przerażonym barytonem Tareytona w jeden wspólny krzyk bólu, kiedy zderzyli się i ogłuszeni wyrznęli w najbliższą ścianę niczym kupa żelastwa.

Potwór pragnął rzucić się na nich i rozdrzeć na strzępy, ale nie było czasu nawet na sprawdzenie, czy żyją. Dawno już minęły te dwie minuty, które miał na działanie. Było za późno — za późno na cokolwiek prócz natychmiastowej ucieczki.

Pchnął drzwi i ze straszliwą siłą wyrznął głową w Corlissa. Straciwszy równowagę, poleciał do tyłu. W tym samym momencie ujrzał zwałistą postać Progue'a za plecami dowódcy. Pozostali mężczyźni tłoczyli się za ich plecami.

Chwila zdawała się nieskończonością w tę noc szalejącego sztormu. Żółtopomarańczowe światło w baraku rzucało upiorny odbłask na zaskoczone twarze ludzi kulących się pod naporem nawałnicy. Zygzakowata ostroga błyskawicy ukazała im chudą, chmurną, podobną do wilczego pyska twarz „Jonesa”, starającego się odzyskać równowagę.

Zaskoczenie było jednakowe dla obu stron, ale nieskończenie twardszy, o stalowych mięśniach potwór pozbierał się pierwszy. Wiedziony nienawiścią natarł niczym taran na Corlissa, który odbił się jak kula bilardowa i poleciał na Progue'a. Potwór wypadł na dwór, w noc, prosto w środek szalejącej ulewy i wichru.

Raz jeden skoczył naprzeciw dzikiej sile żywiołu, z pochyloną głową, napiętymi mięśniami. Potem w przeblysku roztropności zrozumiał, że jego powolne ruchy czynią z niego dogodny cel dla kul; przestał więc przeć pod wiatr, lecz pognął z wichrem na wschód, w stronę połyskującej czernią kipieli, chłostanej wściekłymi podmuchami.

Pędząc zdzierał z siebie ubranie — koszulę, spodnie, buty, skarpety; w błysku przecinającej całe niebo błyskawicy ludzie Corlissa dostrzegli jego wysoką, nagą sylwetkę na tle rozjaśnionego przez chwilę nieba.

Potem ujrzeli go jeszcze raz — rozświetloną niepokonaną postać zawisłą nad skalistą krawędzią styksowego morza. A potem zniknęła — biały błysk zanurzył się w czarnych odmętach wściekle łomoczących fal. Corliss odzyskał mowę:

— Mamy go! — wrzasnął przekrzykując nawałnicę. — Stamtąd się nie wydostanie.

Zanim zdolał powiedzieć coś więcej, fala tłoczących się ludzi poniosła go do baraku przez otwarte drzwi. Drzwi zostały zatrzaśnięte.

— Co, u diabła, masz na myśli? — wykrzyknął bez tchu Progue. — Ten dureń sam się zabił. Założę się o wszystko, że żywy z tego nie wyjdzie.

Corliss z trudem się opanował, ale kiedy zaczął wyjaśniać, dosłownie zalał wszystkich potokiem słów.

— Mówię wam — zakończył — to jest dowód. Mądrała miał rację. Ten piekielny stwór to władca rekinów w ludzkiej postaci i mówię wam: złapiemy go, jeśli się pospieszymy.

Słowa padały jak kule z karabinu maszynowego:

— Rozumiesz? W miejscu, gdzie on skoczył, nie ma ujścia z laguny poza wąskim kanałem, którym przepływamy zawsze w naszych łodziach. W jednym miejscu kanał przylega do brzegu i właśnie tam go zatrzymamy, nie dając mu się wydostać na otwarte morze. Mądrała!

— Słucham, szefie! — Wysoki, kościsty Anglik żywo podskoczył ku niemu.

— Weź paru ludzi, zabierz paczkę ładunków dynamitowych ze schowka z amunicją, reflektor, i zajmijcie stanowisko na brzegu koło kanału. Detonujcie ładunki co jakiś czas, pod wodą. Ani ryba, ani żadne inne żywe stworzenie nie wytrzyma huku eksplozji podwodnej. Reflektor skierujcie na wodę. Tam jest bardzo wąsko. Nie wolno wam go przepuścić! Pośpieszcie się!

— Zapomniałeś, szefie, o jednym — odezwał się Progue po odejściu tamtych. — Jest jednak ujście na otwarte morze w miejscu, gdzie ten cholerny stwór skoczył do laguny. Przypomnij sobie ten wąski przesmyk pomiędzy dwiema wznoszącymi się pionowo skalnymi ścianami. Rekin mógłby się tamtędy prześlizgnąć.

Corliss pokręcił głową.

— Nie zapomniałem. Masz rację: rekin mógłby się tamtędy wydostać. Ale ten stwór w swej naturalnej postaci ma olbrzymie silne płetwy. Za duże, by się zmieściły w tak wąskim przejściu: zostałyby rozdarte na strzępy. Rozumiesz już teraz? Potwór musi pozostać w ludzkiej postaci, jeżeli chce się wydostać przez przesmyk na otwarte morze; a w tej postaci musi być mniej groźny, bo inaczej nie postępowalby wobec nas z taką ostrożnością. On. . .

Przerwał mu nagle głuchy odgłos eksplozji. Niepieszny, bezlitosny uśmiech zadowolenia ukazał się na jego twarzy.

— Pierwszy wybuch! Może to znaczyć, że potwór próbował wypłynąć przez kanał. Zapędziliśmy go w ślepy zaułek! Albo zaryzykuje przepłynięcie tego diabelskiego ujścia w ludzkiej postaci, albo zabijemy go nazajutrz — w jakiegokolwiek postaci. A teraz szybko, każdy bierze latarkę, strzelbę i obstawiamy brzeg. Nie pozwólmy mu wydostać się na brzeg!

\* \* \*

Morze było zbyt wzburzone, fale za wysokie, noc za ciemna. Przeczucie nieszczęścia — lodowate, złowieszcze — targnęło chłodnymi, rybimi nerwami potwora, walczącego, by w ludzkiej postaci utrzymać się na powierzchni, gdzie mógł zaczerpnąć powietrza. Walczył zawzięcie, niezmordowanie, pomimo grzmotu, ryku i kołysania wodnej kipieli.



Upiorny morski żywioł otaczał go ścianą ciemności ze wszystkich stron — prócz jednej. Tam właśnie, przed nim, gdzie woda lśniła bielą, nawet w ciemności widać było białe spienione fale przybrzeżne. W tej pienistej bieli mógł dostrzec ciemną wstęgę — jedyną drogę na wolność, prowadzącą na bezpieczne, bezkresne wody oceanu; wąską wstęgę ciemności, gdzie woda była głęboka i rwąca.

I właśnie przez ten wstrząsany sztormem kanał laguny, wskazując drogę, parł w stronę oceanu rekin.

Potwór z trudem utrzymywał się na powierzchni; przebierał wściekle nogami, siekł ramionami rozszalałą morską kipieli i natężając wzrok śledził w ciemności niewyraźny błysk trójkątnej płetwy rekina-pilota, który właśnie próbował przepłynąć diabelski kanał.

Rekin zmagął się teraz, manewrując zawzięcie, z ryczącym wściekle żywiołem, co przelewał się przez wąski przesmyk, uchodząc ku wolności. Płetwa zniknęła, potem znowu się ukazała, ledwo widoczna na tle szaro-białych fal.

Rekin przepłynął; był już bezpieczny. Mglisty zarys płetwy znikł nagle w czerni grzmiącego oceanu. Potwór zawahał się; teraz jego kolej. Ociągał się na myśl o szturmowaniu tych postrzępionych, rozkołysanych fal w swej wątej ludzkiej postaci.

Warknął z wściekłości, że pokrzyżowano mu plany, wydając wysoki, przenikliwy, nieludzki okrzyk nienawiści; na wpół odwrócił się do brzegu, trawiony dzikim, desperackim pragnieniem, by staranować ten kordon kruchych ludzkich postaci, nie zważając na niebezpieczeństwo.

Warknął znowu i prychnął gniewnie na widok pochodni, które usiały wybrzeże. Każda pochodnia — nawet w tym piekielnym deszczu i wicherze — rzucała błady, migoczący odbłask światła, a za każdą z nich stąpał niecierpliwie mężczyzna, ze strzelbą w pogotowiu.

Droga była zablokowana. Potwór rozumiał to mimo swego szalonego pomysłu, by pognać na brzeg. Teraz już aż nazbyt dobrze wiedział, że wpadł w pułapkę. Ten odcinek laguny został tak dokładnie zablokowany, jakby sama natura czekała od milionów, milionów lat na tę właśnie chwilę, by zamknąć w pułapce zdradliwego potwora z głębin.

Jeszcze raz zwrócił swe zimne, szkliste, rybie oczy ku wylotowi kanału. Stalowe szczęki kłapnęły z potwornym wyzwaniem, wargi zacisnęły się na kształt wąskiego pyska rekina — i rzucił się w rozszalałe fale.

Najpierw doznał uczucia niezwykłego pędu; instynktownie starał się skrócić, ale obraz rekina-pilota zatarł się już w jego pamięci. Woda wdarła mu się do ust; pluł, kasłał, zmagął się, aż naraz w okamgnieniu ujrzał wizję swego potwornego losu. Tuż przed nim wznosiła się pionowo ściana skalna — wysoka, czarna, posępna, bezlitosna. Skręcił wściekle i dał nura w bok, z szalonym zamachem ramion. Ale żadna siła nie mogła pokonać niewyciężonego żywiołu.

Jeszcze tylko jeden rzut oka na swe przeznaczenie, jeszcze jedno warknięcie dzikiego zdumienia — a potem dźgnięcie niewysłowionego bólu, gdy głowa została strzaskana na miazgę o twardą jak stal skałę. Połamane kości, rozdarte mięśnie, zmiążdżone członki — całe to umęczone ciało porwał ocean.

Rekin-przewodnik zwęszył świeże mięso i zawrócił. W chwilę potem dołączyło do niego kilkanaście innych — ciemnych, szamoczących się w wodzie sylwetek.

\* \* \*

Sztorm wciąż łomotał w czarnej nocy. Ludzie byli skostniali, przemoczeni, znużeni. Kiedy Corliss skierował pierwszą łódź na spokojne już wody laguny, ku wąskiemu, wciąż jeszcze grzmiącemu przesmykowi, na jego twarzy, spochmurniałej, zmęczonej długim czuwaniem, malował się zawzięty upór.

— Jeśli potwór podjął ryzyko — powiedział — niczego już nie znajdziemy. Ale będziemy wiedzieli. Tam jest prąd denny, w miejscu, gdzie kanał zakręca, i tylko wielka ryba może go pokonać. Żadne inne stworzenie nie uniknie zmiążdżenia.

— Hej! — jęknął Denton z trwogą, z twarzą wciąż jeszcze białą z bólu — nie podchodźcie za blisko. Tareyton i ja mamy już dosyć na dzisiaj.

Było już południe, gdy Corliss wreszcie się upewnił, że w lagunie nie ma żadnego niebezpiecznego stworzenia. Kiedy płynęli w stronę brzegu, zmęczeni, lecz spokojni, południowe słońce zalewało blaskiem szmaragdową wyspę, lśniąca i skrząca się w oprawie z fal ogromnego szafirowego oceanu.

# Krypta bestii

## *Vault of the Beast*

Potwór pełzł. Skamlał ze strachu i bólu. Bezkształtna, amorficzna plazma, zmieniająca kształt i strukturę przy każdym gwałtownym poruszeniu, pełzła korytarzem kosmicznego frachtowca, zwalczając w sobie niepohamowany popęd do przybierania kształtu otoczenia. Szary pęcherz rozlewającej się substancji to pełzł, to spływał kaskadą, toczył się, ciekł i rozlewał w nieustannym, śmiertelnym zmaganiu z tą anormalną potrzebą przybrania jakiejś trwałej postaci. Jakiegokolwiek postaci: twardej, zimnoniebieskiej metalowej ściany zdążającego na Ziemię frachtowca, grubej kauczukowej podłogi. Z podłogą nie było zbyt trudno; co innego opierać się przyciąganiu metalu. Z łatwością mógłby się stać metalem na całą wieczność.

Ale coś mu to uniemożliwiało. Jakiś wpojony nakaz. Nakaz dudniący jak werbel w każdej jego cząsteczce, pulsujący z równomierną intensywnością, niby dojmujący ból, w każdej jego komórce: odszukać najwybitniejszego matematyka w całym Układzie Słonecznym i sprowadzić go do wrót krypty zbudowanej z marsjańskiego supermetal. Wielki musi być uwolniony. Zamek zegarowy zintegrowany z liczbą pierwszą musi zostać otwarty.

To właśnie był ten nakaz, wywierający presję na jego składniki. Nakaz, który wielcy i źli twórcy wryli w jego elementarnej świadomości.

W końcu długiego korytarza coś się poruszyło. Otworzyły się drzwi. Dał się słyszeć odgłos kroków. Kroków pogwizdującego mężczyzny. Z metalicznym poświstem, niemal westchnieniem, stwór rozplynął się, upodabniając się na chwilę do kałuży rtęci, po czym przybrał barwę brązowej podłogi; stał się podłogą, leciutkim zgrubieniem na ciemnobrązowej kauczukowej płaszczyźnie.

Był jak w ekstazie. O, właśnie tak: leżeć płasko, mieć kształt i być prawie martwym, tak że nie czuje się wcale bólu. Śmierć jest czymś tak błogim i pożądanym, a życie — męką nie do zniesienia. Żeby tak ta nadchodząca żywa istota odeszła stąd jak najprędzej. Gdyby się zatrzymała — narzuciłaby mu swój kształt. Życie to potrafi, jest silniejsze niż metal. A to oznaczałoby cierpienie, walkę, ból.

Stwór wyprężył swe ciało, płaskie teraz i groteskowe — które jednak w każdej chwili mogło napiąć mięśnie jak z żelaza — i oczekiwał walki na śmierć i życie.

Parelli, mechanik z załogi statku kosmicznego, pogwizdywał sobie radośnie przemierzając wielkimi krokami lśniący korytarz wiodący do maszynowni. Właśnie otrzymał radiotelegram ze szpitala: „Żona czuje się dobrze. Chłopiec! Cztery kilo”. Stłumił w sobie chęć, by krzyknąć i tańczyć z radości. Chłopiec! Życie jest piękne.

Stwór na podłodze poczuł ból: pierwotny ból, przesycający jego elementy niczym żrący kwas. Brązowa podłoga drżała każdą cząsteczką, gdy Parelli kroczył po niej. Stwór odczuwał szalone pragnienie, by ruszyć śladem człowieka i przybrać jego postać. Ze strachem zwalczał w sobie ten popęd, coraz bardziej świadomie, mógł już bowiem myśleć, posługując się mózgiem Parellego. Zgrubienie na powierzchni podłogi potoczyło się w ślad za mężczyzną.

Opór na nic się nie zdał. Zgrubienie urosło do rozmiarów pęcherza, na moment przybierając kształt ludzkiej głowy. Ponurej zjawy o piekielnych kształtach. Twór wydał metaliczny dźwięk; syknął z przestachu, po czym opadł dygocząc z przerażenia, bólu, i nienawiści, podczas gdy Parelli oddalał się szybkim krokiem — za szybkim w porównaniu z jego pełzaniem. Pisk zamarł. Stwór wtopił się w brązową podłogę i leżał nieruchomo, drżąc wszakże z niepohamowanej żądzy, by żyć — żyć pomimo bólu i strachu. Żyć i wypełniać wolę swych twórców.

Przeszedłszy dziesięć metrów Parelli przystanął. Otrząsnął się z rozmyślań o żonie i dziecku. Odwrócił się i wpatrywał niepewnie w korytarz prowadzący do maszynowni.

— Ki diabeł? — zastanowił się na głos.

Jakiś dziwny, słaby, ale budzący grozę dźwięk odbił się echem w jego świadomości. Dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa. Diabelskie echo!

Stał tak, ów rosty, atletycznie zbudowany mężczyzna, obnażony do pasa, spocyny od żaru silników rakietowych, które wyhamowywały statek kosmiczny powracający na Ziemię z wyprawy na Marsa. Wzdrygnął się i zaciskając pięści ruszył wolno z powrotem, tą samą drogą, którą przyszedł.

Stwór drżał cały, czując przyciąganie, które było dlań prawdziwą torturą rozdzierającą każdą jego wzburzoną i rozdygotaną komórkę. Stopniowo uświadamiał sobie nieuchronną konieczność przyjęcia postaci życia.

Parelli zatrzymał się niezdecydowany. Podłoga poruszyła się pod jego nogami; wyraźna falista brązowa wypukłość, przerażająca, wznosiła się na jego niedowierzających oczach i rosła w pęcherzykowatą, śluzowatą, syczącą masę. Odrażająca, demoniczna głowa unosiła się nad rachitycznymi, na pół ludzkimi barkami. Guzowate dłonie, wyrastające z małych, zdeformowanych ramion, wpiły się w jego twarz niczym szpony ze wściekłą furią i szarpały go, nie przestając jednocześnie zmieniać swego kształtu.

— O Boże! — wykrzyknął mężczyzna.

Ściskające go wciąż ramiona i dłonie stawały się coraz bardziej normalne, coraz bardziej ludzkie — śniade, muskularne. Twarz przybrała znajome rysy, wyrósł na niej nos, pojawiły się oczy i czerwona kreska ust. Cała postać stała się naraz bliźniaczo podobna do niego: te same spodnie i pot, i wszystko.

— ...Boże! — powtórzył sobowtór, wczepiając się w Parellego pożądliwymi palcami z nieprawdopodobną siłą.

Z trudem łapiąc oddech Parelli uwolnił się z uścisku, po czym zadał jeden miażdżący cios prosto w tę zniekształconą twarz. Monstrum krzyknęło. Odwróciło się i zaczęło uciekać, zatracając ludzki kształt, opierając się temu, wydając z siebie na pół ludzkie okrzyki. Parelli ścigał stwora; nogi miał jak z waty, dygotał z panicznego przerażenia i niedowierzania własnym zmysłem. Wyciągając rękę dosięgnął zanikających już spodni potwora i szarpnął. Pozostał mu w rękach zimny, śliski, wijący się strzęp przypominający mokrą glinę. To było już nie do wytrzymania. Z odrazy poczuł mdłości, nogi się pod nim ugięły. Dobiegło go wołanie pilota:

— Co się stało?

Dostrzegł otwarte drzwi magazynu. Skoczył bez tchu do środka, po chwili wypadł trzymając w pogotowiu pistolet atomowy. Zobaczył, że pilot z bladą twarzą i wybałuszonymi oczami zeszytniał przy olbrzymim oknie.

— Jest tam! — wykrzyknął tamten.

Szary pęcherz roztapiał się w rogu szyby, stając się szybą. Parelli rzucił się do okna, mierząc z pistoletu. Pofałdowane wybrzuszenie wsiąkło w szkło, przyciemniając je; potem pęcherz wyłonił się z drugiej strony okna, w chłodzie Kosmosu. Oficer stanął obok Parellego. Obaj patrzyli, jak szara, bezkształtna plazma pełźnie wzdłuż bocznej ściany pędzącego frachtowca, znikając z ich pola widzenia.

Parelli oprzytomniał.

— Mam kawałek tego! — wykrzyknął. — Rzuciłem na podłogę w magazynie.

Na porzucony strzęp natknął się porucznik Morton. Mikroskopijny odcinek podłogi wzniosł się, a potem urósł do zdumiewających rozmiarów, próbując przybrać ludzką postać. Parelli, z rozbieganymi, błędnymi oczyma, zgarnął monstrum szuflą. Stwór zasyczał. Już prawie stał się częścią metalowej szuflki, ale nie udało mu się to, ponieważ człowiek był zbyt blisko.

Parelli stał na chwiejnych nogach przed swym zwierchnikiem, z szuflą w rękach. Śmiał się histerycznie:

— Dotknąłem tego — powtarzał w kółko — dotknąłem tego.

\* \* \*

Gdy statek wdzierał się w ziemską atmosferę, na jego zewnętrznej powłoce poruszył się pęcherz metalu, zdradzając niemrawe oznaki życia. Metalowe ściany

rozgrzały się do czerwoności, potem do białości. Odporny jednak na to stwór kontynuował powolną przemianę w szarą masę. Niejasno uświadamiał sobie, że nadeszła pora działania.

Naraz oderwał się od statku i zaczął opadać powoli, jakby nie podlegał przyciąganiu ziemskiemu. Nieznaczne przekształcenie w budowie jego atomów spowodowało przyspieszenie opadania, jak gdyby stwór naraz stał się bardziej podatny na działanie grawitacji. Ziemia w dole była zielona; miasto, niewyraźne w od-dali, błyszczało w promieniach zachodzącego słońca. Stwór zwolnił i zniżał się, niczym opadający liść w podmuchu wiatru, ku wciąż jeszcze dalekiej powierzchni ziemi. Wylądował przy moście, na peryferiach miasta.

Jakiś mężczyzna szedł przez most szybkim, nerwowym krokiem. Zdziwiłby się bardzo, gdyby się obejrzał i ujrzał swego sobowtóra wspinającego się z rowu na drogę i ruszającego żwawo w ślad za nim.

Odszukać — najwybitniejszego matematyka!

Było to w godzinę później. Idąc zatłoczoną ulicą monstrum odczuwało nieustanny ból, z jakim doskwierała mu ta myśl. Cierpiał także i z innych powodów: musiał zmagać się z przyciąganiem tej cisnącej się zewsząd, spieszącej masy ludzkiej, która mrowiła się przed nim, nie dostrzegając go. Teraz, gdy miał ciało i umysł człowieka, znacznie łatwiej było mu myśleć i utrzymać niezmienną postać.

Odszukać — matematyka!

„Po co?” zrodziło się pytanie w jego ludzkim teraz mózgu. Monstrum zadrżało, wstrząśnięte taką herezją. Jego piwne, rozbiegane oczy rozglądały się dokoła trwożnie, jakby spodziewał się, że spotka go nagła i straszliwa zagłada. Jego rysy zatarły się nieco, upodabniając się kolejno to do oblicza mężczyzny z haczykowatym nosem, który mijał go kołyszącym się krokiem, to znów do opalonej twarzy wysokiej kobiety, która wpatrywała się w witrynę sklepową.

Ten proces trwałby dłużej, gdyby monstrum nie otrząsnęło się ze strachu i nie zmusiło do przybrania rysów gładko wygolonej twarzy młodego człowieka, który wynurzył się leniwie z bocznej uliczki. Mężczyzna spojrział na niego, odwrócił wzrok, potem znów się obejrzał, zaskoczony. Monstrum odebrało jego myśli: „Co, u diabła? Gdzieś już widziałem tego faceta!”.

Nadchodziła grupka kobiet. Stwór odsunął się na bok, gdy go mijały. Na moment stracił kontrolę nad swymi zewnętrznymi komórkami: brąz jego garnituru przybrał najdelikatniejszy odcień błękitu — kolor najbliższej sukni. Kręciło mu się w głowie od szelestu strojów i trajkotania: „No powiedz sama, moja droga, czy ona nie wygląda okrrroponie w tym okrrroponym kapeluszu?”.

Na wprost znajdował się długi ciąg gigantycznych gmachów. Monstrum pokiwało głową ze zrozumieniem. Takie skupisko budynków oznacza obecność metalu, a siła, co wiąże atomy metalu, działałaby również i na jego ludzką postać. Stwór pojmował istotę tego zjawiska, za pośrednictwem umysłu szczupłego męż-

czynny w ciemnym garniturze, wlokącego się ospale. Był on urzędnikiem. Monstrum odebrało jego myśli: człowiek z zawiścią myślał o swym szefie, Jimie Brenderze z firmy „J.P. Brender i Spółka”.

Skłoniło to monstrum do gwałtownego zawrócenia i pójścia śladem Lawrence’a Pearsona, z zawodu buchaltera. Gdyby przechodnie zwrócili na to uwagę, zdumiałby ich widok dwóch Lawrence’ów Pearsonów idących ulicą jeden za drugim w odstępach jakichś piętnastu metrów. Wtórny Lawrence Pearson, badając pamięć pierwszego, dowiedział się, że Jim Brender jest absolwentem harwardzkiego wydziału matematyki, finansów i ekonomii politycznej, ostatnim z długiej linii finansowych geniuszy, mężczyzną trzydziestoletnim, szefem kolosalnie zasobnej firmy „J.P. Brender i Spółka”.

„Ja także mam trzydziestkę”, myśli Pearsona odbijały się echem w mózgu stwora, „a nie posiadam nic. Brender opływa we wszystko, a ja będę mieszkał w tym samym starym pensjonacie do końca życia”.

Zapadał już zmrok, gdy obaj przechodzili przez most. Monstrum przyspieszyło kroku, wysuwając się agresywnie do przodu. Widać w ostatniej chwili jakieś niejasne przecucie tknęło jego ofiarę, bo szczypty mężczyzna się odwrócił, wydając z siebie cichy skrzek, gdy stalowe szpony schwyły go za gardło w straszliwym uścisku. Mózg potwora odłączył się, oszołomiony, gdy zgasła świadomość Lawrence’a Pearsona. Z trudem łapiąc oddech i broniąc się przed nicością monstrum odzyskało wreszcie panowanie nad sobą. Za jednym zamachem chwyciło martwe ciało i przerzuciło je przez betonową balustradę. W dole rozległ się plusk, a potem bulgotanie wody.

Stwór, będący teraz Lawrence’em Pearsonem, szedł najpierw pospiesznie, potem coraz wolniej, póki nie dotarł do ogromnego domu z cegły, zbudowanego w niejednorodnym stylu. Popatrzył z niepokojem na numer, ogarnięty nagłą niepewnością, czy pamięć go nie zwodzi. Z wahaniem otworzył drzwi. Oblał go strumień żółtego światła, czyjś śmiech zawibrował w jego wrażliwych uszach. Panował tu chaos rozmaitych myśli snujących się po głowach rozmaitych osób, tak samo jak na ulicy. Stwór bronił się przed napływem tych obcych myśli, grożącym mu utratą osobowości Lawrence’a Pearsona. Znalazł się w przestronnym, jasnym holu, skąd przez otwarte drzwi do pokoju widać było stół nakryty do kolacji, przy którym siedziało kilkanaście osób.

— A, to pan, panie Pearson — odezwała się gospodyni zajmująca honorowe miejsce u szczytu stołu. Była to kobieta o spiczastym nosie i wąskich ustach. Monstrum przypatrywało się jej przez chwilę z uwagą. Przechwyciło myśli kobiety. Jej syn był nauczycielem matematyki w gimnazjum. Stwór zareagował na to obojętnością, w mig doszedł prawdy: syn tej kobiety był takim samym intelektualnym zerem, jak jego matka.

— Przyszedł pan w samą porę — powiedziała obojętnym tonem. — Sarah, przynieś talerz dla pana Pearsona.

— Dziękuję, nie jestem głodny — odparł stwór, śmiejąc się w duchu z ironią; było to uczucie do tej pory mu nie znane. — Chyba pójde się położyć.

Całą noc przeleżał na łóżku Lawrence'a Pearsona, z otwartymi oczami, rażny, coraz bardziej świadom siebie.

Jestem maszyną, rozmyślał, bez własnego mózgu. Mogę jedynie posługiwać się mózgiem ludzi. Ale w jakiś niewytłumaczalny sposób moi twórcy pozwolili mi być czymś więcej niż tylko czymś echem. Posługuję się ludzkim mózgiem, aby osiągnąć własny cel.

Na myśl o twórcach zdjęła go groza zaćmiewająca umysł. Było to przerażające, mgliste wspomnienie fizjologicznego bólu dezintegrującej reakcji chemicznej.

Wstał o świcie i spacerował po mieście do wpół do dziesiątej. O tej właśnie porze stanął przed imponującą marmurową bramą firmy „J.P. Brender i Spółka”. Znalazłszy się w środku zagłębił się w wygodnym fotelu z inicjałami L.P. i pracowicie ślęczał nad księgami rachunkowymi, które Lawrence Pearson odłożył poprzedniego dnia.

O godzinie dziesiątej wysoki młody człowiek w ciemnym garniturze pojawił się na łukowo sklepionym korytarzu. Idąc energicznym krokiem mijał po drodze szeregi biurowych pomieszczeń. Uśmiechał się przy tym ze spokojną pewnością siebie. Stworowi niepotrzebny był wcale chór „dzień dobry, panie Brender”, by wiedzieć, że oto przybywa jego zwierzyna łowna. Podniósł się gibkim, sprężystym ruchem, na jaki nie stać byłoby prawdziwego Lawrence'a Pearsona, i wszedł szybko do toalety.

W chwilę później w drzwiach ukazał się sobowtór Jima Brendera i ruszył ze spokojną pewnością siebie w stronę gabinetu, w którym przed kilkoma minutami zniknął prawdziwy Brender. Zapukał do drzwi, wszedł — i uzmysłowił sobie trzy rzeczy na raz. Po pierwsze, że znalazł tego właśnie człowieka, po którego został wysłany. Po drugie, że jego umysł nie jest w stanie skopiować bystrego, precyzyjnie działającego mózgu młodego człowieka, który przypatrywał się mu zdziwionymi ciemnoszarymi oczami. I po trzecie, że na ścianie gabinetu wisi olbrzymia metalowa płaskorzeźba.

Wstrząśnięty, mając zamęt w głowie, czuł przyciąganie metalu. Już na pierwszy rzut oka poznał, że to supermetal — produkt wielkiego kunsztu antycznych Marsjan, których miasta wzniesione z metalu, pełne bezcennych mebli, dzieł sztuki i urządzeń mechanicznych, były teraz odkopywane przez przedsiębiorczych Ziemiaków spod warstwy piasku, pod którym leżały pogrzebane od trzydziestu czy nawet pięćdziesięciu milionów lat. Supermetal! Metal nie rozgrzewający się w najwyższej temperaturze, którego ani diament, ani żadne inne narzędzie tnące nie może nawet drasnąć; nigdy nie skopiowany przez ludzi, równie tajemniczy jak owa siła ieis, którą Marsjanie czerpali z pozornej nicości.



Wszystkie te myśli kłębiły się w głowie monstrem, gdy badało zakamarki pamięci Brendera. Stwór z wysiłkiem odwrócił uwagę od metalu i utkwiał wzrok w mężczyźnie. W jego myślach odczytał bezgraniczne zdziwienie.

Brender podniósł się.

— Mój Boże — odezwał się — kim pan jest?

— Nazywam się Jim Brender — odparł sobowtór, uświadamiając sobie ponury komizm całej sytuacji; zdał sobie również sprawę z faktu, że to odczucie dowodzi postępu w jego rozwoju.

Prawdziwy Jim Brender doszedł już do siebie.

— Proszę, niech pan siada — zapraszał serdecznie. — To doprawdy najbardziej zdumiewający zbieg okoliczności w moim życiu.

Podszedł do lustra, które zdobiło ścianę po lewej stronie gabinetu. Popatrzył najpierw na swe odbicie, potem na sobowtóra.

— Zdumiewające — powiedział. — Wprost nie do wiary.

— Panie Brender — odezwał się przybysz — widziałem pańskie zdjęcie w gazecie i pomyślałem, że może to niezwykle podobieństwo skłoni pana do wysłuchania mnie, gdyż inaczej nie chciałby pan pewnie zaprzętać sobie mną głowy. Dopiero co wróciłem z Marsa i przyszedłem tutaj, aby skłonić pana do pojechania tam razem ze mną.

— To niemożliwe — brzmiała odpowiedź.

— Chwileczkę, niech pan zaczeka, aż wyjaśnię panu przyczynę — powiedział gość. — Słyszał pan kiedy o Wieży Bestii?

— O Wieży Bestii? — powtórzył Brender z namysłem. Obszedł biurko i nacisnął guzik.

— Słucham, szefie? — odezwał się głos dochodzący z ozdobnej skrzynki.

— Dave, potrzebne mi są wszystkie dane na temat Wieży Bestii i legendarnego miasta Li, w którym ona rzekomo istnieje.

— Nie muszę wcale szukać — padła lapidarna odpowiedź. — Większość marsjańskich historii nawiązuje do legendy o tym, jak to bestia owa spadła z nieba, kiedy Mars był jeszcze młody — wiązano z tym wydarzeniem jakąś straszliwą przepowiednię, a przyczyny upatrywano w wypadnięciu bestii z podprzestrzeni kosmicznej. Znalaziono ją nieprzytomną. Marsjanie odczytali jej myśli i tak byli przerażeni intencjami zapisanymi w jej podświadomości, że próbowali bestię zabić, co im się jednak nie udało. Wzniesli więc olbrzymią kryptę — liczącą około pięciuset metrów średnicy i półtora kilometra wysokości — i uwięzili w nim bestię, najwidoczniej mającą takie właśnie rozmiary. Kilkakrotnie podejmowano już próby odnalezienia miasta Li, ale bez powodzenia. Powszechnie uznaje się, że to tylko mit. To wszystko.

— Dziękuję — Jim Brender przerwał połączenie i zwrócił się do gościa. — No i co pan na to?

— To wcale nie jest mit. Wiem, gdzie znajduje się Wieża Bestii, i wiem także, że Bestia wciąż żyje.

— Niech pan posłucha — powiedział Brender dobrodusznie. — Zaintrygowało mnie nasze podobieństwo, to prawda. Ale niech się pan nie spodziewa, że uwierzę w całą tę historię. Bestia, o ile w ogóle coś takiego istnieje, spadła z nieba, kiedy Mars był młody. Według niektórych źródeł naukowych rasa marsjańska wymarła sto milionów lat temu, no, dwadzieścia pięć milionów, skromnie licząc. Jedyne wytwory ich cywilizacji, jakie zachowały się do dzisiaj, to konstrukcje z supermetalalu. Na szczęście pod koniec budowali już prawie wszystko z tej niezniszczalnej substancji.

— Chciałbym panu opowiedzieć o Wieży Bestii — odezwał się przybysz nie zbity z tropu. — Jest olbrzymia, ale kiedy ostatnio ją widziałem, wystawała zaledwie na trzydzieści metrów ponad piasek. Cały jej wierzchołek to drzwi podłączone do zamku zegarowego, zintegrowanego po linii ieis z największą liczbą pierwszą.

Brender wpatrywał się w przybysza szeroko otwartymi oczami. Stwór odebrał jego zaskoczenie: najpierw powątpiewanie, potem załóżek wiary.

— Największą — powtórzył jak echo.

Schwycił książkę z podręcznej biblioteczki ściennej obok biurka i przekartkował ją.

— Największa ze znanych liczb pierwszych to... aha, tutaj... to 230584300-921393951. Kilka innych to, według tego samego źródła, 77843839397, 182521-213001 i 78875943472201.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się. — To znaczy, że cała ta historia jest absurdalna. Największa liczba pierwsza byłaby liczbą nieokreśloną. — Uśmiechnął się do gościa. — Jeżeli tam rzeczywiście jest bestia zamknięta w grobowcu z supermetalalu, którego drzwi podłączone są do zamku zegarowego zintegrowanego po linii ieis z największą liczbą pierwszą — to zostanie już tam na zawsze. Nic na świecie nie jest w stanie jej uwolnić.

— Wręcz przeciwnie — zaprotestował przybysz. — Bestia zapewniała mnie, że rozwiązanie tego problemu leży w sferze możliwości ziemskiej nauki, tylko musi się tym zająć urodzony matematyk, dysponujący całą wiedzą na tym poziomie, jaki osiągnęła aktualnie matematyka na Ziemi. Pan jest tym człowiekiem.

— I pan się spodziewa, że uwolnię owego demona zła — o ile uda mi się dokonać tego cudu matematycznego?

— Wcale nie zła! — zaprotestował przybysz. — Z tego bezsensownego strachu przed nieznanym, który spowodował, że Marsjanie uwięzili Bestię, wyniknęła ogromna krzywda i niesprawiedliwość. Bestia jest uczonym z innej przestrzeni, zaskoczonym w czasie przeprowadzania jednego z eksperymentów naukowych. Mówię „ona”, ale nawet nie wiem, czy w jej rasie istnieje rozróżnienie płciowe.

— Więc pan rozmawiał z Bestią?

— Porozumiewała się ze mną za pomocą telepatii.

— Przecież zostało udowodnione, że myśl nie może przeniknąć supermetalu.  
— A co ludzkość może wiedzieć na temat telepatii? Ludzie nie potrafią nawet porozumiewać się między sobą, z wyjątkiem szczególnych okoliczności. — W słowach przybysza brzmiała pogarda.

— To prawda. A zatem, skoro pańska historia jest prawdziwa, trzeba tę sprawę przedłożyć Radzie.

— Ta sprawa dotyczy tylko dwóch osób: pana i mnie. Czyżby pan zapomniał, że krypta znajduje się w samym centrum wielkiego miasta Li; jest tam skarb wartości miliardów dolarów, w postaci mebli, dzieł sztuki i urządzeń mechanicznych. Bestia żąda, aby ją uwolnić, zanim pozwoli komukolwiek na wydobycie tych skarbów. Pan może ją uwolnić. Podzielimy się tym bogactwem.

— Chciałbym panu zadać jedno pytanie — powiedział Brender. — Jak się pan naprawdę nazywa?

— P... Pierce Lawrence — zająknął się stwór. Był tak zaskoczony, że nie stać go było na większą inwencję niż odwrócenie kolejności imienia i nazwiska swej pierwszej ofiary oraz nieznaczną zmianę — „Pearson” na „Pierce”. Czuł, jak z zakłopotania łąci mu się w głowie.

— Na jakim statku przybył pan na Marsa? — indagował dalej Brender.

— N... na F 4961 — wyjąkało monstrum. Wściekłość pogłębiała jeszcze jego zmieszanie. Staralo się odzyskać panowanie nad sobą, czując, że strzeliło głupstwo. Poczulo nagle całkiem wyraźnie przyciąganie supermetalu, z którego była zrobiona płaskorzeźba na ścianie, i wiedziało, że oznacza to zapowiedź niebezpieczeństwa jego rozpadu.

— Frachtowiec — stwierdził Brender. Nacisnął guzik. — Carltons, sprawdź, czy F 4961 miał na pokładzie pasażera lub członka załogi nazwiskiem Pierce Lawrence. Ile czasu ci to zajmie?

— Parę minut, szefie.

Jim Brender odchylił się w fotelu.

— To zwykła formalność. Jeśli pan rzeczywiście przyleciał na tym statku, będę zmuszony potraktować pańskie oświadczenie serio. Z pewnością rozumie pan, że nie mógłbym się podjąć takiego zadania na ślepo.

Rozległ się dźwięk dzwonka.

— Tak? — odezwał się Brender.

— Na F 4961, który wylądował wczoraj, znajdowała się tylko dwuosobowa załoga. Na pokładzie nie było nikogo o nazwisku Pierce Lawrence.

— Dziękuję. — Brender wstał. — Żegnam, panie Lawrence — powiedział chłodno. — Nie mam pojęcia, na co pan liczył opowiadając mi tę absurdalną historię. Chociaż muszę przyznać, że jest rzeczywiście ciekawa, a problem, który mi pan przedstawił, był naprawdę bardzo zajmujący.

Dzwonek.

— O co chodzi?

— Pan Gorson do pana.

— Świetnie, poproś go tutaj.

Odzyskawszy już panowanie nad sobą, stwór przejął z mózgu Brendera informacje, iż Gorson jest magnatem finansowym, którego firma może się równać z przedsiębiorstwem Brendera. Te, a także jeszcze inne informacje spowodowały, że stwór opuścił gabinet Brendera, wyszedł z gmachu i czekał cierpliwie, aż Gorson pojawi się z powrotem w okazałej bramie. W chwilę później ulicą szło dwóch Gorsonów.

Gorson był mężczyzną po czterdziestce, pełnym energii. Był uczciwy; prowadził higieniczny, aktywny tryb życia. Jego pamięć przechowywała wspomnienia z niełatwych przeżyć w niejednej strefie klimatycznej i na kilku planetach. Monstrum swymi sensorami wyczuło energię życiową tego człowieka; ruszyło za nim ostrożnie, z szacunkiem, jeszcze niezdecydowane, czy podejmie wobec niego jakieś działania.

Rozwinałem się już na tyle, myślał stwór, z prymitywnej formy życia, jaką byłem na początku, że już nie mógłbym dłużej nią pozostać. Moi twórcy wyposażyli mnie w zdolność uczenia się, rozwoju. Dzięki temu łatwiej mi jest teraz się bronić przed dezintegracją, łatwiej mi być człowiekiem. Aby pokonać tego mężczyznę, muszę jedynie pamiętać o tym, że używając właściwie swej siły jestem niezwyciężony.

Stwór skrupulatnie badał w mózgu swej przyszłej ofiary trasę do biura. W pamięci mężczyzny wyryty był dokładny obraz wejścia do przestronnego gmachu, dalej ciągnął się długi korytarz z marmuru, potem samobieżną windą na ósme piętro i wreszcie krótki korytarzyk z dwójgiem drzwi. Jedne z nich stanowiły prywatne wejście do gabinetu; drugie prowadziły do składziku używanego przez dozorcę. Gorson zaglądał do ostatniego pomieszczenia przy rozmaitych okazjach, toteż jego pamięć, oprócz wielu innych rzeczy, przechowywała obraz wielkiej skrzyni.

Monstrum przyczaiło się w składziku, czekając na moment, gdy nie podejrzewający niczego Gorson znajdzie się za drzwiami. Drzwi skrzypnęły. Gorson odwrócił się, wytrzeszczając oczy. Stwór nie dał mu szansy: stalowa pięść zmiażdżyła twarz mężczyzny, wbijając kości czaszki w mózg. Tym razem monstrum nie popełniło błędu i w porę przerwało sprzężenie swego mózgu z mózgiem ofiary. Pochwyciło osuwające się zwłoki, przywracając swej stalowej pięści na powrót kształt ludzkiej dłoni. Z gorączkowym pośpiechem wpakowało potężne, atletyczne ciało do wielkiej skrzyni i szczelnie docisnęło pokrywę, po czym ostrożnie wysunęło się ze schowka, weszło do gabinetu Gorsona i usiadło za lśniącem dębowym biurkiem. Mężczyzna, który pojawił się na jego wezwanie, ujrzał siedzącego tam Gorsona i usłyszał głos Gorsona:

— Crispin, chciałbym, żebyś wziął się natychmiast do wyprzedazy tych akcji naszymi sekretnymi kanałami. Powiem ci, kiedy masz skończyć. Nie oglądaj się na nic, nawet gdybyś uznał to za szaleństwo. Mam pewne poufne informacje.

Crispin popatrzył na całe szeregi nazw pakietów i wybałuszył oczy.

— Wielki Boże, człowieku! — wykrztusił wreszcie, z poufałością stanowiącą przywilej zaufanego doradcy. — To są przecież niezawodne akcje. Cała pańska fortuna nie wytrzyma takiej operacji.

— Mówiłem ci, że siedzę w tym nie tylko ja.

— Ależ to jest nielegalne dezorganizowanie rynku — zaproponował mężczyzna.

— Słyszałeś, co powiedziałem, Crispin. Wychodzę teraz z biura. Nie próbuj się ze mną kontaktować. Sam do ciebie zadzwonię.

Monstrum będące teraz Johnem Gorsonem wstało, obojętne na zamęt, jaki wywołały jego polecenia w głowie Crispina, i wyszło tymi samymi drzwiami, przez które się tutaj dostało.

Wystarczy mi tylko, pomyślało po opuszczeniu gmachu, sprzątnąć z pół tuzina rekinów finansjery i zacząć wyprzedawać ich akcje; wówczas...

Do pierwszej było już po wszystkim. Giełdę zamykano o trzeciej, ale o pierwszej wiadomość tę odebrały telegrafy nowojorskie. W Londynie, gdzie zapadał już zmierzch, pojawił się dodatek nadzwyczajny. W Hankowie i Szanghaju olśniewający poranek zakłócony został przez gazeciarzy biegnących ulicami w cieniu drapaczy chmur i wykrzykujących, że firma „J.P. Brender i Spółka” zbankrutowała i że wszczęte zostało w tej sprawie dochodzenie...

— Mamy tu do czynienia — powiedział nazajutrz sędzia sądu okręgowego w swej mowie wstępnej — z najdziwniejszym zbiegiem okoliczności w całej naszej historii. Oto firma istniejąca już od lat, ciesząca się poważaniem, mająca szerokie powiązania i filie na całym świecie, dysponująca udziałami w ponad tysiącu rozmaitego rodzaju spółek akcyjnych, zbankrutowała wskutek niespodziewanego spadku notowań pakietów, którymi była zainteresowana. Trzeba miesiąc, by ujawnić, kto ponosi odpowiedzialność za wyprzedaż, która doprowadziła do tej katastrofy. Tymczasem jednak — chociaż musi się to wydać godne pożałowania starym przyjaciółom zmarłego J.P. Brendera oraz jego syna — należy zadośćuczynić żądaniom wierzycieli i zlikwidować majątek w drodze licytacji i innych stosownych kroków prawnych...

\* \* \*

Komandor Hughes z Międzyplanetarnych Tras Kosmicznych wszedł do gabinetu swego zwierzchnika w wojowniczym nastroju. Był to mężczyzna niewielkiego wzrostu, ale silnej budowy. Monstrum, przybrawszy teraz postać Louisa Dyera, wpatrywało się w niego z napięciem, zdając sobie sprawę z siły i energii tego człowieka.

— Dostałeś mój raport w sprawie Brendera? — zaczął Hughes.

Sobowtór Dyera podkreślił nerwowo węża, po czym podniósł niewielki skoroszyt i przeczytał na głos:

— „Niebezpieczne ze względów psychologicznych... zatrudniać Brendera... Zbyt wiele ciosów na raz. Utrata majątku i pozycji... Nie pozostanie bez wpływu na psychikę... żadnego normalnego człowieka... w tych okolicznościach. Weź go do swego biura... okaż mu pomoc... daj jakąś intratną posadę i takie stanowisko, na którym niewątpliwie jego wielkie zdolności... ale nie na statku kosmicznym, gdzie wymagana jest wyjątkowa odporność, zarówno fizyczna, jak i psychiczna, a także przytomność umysłu i równowaga duchowa...”

— To są właśnie te punkty, które chciałem podkreślić — przerwał Hughes. — Wiedziałem, że zrozumiesz, o co mi chodzi, Louis.

— Oczywiście, że rozumiem — powiedział stwór, uśmiechając się z ponurym rozbawieniem; ostatnimi czasy nabrał pewności siebie. — Twoje uczucia, pomysły, twoje zasady i metody pracy odcisnęły niezatarte piętno na twym sposobie myślenia. Nigdy — dodał pospiesznie — nie miałem najmniejszej wątpliwości co do słuszności twego stanowiska. Jednak w tej sprawie nie ustąpię. Jim Brender nie przyjmie zwykłej posady oferowanej mu przez przyjaciół. To absurd proponować mu, aby podporządkował się komuś, nad kim on pod każdym względem góruje. Dowodził już własnym jachtem kosmicznym i na matematycznej stronie tej roboty zna się lepiej niż cały nasz personel razem wzięty; a to wcale nie jest zarzut pod adresem naszego personelu. Brender dobrze zna trud lotów kosmicznych i uważa, że tego mu właśnie teraz potrzeba. Dlatego, Peter, polecam ci — po raz pierwszy w ciągu naszej długoletniej współpracy — abyś przydzielił go na frachtowiec F 4961 na miejsce Parellego, który doznał rozstroju nerwowego po tej dziwnej sprawie ze stworem z Kosmosu, jak to określił porucznik Morton. A propos, czy odnalazłeś już... hm... tę... próbkę stwora?

— Nie, szefie, zniknęła jeszcze tego samego dnia, kiedy przyszedłeś ją obejrzeć. Przeszukaliśmy całe pomieszczenie wzdłuż i wszerz — to najdziwaczniejszy twór, jaki w życiu spotkałem. Przenika przez szybę tak łatwo jak światło. Można by nawet pomyśleć, że to jakaś forma światła; sam się wystraszyłem. To najwyższa faza rozwoju, łatwiej adaptująca się do otoczenia niż cokolwiek innego, co do tej pory odkryto — a mówię to bez przesady. Ale wracając do sprawy Brendera, nie możesz mnie tak po prostu od tego odsunąć.

— Nie rozumiem twego stanowiska, Peter. Dopiero po raz pierwszy wtrącam się do twojej roboty...

— Złożę rezygnację — wykrztusił przyparty do muru mężczyzna.

Potwór stłumił uśmiech.

— Peter, przecież to ty dobierałeś cały personel Tras Kosmicznych. To dzieło twego życia, nie możesz teraz tego zostawić, wiesz dobrze, że nie możesz...

W jego słowach zabrzmiała leciutka nutka paniki, gdyż przez głowę Hughesa przemknął po raz pierwszy wyraźny zamysł złożenia rezygnacji. Właśnie to przypomnienie jego osiągnięć i pasji zawodowej pociągnęło za sobą taką falę wspomnień, że dopiero teraz Hughes uświadomił sobie, jak dotkliwą ujmą była dlań ta

groźba wmieszania się w jego kompetencje. Monstrum w lot pojęło, co znaczyłoby odejście z pracy tego człowieka: niezadowolenie załogi, szybkie rozeznanie się w sytuacji przez Jima Brendera i jego odmowa przyjęcia pracy. Pozostawało tylko jedno wyjście — aby Brender znalazł się na statku nie dowiedziawszy się, co się stało. Ostatecznie potrzeba było tylko, aby odbył tę jedną jedyną podróż na Marsa.

Stwór przemyślał nad możliwością przybrania postaci Hughesa. Stwierdził jednak ze smutkiem, że to beznadziejna sprawa: zarówno Louis Dyer, jak i Hughes muszą być na miejscu aż do ostatniej chwili.

— Ależ Peter, posłuchaj — zaczął, nie wiedząc, co powiedzieć. — Cholera! — typowa ludzka reakcja. Do szału doprowadzała go świadomość, że Hughes uznał jego słowa za oznakę słabości. Niepewność, niczym czarna chmura, zasnuła jego myśli.

— Brender będzie tu za pięć minut; powiem mu, co sędzę o tym wszystkim — warknął Hughes, a stwór zrozumiał, że najgorsze już się stało. — Jeśli nie pozwolisz tego mu powiedzieć, złożę wymówienie. Ja... o Boże... człowieku, twoja twarz!

Pomieszenie i przerażenie ogarnęły monstrum równocześnie. Zrozumiało, że wobec groźby fiaska całego jego planu twarz mu zaczyna się rozplýwać. Zerwało się na równe nogi, uświadamiając sobie straszliwe niebezpieczeństwo. Sekretariat znajdował się tuż za matowym szkłem drzwi; pierwszy krzyk Hughesa natychmiast sprowadziłby pomoc. Wydając z siebie na pół szloch, stwór usiłował nadać swej ręce formę metalowej pięści, ale w gabinecie nie było żadnego metalu, którego kształt mogłaby przybrać. Stało tam tylko masywne klonowe biurko. Z chrapliwym okrzykiem stwór przesadził je, starając się wbić drewniany szpic w gardło Hughesa.

Ten zaklął, zdumiony, i schwycił laskę ze wściekłą siłą. Z zewnątrz dotarły naraz odgłosy zgiełku, słychać było krzyki, tupot nóg...

\* \* \*

Brender zaparkował samochód w pobliżu statku kosmicznego. Stał przez chwilę — nie dlatego, żeby miał jakieś wątpliwości. Jego sytuacja była beznadziejna i dlatego potrzebna mu była choćby najmniejsza szansa. Sprawdzenie, czy marsjańskie miasto Li zostało odkryte, nie zajmie mu zbyt wiele czasu. Jeśli tak — będzie mógł odzyskać swą fortunę. Ruszył szybko w kierunku statku.

Kiedy zatrzymał się na pasie startowym wiodącym do otwartych drzwi F 4961 — olbrzymiej kuli z błyszczącego metalu, o średnicy stu metrów — zauważył biegnącego ku niemu jakiegoś mężczyznę. Rozpoznał w nim Hughesa.

Monstrum, będące teraz Hughesem, zbliżyło się, usiłując zachować spokój. Zdawało mu się, że cały świat stał teraz w ogniu krzyżujących się sił przyciąga-

nia. Stwór aż się skulił pod naporem myśli ludzi tłoczących się teraz w popłochu w gabinecie, który właśnie przed chwilą opuścił. Poszło jak najgorzej; wcale nie zamierzał robić tego wszystkiego, do czego teraz już był zmuszony. Pragnął większą część podróży na Marsa spędzić w postaci pęcherza metalu na zewnętrznej powłoce statku. Opanował się z wielkim wysiłkiem.

— Zaraz odlatujemy — powiedział.

— Ależ to znaczy — zdziwił się Brender — że będę musiał wyznaczyć nową orbitę w najtrudniejszych. . .

— Właśnie — przerwał mu niby-Hughes. — Wiele słyszałem o pańskich zdolnościach matematycznych. Pora tego dowieść w praktyce.

Brender wzruszył ramionami.

— Nie widzę przeszkód. Ale, co się stało, że leci pan ze mną?

— Zawsze latam z nowymi.

To brzmiało logicznie. Brender wszedł na pas startowy, Hughes posuwał się tuż za nim. Potężne przyciąganie metalu sprawiało mu ból, pierwsze rzeczywiste odczucie, jakiego nie doświadczał od dawna. Przez cały miesiąc będzie teraz musiał stawiać opór przyciąganiu, by zachować postać Hughesa i jednocześnie wypełniać setki różnych obowiązków. Ból targał nim do głębi, druzgocząc całą pewność siebie, jakiej nabrał będąc człowiekiem. A potem, wchodząc w ślad za Brenderem na statek, usłyszał z tyłu okrzyki. Obejrzał się pospiesznie. Za nim, z kilku wyjść, wylewała się rzeka ludzi biegnących w kierunku statku. Brender znajdował się już kilka metrów w głębi korytarza. Z piskiem przypominającym szloch monstrum wskoczyło do środka i pociągnęło za dźwignię, zatrzasnąjąc drzwi.

Znajdowała się tam też zapasowa dźwignia włączająca tarczę antygravitacyjną. Jednym szarpnięciem stwór przesunął dźwignię do oporu. Natychmiast doznał uczucia nieważkości i wrażenia, że spada. Przez olbrzymie okno dostrzegł migające w przelocie lotnisko, na którym aż mrowiło się od ludzi. Widać było wzniezione ku górze blade twarze, machanie rękami. Potem obraz zniknął w oddali, gdy statek zawibrował od huku silników rakietowych.

— Mam nadzieję — odezwał się Brender, gdy Hughes wszedł do sterowni — że chciał pan, abym włączył silniki.

— Owszem — odparł stwór ochryple. — Całą matematyczną stronę zostawiam panu.

Nie ośmielił się przebywać zbyt blisko metalowych silników, nawet w obecności Brendera, która ułatwiała mu zachowanie ludzkiej postaci. Ruszył pospiesznie korytarzem. Najlepszym miejscem będzie izolowana sypialnia.

Nagle przestał gnać na łeb na szyję i przystanął, kołyszając się na czubkach palców. Ze sterowni, z której dopiero co wyszedł, dotarła doń myśl Brendera. Potwór omal nie zatracił swych kształtów, gdy z przerażeniem zorientował się, że Brender siedzi przy radiu, odpowiadając na natarczywe wezwanie z Ziemi.



„Hughes” wpadł do sterowni i stanął jak wryty. W jego szeroko otwartych oczach malowało się całkiem ludzkie przerażenie. Brender błyskawicznie odwrócił się od radia. W ręku trzymał rewolwer. Stwór odebrawszy myśl człowieka zrozumiał, że Brenderowi zaczyna już świtać w głowie.

— To ty jesteś tym... stworem — wykrzyknął Brender — który przyszedł do mnie do biura, opowiadał o liczbach pierwszych i o krypcie Bestii!

Przesunął się w bok, by zastawić sobą drzwi na korytarz. Odślonił przy tym teleekran, na którym widział twarz prawdziwego Hughesa. W tejże chwili Hughes spostrzegł sobowtóra.

— Brender! — wrzasnął — to ten właśnie potwór, którego Morton i Parelli widzieli podczas swej podróży z Marsa. On jest odporny na działanie wysokich temperatur i środków chemicznych, ale jeszcze nie próbowaliśmy kul. Strzelaj, prędko!

Za dużo metalu, za dużo chaosu. Twór skamłąc zaczął się rozplýwać. Przyciąganie metalu zniekształciło go straszliwie, przeobrażając w ciężki półmetal. Brońjąc się przed deformacją miał wciąż jeszcze, niczym rakowatą narośl, bulwiastą głowę z na pół znikającym jednym okiem i wężowatymi ramionami doczepionymi do półmetalicznego ciała. Instynktownie starał się przesunąć bliżej Brendera, którego przyciąganie pomagało mu zachować ludzką postać. Półmetal stał się teraz bezkształtną masą ciała ludzkiego, usiłującą wrócić do uprzedniego wyglądu.

— Słuchaj, Brender! — głos Hughesa był natarczywy — zbiorniki paliwa w maszynowni zrobione są z supermetal. Jeden jest pusty. Poprzednim razem schwytaliśmy fragment tego stwora i on nie mógł się wydostać z małego pojemnika z supermetal. Gdyby ci się udało zapędzić monstrum do zbiornika, kiedy ono straci nad sobą kontrolę, co zdaje się przydarza mu się bardzo łatwo...

— Najpierw wypróbuję na nim działanie ołowiu! — warknął Brender łamiącym się głosem.

Bach! Z na pół uformowanej szczeliny ust wyrwał się krzyk. Monstrum cofnęło się; jego nogi rozplýnęły się w szarą, ciastowatą masę.

— Boli, co? — zgrzytnął Brender. — Jazda do maszynowni, ty cholerny potworze, do zbiornika!

— Dalej, dalej! — popędzał Hughes z teleekranu.

Brender znowu wystrzelił. Stwór wydał żalony pisk i cofnął się jeszcze bardziej. Znów stał większy, bardziej podobny do człowieka. A w jego karykaturalnej dłoni pojawił się karykaturalny rewolwer.

Uniósł nie dokończoną, nie uformowaną jeszcze broń. Rozległ się huk wystrzału i krzyk potwora. Rewolwer — bezkształtny strzép — upadł na podłogę. Drobiną szarej masy, w którą się zmienił, zawzięcie pełzła w stronę macierzystego ciała i niczym monstrualna rakowata narośl przywarła do jego prawej stopy.

Wtedy to po raz pierwszy potężne, złe umysły, które stworzyły monstrum, podjęły wysiłek, by opanować swego robota. Z furją, chociaż przy świadomości,

że całą grę trzeba prowadzić z rozwagą, Kontroler zmusił przerażonego i całkowicie złamanego stwora do podporządkowania się jego woli. Bolesny jęk rozdarł powietrze, gdy owa przemiana została wymuszona na niestabilnych elementach. W jednej chwili monstrum już stało jako sobowtór Brendera, jednak zamiast rewolweru wyrósł mu w potężnej ręce świecący metalowy pręt. Błyszczący jak lustro, lśnił każdą fasetą niczym jakiś niezwykle klejnot. Metal emanował słabe, niezemskie promieniowanie.

Tam, gdzie przedtem stało radio, a także ekran z twarzą Hughesa, ziała teraz wielka dziura. Brender z desperacją raził stojącą przed nim postać gradem kul, ale monstrum, choć zadrżało, wpatrywało się weń nietknięte. Świecąca broń skierowała w stronę człowieka.

— Kiedy już skończysz strzelać — odezwało się — może będziemy mogli porozmawiać.

Głos brzmiał tak łagodnie, że Brender, w napięciu oczekujący śmierci, ze zdziwienia opuścił broń.

— Nie masz powodu do obaw — ciągnęło dalej monstrum. — Ten, którego tu widzisz i słyszysz, to android, tak przez nas zaprojektowany, by mógł działać w waszym wymiarze i przestrzeni. Kilkoro z nas pracuje tu w wyjątkowo trudnych warunkach nad utrzymaniem z tobą kontaktu, więc muszę się streszczać.

Żyjemy w wymiarze, gdzie czas płynie nieskończenie wolniej od waszego. Dzięki systemowi synchronizacji ustawiliśmy liczbę tych wymiarów tak, byśmy mogli się z tobą porozumieć, mimo że jeden nasz dzień to milion waszych lat. Naszym celem jest uwolnienie Kalorna z marsjańskiej krypty. Został on przypadkowo schwytany w zakrzywieniu czasu, które sam spowodował, i spadł na planetę, którą nazywacie Marssem. Marsjanie całkiem niepotrzebnie wystraszyli się jego potężnych rozmiarów i skonstruowali dlań szatańskie więzienie. Potrzebna jest nam wiedza matematyczna odpowiadająca waszemu wymiarowi i przestrzeni, by go uwolnić.

Łagodny głos mówił dalej, żarliwie, ale bez natarczywości, z naleganiem, ale przyjaźnie. Mówca ubolewał, że android zabijał istoty ludzkie. Szczegółowiej wyjaśnił, że każda przestrzeń oparta jest na innych systemach liczbowych — niektóre na ujemnych, inne na dodatnich, a jeszcze inne na mieszanych — całość zaś jest nieskończenie różnorodna. I każda przestrzeń rządzi się prawami swojej matematyki.

Siła ieis nie jest w gruncie rzeczy niczym tajemniczym. To po prostu przepływ z jednej przestrzeni do drugiej będący efektem różnicy potencjałów. Ten przepływ jest jedną z sił uniwersalnych, które może zrównoważyć jedynie inna siła. To jej właśnie użył mówiący przed kilkoma minutami. Supermetal jest rzeczywiście super. W swoim wszechświecie mają podobny metal, złożony z atomów ujemnych. W mózgu Brendera odczytał, że Marsjanie nie znali liczb ujemnych, a więc mu-

sieli budować ze zwykłych atomów. Może to być i tak zrobione, chociaż nie tak łatwo.

— Problem więc sprowadza się do tego — zakończył — że ziemską matematyka musi nam wskazać, jak dysponując naszą uniwersalną siłą moglibyśmy doprowadzić do rozwiązania — czyli podziału — najwyższej liczby pierwszej, by drzwi się otworzyły. Możesz zapytać, jak znaleźć dzielnik liczby pierwszej, skoro jest podzielna jedynie przez siebie i przez jeden. Ten problem jest dla waszego systemu liczbowego rozwiązywalny tylko przez waszą matematykę. Zrobisz to dla nas?

Brender schował rewolwer do kieszeni. Był zupełnie spokojny.

— Wszystko to brzmi logicznie i szczerze — rzekł. — Przecież gdybyście chcieli narobić nam kłopotu, wystarczyłoby przysłać na Ziemię więcej istot z waszej rasy. Oczywiście trzeba będzie to przedstawić Radzie. . .

— W takim razie sprawa jest beznadziejna, Rada nie wyrazi zgody. . .

— Więc spodziewacie się, że ja pójdę na to, czego waszym zdaniem nie zaakceptuje najwyższy organ władzy w naszym systemie? — wykrzyknął Brender.

— Na tym właśnie polega istota rządów demokracji: rząd nie może sobie pozwolić na narażanie życia obywateli. Taka jest tutejsza władza; jej przedstawiciele poinformowali nas kiedyś w podobnej sytuacji, że nie biorą pod uwagę ewentualności uwolnienia nieznannej bestii. Co wcale nie znaczy, że jednostka nie mogłaby sobie pozwolić na takie ryzyko, na jakie rządowi pójść nie wolno. Zgodziłeś się z nami, że nasze argumenty są logiczne. Jaki zatem porządek stosują ludzie w swym postępowaniu, jeśli nie logiczny?

Kontroler, za pośrednictwem androida, czujnie śledził myśli Brendera. Zauważył jego rozterkę i niezdecydowanie przeciwstawiające się prawdziwie ludzkiemu odruchowi — chęci niesienia pomocy, wynikającej z przeświadczenia, że nie ma w tym żadnego ryzyka. Kontroler pomyślał, że to nierozsądne — ufać przesadnie logice w postępowaniu z ludźmi.

— Możemy ci zaoferować. . . wszystko — przynaglał. — Jeśli się zgodzisz, za chwilę przeniesiemy ten statek na Marsa, nie w trzydzieści dni, lecz w trzydzieści sekund. Wiedzę o tym, w jaki sposób tego dokonamy, zachowasz dla siebie. Będziesz na Marsie jedyną osobą wiedzącą o istnieniu starożytnego miasta Li, którego centralnym miejscem jest Krypta Bestii. W mieście tym zostaną dokonane znaleziska o wartości dosłownie miliardów dolarów, wykonane z supermetal, i zgodnie z prawem ziemskim, połowa będzie należeć do ciebie. Odzyskawszy swą fortunę będziesz mógł wrócić na Ziemię jeszcze tego samego dnia.

Twarz Brendera była kredowobiała. Android niechętnie śledził tok jego myśli; wspomnienie nagłej katastrofy, która doprowadziła do nędzy całą jego rodzinę. Brender podniósł wzrok.

— Dobrze — powiedział — zrobię, co w mojej mocy.

\* \* \*

Ponury łańcuch górski opadał w kotlinę czerwonawoszarego piasku. Słaby podmuch marsjańskiego wiatru wznosił obłoczek piasku pod budowlą. I to jaką budowlą! Z daleka wydawała się po prostu duża. Wznosiła się ledwie na trzydzieści metrów nad pustynią — miała trzydzieści metrów wysokości i pięćset metrów średnicy. Musiała jednak sięgać na głębokość tysięcy metrów pod tym niespokojnym oceanem piasku, by zachować tę doskonałą harmonię, to pełne gracji bajeczne piękno, jakie dawno wymarli już Marsjanie nadawali wszystkim swoim konstrukcjom mimo ich masywności. Brender poczuł się naraz mały i znikomy, gdy rakiety jego skafandra z łoskotem niosły go na wysokości kilku metrów ponad piaskiem w kierunku tej niezwyklej budowli.

Z bliska brzydota pionowych ścian cudownie zatracala się w bogactwie ornamentów. Kolumny i pilastry w grupach i skupiskach rozbiły płaszczyznę fasady, schodziły się i znów rozbiegały. Płaska powierzchnia ścian i dachu przeistaczała się w bogactwo ornamentów i pseudosztukaterii, znikala i załamywała się w grze światła i cieni.

Stwór szybował obok Brendera.

— Widzę, że podchodzisz poważnie do całej sprawy — powiedział jego Kontroler — ale ten android chyba nie jest w stanie analizować abstrakcyjnego myślenia, więc nie mam pojęcia, jakim torem idą twoje spekulacje. Wydajesz się zadowolony.

— Chyba znalazłem rozwiązanie — odpowiedział Brender — ale najpierw chciałbym obejrzeć zamek zegarowy. Lecimy.

Wzniesli się w górę, opadając tuż poza krawędzią budowli.

Brender ujrzał rozległą płaszczyznę, a w samym środku... Zaparło mu dech z wrażenia.

Słaby blask dalekiego marsjańskiego słońca padał na budowlę umieszczoną na czymś, co wyglądało na środek wielkich drzwi. Konstrukcja ta miała około piętnastu metrów wysokości; zdawało się, że tworzyły ją ćwiartki koła stykające się w środku, który stanowiła metalowa strzałka wzniesiona pionowo w górę. Ostrze tej strzałki nie było z litego metalu; wyglądało raczej to, jakby metal rozdzielał się na dwie części, które zakrzywiały się i znów schodziły. Ale nie całkiem: rozdzielał je odstęp o szerokości około pół metra. Przebiegał między nimi ledwie widoczny, cienki zielony płomyk ieis.

— Zamek zegarowy! — pokiwał głową Brender. — Spodziewałem się, że tak wygląda, chociaż przypuszczałem, że będzie większy i solidniejszy.

— Nie daj się zwieść jego pozornej kruchości — odezwał się Kontroler. — Teoretycznie siła supermetal jest nieograniczona, a siłę ieis może zrównoważyć tylko wartość ogólna, o której wspominałem. Dokładny skutek jest niemożliwy do przewidzenia, ponieważ wiąże się to z tymczasowym przestawieniem całego

systemu liczbowego, na jakim dany sektor przestrzeni jest zbudowany. A więc powiedz nam teraz, co robić.

— Dobrze. — Brender opadł na wydmę i wyłączył tarcze grawitacyjne. Leżąc na wznak, patrzył w zamyśleniu w błękitnoczarne niebo. Na chwilę opuściły go wszelkie wątpliwości, troski i lęki. Odprężył się i zaczął:

— Marsjańska matematyka, podobnie jak matematyka Euklidesa i Pitagorasa, opierała się na wielkości nieskończonej. Nie obejmowała liczb ujemnych. Tymczasem na Ziemi, poczynając od Kartezjusza, rozwijała się matematyka analityczna. Wielkość i wymiary postrzegalne zostały zastąpione przez wartości zmienne między ustawieniami w przestrzeni.

Dla Marsjan istniała tylko jedna liczba pomiędzy 1 i 3. W rzeczywistości jest ich bardzo wiele. Wraz z wprowadzeniem pojęcia pierwiastka kwadratowego z minus 1 — czyli liczby urojonej  $i$  — i zbiorów liczb, matematyka ostatecznie przestała być nauką tylko o wielkościach dostrzegalnych. Jedynie intelektualny krok od wartości nieskończonej do dolnej granicy każdej możliwej wielkości skończonej wprowadziło pojęcie liczby zmiennej, która znajduje się poniżej każdej możliwej do wyznaczenia liczby, nie będącej zerem.

Liczba pierwsza, będąca wyobrażeniem wielkości czystej, nie istnieje w matematyce realnej, ale w tym przypadku została ściśle powiązana z realnością siły  $ieis$ . Marsjanie znali  $ieis$  jako bładozielony przepływ o długości około pół metra i mocy, powiedzmy, tysiąc koni mechanicznych (w rzeczywistości wynosi to 51,35 centymetrów i 1021,23 koni mechanicznych, ale to nieważne). Wytworzona moc nigdy się nie zmieniała, długość także, z roku na rok, od dziesiątków tysięcy lat. Marsjanie przyjęli więc tę długość za podstawową miarę i nazwali ją 1 ell, przyjęli też moc za jednostkę mocy i nazwali ją 1 rb. Z powodu całkowitej niezmienności przepływu uznali go za wieczny.

Następnie uznali, że nic nie może być wieczne, nie stając się liczbą pierwszą. Cała ich matematyka opierała się na liczbach, którym można ustalić dzielnik, to jest które mogą być rozdrobnione, zniszczone, sprowadzone do wartości niższych; oraz na liczbach bez dzielników — które nie mogą być rozdrobnione czy podzielone na mniejsze grupy.

Każda liczba, która ma dzielnik, nie może być nieskończoną. Wobec tego liczba nieskończona musi być liczbą pierwszą.

Dlatego też skonstruowali zamek zintegrowany wzdłuż linii  $ieis$ , by działał, gdy już  $ieis$  przestanie przepływać — co mogłoby nastąpić, gdy nastanie koniec Czasu, pod warunkiem, że nikt by go wcześniej nie naruszył. By tego uniknąć, ukryli mechanizm przepływu w supermetal, który nie ulega zniszczeniu ani korozji. Według zasad ich matematyki to wystarczyło.

— Ale ty znalazłeś rozwiązanie — odezwał się niecierpliwie stwór.

— Po prostu: Marsjanie ustalili wartość przepływu na 1 rb. Jeśli nastąpi zakłócenie przepływu bez względu na to jak małego stopnia, nie jest to już rb, lecz coś

mniejszego. Przepływ, który jest wartością ogólną, staje się czymś mniejszym, mniej niż nieskończonością. Liczba pierwsza przestaje być liczbą pierwszą. Przypuśćmy, że zakłócenie nastąpi w takim stopniu: najwyższa pierwsza minus 1. Zatem będzie to liczba podzielna przez 2. W gruncie rzeczy ta liczba, podobnie jak większość dużych wartości, natychmiast rozpadnie się na tysiące części, to jest, będzie podzielna przez dziesiątki tysięcy mniejszych liczb. Jeśli czas terazniejszy trafi gdzieś w pobliże jednego z tych miejsc rozpadu, drzwi otworzą się natychmiast, o ile uda się wywołać takie zakłócenie, że jeden z dzielników wystąpi w terazniejszości.

— To zupełnie jasne — w głosie Kontrolera brzmiała satysfakcja; sobowtór Brendera uśmiechnął się z triumfem. — Teraz możemy użyć naszego androida do wytworzenia wartości ogólnej; Kalorn już wkrótce będzie wolny. — Zaśmiał się głośno. — Biedny android broni się przed unicestwieniem, ale ostatecznie to przecież tylko maszyna i to nie najlepsza. Poza tym on nam przeszkadza we właściwej recepcji twoich myśli. Posłuchaj jego wrzasku, gdy będę mu nadawał nowy kształt.

Te słowa wypowiedziane z zimną krwią zmroziły Brendera, ściągając go z wyżyn abstrakcyjnego myślenia. Dzięki intensywnej pracy mózgu naraz z wielką wyrazistością dostrzegł coś, co wcześniej umknęło jego uwadze.

— Chwileczkę — powiedział. — Jak to możliwe, że ten wasz robot żyje teraz w tym samym wymiarze, co ja, podczas gdy Kalorn nadal żyje w waszym?

— Słuszne pytanie. — Twarz stwora wykrzywił triumfujący uśmiezek, podczas gdy Kontroler mówił dalej: — Widzisz, mój drogi Brenderze, zostałeś oszukany. To prawda, że Kalorn żyje w naszym sektorze czasu, ale tak się stało z powodu błędu w naszej maszynie. Urządzenie, które skonstruował Kalorn, było wystarczająco wielkie, by go przetransportować, nie miało jednak mechanizmu adaptacyjnego, który by go mógł przystosować do każdej nowej przestrzeni, w jakiej się znajdzie. Efekt był taki, że został on wprawdzie przetransportowany, ale nie zaadaptowany. Oczywiście my, jego pomocnicy, mogliśmy przetransportować coś tak małego jak android, ale nie mamy pojęcia o konstrukcji maszyny Kalorna.

Krótko mówiąc, mogliśmy użyć tego, co z niej zostało, ale tajemnica jej konstrukcji jest zamknięta w naszym własnym specyficznym supermetal i w mózgu Kalorna. Jej wynalezienie przez Kalorna to jeden z tych przypadków, które zdarzają się raz na milion lat naszego czasu. Teraz gdy już podałeś nam metodę uwolnienia Kalorna, będziemy mogli zbudować niezliczoną ilość maszyn międzyprzestrzennych. Naszym celem jest opanowanie wszystkich przestrzeni, wszystkich planet — zwłaszcza zamieszkałych. Chcemy być władcami absolutnymi całego Wszechświata.

Ironiczny głos zamilkł. Brender wciąż leżał, zdjęty grozą. Przerazenie to wywołały dwa powody — częściowo potworny plan Kontrolera, a częściowo myśl pulsująca w jego mózgu. Jęknął, uprzytomniwszy sobie, że ta ostrzegawcza myśl

zostanie przechwycona przez automatycznie odbierający mózg robota. Zaraz, brzmiała ta myśl, to wprowadza dodatkowy czynnik: czas...

Dał się słyszeć krzyk potwora, gdy został przemocą rozłożony. Krzyk przeszedł w zdławiony szloch, potem zapadła cisza. Na wielkiej szarobrazowej powierzchni piasku i supermetalów leżało zagadkowe urządzenie z błyszczącego metalu.

Metal zalsnił i urządzenie wzniosło się w górę. Dosięgnęło czubka strzałki i osiadło na zielonym płomieniu ieis.

Brender szarpnął swą tarczę antygravitacyjną i skoczył na równe nogi. Ten gwałtowny ruch uniósł go kilkadziesiąt metrów w górę. Jego rakiety trzaskały ogniem; zacisnął zęby, czując ból przyspieszenia. W dole pod nim olbrzymie drzwi zaczęły się otwierać, coraz szybciej i szybciej, upodabniając się do koła zamachowego. Piasek wystrzelił na wszystkie strony, jakby wzniesiony miniaturową burzą.

W pełnym przyspieszeniu Brender uskoczył w bok. W samą porę! Najpierw siła odśrodkowa odrzuciła maszynę-robota z ogromnego koła. Potem drzwi odpadły i wirując w zawrotnym tempie uniosły się w górę i zniknęły w oddali.

Z czeluści grobowca wyleciał obłok czarnego pyłu. Opanowując przerażenie, lecz z ogromną ulgą Brender podskoczył do miejsca, w którym robot upadł na piasek. Zamiast błyszczącego metalu leżał tam zaśniedziały kawałek złomu. Metal zafalował leniwie, przybierając niby-ludzka postać. Jego ciało pozostało szare, pofałdowane, jakby gotowe za chwilę rozpaść się ze starości. Monstrum usiłowało stanąć na pofałdowanych nogach, ale nie mogło się podnieść. Jego usta poruszały się, bełkocąc:

— Odebrałem twoje ostrzeżenie, ale im nie przekazałem. Teraz Kalorn nie żyje. Odkryli prawdę od razu, gdy to się stało. Nadszedł Koniec Czasu... — głos zamarł.

— Tak, nadszedł koniec czasu — podjął Brender — kiedy przepływy był przez chwilę mniejszy niż wieczny; doszedł do punktu, który wystąpił kilka minut wcześniej.

— Byłem... tylko częściowo... pod ich... wpływem; Kalorn cały czas... Nawet gdyby im się to udało... upłyną lata, zanim... wynajdą inną maszynę... a jeden rok u nich to... miliardy waszych... Nie powiedziałem im... Odebrałem twoją myśl... ale nie... przekazałem im...

— Ale dlaczego? Dlaczego?

— Bo oni sprawili mi ból. Chcieli mnie zniszczyć. Bo... chciałem być... człowiekiem. Być... kimś!

Ciało rozpułnęło się. Spłynęło powoli w kałużę jakby szarej lawy. Lawa pofałdowała się, rozpadła na suche, kruche kawałki. Brender dotknął jednego. Rozsypał się w drobny pył. Brender objął wzrokiem ponurą pustynną kotlinę i powiedział na głos, z politowaniem:

— Biedny Frankenstein!

Potem odwrócił się i wzniósł w górę, lecąc w kierunku odległego statku kosmicznego.



# Nie tylko umarli...

## *Not Only Dead Men*

### OPUSZCZONY WRAK STATKU WIELORYBNICZEGO ZNALEZIONY U WYBRZEŻY PÓŁNOCNEJ ALASKI

**29 czerwca 1942 roku.** Zmiażdżony do ostatniej wręgi, bez śladu załogi, statek wielorybiczny *Albatros* został dziś odnaleziony w Cieśninie Beringa przez amerykański okręt patrolowy. Dowództwo marynarki wojennej zaintrygowane jest meldunkiem, że pokład i obie burty szkunera zostały zgruchotane jakby przez jakieś potężne uderzenia. Uszkodzeń tych nie spowodowały „bomby, torpedy, ogień artyleryjski ani żadne inne ataki nieprzyjaciela”, jak podaje oficjalny raport. Piece w kuchni były jeszcze ciepłe. W rejonie tym od trzech tygodni nie było żadnego sztormu; tak więc zagadka pozostaje nierozwikłana.

*Albatros* wypłynął z amerykańskiego portu na Zachodnim Wybrzeżu na początku marca, pod dowództwem kapitana Wardella i z załogą składającą się z osiemnastu ludzi. Wszyscy zaginęli bez śladu.

\* \* \*

Wardell, kapitan statku wielorybicznego *Albatros*, był tak pogrążony w ponurych rozmyślaniach po trzech długich miesiącach bez śladu wieloryba, że dopiero gdy szkuner zaczął się już wślizgiwać w cieśninę, dostrzegł leżącą blisko brzegu, na osłoniętych wodach tej północnej zatoki na Alasce, łódź podwodną.

Na moment poczuł pustkę w głowie, ale zaraz odzyskał przytomność umysłu; refleks powrócił. W maszynowni telegraf pokładowy pokazał: „cała wstecz”. Plan Wardella był zarówno klarowny, jak i prosty.

Już otwierał usta, by zawołać sternika, ale zmienił zamiar: sam ujął ster i kiedy statek zaczął się cofać, poprowadził go zręcznie poza linię skał podwodnych i cypel drzew. Kotwica opadła z grzechotem, plusk wody odbił się obcym echem w ciszy bezwietrznego poranka.

I znów zaległa cisza; tylko w oddali słychać było szum północnego morza; niespokojne fale uderzały łagodnie o burty *Albatrosa*, przelewając się ponuro nad skałami, za którymi stał szkuner; od czasu do czasu rozlegał się ryk, gdy potężna fala rozbijała się ze spienioną furią o sterczący występ skalny.

Wardell, znów na mostku kapitańskim, stał teraz bez ruchu, chłonąc zmysłami wrażenia i — nasłuchując.

Ale nie zaniepokoił go żaden obcy dźwięk: nie słychać było huku silników Diesla ani najśłabszego choćby szumu potężnych motorów elektrycznych. Odechnął z ulgą. Spostrzegł, że pierwszy mat, Preedy, cicho stanął za jego plecami.

— Nie sądzę, żeby nas zauważyli, kapitanie — powiedział Preedy ściszym głosem. — Nie widać żywej duszy. A poza tym, z oczywistych względów, ten statek nie jest zdolny do wyjścia na morze.

— Dlaczego?

— Nie zauważył pan, kapitanie, że nie ma wieżyczki obserwacyjnej? Widocznie została odstrzelona.

\* \* \*

Wardell stał bez słowa, wstrząśnięty faktem, że nie zauważył tego. Ledwie uchwytny podziw dla samego siebie, który zaczął już odczuwać w głębi duszy za pewność, z jaką prowadził statek, odrobinę przygasł.

Inna myśl jeszcze przyszła mu do głowy; nachmurzył się tedy z ponurą niechęcią, że będzie musiał ujawnić kolejne niedostatki swej spostrzegawczości. Zaczął jednak, choć z oporami:

— Zabawne, z jaką łatwością umysł akceptuje istnienie rzeczy, których nie ma! — Przez chwilę się wahał. — Jeśli chodzi o mnie, to nawet nie zauważyłem, czy ich działo pokładowe jest, czy nie jest zniszczone.

Tym razem mat milczał. Wardell rzucił mu szybkie spojrzenie, a widząc jego wydłużoną minę zrozumiał, że teraz Preedy przeżywa szok i irytację. Powiedział więc szybko:

— Proszę zwołać ludzi na pokład!

\* \* \*

Świadomy znów swej przewagi, Wardell zszedł na pokład. Z wielką uwagą zaczął oglądać armatkę okrętową stojącą obok działka harpunniczego. Słyszał gromadzących się za jego plecami mężczyzn, ale odwrócił się dopiero na odgłos niecierpliwego szurania nogami.

Zlustrował po kolei twarze: grubo ciosane, twarde, wygarbowane wiatrem. Piętnastu mężczyzn i chłopiec, nie licząc mechanika i jego pomocnika. Wszyscy oni jakby ożyli, wyrwani z ponurego nastroju panującego na statku od trzech miesięcy.

W pamięci Wardella stanęły znów długie lata spędzone na morzu z niektórymi z tych ludzi. Skinął im głową, a jego ciężka twarz pociemniała z zadowolenia.

— Chłopcy! — zaczął — wygląda na to, że natrafiliśmy na uszkodzoną japońską łódź podwodną, która zapędziła się aż tutaj. Wiecie, co macie robić. Przed odjazdem marynarka wojenna wyposażyła nasz statek w trzycalowe działo i cztery karabiny maszynowe, więc...

Przerwał, spoglądając z dezaprobatą na jednego ze starszych marynarzy.

— O co chodzi, Kenniston?

— Za pozwoleniem, kapitanie, ale to wcale nie jest łódź podwodna. Służyłem w marynarce podczas tamtej wojny i na pierwszy rzut oka mogę takie coś poznać, obojętne czy wieżyczka obserwacyjna jest odstrzelona, czy nie. Burty tamtej jednostki są podzielone jakby na łuski. To wcale nie łódź podwodna!

\* \* \*

Z miejsca, do którego wyprawił się z małą grupką ludzi, poza linią skał, Wardell oglądał obcy statek. Długa, niespodziewanie ciężka przeprawa do tego dogodnego punktu obserwacyjnego zajęła mu ponad godzinę. A teraz, gdy się już tu znaleźli... co to za statek?

Przez lornetkę ten — statek? — okazał się metalowym kadłubem o opływowych liniach i kształcie cygara, leżącym nieruchomo wśród drobnych fal skrzających się na powierzchni zatoki. Poza tym ani śladu życia. A jednak...

Wardell aż zeszywniał, uświadamiając sobie naraz jasną odpowiedzialność za wszystkich ludzi: tu z nim sześciu, dźwigających dwa bezcenne karabiny maszynowe, i pozostałych na szkunerze.

Obcość tego statku — jego łuskowata metalowa powłoka, olbrzymia długość — zmroziły go przejmującym chłodem. Tuż za nim, w ciszy tego niegościnnego, skalistego krajobrazu, rozległ się czyjś głos:

— Gdybyśmy chociaż mieli nadajnik radiowy! Bombowiec zaraz by się rozprawił z takim celem! Ja...

Wardell prawie nie zwrócił na to uwagi, że głos mężczyzny dziwnie ucichł. Pograżony był w intensywne rozmyślenia: dwa karabiny maszynowe przeciwko temu. Lub nawet ostatecznie (uznanie przewagi tamtego, choć tylko w duchu, przyszło mu z trudem) cztery karabiny i trzycalówka. Broń z *Albatrosa* też należało uwzględnić, mimo że szkuner wydawał się teraz niebezpiecznie daleko.

Jego myśli zwolniły bieg. Wzdrygnął się dostrzegłszy na płaskim mrocznym pokładzie jakieś poruszenie. Olbrzymi metalowy właz obrócił się, potem raptownie otworzył, jakby na sprężynach. W luku pojawiła się jakaś postać.

Postać... p o t w o r a. Monstrum stanęło na rogowatych, połyskliwych tylnych łapach, a jego łuski mieniły się w słońcu późnego poranka. Z czterech łap jedna ścisnęła płaską, krystaliczną konstrukcję, druga trzymała niewielki obły przedmiot — bladopurpurowy w oślepiających promieniach słonecznych. Dwie pozostałe łapy były puste.

Sylwetka potwora rysowała się na tle przejrzystego, niebieskozielonego morza; stał, hardo zadzierając głowę osadzoną na krótkiej szyi, z taką butą i pewnością siebie, że Wardell poczuł swędzenie karku.

— Na litość Boską! — wyszeptał ktoś chrapliwie — pošlijcie mu parę kulek!

Dźwięk szybciej niż wymowa słów dotarł do tej części mózgu Wardella, w której znajdują się ośrodki sterujące ruchami mięśni.

— Ognia! — wychrypiał. — Frost! Withers!

\* \* \*

*Ta-ta-ta-ta!* Zaterkotały dwa karabiny maszynowe, budząc tysiące ech w dziewiczej ciszy zatoki.

Odwrócony tyłem do nich stwór, który zaczął się właśnie żwawo posuwać po zakrzywionej płaszczyźnie pokładu ukazując przy każdym kroku pletwiaste stopy, odwrócił się i spojrział w ich stronę.

Jego zielone oczy, płonące jak u kota nocą, zdawały się mierzyć prosto w twarz Wardella. Kapitan poczuł, jak tężeją mu mięśnie; w pierwszym odruchu chciał się szarpnąć do tyłu, ukryć poza występem skalnym, zniknąć z pola widzenia bestii, ale nie mógł zrobić ruchu, jeśli chciał zachować życie.

To paraliżujące uczucie zawładnęło widać każdym z obecnych tam mężczyzn, bo karabiny maszynowe umilkły i zapanowała nienaturalna cisza.

Żółtozielony gad poruszył się pierwszy. Zaczął biec z powrotem do luku. Zatrzymał się u wlotu włazu i zdawało się, że zamierza tam skoczyć głową w dół, jakby chciał się ukryć za wszelką cenę.

Nie skoczył jednak; zamiast tego podał komuś w środku krystaliczny przedmiot, który trzymał w ręku, a potem się wyprostował.

Dał się słyszeć szcęk zamykanej klapy włazu... i gad pozostał na pokładzie, z odciętą drogą ucieczki.

Wszystko zastygło teraz w bezruchu na ułamek sekundy, niczym żywy obraz: znieruchomiałe postaci na tle spokojnego morza i ciemnego, niemal nagiego skalistego lądu. Potwór stał nieruchomo, z zadartą głową i płonącymi oczyma utkwionymi w mężczyzn za krawędzią skalną.

Wardell nie przypuszczał, że potwór gotuje się do skoku; tymczasem gad wyprostował się nagle, podskoczył do góry i na bok, jak żaba czy nurek odbijający się od dna. Woda i bestia zetknęły się z cichym pluskiem. Kiedy opadł lśniący welon rozprysniętej wody, potwora nie było już widać.

Czekali.

— Co woda zabrała — odezwał się w końcu Wardell lekko drżącym głosem — woda odda. Bóg jeden wie, co to takiego, ale na wszelki wypadek trzymajcie karabiny w pogotowiu.

Minuta wlokła się za minutą. Cień bryzy, co ledwie muskała powierzchnię zatoki, rozplynął się zupełnie, a woda zastygła w płaską szklistą taflę, która się załamywała dopiero w oddali, w pobliżu wąskiego ujścia na bardziej wzburzone morze.

Po upływie dziesięciu minut kapitan wiercił się już niespokojnie w niewygodnej pozycji. Po dwudziestu minutach wstał.

— Wracamy na statek — zdecydował nerwowo. — Ten potwór jest dla nas za mocny.

W kilka minut później posuwali się chyłkiem wzdłuż brzegu, kiedy naraz podniosła się wrzawa: krzyki w oddali, potem długa, ostra seria z karabinu maszynowego — i znowu cisza.

Odgłosy te dobiegły od strony szkunera zakotwiczonego poza zasięgiem ich wzroku: za rzędem drzew, o pół mili w poprzek zatoki.

Wardell, biegnąc, pomrukiwał z irytacją. Już wystarczająco trudno poruszał się przedtem, a teraz była to prawdziwa udręka: podrygiwał na nierównościach i potykał się. Zaraz w pierwszych minutach dwukrotnie runął jak długi.

Za drugim razem podniósł się bardzo powoli i czekał na swych zdyszanych towarzyszy, póki się z nim nie zrównali. Dalej już nie biegli, ponieważ Wardell uświadomił sobie z przenikliwą wyrazistością, że cokolwiek stało się na statku, już się nie odstanie.

Ostrożnie prowadził swych ludzi przez usiany skałami brzeg, pełen dzikich rozpadlin. Szedł naprzód, wściekły na siebie, że opuścił *Albatrosa*; zwłaszcza za ten swój pomysł, żeby tak bezmyślnie wystawić kruchy drewniany statek na pastwę uzbrojonej łodzi podwodnej.

Nawet jeśli — jak tutaj — nie jest to łódź podwodna.

Wardell podświadomie wzdragał się przed głębszym zastanowieniem, co to może być.

Przez chwilę próbował zamysłować sobie ten obraz: siebie samego zmagającego się z pustynnym, kamienistym wybrzeżem, kierującego się w stronę skalistej zatoki, by ujrzeć, co ten... jaszczur zrobił z jego statkiem. Ale nie mógł. Ta wizja nie dała się wywołać w wyobraźni. Po prostu nie pasowała nawet w najmniejszym stopniu do całości: do tych wszystkich spokojnych dni i wieczorów w jego życiu,

jakie spędził na mostkach kapitańskich różnych statków, po prostu siedząc sobie lub paląc fajkę, obojętnie kontemplując morze.

Jeszcze bardziej mglisty i zarazem mniej pasujący do teraźniejszości wydawał mu się świat cywilizacji: gry w pokera w zaciszu klubowego gabinetu, głośne śmiechy, kobiety o zuchwałych spojrzeniach, wypełniające te krótkie okresy w jego życiu, kiedy przebywał w porcie — całe to osobliwe, bezcelowe życie, które tak skwapliwie porzucał, gdy nadchodziła znów pora wyjścia w morze.

Wardell otrząsnął się ze smętnego, próżnego rozpamiętywania przeszłości.

— Frost, weźcie ze sobą Blakemana i McCanna — rozkazał — i przynieście tu jedną beczkę z wodą. Danny na pewno już je wszystkie napełnił do tej pory. Nie, zatrzymajcie karabin! Zostańcie przy bakach, póki nie przyślę wam ludzi do pomocy. Załadujemy wodę i zabieramy się stąd.

Po tej konkretnej decyzji Wardellowi poprawiło się samopoczucie. Udadzą się na południe, do bazy marynarki, a potem już inni, lepiej wyposażeni i wyszkoleni, zajmą się obcym statkiem.

Żeby tylko *Albatros* był na miejscu, nienaruszony. Właściwie nie zdawał sobie dokładnie sprawy, czego się obawia. Odczuł niewypowiedzianą ulgę, kiedy znalazł się na szczycie ostatniego już, najbardziej stromego wzgórza i ujrzał szkuner. Przez lornetkę dostrzegł ludzkie postaci na pokładzie. Ciężar spadł mu z piersi, gdy stwierdził, że wszystko jest w porządku, chyba że zdarzył się jakiś pojedynczy wypadek.

Coś tu się jednak działo. Za chwilę wszystkiego się dowie...

Przez pewien czas wydawać się mogło, że Wardell nie dowie się jednak niczego. Gdy wspiął się na pokład, bardziej znużony, niż sądził, cała załoga stłoczyła się wokół niego. Wrzawa, w której utonęły pojedyncze gniewne głosy, gorączkowe podniecenie i wzburzenie każdego z nich tylko utrudniały sprawę.

Do uszu kapitana dotarły słowa o stworze podobnym do żaby, wielkości człowieka, który dostał się na pokład. I jeszcze coś o maszynowni i — już zupełnie niezrozumiałe — o mechaniku i jego pomocniku, przebudzonych...

Głos Wardella przebił się przez ten harmider, kładąc mu kres. Kapitan zwrócił się do Preedy'ego:

— Są jakieś uszkodzenia? — spytał lakonicznie.

— Nie ma żadnych — odpowiedział oficer — poza tym, że Rutheford i Cressy wciąż się nie mogą pozbierać.

Wzmianka o mechaniku i jego pomocniku była niezrozumiała, kapitan wszakże zignorował ją.

— Preedy, wyślijcie sześciu ludzi na brzeg, by pomogli przynieść wodę na statek! Potem proszę przyjść na mostek.

\* \* \*

W kilka minut później Preedy zdawał Wardellowi pełne sprawozdanie z tego, co się wydarzyło. Na odgłos wystrzałów karabinowych z wybrzeża wszyscy na statku stłoczyli się przy lewej burcie.

Mokre ślady pozostawione przez potwora świadczyły, że skorzystał on z tej okazji, by wdrapać się na pokład od prawej burty. Najpierw ujrano go stojącego przy wylocie przedniego luku, obserwującego ze spokojem pokład dziobowy, gdzie stoją działa.

Ścigany spojrzeniem dziewięciu par oczu potwór szedł śmiało, najwyraźniej w stronę dział, raptem jednak zawrócił i z rozbiegu skoczył za burtę. Wtedy dano serię z karabinów maszynowych.

— Nie sądzę, żebyśmy go trafili — przyznał Preedy.

Wardell zastanawiał się nad czymś.

— Nie jestem pewien, czy jego w ogóle mogą zranić kule. On... — powstrzymał się. — Co ja, u diabła, mówię?! Przecież zawsze uciekał, kiedy do niego strzelaliśmy. Co dalej?

— Przeszukaliśmy cały statek i natknęliśmy się na Rutheforda i Creesy'ego. Byli kompletnie nieprzytomni, a po ocuceniu niczego nie pamiętali. Mechanik mówił, że nie ma żadnego uszkodzenia. No i to by było wszystko.

Wystarczy, pomyślał Wardell, lecz nic nie powiedział. Stał przez chwilę w miejscu, wyobrażając sobie żółtozielonego jaszczura wdrapującego się na pokład szkunera. Wzdrygnął się. Czego ten piekielny stwór tu szukał?

Słońce stało wysoko na południowej stronie nieba, kiedy ostatnia beczka wody znalazła się na pokładzie i statek ruszył.

Stojąc na mostku kapitańskim Wardell wydał westchnienie ulgi, kiedy szkuner przemknął z dala od białogrzywych skał podwodnych i skierował się na głęboką wodę. Kapitan przesunął wskazówkę telegrafu na „cała naprzód”, kiedy naraz głucho dudnienie silników Diesla przeszło w odgłos podobny do kaszlu i... zamilkło.

*Albatros* płynął jeszcze chwilę siłą rozpędu, kołyszając się na bólu. W półmroku maszynowni kapitan dostrzegł Rutheforda starającego się mozolnie podpalić zapalką małą kałużę ropy na podłodze. Była to czynność tak absurdalna, że Wardell stanął oniemiały, wybałuszając oczy.

Ropa nie chciała się palić! Cztery kolejne zapalki dołączyły do już wypalonych, które leżały na podłodze obok złocistej kałuży.

— O rany boskie! — wykrzyknął Wardell. — Ta bestia wrzuciła nam coś do ropy...

Nie mógł mówić dalej.

Odpowiedź nie przyszła natychmiast. Wreszcie mechanik, nie podnosząc wzroku, odezwał się stłumionym głosem:

— Właśnie się nad tym zastanawiałem, kapitanie. Czego ta banda jaszczurów od nas chce?

Wardell wrócił na pokład pozostawiając to pytanie bez odpowiedzi. Zdawał sobie sprawę z uczucia głodu. Ale nie robił, sobie złudzeń, że to ssanie w żołądku zostało wywołane jedynie brakiem jedzenia.

\* \* \*

Wardell jadł machinalnie. Potem wyszedł na pokład, odrętwiały i senny. Wejście na mostek kapitański pochłonęło całą jego energię i siłę woli. Przystanął na moment i popatrzył na cieśninę wiodącą do zatoki.

Dokonał odkrycia: podczas tych kilku minut, gdy silniki Diesla pracowały jeszcze na dobrym paliwie, *Albatros* przybliżył się tak, że od strony rufy widać było teraz w oddali ciemny kadłub.

Wpatrywał się sennym wzrokiem w nieruchomy obcy statek; potem przesunął lornetką wzdłuż linii brzegu. Wreszcie przeniósł wzrok na pokład szkunera. I w tym momencie omal nie wyskoczył ze skóry.

Na pokładzie stał potwór, cicho pochylony nad działkiem harpunnicznym. Jego łuskowate ciało lśniło niby wilgotna skóra wielkiej jaszczurki. U jego stóp woda utworzyła małe ciemne kałuże, spływając aż do miejsca, gdzie leżał bez oznak życia, twarzą w dół, harpunnik Art Zote.

Gdyby intruz był człowiekiem, kapitan z pewnością potrafiłby zapanować nad paralizem mięśni i sięgnąć po wiszący u pasa rewolwer. Albo gdyby przynajmniej bestia była tak daleko jak za pierwszym razem.

Ale Wardell stał o niecałe dziesięć metrów od potwora — lśniącego, monstrualnego gada, o czterech przednich łapach i dwóch tylnych, opancerzonych łuskami. A ponadto gdzieś w zakamarkach mózgu kapitana kryła się świadomość, że pociski karabinowe nie zraniły gada...

Lekceważąc sobie ewentualność, że jest obserwowany, potwór szarpał harpun, który sterczał u wylotu armatki. Dał temu spokój już po chwili i obszedł dookoła zamek działka. Zaczął w nim grzebać. Szkarłatny przedmiot, który trzymał, rozbłyскиwał spazmatycznym światłem — gdy naraz fala śmiechów i głosów strzaskała popołudniową ciszę.

W chwilę potem drzwi kuchenne otworzyły się gwałtownie i kilkunastu mężczyzn wypadło na pokład. Solidne drewniane drzwi do forkasztelu zasłaniały bestię.

Prostacki śmiech marynarzy odbił się echem aż pod niebiosa nad tym odwiecznie zimnym morzem. Jakby z ogromnej oddali dolatywały Wardella ich wulgarne dowcipy i jeszcze ordynarniejsze przekleństwa. Zupełnie jak dzieci, pomysłał. Świadomość, że te dziwaczne istoty uwięziły ich tutaj, na pozbawionym



paliwa statku, widocznie nie w pełni do nich dotarła — inaczej nie zachowywaliby się jak bezmyślni durnie. . .

Wardell zdziwił się teraz, że dał się bestii, choć na chwilę, tak zahipnotyzować. Z okrzykiem schwycił rewolwer i wymierzył w odsłonięty grzbiet jaszczura, właśnie pochylającego się nad mocną linką, którą harpun przymocowany był do statku.

Dziwna rzecz: po strzale zapanowała na chwilę całkowita cisza. Gad wyprostował się i odwrócił, na wpół z irytacją. I wtedy. . .

Ludzie krzyczeli. Karabin maszynowy na bocianim gnieździe zaterkotał krótkimi podnieconymi salwami. Pociski chybiały i tylko spieniły wodę za rufą statku.

Wardell był wściekły na tego cholernego durnia tam, na górze. Zadarł głowę i z furją ryknął nań, by celował, jak należy. A kiedy znów spojrzął na pokład, potwora już tam nie było.

Odgłos cichego plusku przeniknął tuzin innych dźwięków; towarzyszyło mu zamieszanie na nadburciu, gdzie cała załoga wypatrywała czegoś w wodzie. Wardellowi zdawało się, że ponad ich głowami spostrzegł żółtozielony błysk w głębinie, ale barwy te zbyt szybko i zbyt łatwo stopiły się z mieniającą się odcieniami błękitu, zieleni i szarości powierzchnią północnego morza.

Kapitan stał bez ruchu. Czuł chłód w okolicy serca — przejmujące doznanie nienormalności sytuacji. Ręka z pistoletem nie drgnęła mu, nie mógł więc chybić. A jednak jak dotąd nic się nie stało.

Obezwładniające napięcie zelżało w nim nieco, gdy ujrzał wstającego na chwiejnych nogach z pokładu Arta Zote, żywego — a jednak żywego! Naraz kapitan poczuł, że drży w nim każdy nerw. Pocziwy stary Art! Trzeba czegoś więcej niż ten przekłety jaszczur, by zabić takiego człowieka!

— Art! — ryknął Wardell w gorączkowym podnieceniu — Art, obróćcie trzycałówkę na tę łódź. Zatopcie ten cholerny wrak! Damy nauczkę tym. . .

Pierwszy pocisk upadł za blisko. Rozprysnął się w odległości stu metrów od metalowego kadłuba. Drugi — za daleko: eksplodował daremnie, budząc jedynie do krótkiego, lecz gwałtownego życia garb szarawej skały na brzegu.

Trzeci grzmotnął prosto w cel. A za nim dziesięć kolejnych. Była to piękna seria, ale zaraz po niej kapitan zawołał z niepokojem:

— Lepiej przestańcie! Kule nie czynią mu wcale szkody — nie widać żadnych dziur. Lepiej oszczędzajmy amunicję na ostrzał z bliska, jeśli do tego dojdzie. Poza tym. . .

Zamilkł, nie kwapiąc się z wypowiedaniem na głos myśli, która właśnie przyszła mu do głowy, że jak dotąd te tajemnicze stworzenia nie wyrządziły nikomu żadnej krzywdy i że to wyłącznie załoga *Albatrosa* prowadziła ostrzał. Co prawda wydarzył się ten incydent z olejem napędowym, a także ten drugi, niedawno — gdy potwór przybył na ich statek wyłącznie po to, by zbadać działko harpunnicze. Ale poza tym. . .

Zbici z tropu, po chwili omawiali ten problem z Preedym podczas mglistego popołudnia i chłodnego wieczoru, podejmując ostatecznie decyzję zamknięcia od wewnątrz na kłódkę wszystkich luków i postawienia na bocianim gnieździe człowieka z karabinem.

\* \* \*

Wardella zbudziły podniecone okrzyki. Słońce wychodziło już ponad linię horyzontu, kiedy na pół ubrany wypadł na pokład. Zauważył, że kłódka na drzwiach została zgrabnie przecięta.

W ponurym nastroju dołączył do małej grupki mężczyzn zebranych wokół dziełek. Art Zote zrzędliwym tonem rozprawiał o szkodach:

— Niech pan spojrzy, kapitanie, te cholerne dranie odcięły nam linę od harpuna. I zostawiły nam za to trochę nędznego drutu miedzianego czy coś. Niech pan spojrzy na ten szmelc.

Wardell machinalnie podniósł rozwinięty drut. Harpunnik nadal bombardował go swym głosem:

— I tak jest ze wszystkim. Mamy dwa inne komplety harpunów, a każdy z nich jest teraz powiązany jak głowica masztu. Wywiercili dziury w pokładzie, przeciągnęli przez nie druty i przywiązali je do stępki. Nie byłoby najgorzej, ale ten cienki drucik... Cholera!

— Podajcie mi cęgi — uciszył go kapitan. — Trzeba to uprzętać

Ku swemu zdumieniu nie mógł przeciąć drutu. Wyteżył wszystkie siły. Drut połyskiwał szkliście, co mogło być wywołane refleksem świetlnym. Ktoś za jego plecami powiedział nieswoim głosem:

— Chyba zrobiliśmy niezły interes. Tylko na co nas oni szykują? Na jakiego to wieloryba mamy zapolować?

Wardell zastygł w bezruchu, zaskoczony dziwacznym sformułowanym pytaniem:... *na co nas szykują?*

Wyprostował się, na zimno powziąwszy decyzję.

— Chłopcy — powiedział donośnym głosem — zjedzcie teraz śniadanie. Zbadamy tę sprawę do końca, choćby nawet przyszło nam zginąć!

\* \* \*

Zaskrzypiały dulki, woda pluskała łagodnie o burzę łodzi. Wardellowi z każdą chwilą coraz mniej się to wszystko podobało.

W pewnym momencie uderzyło go, że łódź nie podpływa do statku prosto, ale pod pewnym kątem, i że w ten sposób może widzieć z boku urządzenie, które już wcześniej zauważył na czole metalowego pokładu.

Podniósł do oczu lornetkę — a potem zastygł w tej pozie, zbyt zaskoczony, by choćby krzyknąć. Tak, to była broń — d z i a ł k o h a r p u n n i c z e.

Nie mogło być mowy o żadnej pomyłce. Nawet nie zmienili konstrukcji: ani długości harpuna, ani... Zaraz, a lina?

Dostrzegł przy działku nieduży bęben — jak u zabawki; miedziany błysk odpowiedział mu resztę.

Dali nam linę tak mocną jak ich własna, pomyślał. Taką, która utrzyma... wszystko. Znow przejął go chłód. Przypomniały mu się słowa jednego z załogi: *Na jakiego wieloryba...*

— Bliżej! — zawołał ochryple.

Gdzieś w głębi duszy miał świadomość, że powoduje nim czysta brawura. Ostrożnie, mówił sobie, w piekle jest już dosyć durniów. Ryzykanctwo to...

— Bliżej! — ponaglił.

Z odległości piętnastu metrów widać już było wyraźnie długi, ciemny kadłub, częściowo zanurzony w wodzie. Nie dostrzegł na nim ani śladu draśnięcia, które by wskazywało, gdzie eksplodowały pociski z trzycalówki; nigdzie żadnego uszkodzenia.

Kapitan już otwierał usta, by przemówić, powziąwszy stanowczą decyzję wejścia na pokład pod osłoną ognia karabinu maszynowego — gdy rozległ się ogłuszający grzmot.

Niczym odgłos jakiegoś kataklizmu lub kanonada z olbrzymich dział strzelających jedno po drugim, ryk odbił się od skalistych wzgórz potężnym echem, które potoczyło się i znow wróciło ponad naturalną misą utworzoną przez prawie całkowicie zamkniętą ładem zatokę.

Długi, cygarowaty statek ruszył, coraz szybciej i szybciej. Zatoczył szerokie półkole; fala ognistych błysków wylewała się z rufy do wody. Potem, wyraźnie stroniąc od ich łodzi, skierował się do cieśniny prowadzącej na otwarte morze.

Znienacka tuż za nim rozprysnął się pocisk, potem drugi i trzeci. Wardell ujrzał buchającą płomieniem lufę trzycalówki na dalekim pokładzie *Albatrosa*. Bez wątpienia Art Zote i Preedy doszli do wniosku, że nadszedł krytyczny moment.

Obcy statek nie zważał jednak na to. Sunął przez cieśninę wzdłuż grzbietu podwodnych skał, a potem na głębie. Dudnił tak jeszcze o całą milę od szkunera, a potem jego ogłuszający ryk umilkł. Niebiosa pochłonęły ten przeciągły łoskot. Statek płynął jeszcze wzdłuż brzegu siłą rozpędu; wreszcie stanął.

I trwał tak — cichy, martwy jak przedtem, ciemny kształt, sterczący ponad niespokojną wodą. Art Zote miał na tyle rozsądku, by jeszcze gdy statek płynął, przerwać zbędną strzelaninę.

W ciszy słyhać było ciężkie oddechy ludzi przy wiosłach. Łódź chwiała się przy każdym pchnięciu i chybotąła, gdy ciągle wzburzone wody zatoki tworzyły wiry przy jej burtach.

Gdy znaleźli się już z powrotem na statku wielorybniczym, kapitan wezwał Preedy'ego do swej kabiny. Nalał dwa mocne drinki, wychylił swój jednym haustem i powiedział:

— Mój plan jest następujący: zaopatrzmy małą łódź w wodę i żywność, i wyślemy trzech ludzi po pomoc. To przecież jasne, że nie możemy już dłużej brać udziału w tej zabawie w chowanego, nie wiedząc nawet, o co tu chodzi. Myślę, że dotarcie do posterunku policji na cyplu nie powinno zająć trzem doświadczonym marynarzom więcej niż tydzień, a może nawet i mniej. Co o tym sądzicie?

Odpowiedź Preedy'ego utonęła w stukocie butów. Drzwi gwałtownie się otworzyły. Mężczyzna, który tak bezceremonialnie wtargnął do kabiny, pokazał dwa ciemne przedmioty i wrzasnął:

— Niech pan patrzy, kapitanie, co jedna z tych bestii wrzuciła nam na pokład: płaską metalową płytę i torbę czegoś-tam! Uciekła, zanim nawet ktoś ją zdążył zauważyć!

To właśnie płyta przyciągnęła uwagę Wardella, ponieważ wydawało się, że do niczego nie służy. Miała centymetr grubości, trzydzieści długości i dwadzieścia szerokości. Z jednej strony była srebrzystometaliczna, z drugiej — czarna.

I to było wszystko. Potem kapitan dostrzegł, że Preedy podniósł torbę i otworzył ją.

— Kapitanie, niech pan spojrzy — wykrzyknął mat — tu jest fotografia naszej maszynowni, ze strzałką wskazującą na zbiornik paliwa. I trochę szarego proszku. To chyba ma uzdatnić nasze paliwo!

Wardell opuścił metalową płytę sięgając po torbę, ale zatrzymał się w nagłym odruchu, jakby ogłuszony wyglądem czarnej strony płyty.

Obraz był... trójwymiarowy. Najpierw pojawiło się tło. Niezwykłe, ostre jak igiełki, intensywnie świecące punkciki wyglądały z aksamitnej, głębokiej czerni.

Gdy Wardell wpatrywał się weń, obraz się zmienił. Coś podpłynęło do górnej krawędzi, przybliżyło się i na tle czerni ukazało się jako mikroskopijne stworzenie.

Fotografia, mój Boże! pomyślał kapitan. Ruchoma fotografia!

Ale ta myśl zaraz się zmaciła. Fotografia c z e g o?

Stworzenie było mikroskopijne, niemniej jednak był to najstraszliwszy potwór, jakiego oczy Wardella kiedykolwiek oglądały: monstrualny, wielonogi, o długim ciele i długim pysku, przerażająca miniatura. Wprost karykaturalny wybryk natury, szalony wytwór chorej wyobraźni.

Wardell odskoczył gwałtownie, gdyż stworzenie nagle urosło. Jego sylwetka zajmowała teraz połowę tego fantastycznego ekranu, a wciąż miało się wrażenie, że jest to obraz oglądany z dużej odległości.

— Co to takiego? — usłyszał szept Preedy'ego tuż nad swym ramieniem.

Wardell milczał. Odpowiedź przyszła sama — z ekranu.

\* \* \*

Bój w Kosmosie rozpoczął się tak jak zwykle w przypadku diabła-Blala — niespodziewanie. Nastąpiła gwałtowna wymiana ognia; statek policyjny manewrował rozpaczliwie, podczas gdy jego ognista broń siała zniszczenie. Za późno.

Potwór ukazał się wysoko na przednim ekranie; cienki pomarańczowy promień wydobywał się z jego jajowatej głowy.

Komandor Ral Dorno aż jęknął ujrawszy, jak pomarańczowa poświata zatrzymuje biały ogień jednostki patrolowej — wystarczająco długo, by zniszczyć statek.

— Na Kosmos! — wykrzyknął — nie zniszczyliśmy w porę jego Sensorów! My nie. . .

Mały statek kosmiczny zatrzęsł się od dziobu po rufę. Światła zamrugały i zgasły, w komunikatorze słychać było jedynie obce szumy; potem i one ucichły. Silniki atomowe jękały się, przechodząc z potężnego bezgłośnego tętnienia w chrapliwy, pulsujący chrobot. Wreszcie stanęły.

Statek zaczął spadać.

Za plecami Dorna czyjś głos — Senny — wykrzyknął z ulgą:

— Jego Sensory się obracają! Trafiliśmy go! Też spada!

Dorno nic nie odpowiedział. Wysunąwszy cztery łuskowate ramiona wygramolił się przed bezużytecznego ekranu i z ponurą miną wyglądał przez najbliższy iluminator.

Ledwie mógł patrzeć w silnym blasku słońca tego systemu planetarnego; w końcu jednak dostrzegł długiego trzydziestometrowego, cygarowatego potwora. Przerażająca trzymetrowa paszcza otwierała się i zamykała jak stalowe szczęki koparki. Opancerzone łapy darły pazurami pustą przestrzeń; długie ciężkie cielsko wiło się w skurczach potężnych mięśni.

Dorno zdał sobie sprawę, że ktoś się przemyka za jego plecami. Nie odwracając się powiedział z napięciem w głosie:

— Zniszczyliśmy bez wątpienia jego Sensory. Ale on wciąż żyje! Ciśnienie atmosferyczne tej planety pod nami umożliwia mu opadanie na tyle powolne, by wstrząs przy zetknięciu z powierzchnią zaledwie go oszołomił. Spróbujemy użyć silników raketowych, by wylądować od niego jak najdalej — przynajmniej w odległości pięciuset negów. Będziemy potrzebowali co najmniej stu lanów na naprawę. . .

— Komandorze, co to takiego?

Szept był cichy, prawie jak tchnienie. Dorno rozpoznał głos nowicjuszek Carliss, jego żony w czasie tej wyprawy.

Wciąż nie mógł do tego przywyknąć, że jego żoną jest inna kobieta, nie Yaron. I teraz też, w tej krytycznej sytuacji, potrzebował nieco czasu, by sobie przy-

pomnieć, że jego towarzyszkę z wielu wspólnych podróży nie ma już przy nim. No cóż, Yarosan wykorzystała przywilej kobiety z patrolu.

„Wkrótce osiągnę wiek, w którym kobieta pragnie mieć dzieci”, powiedziała mu, „a zgodnie z prawem tylko jedno z nich może być twoje. Chcę, Ral, żebyś znalazł sobie jakąś miłą praktykantkę i poślubił ją na dwie wyprawy...”.

Dorno odwrócił się powoli, lekko poirytowany myślą, że wśród członków jego załogi może być jeszcze ktoś, kto nie wie natychmiast wszystkiego. Jego odpowiedź była lakoniczna:

— To diabeł-Blal, dzika bestia ze współczynnikiem inteligencji nie wyższym od dziesięciu, nawiedzająca niezbadane systemy planetarne, gdzie jeszcze takie stwory nie zostały wytępione. Jest wyjątkowo drapieżna; ma w mózgu tak zwany ośrodek sensorowy, który wyzwala kolosalną energię organiczną.

Podstawowym zadaniem tej energii jest umożliwienie Blalowi przenoszenia się z miejsca na miejsce. Niestety, kiedy ów stwór się porusza, każde znajdujące się w pobliżu urządzenie mechaniczne wykorzystujące energię submolekularną zostaje przesycone tą energią organiczną. Zneutralizowanie jej wymaga długiej i żmudnej pracy, ale jest to konieczne, by choć jedno urządzenie atomowe czy elektronowe znowu funkcjonowało.

Nasze automaty zdołały zniszczyć Sensory Blala tuż przed tym, nim on nas unieruchomił. Musimy teraz zniszczyć jego ciało, ale jest to niemożliwe, dopóki nie doprowadzimy do porządku naszej broni energetycznej. Wszystko jasne?

Stojąca za nim Sahfidka Carliss skinęła niepewnie głową, po czym zapytała:

— Przypuśćmy, że on żyje na tej planecie, tam, w dole? I że są tam jeszcze inne podobne do niego stwory? Co wtedy?

Dorno westchnął.

— Moja droga — powiedział — regulamin mówi, że wszyscy członkowie załogi powinni zapoznać się z danymi o każdym układzie planetarnym, do którego ich statek się zbliża, obok którego przelatuje czy...

— Ale przecież ujrzeliśmy to słońce zaledwie pół lana temu.

— Główny komputer podaje dane już od trzech lanów... ale nieważne. Planeta pod nami jest jedyną zamieszkaną w tym układzie. Jej lądy, których cały obszar wynosi jedną dwudziestą część całości lub nieco więcej, zostały skolonizowane przez ciepłokrwiste istoty ludzkie z Wodesk. Nazywana jest przez swych mieszkańców „Ziemią” i ma jeszcze przed sobą erę podróży kosmicznych.

Mogę ci podać trochę danych astrogeograficznych, a wśród nich te, że Blal nie poleciałby z własnej woli na tę planetę, ponieważ on nie znosi grawitacji o wartości ośmiu der i tlenu w atmosferze. Niestety, mimo tych fizycznych i chemicznych niedogodności może tam żyć, stanowiąc olbrzymie, śmiertelne zagrożenie.

Umysł Blala ukierunkowany jest wyłącznie na nienawiść. Zniszczyliśmy jego główne źródło energii organicznej, ale faktycznie cały jego system nerwowy jest rezerwuarem energii Sensorów. Polując może się on przemieszczać w Kosmo-

sie za śladem meteorytów, z prędkością wielu kilometrów na sekundę. Podążanie ich tropem umożliwia mu rozwinięta wiele wieków temu zdolność odszukiwania wszelkich ciał materialnych.

Z powodu bólu, jaki mu zadaliśmy, dostroił się do naszego statku już od pierwszej wymiany uderzeń energetycznych. Dlatego, gdy tylko wyląduje, zacznie nas szukać, bez względu na to, jak daleko będziemy. Musimy mieć pewność, że nas nie dosięgnie, póki nasz dezintegrator nie będzie gotowy. W przeciwnym razie...

— Przecież nie uszkodzi metalitowego statku kosmicznego!

— Oczywiście, że to zrobi. Jego zęby wysyłają cienkie wiązki energii, mogące rozłożyć każdy, nawet najwytrzymalszy metal. A gdy już upora się z nami — wyobraź sobie tylko te nieobliczalne zniszczenia na Ziemi, zanim nasz patrol wykryje, co się stało. Weźmy także pod uwagę, iż galaktyczni psychologowie uznają za absolutną katastrofę fakt, że jakaś planeta dowie się przedwcześnie o istnieniu potężnej, wyższej cywilizacji galaktycznej.

— Wiem! — Carliss przytaknęła żywo. — Instrukcja mówi, że jeśli jakiś mieszkaniec takiej planety ujrzy nas choćby przelotnie, musi zostać natychmiast zlikwidowany.

Dorno potwierdził.

— Tak więc naszym zadaniem — podsumował ponuro — jest wylądować dostatecznie daleko od tej bestii, aby się ochronić, zniszczyć ją, nim zdoła wyrządzić jakiejś szkody, i wreszcie upewnić się, że nie widziała nas żadna ludzka istota.

A teraz proponuję ci — zakończył — żebyś popatrzyła, jak Senna włącza nasze silniki rakietowe, byśmy mogli bezpiecznie wylądować w tej sytuacji awaryjnej. On...

Za drzwiami kabiny kontrolnej zamigotało światło gazowe. Sahfid, który wszedł, był jeszcze wyższy niż Dorno. Niósł kulę świecąca silnym mlecznym blaskiem.

— Przynoszę złe wieści — powiedział. — Przypomnij sobie: zużyliśmy cały nasz zapas paliwa rakietowego ścigając wyjętych spod prawa Kjevów i do tej pory nie mieliśmy okazji, by je uzupełnić. Musimy lądować, manewrując jedynie w przypadku najwyższej konieczności.

— C-co takiego?! — wykrzyknął Dorno, wymieniając przerażone spojrzenie ze swą towarzyszką.

Nawet już po wyjściu Senny komandor nie miał nic do powiedzenia; było oczywiste, że grozi im katastrofa.

Pracowali wszyscy — Dorno i Carliss, Senna i Degel, jego żona — z cichą, gorączkową pasją. Po czterech lanach wszystkie neutralizatory energii organicznej były gotowe. Nie pozostało im nic innego, jak tylko oczekiwać w ponurym nastroju, aż nastąpi normalizacja struktur elektronowych — co jak zwykle szło przeraźliwie powoli.

— Kilka mniejszych silników i bezużyteczna broń ręczna oraz narzędzia mechaniczne w warsztacie będą już działały, kiedy przybędzie Blal — powiedział Dorno. — Ale nic, co by się naprawdę nam przydało. Potrzeba nam czterech dni i czterech nocy według czasu tej planety na naprawę silników i dezintegratorów — więc sprawa jest dość beznadziejna.

Wydaje mi się, że można by chyba skonstruować jakąś broń odrzutową używając do napędu resztek naszego paliwa raketowego. Ale to mogłoby jedynie rozwścieczyć bestię. — Wzdrygnął się. — Obawiam się, że to bezcelowe. Według naszych ostatnich obserwacji potwór wyląduje około stu negów na północ od nas, a więc będzie tu jutro. My...

Rozległ się sygnał alarmu molekularnego. W chwilę potem obserwowali szkuner wpływający do zatoki, potem pośpiesznie się wycofujący. Nie mrugające, pozabawione powiek oczy Dorna śledziły w zamyśleniu statek wielorybiczny, póki nie zniknął z pola widzenia.

Komandor nie odezwał się od razu, lecz poświęcił jakiś czas na badanie automatycznie wykonanych zdjęć, całkowicie chemicznych i dlatego nie uszkodzonych w czasie katastrofy, która zniszczyła resztę statku. Wreszcie bez pośpiechu przedstawił swój plan:

— Nie mam całkowitej pewności, ale wydaje mi się, że los się do nas uśmiechnął. Powiększenia wykazały, że tamten statek ma dwa działa na pokładzie, a z jednego z nich wystaje jakiś haczykowany przedmiot. To mi nasuwa pewien pomysł: musimy, jeśli to będzie konieczne, użyć resztek naszego paliwa raketowego, by utrzymać się w pobliżu, do czasu, aż wejdem na pokład i zbadam te działa.

— Bądź ostrożny! — powiedziała Carliss z niepokojem.

— Mój przezroczysty pancierz — uspokoił ją Dorno — ochroni mnie przed wszystkimi niebezpieczeństwami poza może ciągłym ogniem artyleryjskim.

Ciepłe słońce grzało nad zatoką, przejmujący chłód wody był więc dla Dorna zupełnym zaskoczeniem. Jej lodowaty dotyk w skrzelach czuł aż nadto boleśnie. Już pobieżne oględziny działka harpunniczego z luku forkasztela przekonały go, że miał rację.

— To nadzwyczajna broń — powiedział swym towarzyszom po powrocie na statek patrolowy. — Trzeba jedynie silniejszego materiału wybuchowego, by trafić w Blalę, i oczywiście lepszego metalu w każdym elemencie konstrukcji. Wrócę tam po wymiary, a później — by zainstalować nowe urządzenie. Ale teraz nie będzie to już takie trudne, udało mi się zneutralizować ich paliwo.

Trzeba je będzie oczywiście uzdatnić — zakończył — we właściwym czasie. Muszą mieć możliwość manewru, gdy Blal przybędzie.

— A czy oni będą chcieli z nim walczyć? — zapytała Carliss.

Dorno uśmiechnął się niewesoło.

— Moja droga — powiedział — nie pozostawimy tego przypadkowi. Film skopograficzny opowie im całą, dość zatważającą historię. Co do reszty, to po



prostu będziemy trzymali ich statek między naszym i Białem. Bestia wyczuje energię życia na ich statku i na swój głupi sposób skojarzy ich z nami... Owszem, mogę zagwarantować, że będą walczyć.

— Biał mógłby nam nawet oszczędzić kłopotu późniejszego ich zabicia — odpowiedziała Carliss.

Dorno popatrzył na nią w zadumie:

— Ach, tak — powiedział — instrukcja. Zapewniam cię, że wykonamy ją co do joty.

Uśmiechnął się. — Pewnie któregoś dnia, Carliss, będziesz musiała przeczytać ją w całości. Ci wielu, którzy ją dla nas opracowali, zrobili to bardzo szczegółowo. Bardzo wszechstronnie.

\* \* \*

Wardellowi palce zbieleły na lornetce, gdy wpatrywał się w potężny wypukły grzbiet, który migał niewyraźnie o pół mili na pomoc, zbliżając się wprost do statku. Potwór płynął z potężną siłą, zostawiając za sobą jasną smugę na wodzie.

Z daleka, tylko częściowo widoczny, przypominał jedynie olbrzymiego wieloryba. Wardell chwycił się tej szalonej nadziei; lecz właśnie wtedy...

Bryznęła spieniona woda; złudzenie zostało strzaskane jak kamizelka kuloodporna przez pocisk armatni.

Na całym bożym świecie nie było bowiem wieloryba, który by wypluwał wodę tak potężną strugą! W umyśle kapitana zrodziła się krótkotrwała, ale sugestywna wizja trzymetrowych szczęk konwulsyjnie poruszających się pod wodą i rozbryzgujących wodę niczym miechy.

Na moment ogarnął go gniew na samego siebie, że mógł chociaż na ułamek sekundy dać się ponieść wyobraźni i uwierzyć, iż jest to wieloryb. Gniew zamarł, gdyż Wardella olśniła nagła myśl, że praca wyobraźni nie poszła na marne. Przypomniała mu, że przez wszystkie te lata spędzone na morzu szczęście sprzyjało zawsze odważnym.

Wyprostował się, bardzo powoli, bardzo ostrożnie. Zawołał opanowanym, dźwięcznym głosem:

— Chłopcy, wdepnęliśmy w to, czy nam się to podoba, czy nie. Z łatwością sobie poradzimy jako najlepsi w tym cholernym fachu!

Wszystkie uszkodzenia na *Albatrosie* powstały w ciągu dwóch pierwszych minut po tym, jak Art Zote wystrzelił harpun.

W odpowiedzi na ten potężny cios bezoki stwór, pochłaniając tony wody, stanął dęba; później nastąpił atak — młócenie opancerzonych tylnych łap, które jak oszalałe rozdeptywały wodę, podczas gdy szkuner cofał się zapamiętane.

Wreszcie udało im się uciec. Gramoląc się na chwiejnych nogach spod resztek mostku kapitańskiego Wardell dopiero teraz usłyszał huk silników jaszczurzego

statku i ujrzał długi harpun wbity w bok potwora — połyskujący miedzianą liną, cienką i naprężoną, prowadzącą do opancerzonego łuskami kadłuba.

Wystrzelono jeszcze cztery harpuny — po dwa z każdego statku — później zaś rozciągnięto między nimi potwora.

Przez pełną godzinę Art Zote zasypywał resztą pocisków cielsko, które wiło się w agonii z nieokiełznaną jednak dzikością.

A potem tkwili tam przez trzy długie dni i noce. Bestia, która nie chciała umrzeć, szarpała się i walczyła z bezsensowną, niewyczerpaną furją.

Nadszedł czwarty dzień, poranek. Z roztrzaskanego pokładu szkunera kapitan obserwował scenę rozgrywającą się na drugim statku. Dwa jaszczury montowały jakieś tajemnicze połyskujące urządzenie, które zaczęło świecić szarym, matowym blaskiem.

Prawie dotykalny obłok pary skłębił się nad bestią unoszącą się na morzu, a gdzie sięgnął — następowała... przemiana... stając się... nicością.

Na *Albatrosie* panowała martwa cisza. Załoga stała jak skamieniała, przyglądając się — w stanie ni to paraliżu, ni to fascynacji — jak stutonowy potwór oddaje swe składniki rozzdzierającej go transcendentalnej sile.

Upłynęło całe pół godziny, nim wreszcie to wielkie, potworne cielsko zostało całkowicie rozłożone...

Wycofano wówczas lśniący dezintegrator i przez jakiś czas panowała tylko... martwota. Delikatna mgiełka pojawiła się na horyzoncie od północy i przesunęła między obydwoma statkami. Wardell czekał wraz ze swymi ludźmi w napięciu i w... zadziwieniu.

— Zabierajmy się stąd — powiedział ktoś. — Nie dowierzam tym draniom, mimo że im pomogliśmy.

Wardell wzruszył bezradnie ramionami.

— Nie możemy nic zrobić. Torba środka chemicznego, który nam wrzucili na pokład razem z ruchomą fotografią, uzdatniła tylko jeden zbiornik paliwa, a i to na wpół opróżniony. Zużyliśmy już wszystko podczas manewrowania, oprócz paru galonów. My...

— Niech diabli wezmą tych łajdaków! — jęknął inny mężczyzna. — Nie podoba mi się ta ich tajemniczość. Jeśli potrzebowali naszej pomocy — to dlaczego nie przyszli i nie poprosili?

Wardell nie zdawał sobie nawet sprawy, do jakiego stopnia ma napięte nerwy. Słowa marynarza wywołały u niego nowy atak gniewu.

— No pewnie — zadrwił — już to sobie wyobrażam, jak rozwijamy przed nimi dywan na powitanie — salwą z naszej trzycalówki! A gdyby nawet nam powiedzieli, że chcą wziąć wymiary działka harpunniczego, by zbudować swoje, i żebyśmy im pozwolili umocować nasze tak, by utrzymało na raz dwadzieścia wielorybów, i byśmy byli tak łaskawi i zaczekali, aż przybędzie ten piekielny stwór... Na pewno byśmy zaczekali. Akurat!

Ale tacy frajerzy z nich nie byli. To było największe świństwo, jakie mi ktoś zrobił z zimną krwią — ale wytrwaliśmy, bo zostaliśmy do tego zmuszeni. I nie chodzi tu o żadne „proszę” czy „dziękuję”. Jedno mnie martwi: nigdy dotąd nie widzieliśmy podobnych istot ani nie słyszeliśmy o ich istnieniu. To by mogło świadczyć, że ich zdaniem, tylko umarli milczą, no, ale. . .

Głos mu zamarł, gdyż na jaszczurzym statku znów zapanowało poruszenie. Wznoszono jakieś inne urządzenie, mniejsze, bardziej matowe niż poprzednie, wyposażone w dziwne, podobne do działek projektory.

Wardell zeszywniał; potem jego ryk odbił się echem po pokładzie:

— To może być tylko przeciwko nam! Art, zostały ci jeszcze trzy naboje! Przygotuj się do strzału. . .

Podmuch srebrzyście lśniącego dymu przerwał mu w pół słowa, zasnuwając jego myśli, jego świadomość — momentalnie.

\* \* \*

Miękki, syczący głos Dorna rozlegał się w ciszy kabiny statku kosmicznego:

— Instrukcja ma chronić moralną ciągłość cywilizacji i strzec przed zbyt dosłowną interpretacją przepisów przez bezmyślnych czy bezlitosnych administratorów. To słuszne, że planety na niższym szczeblu rozwoju winny być chronione przed kontaktem z nami, do tego stopnia, że śmierć jest uzasadnionym środkiem wobec tych, którzy choćby na mgnienie oka zetknęli się z prawdą, ale. . .

Dorno uśmiechnął się. — Jeśli jakaś istotna pomoc została udzielona obywatelowi lub urzędnikowi Federacji, niezależnie od okoliczności moralną przesłanką cywilizowanego postępowania w takim przypadku jest zastosowanie innych środków, by utrzymać całą sprawę w tajemnicy.

Oczywiście, są precedensy — dodał cicho Dorno. — W związku z tym opracowałem nowy kurs dla statku. Wybierzemy się ku dalekiemu słońcu Wodesk, z którego cudownych zielonych planet nastąpiła pierwotna kolonizacja Ziemi.

Nie ma potrzeby trzymać naszych gości dłużej w stanie uśpienia. Gdy tylko ockną się po ustaniu działania srebrnego gazu, pozwólmy im. . . przeżywać podróż w Kosmosie.

# Odtwarzanie przeszłości

## *The Search*

Czuł pod sobą twarde łóżko szpitalne. Przez chwilę Drake'owi zdawało się, że to go właśnie dręczy. Ale kiedy zmienił pozycję na wygodniejszą, pojął, że przyczyną nie jest doznanie fizyczne. To coś tkwiło w jego umyśle — uczucie pustki w głowie od chwili, gdy podano mu datę.

Po dłuższym — jak mu się zdawało — czasie drzwi się otworzyły i stanęło w nich dwóch mężczyzn i pielęgniarka. Jeden z przybyłych powiedział wylewnie:

— No i jak się pan ma, Drake? To skandal znaleźć pana w takim stanie!

Mężczyzna był zażywny, typowy „porządny chłop”. Drake przyjął jego krzepki uścisk ręki. Przez chwilę leżał bez ruchu, po czym pozwolił sobie na niezręczne, lecz niezbędne pytanie:

— Przepraszam — powiedział sztywno — my się znamy?

— Jestem Bryson — odpowiedział mężczyzna — kierownik sprzedaży w Quik-Rite Company. Produkuje wieczne pióra, ołówki, atrament, papier do pisanja i kilkanaście innych podobnych artykułów, którymi handlują nawet sklepy spożywcze. Dwa tygodnie temu zaangażowałem pana jako akwizytora i wysłałem w drogę. Potem się dowiedziałem, że znaleziono pana nieprzytomnego w rowie, a szpital zawiadomił mnie, że jest pan tutaj. Miał pan przy sobie papiery — zakończył — z których wynikało, że pracuje pan u nas.

Drake kiwnął głową. Czuł się jednak zawiedziony. Wydawało mu się, że wystarczy, by ktoś wypełnił lukę w jego pamięci. Ale to było za mało. W końcu powiedział:

— Przypominam sobie tylko tyle, że postanowiłem się starać o pracę w pańskiej firmie. Komisja wojskowa odrzuciła mnie z jakiegoś dziwnego powodu. Widocznie coś się stało z moją pamięcią od tamtej chwili. . .

Urwał. Oczy mu się rozszerzyły już na samą myśl o tym.

— Widocznie miałem chwilowy zanik pamięci — powiedział powoli, doznając niemiłego uczucia.

Ujrzał, że lekarz dyżurny, który wszedł razem z Brysonem, przygląda mu się badawczo. Drake zdobył się na błądy uśmiech.

— Pewno już wszystko jest w porządku, panie doktorze. Ciekawi mnie tylko, co robiłem przez ostatnie dwa tygodnie. Leżę tutaj i wyteżam mózg. Coś tam tkwi na dnie, ale nie mogę sobie tego przypomnieć.

Lekarz uśmiechnął się spoza swych binokli.

— Ciesz się mnie, że znosi to pan tak dzielnie. Naprawdę nie ma się czym przejmować. Mogę pana zapewnić, że z naszych doświadczeń wynika, iż ofiary amnezji zwykle prowadziły przedtem umiarkowany, rozsądny tryb życia. Jedną z najczęściej występujących cech charakterystycznych jest to, że zmieniają swe zajęcia. Pan nawet tego nie zrobił.

Umilkł, a zażywny Bryson powiedział kordialnie:

— Mogę panu przypomnieć pierwszy tydzień. Kiedy przyjmowałem pana do pracy, dowiedziałem się, że jako mały chłopiec mieszkał pan w pewnej wsi na linii kolejowej Warwick-Kissling. Naturalnie, wyznaczyłem panu tę trasę. Dostaliśmy od pana zamówienia z pięciu miast na tym szlaku, ale nie dotarł pan do Kissling. Może to coś pomoże. . . Nie! — Bryson wzruszył ramionami. — No dobrze, nieważne. Jak tylko stanie pan na nogi, proszę wpaść do mnie. Jest pan porządnym człowiekiem, a takich spotyka się dziś rzadko.

— Chciałbym pracować na tej samej trasie, jeśli można — powiedział Drake.

Bryson kiwnął głową.

— Jeśli o to chodzi, to pozostało tylko dokończyć to, co pan ominął, a potem ruszyć dalej wzdłuż głównej magistrali. Oczywiście, że to pańska trasa. Pewnie chce się pan dowiedzieć, co się wydarzyło?

— O to mi właśnie chodzi — przyznał Drake. — Chcę odzyskać utraconą pamięć. — Zmusił się do uśmiechu. — A teraz. . . teraz dziękuję, że pan przyszedł.

— Nie ma za co. Do zobaczenia.

Bryson uściskał mu ciepło dłoń. Drake odprowadził go wzrokiem do drzwi.

W dwa dni później Drake wysiadł z pociągu transkontynentalnego na stacji Warwick i stał mrużąc oczy w jasnym słonecznym blasku wczesnego poranka. Doznał już pierwszego rozczarowania: do tej pory miał nadzieję, że widok osady rysującej się na tle linii wzgórz obudzi w nim wspomnienia.

Przypomniał sobie jedynie swe dzieciństwo, kiedy to wraz z rodzicami przejeżdżał przez Warwick w czasie rozmaitych podróży. Teraz stały tu nowe domy, także nowa stacja kolejowa, której nie było tu przed dwudziestu laty. W jego pamięci nie ożywały nawet najbardziej mgliste wspomnienia tego, co działo się z nim przed szesnastoma dniami.

Drake pokręcił głową, zdezorientowany. Przecież ktoś mnie tu zna, pomyślał. Ktoś musiał mnie widzieć. Rozmawiałem z właścicielami sklepów, podróżnymi, kolejarzami, hotelarzami. Zawsze byłem towarzyski, więc. . .

— Cześć, Drake! Jak się masz, stary — usłyszał wesoly głos za plecami. — Masz minę jak na pogrzebie.

Drake obrócił się i ujrzał młodego, dość szczupłego mężczyznę o ciemnych włosach i śniadej cerze, około trzydziestki. Miał zgarbioną sylwetkę wątłego człowieka uginającego się pod ciężarem zbyt wielu bagaży. Widocznie uderzyło go coś w oczach Drake'a, bo zaraz dodał pośpiesznie:

— Pamiętasz mnie, prawda? Bill Kellie! — Zaśmiał się swobodnie. — No, powiedz sam, miałem z tobą na pieńku, nie? Co zrobiłeś z tą dziewczyną, Selanie? Od czasu, gdy widzieliśmy się ostatnio, byłem jeszcze ze dwa razy w Piffer's Road, i nie spotkałem jej. Ona... —

Urwał i nagle jego spojrzenie stało się badawcze:

— Hej, nie pamiętasz mnie?

Dla Drake'a zdumiewający, a przynajmniej godny uwagi był fakt, że padła nazwa Piffer's Road. Czyż to możliwe, że przyszło mu do głowy odwiedzić dom na farmie, gdzie się urodził? Gdy już opadło z niego silne podniecenie, dostrzegł wyraz twarzy Kelliego, który świadczył, że pora na wyjaśnienia. Opowiedział więc wszystko, a zakończył słowami:

— Jak więc widzisz, mam kłopoty z pamięcią. Może ty, jeśli nie masz nic przeciwko temu, mógłbyś mi wyjaśnić, co się działo, kiedy byłem z tobą. Co to za dziewczyna, ta Selanie?

— Och, jasne, że tak — odparł Kellie. — Pewnie że mógłbym... — Urwał, marszcząc brwi. — Ale nie nabierasz mnie, co? — Machnięciem ręki zbył ewentualne zapewnienia Drake'a. — Dobrze, dobrze, wierzę ci. Mamy pół godziny do czasu przyjazdu podmiejskiego do Kissling. Amnezja, co? Słyszałem o czymś takim, ale... hej, chyba nie sądzisz, że ten stary mógł mieć coś wspólnego z... — zabębnił prawą pięścią w lewą dłoń. — Założę się, że o to chodzi.

— Jaki stary?! — wykrzyknął Drake, po czym opanował się i dodał już spokojnie: — Co to za historia?

Pociąg zwolnił. Poprzez smugi na szybie okiennej Drake widział falistą dolinę z kępami zielonych drzew i błyszczącą, wijącą się wstęgą wody. Potem zjawili się parę domów, kilka bocznych torów i wreszcie początek drewnianego peronu.

Wysoka, szczupła, piękna dziewczyna przeszła obok jego okna, niosąc w ręku koszyk. Za jego plecami odezwał się komiwojażer, który wsiadł na ostatniej stacji i z którym Drake rozmawiał:

— O, jest Selanie. Ciekaw jestem, co ma dziś do sprzedania.

Drake odchylił się na swym siedzeniu, przeświadczony, że zobaczył już w Piffer's Road wszystko, co było godne uwagi. Dziwne, że nie odczuwał żadnego zainteresowania. Przecież urodził się tutaj, w tej miejscowości, o trzy mile od szosy.

— Selanie! — Drake dopiero teraz zareagował na to, co usłyszał. — Dziwaczne imię. Mówiłeś, że ona coś sprzedaje?

— Coś sprzedaje! — wykrzyknął impulsywnie Kellie.

Musiał zdać sobie sprawę z gwałtowności swych słów, bo głęboko, głośno zaczerpnął powietrza. Jego niebieskie oczy patrzyły surowo na Drake'a. Chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał; wreszcie usiadł, uśmiechając się zagadkowo. Po chwili się odezwał:

— Naprawdę muszę cię przeprosić. Widzę teraz, że przez cały czas naszej rozmowy nie dopuściłem cię do głosu.

Drake uśmiechnął się z uprzejmą wyrozumiałością.

— Och, to było bardzo zajmujące.

— Chciałem powiedzieć — obstawał przy swoim Kellie — że dopiero teraz dotarło do mnie, co mi mówiłeś — że między innymi sprzedajesz wieczne pióra.

Drake wzruszył ramionami. Zastanawiał się, czy znać po nim zakłopotanie. Patrzył, jak Kellie wyciąga wieczne pióro i wręcza mu je ze słowami:

— Czy widzisz w tym coś niezwykłego?

Pióro było długie, cienkie, zrobione z ciemnego materiału, wyglądającego na kosztowny. Drake powoli odkręcał zakrętkę — w jego głowie nagle zrodziło się podejrzenie, że czeka go jeszcze jeden z tych bezsensownych sporów na temat zalet piór, jakie sprzedaje. Powiedział więc szybko:

— Mówiąc szczerze, jest znacznie wyższej klasy niż moje. Pióra naszej firmy kosztują dolara za sztukę.

Powiedziawszy to zdał sobie sprawę, że był zbyt szczery. Kellie podchwycił z triumfem w głosie:

— Tyle samo ona zażądała od mnie.

— Kto?

— Selanie! Ta dziewczyna, co właśnie wsiadła do pociągu. Za parę minut będzie tu sprzedawała coś nowego. Zawsze ma coś nowego. — Wyrwał pióro Drake'owi z ręki. — Pokażę ci, co w nim jest niezwykłego.

Sięgnął po papierowy kubek stojący na parapecie.

— Spójrz — powiedział z irytującym zadowoleniem z siebie.

Trzymając pióro nad kubkiem naciskał jego koniec. Zaczął spływać atrament. Po jakichś trzech minutach kubek wypełnił się po brzegi. Kellie otworzył okno i ostrożnie wylał niebieski płyn na ziemię między wagonem i peronem.

Drake otrząsnął się z odrętwienia.

— Dobry Boże! — wykrzyknął. — Co za zbiornik jest w tym piórze? Ależ...

— Czekaj!

Głos Kelliego był opanowany, ale demonstracja sprawiała mu najwyraźniej taką przyjemność, że Drake pohamował się z wyraźnym wysiłkiem. Zaczęło mu się mącić w głowie, gdy Kellie wciąż naciskał czubek pióra i atrament nadal spływał.

— Czy zwróciłeś uwagę na atrament? — zapytał Kellie.

Drake chciał już powiedzieć, że jego jedyną osobliwością jest obfitość, kiedy nagle wykrztusił chrapliwie:

— C z e r w o n y atrament!

— A może — spokojnie zaproponował Kellie — wolałbyś purpurowy? Lub żółty? A może zielony? Czy fioletowy?

Z pióra sączyła się cienka strużka atramentu każdego koloru, który wymieniał. Za każdym razem przekręcał koniuszek pióra, leciutko naciskając.

— Masz, sam spróbuj — zakończył triumfalnym tonem człowieka, który już wykorzystał cały dramatyzm sytuacji.

Drake wziął od niego niezwykle przedmiot jak koneser pieszczący drogocenny klejnot. Jakby z wielkiego oddalenia dobiegało do niego nieustanne trajkotanie Kelliego:

— ... wyrabia je jej ojciec — mówił. — On jest mistrzem od gadżetów. Żebyś widział niektóre z tych rzeczy, jakie Selanie sprzedawała w pociągu w zeszłym miesiącu. Kiedyś wreszcie on nabierze rozumu i zacznie produkcję na wielką skalę. A wtedy wszystkie firmy produkujące wieczne pióra oraz wiele innych — zostaną na lodzie.

To samo przyszło na myśl Drake'owi. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, pióro wyjęto mu z rąk, a Kellie pochylał się w przejściu między ławkami nad siedzącym tam przystojnym siwowłosym mężczyzną.

— Zauważyłem, że pan się przyglądał, gdy pokazywałem to pióro znajome-  
mu — mówił Kellie. — Chciałby je pan obejrzeć?

— Chętnie — odparł mężczyzna.

Mówił cicho, ale jego głos dźwięczał donośnie w uszach Drake'a. Gdy pióro znalazło się w rękach starszego pana, złamało się na pół.

— Och! — wykrzyknął Kellie, nie rozumiejąc.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział starszy pan. W jego rękach pojawił się banknot dolarowy. — Moja wina. Kupi pan drugie u tej dziewczyny, gdy się tu pojawi. — Oparł się wygodnie i zagłębił w lekturze gazety.

Drake widział, że Kellie zagryza wargi. Patrzył to na swoje złamane pióro, to na banknot, to znów na siwowłosego mężczyznę ukrytego teraz za gazetą. Wreszcie westchnął:

— Nie pojmuję. Mam je już od miesiąca. Raz upadło mi na betonowy chodnik, a dwa razy na podłogę z twardego drewna. Teraz zaś złamało się jak kawałek próchna.

Wzruszył ramionami, ale w jego głosie brzmiała skarga, gdy po chwili podjął dalej:

— Sądzę, że nie można liczyć na to, by ojciec Selanie wyrabiał rzeczy pierwszorzędne przy swych ograniczonych możliwościach. . . — urwał, podniecony. — Spójrz, jest już Selanie. Ciekawe, co ma dzisiaj niezwykłego? — Na jego twarzy pojawił się chytry uśmiezek. — Czekaj, pokażę jej złamane pióro. Żartowałem sobie z niej, gdy je kupowałem, że musi być w tym jakiś trick. Rozgniewała się



i gwarantowała, że nigdy się nie zepsuje ani nie wyczerpie. Co ona, u diabła, w ogóle sprzedaje? Patrz, jaki tam ścisk koło niej.

Drake wspiął się na palce. Wyciągnął szyję, by lepiej widzieć ponad głowami ludzi tłoczących się wokół dziewczyny pokazującej coś w samym końcu przedziału.

— O Boże! — wykrzyknął męski tubalny głos. — Ile bierzesz za te kubki? Jak to działa?

— Kubki! — wykrzyknął Drake i ruszył w kierunku zafascynowanej gromadki. Jeśli dobrze widział, to dziewczyna puszczała w obieg pojemnik wciąż wypełniający się jakimś płynem. Ludzie pili z niego, a on momentalnie napełniał się na nowo. Ta sama zasada, co w piórze, pomyślał Drake. Jej ojciec odkrył jakąś zasadę kondensowania płynów. To prawdziwy geniusz. Gdyby tak udało się ubić interes z tym człowiekiem dla mojej firmy, albo choćby dla mnie samego, miałbym zapewnioną przyszłość.

Te rozważania przerwał wyraźny, czysty głos dziewczyny, który wzniosł się ponad entuzjastycznym gwarem.

— Cena wynosi jeden dolar za sztukę. Działanie polega na chemicznej kondensacji gazów z powietrza. Metoda ta znana jest tylko mojemu ojcu. Ale proszę popatrzeć, jeszcze nie skończyłam.

Jej głos, spokojny i silny, rozbrzmiewał w ciszy, jaka zapanowała dookoła:

— Widzicie państwo składany kubek bez ucha. Najpierw go otwieramy. Przekręcamy górną część zgodnie z ruchem wskazówek zegara. I oto napływa woda. A teraz — proszę popatrzeć — obracam dalej nakrętką. Płyn staje się zielony; jest to słodki i bardzo aromatyczny napój. Przekręcam dalej — i płyn staje się czerwony, zmienia się w napój słodko-kwaskowaty, bardzo orzeźwiający w upalne dni.

Dziewczyna puściła kubek w obieg. Podczas gdy naczynie przechodziło z rąk do rąk, Drake'owi udało się oderwać wzrok od gadżetu i przyjrzeć się dokładnie dziewczynie. Była wysoka, około metra siedemdziesiąt; miała ciemnokasztanowe włosy. Jej twarz zdradzała wybitną inteligencję. Na tej twarzy, szczupłej i pięknej, malowała się jakaś szczególna duma, co nadawało jej wyraz powściągliwości, gdy przyjmowała banknoty wciskane jej przez kupujących.

Znów rozległ się jej głos:

— Przykro mi, ale tylko po jednym dla każdego. Będą w wolnej sprzedaży zaraz po wojnie. To są jedynie upominki.

Tłum się rozproszył, każdy wracał na swoje miejsce. Dziewczyna przeszła między ławkami i zatrzymała się przy Drake'u. Ten cofnął się instynktownie, ale opamiętawszy się powiedział natarczywie:

— Chwileczkę! Mój znajomy pokazywał mi wieczne pióro, które kupił od pani. Ciekaw jestem. . .

— Mam jeszcze parę sztuk — skinęła głową z poważną miną. — Chce pan także kubek?

Drake przypomniał sobie o Kelliem.

— Mój znajomy chciałby także kupić jeszcze jedno pióro. Tamto się złamało...

— Przykro mi, ale nie mogę mu sprzedać drugiego. — Zamilkła. Jej oczy się rozszerzyły. Po chwili powiedziała z naciskiem:

— Mówił pan, że pióro się z ł a m a ł o?

Zachwiała się na nogach, zdumiona, po czym wykrzyknęła gwałtownie:

— Proszę mi je pokazać! Gdzie jest pański znajomy?

Wzięła z rąk Kelliiego dwie części złamanego pióra i przyglądała się im uparczywie. Wargi zaczęły jej drżeć. Trzęsły się ręce. Twarz poszarzała, ściągnęła się.

— Proszę mi powiedzieć — wyszeptała — jak to się stało? D o k ł a d n i e.

— No... — Kellie cofnął się, zaskoczony — pokazałem je temu starszemu panu, gdy...

Zamilkł, ponieważ stracił nagle słuchaczkę. Dziewczyna zakreśliła się na pięcie. Było to jak sygnał. Starszy pan opuścił gazetę i spojrzał na nią. Odpowiedziała mu zafascynowanym wzrokiem — jakby ptaka zahipnotyzowanego przez węża. Potem zachwiała się po raz drugi w ciągu tych paru chwil. Koszyk omal się nie wyslizgnął jej z rąk, gdy biegła pochylona pomiędzy ławkami, ale jakoś go utrzymała.

Po chwili Drake zobaczył, jak pędzi po peronie. Jej postać biegnąca przez Piffer's Road oddalała się coraz bardziej.

— Co, u diabła! — wybuchnął Kellie. Odwrócił się do starego. — Co pan jej zrobił? — zapytał z natarczywą pretensją w głosie. — Pan...

Głos mu zamarł. Drake, który miał zamiar dodać kilka przykrych słów, również się nie odzywał.

\* \* \*

Głos komiwożacza, stojącego w jaskrawym słońcu na peronie w Warwick, zamilkł. Uptęnęła chwila, zanim Drake uświadomił sobie, że Kellie już skończył swą opowieść.

— To znaczy — rzekł z pretensją w głosie — że na tym się skończyło? Że siedzieliśmy tam jak para manekinów, zbici z tropu przez jakiegoś starego? I to wszystko? Nie wiesz, co wystraszyło tę dziewczynę?

Na twarzy Kelliiego można było wyczytać, że szuka w myślach odpowiedniego słowa czy też wyrażenia, próbując opisać coś, co jest nie do opisanania. Wreszcie powiedział:

— Wiesz, w nim było coś takiego... jakby wszyscy ci twardzi kierownicy działów sprzedaży z całego świata w jednej osobie... Po prostu zamknęliśmy gęby na kłódki.

Ten opis przemówił do wyobraźni Drake'a. Kiwnął ponuro głową.

— I on nie wysiadł? — zapytał powoli.

— Nie, to ty wysiadłeś.

— Cooo?

Kellie popatrzył na niego.

— Wiesz, to jest cholernie zabawne. Ale tak właśnie było. Poprosiłeś konduktora, by wyładował twoje bagaże w Inchney. Na koniec, gdy pociąg ruszył, widziałem jeszcze, jak szedłeś przez Piffer's Road w tym kierunku, dokąd biegła dziewczyna i... o, jest podmiejski do Kissling.

Kombinowany skład pociągu pasażerskiego z towarowym wjechał hałaśliwie tyłem. Później, gdy pociąg pokonywał grzbiet wzgórz okalających dolinę, Drake wpatrywał się ciekawie w okolicę, mgliście przypominając sobie dzieciństwo, ledwie słuchając gadania siedzącego obok Kelliego. Wreszcie postanowił, co zrobi: wysiadzie w Inchney, obejdzie miasto aż do zamknięcia sklepów, a potem jakoś dostanie się do Piffer's Road i spędzi tam cały długi letni wieczór, zasięgając języka. O ile dobrze pamięta, odległość między miastem a osadą wynosi około dziesięciu kilometrów. W najgorszym razie wróci do Inchney piechotą w parę godzin.

Pierwsza część jego zamierzeń okazała się jeszcze prostsza w realizacji. W miejscowym hotelu powiedziano mu, że o szóstej odchodzi stamtąd autobus.

Dwadzieścia po szóstej Drake wysiadł i stojąc na polnej drodze zwanej Piffer's Road patrzył, jak odjeżdża autobus. Warkot zamilkł w oddali, a Drake ruszył, ciężko stąpając przez szyny kolejowe. Wieczór był ciepły i cichy, marynarka ciążyła mu na ramieniu. Później może się ochłodzić, pomyślał, ale teraz prawie żałował, że ją zabrał.

Na trawniku przed najbliższym domem pracowała na kłęczkach jakaś kobieta. Drake zawahał się, lecz potem podszedł do ogrodzenia i przyglądał się jej przez chwilę. Zastanawiał się, czy już ją kiedyś spotkał. Wreszcie odezwał się:

— Bardzo panią przepraszam.

Kobieta nie podniosła oczu. Nie wstała z grządki, którą kopała. Była to kościasta osoba w pokrytej drukowanym deseniem sukience. Na pewno widziała go, jak nadchodzi, skoro teraz uparcie milczała.

— Czy mogłaby mi pani powiedzieć — Drake nie ustępował — gdzie mieszka pewien mężczyzna w średnim wieku z córką. Dziewczyna nazywa się Selanie i sprzedaje wieczne pióra, kubki i tak dalej, ludziom w pociągu.

Kobieta wstała i podeszła do niego. Z bliska nie wydawała się już taka wielka i niezgrabna. Miała szare oczy, które mierzyły go z równą wrogością, co ciekawością.

— Noo, niech mi pan powie — odezwała się ostro — czy to nie pan tu zachodził jakieś dwa tygodnie temu i pytał o nich? Mówiłam już, że mieszkają tam, w tamtym zagajniku. — Machnęła ręką w stronę paru drzew rosnących gdzieś pół kilometra od szosy, ale oczy miała zwężone, gdy patrzyła na Drake'a. — Nie pojmuję tego — powtórzyła z uporem.

Drake nie mógł się zdobyć na to, by wyjaśniać sprawę amnezji tej nieprzystępnej, podejrzliwej kreaturze; nie miał też zamiaru wspominać o tym, że mieszkał kiedyś w tych stronach. Powiedział więc pośpiesznie:

— Dziękuję bardzo. Ja. . .

— Nie ma sensu chodzić tam jeszcze raz — powiedziała kobieta. — Oni wyjechali jeszcze tego samego dnia, gdy pan tu był ostatnim razem. . . wyjechali tą swoją wielką przyczepą. I już nie wrócili.

— Wyjechali! — wykrzyknął Drake.

Pod wpływem głębokiego rozczarowania już miał powiedzieć coś więcej, kiedy zauważył, że kobieta przypatruje mu się z bladym uśmiechem satysfakcji. Wyglądało to tak, jakby znokautowała jakiegoś wyjątkowo niesympatycznego osobnika.

— A jednak — powiedział sucho Drake — pójdę tam i się rozejrzę.

Obrócił się na pięcie, tak rozzłoszczony, iż przez chwilę ledwie zdawał sobie sprawę, że idzie rowem, a nie szosą. Jego wściekłość przerodziła się stopniowo w rozczarowanie, które ustąpiło na myśl o tym, że skoro już się tu znalazł, może się rozejrzeć.

Po pewnym czasie poczuł zdziwienie, że dał się do tego stopnia wyprowadzić z równowagi jakiejś kobiecie. Pokręcił głową z przyganą pod swym adresem. Powinien być ostrożniejszy. Próba odtworzenia przeszłości wyczerpuje go.

Gdy skręcił w zacieniony zagajnik, zerwał się lekki wietrzyk. Dmuchał mu delikatnie w twarz, a jego szelest między drzewami był jedynym dźwiękiem, który zakłócił wieczorną ciszę. Drake'owi nie trzeba było wiele czasu, by się zorientować, że jego mgliste nadzieje, które pchnęły go w tę podróż, nie spełnią się. Nie znalazł nic. Nawet śladu, że tu ktoś mieszkał: ani puszki po konserwach, ani torby na śmieci czy popiołu. Dosłownie nic. Chodził naokoło niepocieszony, rozgarniając ostrożnie kijem stos martwych gałęzi. Na koniec wrócił na szosę. Tym razem to kobieta go zawołała. Zawahał się, ale w końcu podszedł do niej. Mogła wiedzieć o wiele więcej, niż mu powiedziała. Spostrzegł, że patrzy nań przyjaźniej.

— Znalazł pan coś? — zapytała ze źle powściąganą skwapliwością.

Drake uśmiechnął się ponuro na myśl o potędze ludzkiej ciekawości, po czym markotnie wzruszył ramionami.

— Kiedy odjeżdża przyczepa, to tak jak dym — znika wszelki ślad po niej. Kobieta prychnęła wzgardliwie:

— Wszystkie ślady na pewno zniknęły, gdy pojawił się ten stary.

Drake starał się nie okazywać podniecenia.

— Stary!?! — wykrzyknął.

Kobieta kiwnęła głową, mówiąc z urazą:

— Tak, świetnie się trzymający starszy gość. Najpierw dopytywał się każdego, co to za rzeczy sprzedawała nam Selanie. A w dwa dni potem, gdyśmy się obudzili, nie znaleźliśmy żadnego z tych przedmiotów.

— Ukradł je!

Kobieta spojrzała nań spode łba.

— Tak jakby. Za każdą sztukę zostawił banknot jednodolarowy. Ale to tak jak kradzież. Czy pan wie, że ona miała patelnię, która...

— Ale czego on chciał? — przerwał jej Drake, zdziwiony. — Niczego nie wyjaśnił, kiedy tak się rozpytywał? Pani by przecież nie pozwoliła mu się tak szwendać.

Ku jego zdziwieniu kobieta straciła kontenans.

— Nie wiem, co mi się stało — wyznała wreszcie ponuro. — W nim było coś takiego... Wyglądał tak godnie i imponująco, jakby był jakąś wielką szychą. — Zamilkła, rozgniewana. — Łajdak! — prychnęła.

Oczy jej raptem zwięziły się z wrogością. Popatrzyła na Drake'a.

— Pan to się udał z tym mówieniem o rozpytywaniu. A pan to co? Stoi tutaj i piłuje mnie przez cały czas. Niech no pan powie wprost: czy to pan zachodził tu dwa tygodnie temu?

Drake zawahał się. Perspektywa opowiedzenia całej historii osobie tego pokroju nie wydawała mu się łatwa. Ale kobieta musiała wiedzieć coś więcej. Pewnie też ma wiele informacji z tego okresu, który Selanie wraz ze swym ojcem spędziła w tej okolicy. Jedno wydawało się pewne: jeśli znane są jakieś fakty, to na pewno tej kobiecie.

Zdecydował się wreszcie. Wyjaśnił jej wszystko, kończąc trochę niepewnie:

— Jak więc pani widzi, jestem człowiekiem, który szuka swej przeszłości. Może zostałem uderzony w głowę, chociaż nie mam guza. Albo mnie odurzono. Coś mi się przytrafiło. Mówiła pani, że tam poszedłem. Czy wróciłem stamtąd? Co robiłem?

Zamilkł drgnąwszy gwałtownie, bo kobieta niespodziewanie wrzasnęła rozdzierającym głosem:

— Jimmy! Chodź no tu zaraz!

— Juu... ,mamo! — doleciał chłopięcy głos z wnętrza domu.

Drake oszołomiony zobaczył, jak z domu wypada rozczochrany dwunastolatek o żywej, pełnej entuzjazmu twarzy. Drzwi trzasnęły za nim. Drake słuchał, wciąż nie całkiem jeszcze rozumiejąc, jak matka wyjaśnia chłopcu, że „ten pan dostał po głowie od tych ludzi z przyczepy i stracił pamięć, a teraz chciałby, żebyś mu opowiedział o tym, co widziałeś”.

Kobieta zwróciła się do Drake'a:

— Jimmy — wyjaśniła z dumą — nigdy nie miał zaufania do tych ludzi. Był przekonany, że oni są z zagranicy, czy coś, więc miał ich stale na oku. Widział, jak pan tam poszedł, i wszystko, co się zdarzyło do czasu, gdy przyczepa odjechała. Może więc panu opowiedzieć z detalami, co pan robił — zakończyła — bo widział wszystko przez okno, a poza tym wszedł tam raz do środka, kiedy ich nie było, i obejrzał sobie to miejsce, by sprawdzić, oczywiście, czy oni czegoś nie kombinują.

Drake przytaknął jej, tłumiąc w sobie cynizm. Powód był równie dobry, jak każdy, by wtykać nos nie w swoje sprawy. W tym przypadku okazał się dla niego szczęśliwym trafem.

Jego myśli przerwał ostry głos Jimmy'ego w zapadającym zmierzchu.

\* \* \*

Było gorące popołudnie. Dowiedziawszy się od kobiety z pierwszego napotkanego domu, gdzie mieszkają ojciec z córką Selanie, Drake zbliżał się wolno ku zagajnikowi, który mu wskazała.

Gdzieś z tyłu za nim pociąg gwizdnął dwa razy, a potem zasapał. Drake opanował odruch, by zawrócić i wsiąść do pociągu. I tak by zresztą nie zdążył. Poza tym żaden człowiek nie rezygnuje tak łatwo z nadziei zdobycia fortuny. Przyspieszył kroku na myśl o wiecznym piórze i kubku.

W zagajniku dostrzegł przyczepę, ale dopiero gdy skręcił w pierwszą cienistą kępę drzew. Ujrawszy wóz zamarł na miejscu. Przyczepa była o wiele większa, niż się spodziewał, długa jak wagon towarowy i równie wysoka, o dziwnym opływowym kształcie.

Nikt nie odpowiedział na jego pukanie.

Rozmyślał intensywnie: dziewczyna biegła tą drogą. Musi być w środku. Niepewnie obszedł monstrum na kołach. Rząd okien, na wysokości jego oczu, całkowicie opasywał przyczepę dookoła. Widać było przez nie błyszczący sufit i górną część ścian, wyłożonych, zdawało się, kosztowną boazerią. W środku znajdowały się trzy pokoje, a jeszcze jedne drzwi prowadziły do kabiny samochodu, który holował przyczepę.

Wróciwszy do wejścia Drake nasłuchiwał czujnie. Ale nie dobiegł go żaden dźwięk — poza słabym podmuchem wiatru, który dął leciutko w wierzchołkach drzew. Gdzieś daleko zagwizdał płacziwie pociąg. Drake nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły tak łatwo, że zniknęły wszystkie jego opory. Uchylił je powoli i stanął w nich, mając przed oczami środkowy z trzech pokoi.

Jego zaskoczony wzrok napotkał przepych. Podłoga wyglądała okazale: ciemno połyskująca, oszlifowana niczym klejnot. Ściany harmonizowały z nią swą kosztowną, choć stonowaną boazerią. Naprzeciw drzwi znajdowała się kanapa,

dwa krzesła, trzy szafki i kilka kunsztownie rzeźbionych półek z dziełami sztuki. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł Drake po wejściu do środka, był stojący przy ścianie, na lewo od drzwi, koszyk dziewczyny.

Na ten widok Drake zamarł w miejscu. Usiadł na progu z nogami zwisającymi na zewnątrz przyczepy. Jego zdenerwowanie ustąpiło całkowicie wobec trwającej wciąż ciszy; z ciekawością zaczął więc badać zawartość koszyka. Znajdowało się w nim kilkanaście owych magicznych wiecznych piór, co najmniej trzy tuziny składanych, samonapełniających się kubków, około dziesięciu obłych czarnych przedmiotów, co nie pod dawały się jego manipulacjom, i trzy pary drucianych okularów. Każda para miała maleńkie przezroczyste kółeczko z boku prawej soczewki. Zdawało się, że nie potrzebowały wcale futerałów, ponieważ nie zachodziła obawa, że mogą się stłuc. Te, które założył, pasowały jak ulał i przez moment sądził, że odpowiadały także jego wzrokowi. Po chwili zauważył różnicę: wszystko się przybliżyło — pokój, jego ręka — przedmioty nie były zaś powiększone czy zamazane, ale zupełnie takie, jakby patrzył przez lornetkę średniej mocy. Obraz nie był wcale zdeformowany. Wkrótce Drake przypomniał sobie o małym kółeczku. Obróciło się lekko.

Nagle wszystko stało się jeszcze bliższe, jakby patrzył przez lornetkę dwukrotnie silniejszą. Drżąc nieco pokręcił kółkiem najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Wystarczyło parę sekund, aby potwierdzić ten niezwykły fakt: oto miał okulary z regulowanymi soczewkami, niespotykane połączenie teleskopu z mikroskopem; jednym słowem superlornetkę.

Prawie nie myśląc Drake odłożył te cudowne okulary do koszyka; powziąwszy nagłą decyzję wszedł do środka i ruszył ku drzwiom prowadzącym do pokoju z tyłu przyczepy. Miał zamiar tam tylko zajrzeć. Ale już pierwszy rzut oka wystarczył: zobaczył ściany wypełnione półkami, a na każdej z nich starannie poustawiane rozmaite przedmioty. Drake wziął coś, co przypominało aparat fotograficzny — precyzyjnie wykonany niewielki przyrząd. Dokładnie obejrzał obiektyw; jego palce natrafiły na coś, co ugięło się elastycznie. Rozległ się trzask. I w tym samym momencie błyszcząca karta papieru wysunęła się ze szczeliny z tyłu aparatu. Zdjęcie.

Przedstawiało górną część twarzy mężczyzny. Miało niezwykłą głębię i zdumiewająco naturalne barwy. W piwnych oczach malowało się takie napięcie, że przez moment rysy twarzy wydawały mu się nieznajome. Dopiero po chwili poznał siebie samego. Zrobił sobie zdjęcie, które od razu zostało wywołane.

Zdumiony, wetknął fotografię do kieszeni, odłożył aparat i drżąc cały wyszedł z przyczepy, po czym ruszył szosą w kierunku osady.

\* \* \*

— ... a potem — mówił Jimmy — po minucie wrócił pan, wszedł do przyczepy, zamknął za sobą drzwi i poszedł do pokoju od tyłu. Wrócił pan tak szybko, że o mało mnie pan nie zauważył; myślałem, że pan już sobie poszedł. A później...

\* \* \*

Drzwi przyczepy otwały się. Głos dziewczyny brzmiał nagłaco, ale Drake nie rozumiał, o co jej chodziło. Po chwili w odpowiedzi dało się słyszeć mruknięcie mężczyzny. Drzwi się zamknęły, słychać było poruszenia i oddechy w środkowym pokoju.

Skuliwszy się, Drake wycofał się pod lewą ścianę.

\* \* \*

— ... i to wszystko, proszę pana — zakończył Jimmy. — Pomyślałem sobie, że z tego może być jakaś bieda, więc poszedłem do domu powiedzieć mamie.

— To znaczy, że byłem na tyle nierozsądny, by wrócić akurat wtedy i dać się przyłapać, ale nie ośmieliłem się ujawnić?

Chłopak wzruszył ramionami.

— Przyciskał się pan do przepierzenia w przyczepie. Tyle widziałem.

— A oni cię nie zauważyli, kiedy ich podglądałeś?

Jimmy zawałał się.

— No, bo — zaczął dziwnym, obronnym tonem — stało się coś niezwykłego. Wie pan, kiedy obejrzałem się za siebie, po odejściu jakichś stu metrów, ciężarówka z przyczepą zniknęły.

— Zniknęły? — powtórzył powoli Drake. Sytuacja robiła się niesamowita. — Chciałeś powiedzieć, że włączyli silnik i wyjechali na szosę?

Chłopak z uporem pokręcił głową.

— Zawsze chcę mnie na tym przyłapać, ale ja wszystko dobrze widziałem i słyszałem. Nie było żadnego warkotu. Oni zniknęli nagle i już.

Zimny dreszcz przebiegł Drake'owi wzdłuż kręgosłupa.

— A ja byłem w środku? — zapytał.

— Tak, był pan w środku — potwierdził chłopak.

Ciszę, jaka po tym nastąpiła, przerwała dopiero kobieta mówiąc: głośno:

— No, już dobrze, Jimmy. Idź się bawić. — Zwróciła się do Drake'a: — Wie pan, co o tym myślę? — zapytała.

Drake z trudem wyrwał się z zamyślenia.

— Co takiego?



— Że oni musieli robić jakieś kanty, ta cała szajka. To całe gadanie, że jej ojciec to wszystko wytwarza. . . Że też mogliśmy w to uwierzyć. On przez cały ten czas obchodził okolicę skupując złom. Przecież pan wie — przyznała prawie niechętnie — że oni mieli fantastyczne rzeczy. Rząd nas nie buja, kiedy mówi, że po wojnie wszyscy będziemy żyli sobie jak królowie. Ale w tym jest jakiś kant. Przecież oni mieli wszystkiego kilkaset tych przedmiotów. Sprzedawali je w jednym miejscu, a potem wykradali i odsprzedawali w innym.

Drake, mimo że pochłonięty własnymi myślami, popatrzył teraz na nią. Już nieraz spotykał się z tak szczególnym brakiem logiki u ludzi o podobnej mentalności, ale zawsze szokowało go to wyraźne ignorowanie faktów, aby tylko dowieść swoich racji.

— Nie mieliby z tego żadnych korzyści — stwierdził. — Przecież za każdy przedmiot dostaliście z powrotem jednego dolara.

— Och! — Kobieta wydawała się zaskoczona; mina się jej wydłużyła. Wreszcie gdy dotarło do niej, że jej ulubiona teoria wzięła w łeb, gniewne wypieki wystąpiły na jej ogorzałej od słońca i wiatru twarzy. — Pewnie to jakiś chwyt reklamowy! — prychnęła.

Drake pomyślał, że pora kończyć tę rozmowę. Zapytał więc pospiesznie:

— Czy zna pani może kogoś, kto wybiera się jeszcze dziś do Inchney? Zabrałbym się, jeśli można.

Zmiana tematu zrobiła swoje. Ciemne wypieki zniknęły z twarzy kobiety.

— Nie, nikt, kogo bym znała — zaprzeczyła po namyśle.

— Ale niech się pan nie boi, wystarczy wyjść na szosę i złapać okazję. . .

Drake'a zabrał drugi z kolei samochód. Siedział teraz w hotelu, w zapadających ciemnościach. Dziewczyna i jej ojciec w wozie pełnym najwspanialszych towarów na świecie! myślał. Ona sprzedaje je jako upominki, po jednej sztuce dla każdego. On skupuje złom. A potem — jak w obłądnym śnie — jakiś starzec chodzi i skupuje sprzedane towary albo (przypomniał sobie pióro Kelliiego) je niszczy. Wreszcie sprawa dziwnej amnezji u akwizytora handlującego wiecznymi piórami, nazwiskiem Drake.

Gdzieś za plecami Drake'a jakiś męski głos wykrzyknął z żalem:

— Och, niech pan zobaczy, co pan zrobił! Złamał je pan.

W odpowiedzi rozległ się spokojny, dźwięczny głos dojrzałego mężczyzny:

— Bardzo pana przepraszam. Kosztowało dolara, prawda? Naturalnie zwrócę go panu. Proszę — i niech mi pan wybaczy.

W ciszy, jaka zapadła, Drake podniósł się i odwrócił. Ujrzał wysokiego, doskonale prezentującego się mężczyznę o siwych włosach, który podnosił się z miejsca obok młodego człowieka wpatrującego się w dwa kawałki złamane-go wiecznego pióra, jakie trzymał w ręku. Starzec skierował się ku obrotowym drzwiom hotelu, prowadzącym na ulicę, ale Drake go wyprzedził.

— Chwileczkę, proszę pana — powiedział spokojnym, lecz szorstkim tonem. — Chcę się dowiedzieć, co stało się ze mną, kiedy znalazłem się w przyczepie Selanie i jej ojca. I sądzę, że pan mi może odpowiedzieć na to pytanie.

Zamilkł. Patrzył w oczy mężczyzny, które płonęły szarym blaskiem i które zdawały się przenikać Drake'a, wręcz sięgać w głąb jego mózgu. Zdażył jeszcze z przestrachem przypomnieć sobie, jak Kellie mówił że ten człowiek w pociągu sparaliżował go jednym nieubłaganym spojrzeniem, gdy naraz starzec tygrysim ruchem przyskoczył do niego i chwycił go za przegub dłoni. Drake poczuł uścisk jakby żelaznej obręczy; ból rozchodził się promieniście wzdłuż ramienia.

— Proszę tędy, do mego samochodu — usłyszał niski, zniewalający głos.

Drake ledwie pamiętał, jak wszedł do długiego wozu o lśniącej karoserii. Reszta pograżyła się w mroku... fizycznym... psychicznym...

Leżał na wznak na twardej posadzce. Otworzył oczy i przez chwilę patrzył na kopułę sklepienia pięćdziesiąt metrów w górze. Kopuła miała co najmniej sto metrów szerokości, a prawie jedną czwartą jej część zajmowało okno, przez które dochodziło mgliste, szarobiałe światło, jakby niewidoczne słońce z trudem torowało sobie drogę przez rzadką, ale wszechobecną mgłę.

Szeroka czeluszć okienna biegła od środka sufitu gdzieś prosto w dal. I to jaką dal! Drake uniósł się z okrzykiem zdumienia. Przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Korytarz zdawał się ciągnąć w nieskończoność w obie strony, aż rozmywał się w plamę marmuru i szarego światła. Znajdował się tam balkon i galeria, i druga galeria; każde piętro miało własny boczny korytarz zakończony balustradą. Widział też niezliczoną ilość drzwi i co pewien czas odgałęzienia korytarza — każde wskazujące na dalsze rozgałęzienia tego budynku najwyraźniej monstrualnych rozmiarów.

Wolnućko, gdy minął już pierwszy szok, Drake wstał. Ciężyło mu wspomnienie starego człowieka — i tego, co działo się wcześniej. Zabrał mnie do swego samochodu i przywiózł tutaj, myślał posępnie.

Ale dlaczego tutaj? Na całym bożym świecie nie ma takiego domu!

Dreszcz przebiegł mu po plecach. Z wielkim wysiłkiem ruszył ku najbliższemu z długiego szeregu wysokich, rzeźbionych drzwi i otworzył je. Nie umiałby powiedzieć, co spodziewał się ujrzeć. Ale pierwszą reakcją było rozczarowanie. Zobaczył gabinet — olbrzymi pokój o gładkich ścianach. Pod ścianą stało kilka pięknych szafek. Olbrzymich rozmiarów biurko zajmowało kąt na wprost drzwi. Obrazu dopełniało kilka krzeseł i komfortowe dwie sofy, a także jeszcze jedno, bardziej ozdobne drzwi. W gabinecie nie było nikogo. Biurko było czystoiteńkie, bez śladu kurzu. I bez śladu życia.

Drugie drzwi okazały się zamknięte lub też zamek był zbyt skomplikowany dla Drake'a.

Znów znalazł się na korytarzu. Zdał sobie naraz sprawę z kompletnej ciszy. Jego buty stukały głucho w korytarzu. A drzwi jedne po drugich ukazywały tak samo umeblowany, lecz pusty gabinet.

Na jego zegarku upłynęło pół godziny. A potem następne pół. Wreszcie ujrzał w oddali drzwi. Najpierw była to tylko jasność. Połyskliwe kontury okazały się olbrzymim witrażem, z wielobarwnych szybek, osadzonym w ramie. Drzwi mogły mieć swobodnie jakieś piętnaście metrów wysokości. Zajrzawszy przez szybę Drake dostrzegł wielkie białe schody prowadzące w dół, w gęstniejącą o jakieś pięć metrów poniżej mgłę; dalej stopnie były już niewidoczne.

Patrzył na schody zaniepokojony. Coś mu się w tym nie podobało. Ta mgła spowijająca wszystko, nie ustępująca godzinami, lgnąca mrocznie. Otrząsnął się. Prawdopodobnie tam w dole, u podnóża schodów, była woda; ciepła woda, z której przy stałym strumieniu zimnego powietrza tworzyła się gęsta mgła. W duchu wyobraził sobie długi na piętnaście kilometrów budynek, położony nad jeziorem, spowity wiecznie w szarej mgle.

Trzeba się stąd wydostać, uświadomił sobie gwałtownie Drake.

Klamka u drzwi znajdowała się na normalnej wysokości. Aż trudno było jednak uwierzyć, że tak maleńka w porównaniu z nimi dźwigienka jest w stanie uruchomić gigantyczną konstrukcję. Ale drzwi otworzyły się cicho i lekko jak doskonale zrównowazona maszyna. Drake wstąpił w napierającą mgłę i zaczął schodzić w dół, z początku szybko, a potem z rosnącą ostrożnością. Nie miał zamiaru wylądować w wodzie. Setny schodek okazał się zarazem ostatnim, ale nie było tam wcale wody. Była pustka i mgła, żadnego podnóża schodów ani ziemi.

Doznawszy nagłego zawrotu głowy Drake na czworakach wczołgał się z powrotem w górę. Był tak wyczerpany, że zdawało mu się, iż posuwa się ledwie centymetr za centymetrem. Teraz gdy odkrył, że u podstawy schodów nie ma nic, doznawał koszmarnego wrażenia, że stopnie się pod nim kruszą.

Drugiego, jeszcze większego koszmaru doświadczył na myśl, że drzwi już się nie otworzą i że on zostanie tu na zawsze, odcięty od świata, na skraju wieczności.

Otworzyły się jednak; choć dokonał tego ostatkiem sił. Gdy leżał już w środku na podłodze, naraz doznał ogromnego zdziwienia: co miała wspólnego z tym wszystkim Selanie, dziewczyna sprzedająca w pociągu cudowne gadgety? To pytanie zdawało się nie mieć odpowiedzi.

Wreszcie z upływem czasu przestraszony ustąpił poczuciu bezpieczeństwa. Wstydzając się swej paniki podniósł się z niezłomnym postanowieniem: musi zbadać to fantastyczne miejsce od piwnicy aż po dach. Gdzieś tu znajdują się zapewne ukryte zapasy kubków, które same napełniają się wodą. A może również znajdzie coś do jedzenia. Przecież wkrótce odczuje głód i pragnienie. Ale najpierw — do jednego z gabinetów. Przeszuka każdą szafkę, włamie się do biurka.

Nie było potrzeby się włamywać. Szuflady wysuwały się za najlżejszym pociągnięciem. Szafki nie były zamknięte na klucz. Wewnątrz znajdowały się dzien-

niki, rejestry, dziwne teczki. Zaabsorbowany Drake przejrzał kilka z nich, rozkładając je na olbrzymim biurku. Druk wydał mu się zamazany, gdyż drżały mu ręce i kręciło mu się w głowie. Wreszcie z wysiłkiem woli odłożył wszystkie dzienniki na bok oprócz jednego. Otworzył go na chybił trafił i znalazł w nim wydrukowany tekst:

**„SKRÓT SPRAWOZDANIA  
KOORDYNATORA KINGSTONA CRAIGA  
w sprawie Imperium Lyceusza II  
W LATACH 27346–27378”**

Drake zmarszczył brwi spojrzawszy na datę; potem zaczął czytać:

„Historia tego okresu opowiada o chytrym przejęciu władzy przez okrutnego imperatora. Dokładne studium tego człowieka dowiodło, że wykazuje on nienaturalny popęd do chronienia siebie kosztem innych.

**ROZWIĄZANIE TYMCZASOWE:** Ostrzeżenie imperatora, który omal nie doznał szoku stanąwszy twarzą w twarz z Koordynatorem. Jego instynkt samozachowawczy skłonił go do dania rękojmi co do przyszłego sprawowania rządów.

**UWAGA:** To rozwiązanie wytworzyło świat prawdopodobny typu 5 i musi być uznane za tymczasowe z powodu pracy o charakterze kluczowym, jaką profesor Linka stale prowadzi w zakresie całego CCLXXIV wieku.

**ZAKOŃCZENIE:** Powrót do Pałacu Nieśmiertelności po trzydniowej nieobecności”.

Drake siedział z początku sztywno wyprostowany, po czym odchylił się na oparcie fotela, ale w głowie wciąż miał pustkę. Nie wiedział, co myśleć o tym sprawozdaniu. Wreszcie odwrócił stronę i przeczytał:

**SKRÓT SPRAWOZDANIA  
KOORDYNATORA KINGSTONA CRAIGA**

Jest to sprawa Lairda Graynona, inspektora policji z posterunku Sektora 900 w Nowym Jorku; został on 7 lipca 2830 roku fałszywie oskarżony o przyjęcie łapówki i odłączony.

**ROZWIĄZANIE:** Inspektor Graynon na dwa miesiące przed datą podaną w oskarżeniu został przeniesiony na emeryturę. Wyjechał na swą

farmę i od tej pory miał niewielki wpływ na sprawy o szerszym znaczeniu. Żył w tym świecie prawdopodobnym aż do roku 2874 i tak stworzył niemal doskonały 290 A.

ZAKOŃCZENIE: Powrót do Pałacu Nieśmiertelności po godzinie.

Wpisów było więcej — setki, tysiące we wszystkich dziennikach. Każda z nich zatytułowana była „Sprawozdanie Koordynatora Kingstona Craiga”, który zawsze wracał do „Pałacu Nieśmiertelności” po tylu to a tylu dniach, godzinach, tygodniach. Raz trwało to trzy miesiące i dotyczyło niejasnej, bezosobowej sprawy „ustalenia czasu demokracji między wiekiem XCVIII a XCIX”, co wymagało „wskreszenia w ich własnych światach prawdopodobnych trzech zamordowanych mężczyzn o nazwiskach. . .”.

Ostry atak głodu i pragnienia uprzytomniły Drake’owi, że oto siedzi w tym ogromnym, ponurym domu i czyta bezsensowne wypociny jakiegoś faceta, który musi być szaleńcem. Spostrzegł, że pozornie nie mające źródła światła w pokoju coraz bardziej słabnie. Musiało więc jednak dochodzić z zewnątrz. W olbrzymim pustym korytarzu poznał prawdę: mgła za oknem w suficie szarzała i ciemniała. Nadchodziła noc. Starał się nie myśleć o tym, że zostanie tu sam w tym grobowym domu, obserwując, jak mrok wkrada się powoli w marmurowe ściany, i zastanawiając się, co też może wyjść z ukrycia, gdy ciemności staną się już nieprzeniknione.

— Przestań, idioto! — powiedział do siebie na głos, z wściekłością.

Głos zabrzmiał głucho w ciszy. Musi tu być przecież jakieś miejsce, pomyślał, gdzie ci. . . Koordynatorzy. . . mieszkają. Na tym piętrze były tylko gabinety, ale są przecież jeszcze inne piętra. Trzeba znaleźć klatkę schodową. Na głównym korytarzu nie widział żadnej.

Wreszcie w pierwszym bocznym korytarzu znalazł szerokie schody. Wszedł na górę i otworzył pierwsze drzwi, na które się natknął. Był to salon wspaniałego apartamentu, składającego się z siedmiu pokoi oraz kuchni, lśniącej w zanikającym świetle, zabudowanej szafkami, w których stały przezroczyste pojemniki, a w nich żywność, zarówno znana mu, jak i nieznaną.

Drake nie odczuwał żadnej emocji. Nie był też zdziwiony, że gdy poruszył małą dzwigenkę na wierzchu puszek gruszek, owoce wysypały się na stół, chociaż puszka wcale się nie otworzyła. Po prostu stwierdził, że będzie miał co jeść, to wszystko. Po zjedzeniu poszukał kontaktu. Ale nie mógł go znaleźć w ciemności.

Z mroku sypialni wynurzyło się łóżko z baldachimem. W szufladach znajdowały się piżamy. Leżąc w chłodnej pościeli, ociężały i senny, Drake pomyślał: dlaczego ta dziewczyna, Selanie, bała się tego starego? I co też zaszło w przyczepie, że Ralph Carson Drake został w to wszystko tak nieodwołalnie wmieszany?

Spał niespokojnie; myśl ta nie opuszczała go nawet we śnie.

Z początku światło było gdzieś daleko. Potem przybliżało się i rozjaśniało. Było tak jak po każdym przebudzeniu. Ale gdy Drake otworzył oczy, od razu napłynęły wspomnienia. Stwierdził, że leży na lewym boku. Był jasny dzień. Kątem oka ujrzał nad sobą srebrzystobłękitny baldachim. Nad nim, wysoko w górze, znajdował się sufit.

W ciemnościach minionej nocy ledwie dostrzegł, jak przestronny i luksusowy jest ten apartament. Znajdowały się w nim grube, puszyste dywany i wykładane boazerią ściany oraz różowe meble aż lśniące przepychem. Łoże było ogromne, z baldachimem wspartym na czterech filarach.

Gdy Drake odwrócił głowę z lewej strony na prawą, jego wzrok padł na drugą połowę łóżka. Leżała tam pogrążona w głębokim śnie młoda kobieta. Miała ciemnokasztanowe włosy i śnieżnobiałą szyję; nawet we śnie jej piękna twarz zdradzała inteligencję. Miała około trzydziestki.

Drake nie patrzył na nią dłużej. Niczym złodziej wyślizgnął się spod kołdry i przykucnął na podłodze. Wstrzymał oddech, rozpaczliwie przerażony, gdy miarowe oddychanie kobiety w łóżku ucichło. Rozległo się westchnienie — i w końcu katastrofa!

— Mój drogi — usłyszał jej głęboki kontralt — co ty, u licha, robisz na podłodze?

Poruszyła się na łóżku i Drake skurczył się oczekując krzyku, gdy kobieta przekona się, że nie jest „jej drogim”. Ale nic się nie stało. Piękna główka wychyliła się spoza brzegu łóżka. Szare oczy patrzyły nań spokojnie. Młoda kobieta widać zapomniała o swym pytaniu, bo powiedziała teraz:

— Kochany, czy wybierasz się dzisiaj na Ziemię?

Pytanie było tak zaskakujące, że kwestia jego osobistego udziału w tym wszystkim wydała mu się sprawą drugorzędną. Nagle zaczął pojmować.

A więc był to jeden z tych światów prawdopodobnych, o których czytał w dziennikach Koordynatora Kingstona Craiga. To właśnie m o g ł o się przytrafić Ralphowi Drake’owi. I gdzieś, za kulisami, ktoś to reżyserował. A wszystko dlatego, że on usiłował odtworzyć swą przeszłość.

Drake podniósł się z podłogi. Pocił się. Serce mu biło jak młot, kolana drżały. Ale wstał i powiedział:

— Tak, wybieram się na Ziemię.

To jest powód, myślał w napięciu, by jak najprędzej stąd wyjść. Podeszedł do krzesła, gdzie leżało jego ubranie. Naraz sens jego własnych słów dotarł do niego i to wywołało kolejny, jeszcze większy szok w jego rozchwianej równowadze psychicznej.

Wybiera się na Ziemię! Czuł, że jego umysł z trudem ogarnia ten fakt, który przekraczał granice ludzkiego doświadczenia. Wybiera się na Ziemię — ale skąd? Obląkańcza odpowiedź zaświtała w końcu w jego umyśle. Oczywiście z Pałacu Nieśmiertelności, pałacu we mgle, w którym mieszkają Koordynatorzy.

Trafił do łazienki. Poprzedniej nocy odkrył w jej mroczniejącym wnętrzu przezroczysty słoik maści, z nalepką: „Krem usuwający zarost — natrzeć twarz, a potem zmyć wodą”. Zajął mu to zaledwie pół minuty, reszta — pięć minut. Wyszedł z łazienki już całkowicie ubrany. Głowa ciążyła mu jak kamień i jak kamień zanurzający się w wodzie ruszył ku drzwiom bliższym łóżka.

— Kochany!

— Tak? — Odwrócił się zeszywniały. Z ulgą zobaczył, że kobieta nie patrzy na niego. Trzymała w ręku jedno z magicznych piór, marszcząc brwi nad jakimiś liczbami w rejestrze. Nie podnosząc głowy powiedziała:

— Nasza wzajemna relacja temporalna wciąż się pogarsza. Powinieneś dłużej przebywać w pałacu i odmładzać się, podczas gdy ja udałabym się na Ziemię, dodając sobie parę lat. Załatwisz to, kochanie?

— Tak — odparł Drake. — Oczywiście!

Wyszedł do niewielkiego przedpokoju; potem do salonu. Wreszcie znalazłszy się na korytarzu oparł się o jego chłodną, gładką marmurową ścianę i pomyślał rozpaczliwie: odmłodzenie! A więc temu służy ten niesamowity budynek. Każdego dnia stajesz się tutaj młodszy i dlatego trzeba udawać się na Ziemię, by utrzymać równowagę.

Szok się potęgował. To co przytrafiło mu się w przyczepie, było więc tak istotne, że ta nieznana organizacja nadludzi starała się przeszkodzić mu w poznaniu całej prawdy. Ale dziś musi znaleźć jakiś sposób, by odkryć tę prawdę; przeszukać każde piętro i postarać się odnaleźć jakąś centralę. Z wolna się odprężał rozluźniając swą intensywną wewnętrzną koncentrację umysłu, kiedy naraz zdał sobie sprawę, że słyszy jakieś głosy. Głosy ludzkie!

Przesadziwszy balustradę balkonu Drake doszedł do wniosku, że powinien się być tego domyślić. Już sama obecność tej kobiety — tam, w łóżku — wskazywała, że świat ten jest kompletny w każdym szczególe. Ale mimo wszystko czuł zaskoczenie. Oszołomiony spoglądał w głąb wielkiego głównego korytarza, którego cichymi, pustymi odgałęzieniami, błąkał się przez tyle godzin poprzedniego dnia. Teraz kłębił się tutaj nieprzerwany strumień mężczyzn i kobiet. Korytarz przypominał ulicę w mieście, którą w obie strony śpieszą ludzie pochłonięci swymi prywatnymi sprawami.

— Hej, Drake! — usłyszał za plecami jakiś młody męski głos.

Drake'a nie było już w stanie nic poruszyć. Obrócił się powoli jak człowiek znużony. Nieznajomy, który mu się przyglądał, był wysoki i proporcjonalnej budowy. Miał ciemne włosy i pełną, silną twarz. Ubrany był w zgrabny jednocześnie garnitur, dopasowany od talii w górę; spodnie zaś wydymały się jak bryczesy. Jego uśmiech był przyjazny, z lekka kpiący. Wreszcie odezwał się spokojnym tonem:

— A więc chciałbyś się wszystkiego dowiedzieć? Spokojnie, dowiesz się. Ale najpierw przymierz tę rękawicę i chodź ze mną. Aha, przy okazji, nazywam się Price.

Drake spojrzął na rękawicę.

— Co... — zaczął bez zastanowienia, lecz umilkł. Czuł, że za szybko chce się wszystkiego dowiedzieć. To, że ten mężczyzna czekał na niego przy drzwiach, to przecież nie przypadek. Dodał sobie odwagi. Nie przejmuj się, nakazał sobie surowo. Najważniejsze, że wreszcie ktoś mówi coś do rzeczy. Ale co z tą rękawicą?

Wziął ją, marszcząc brwi. Była na prawą rękę i leżała jak ulał. Lekka, elastyczna, choć wydawała się nienaturalnie gruba. Miała delikatny połysk metaliczny.

— Po prostu chwyć go z tyłu za ramię tą rękawicą — mówił Price. — Naciśnij opuszkami palców poniżej obojczyka. Naciśnij mocno! Zademonstruję ci to później, gdy już mi zadasz wszystkie swoje pytania.

Zanim Drake zdołał się odezwać, Price mówił dalej:

— Odpowiem ci po drodze. Uważaj na tych schodach.

Drake wziął się w garść. Z trudem przełknął ślinę i zapytał:

— Co to za bzdury z łapaniem kogoś za ramię. Po co?...

Zamilkł bezradnie. Nie o to trzeba było najpierw zapytać. Był jak ślepiec mający tylko fragmentaryczną wiedzę o świecie, którego nie można zobaczyć. Tu nie mogło być mowy o jakiejś chronologii czy związku logicznym; istniały tylko mgliste pół-fakty. Musi zacząć od podstaw. Od tego, że Ralph Carson Drake odzwierciedla własną przeszłość. Coś się mu przydarzyło w przyczepie samochodowej, a wszystko, co nastąpiło później, było tego naturalnym następstwem jak noc po dniu. To przede wszystkim powinien mieć na uwadze.

— Psiakrew! — wyrwało się Drake'owi dręczonemu niepewnością. — Cholera, Price, chcę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

— Nie podniecaj się! — Zeszli już po schodach na dół i kierowali się bocznym korytarzem do wielkiego głównego holu. Price na wpeł odwrócił się do niego ze słowami: — Wiem, co czujesz, Drake, ale musisz zrozumieć, że nie możesz przeciążać umysłu ciągłym napływem informacji. Wczoraj nie spotkałeś tu nikogo. No, właściwie to nie było dokładnie wczoraj.

Wzruszył ramionami. — Sam więc widzisz. To było dzisiaj w świecie alternatywnym do naszego. Tak więc będzie stale z tym budynkiem, jeśli nie zrobisz tego, o co cię prosimy. Musieliśmy ci to pokazać. A teraz, na litość boską, nie prosź mnie o wyjaśnienie teorii prawdopodobieństwa czasu.

— Słuchaj — powiedział Drake z desperacją w głosie — zapomnijmy o tym wszystkim i skoncentrujmy się na jednym fakcie. Żądasz ode mnie, żebym użył do czegoś tej rękawicy. Do czego? Gdzie? Kiedy? Po co? Zapewniam, że czuję się całkiem normalnie. Ja...



Głos mu zamarł. Ujrzał nagle, że znaleźli się w głównym korytarzu i zmierzają ku olbrzymim drzwiom, za którymi były schody i mglista nicość. Czuł na plecach lepki pot.

— Dokąd idziemy? — zapytał gwałtownie.

— Zabieram cię na Ziemię.

— Przez te drzwi?

Drake przystanął. Nie zdawał sobie sprawy, co właściwie odczuwa, lecz dźwięczały mu w uszach jego własne słowa — gwałtowne i pełne napięcia.

Mężczyzna popatrzył nań spokojnie:

— Naprawdę nie ma w tym niczego niezwykłego — powiedział z przekonaniem. — Pałac Nieśmiertelności został zbudowany w zakolu czasu, jedynym znanym Rewersie czy też Nieśmiertelności, Zwrocie w Ziemskim Strumieniu Czasu. To on umożliwi pracę Koordynatorom, pracę dla dobra ludzkości — jak wiesz z relacji Koordynatora Kingstona Craiga, które czytałeś.

Kontynuował swe wyjaśnienia i perswazje, ale Drake'owi trudno było się skupić. Przeszkadzała mu mgła. Nie mógł się zdobyć na to, by jeszcze raz zejść po tych schodach.

I właśnie słowo „Koordynatorzy” zmusiło go do koncentracji. Widział już i słyszał je tak często, że na chwilę zapomniał, iż nie zna jego znaczenia.

— Kim są Koordynatorzy?

Mężczyzna popatrzył nań w zamyśleniu.

— Posiadają oni — odparł wreszcie — najbardziej wyjątkową zdolność wyróżniającą ich spośród innych ludzi. Potrafią poruszać się w czasie siłą woli. Jest ich — ciągnął Price — około trzech tysięcy. Wszyscy urodzili się w pięćsetletnim okresie, poczynając od XX wieku. Najdziwniejsze jest to, że każdy z nich pochodzi z tego samego małego okręgu Stanów Zjednoczonych, wokół miasta Kissling, Inchney, a zwłaszcza z niewielkiej osady zwanej Piffer's Road.

— Ależ — Drake z trudem poruszał suchymi wargami — ja się właśnie tam urodziłem. — Otworzył szeroko oczy. — I tam właśnie stała przyczepa.

Wydawało się, że Price go nie słyszy.

— Jeśli zaś chodzi o budowę ciała — mówił — to pod tym względem Koordynatorzy są również wyjątkowi. Każdy z nich ma narządy wewnętrzne po przeciwnej stronie niż normalni ludzie. Tak więc serce po prawej stronie, a . . .

— Zupełnie jak ja — powiedział Drake. Mówił wyraźnie, dobitnie, jakby szukał wyjścia z labiryntu. — Dlatego odrzuciła mnie komisja wojskowa. Powiedzieli, że nie mogą ryzykować, bo gdybym został ranny, chirurg mógłby nie znać mojego przypadku.

Za jego plecami żywo zastukały czyjeś kroki. Odwrócił się mechanicznie i ujrzał idącą ku nim kobietę w puszystym, falującym peniuarze. Uśmiechnęła się na jego widok; widział ten uśmiech niedawno, w sypialni. Podszedłszy odezwała się melodyjnym głosem:

— Biedak! Wygląda jak chory. No cóż, robiłam, co w mojej mocy, żeby łatwiej zniósł szok. Wyjaśniłam mu wszystko, co mogłam, nie zdradzając, że wiem wszystko.

— Och, on ma się całkiem dobrze — odparł Price. Obrócił się do Drake'a; na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. — Drake, pozwól, że ci przedstawię twoją żonę, z domu Selanie Johns, która opowie ci teraz, co działo się z tobą, gdy wszedłeś do przyczepy ciężarówki jej ojca w Piffer's Road. Zaczynaj, Selanie.

Drake stał bez ruchu. Czuł się, jakby był grudą ziemi, wyzbytą z emocji i wszelkich myśli. Jak w zwolnionym tempie docierał do niego głos Selanie, opowiadającej, co zaszło w przyczepie.

Znalazszy się w pokoju z tyłu przyczepy Drake zastanawiał się, co się stanie, jeśli nawet teraz zostanie przyłapany na gorącym uczynku. Usłyszał, że mężczyzna w środkowym pokoju mówi:

— Wybierzemy się w XIV wiek. Tam nie ośmielą się ingerować. — Zachichotał ponuro. — Zauważ, że wysłali starca i to tylko jednego. Ktoś z nich musiał wyjść i spędzić na Ziemi trzydzieści czy czterdzieści lat, by się zestarzeć, bo starsi mają o wiele mniejszy wpływ na otoczenie niż młodzi. Ale nie traćmy czasu. Podaj mi punkty transformacyjne i idź do kabiny włączyć transformatory atomowe.

Na ten moment czekał właśnie Drake. Wszedł cicho, zginając po kolei palce swej prawej dłoni uzbrojonej w rękawicę. Mężczyzna stał twarzą do drzwi prowadzących do pokoju frontowego znajdującej się za nim kabiny ciężarówki. Był krzepkiej budowy; z tyłu wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. W rękach ścisnął dwa przezroczyste stożki, które lśniły matowo.

— W porządku — zawołał gderliwym tonem, właśnie gdy Drake stanął za jego plecami. — Ruszamy. Teraz, Selanie, nie bój się już tak. To wszystko przez tych Koordynatorów, cholera z nimi! Jestem pewien, że nasza sprzedaż tych towarów i usunięcie takiej ilości metalu zakłóciło równowagę elektronową, która umożliwia im istnienie. — Głos mu zadrżał. — Kiedy pomyślę o ich świętokradztwie, jak to poczynają sobie niczym bogowie, ośmielają się używać swej potęgi, by zmienić naturalny bieg rzeczy, zamiast, jak proponowałem, uczynić z niej po prostu narzędzie badań historycznych. . .

Jego głos przeszedł w wystraszony pomruk, gdy Drake chwycił go za ramię i mocno nacisnął poniżej obojczyka. . .

\* \* \*

— . . . zaraz! — przenikliwy głos Drake'a przerwał opowieść kobiety. — Mówisz, że miałem rękawicę, taką jak ta — podniósł prawą dłoń w połyskującej lekko rękawicy, którą dał mu Price. — W twoim opowiadaniu zawarta jest sugestia, że wiedziałem już wszystko o Koordynatorach i Pałacu Nieśmiertelności. A przecież świetnie sobie zdajesz sprawę z tego, że wtedy nie wiedziałem o niczym.

Dopiero co wysiadłem z pociągu, w którym komiwojażer Bill Kellie pokazał mi pewne wieczne pióro.

Kobieta patrzyła nań poważnie.

— Jestem pewna, że za kilka minut wszystko zrozumiesz — powiedziała. — Wszystko, co zrobiliśmy, zostało specjalnie zaplanowane, by doprowadzić do tego momentu. Zaledwie parę godzin istnienia pozostało jeszcze temu światu alternatywnemu, w którym ty, pan Price i ja teraz przebywamy. Istnieje tu niezwykła równowaga sił i może się to wydać paradoksalne, ale teraz faktycznie działamy wbrew czasowi.

Drake spojrział na nią, zdumiony jej tonem. Kobieta powiedziała nagle:

— Pozwól mi, proszę, mówić dalej...

\* \* \*

Krępy mężczyzna stał bez ruchu jak człowiek ogłuszony potężnym ciosem. Gdy Drake puścił jego ramię, odwrócił się powoli i utkwiał przybity wzrok, nie w twarzy Drake'a, lecz w jego rękawicy.

— Niszczycielska Rękawica! — wyszeptał; potem wyrzucił z siebie gwałtownie: — Ale w jaki sposób? Przecież mój specjalny wynalazek powinien bronić Koordynatorom dostępu do mnie! — Spojrzął w twarz Drake'a. — Jak tego dokonałeś? Ja...

— Ojczy! — głos dziewczyny, wyraźny i wystraszony, dobiegał z kabiny ciężarówki. Przybliżył się: — Ojczy, zatrzymaliśmy się gdzieś około roku 1650. Co się stało? Myślałam...

Zamilkła, stając w drzwiach, jak spłoszony ptak: wysoka, szczupła dziewczyna około dziewiętnastu lat. Nagle wydała się starsza, bledsza, gdy ujrzała Drake'a. — Pan... był... w pociągu! — powiedziała. Przeniosła wzrok na ojca. Zabrakło jej tchu. — Tato, on nie...

Krępy mężczyzna skinął ponuro głową.

— Zniszczył moją zdolność poruszania się w czasie. Gdziekolwiek się teraz znajdujemy w czasie i przestrzeni, zostaniemy już tu. Ale nie o to chodzi. Najgorsze, że się nam nie udało! Koordynatorzy mogą nadal kontynuować swoje dzieło.

Dziewczyna nic nie powiedziała. Oboje, wydawało się, zupełnie zapomnieli o obecności Drake'a. Mężczyzna chwycił ją za ramię, mówiąc:

— Rozumiesz? Przegraliśmy!

Selanie wciąż milczała. Gdy wreszcie się odezwała, twarz miała bladą jak papier.

— Ojczy, to najtrudniejsze, co ci miałam kiedykolwiek do powiedzenia, ale cieszę się z tego. Oni mają rację; to ty się mylisz. Oni starają się naprawić jakoś te okropne omyłki Człowieka i Natury. Z tego swojego wielkiego daru stworzyli

cudowne narzędzie wiedzy i używają go niczym bogowie-dobroczyńcy. Łatwo ci było mnie przekonać, kiedy byłam dzieckiem, ale w ciągu tych lat nabrałam wątpliwości. Zostałam przy tobie jedynie przez lojalność. Przykro mi, tato.

Odwróciła się. Miała łzy w oczach, gdy otwierała drzwi przyczepy i zeskaکیwała na zieloną ziemię.

Drake stał przez chwilę, zafascynowany grą uczuć na twarzy mężczyzny: najpierw skurcz litości nad sobą, potem zaś przerastająca wszystko zawziętość. Rozpieszczone dziecko nie mogłoby być lepszym przykładem zawiedzionego egoizmu.

Drake rzucił mu ostatnie długie spojrzenie i także skierował się ku drzwiom. Czekala tam nań dziewczyna i zachwycający, nie odkryty jeszcze amerykański zachód.

Byli skazani na swe wyłączne towarzystwo wskutek zaciętego milczenia, w jakie schronił się stary człowiek. Selanie i Drake często wędrowali przez zieloną odludną dolinę. Raz, gdy znaleźli się daleko od przyczepy, natknęli się na grupę pieszych Indian. Nie wiadomo, która ze stron była bardziej zaskoczona. Selanie uratowała sytuację używając pistoletu atomowego. Strzeliła w kamień, który zniknął im z oczu w ognistym błysku. Nigdy więcej Indianie nie pojawili się na tej drodze.

Ich życie w pewnym sensie było idyllą. Miłość pojawiła się tak naturalnie jak wiatr, co dmie żalobnie nad samotnym ładem. Drake wytrwał mimo pierwotnego chłodu ze strony dziewczyny, ponieważ już w i e d z i a ł. Potem perswadowali usilnie upartemu człowiekowi, by nauczył choć jedno z nich, czy też oboje, jak się wykorzystuje wrodzoną zdolność do podróżowania w czasie. Drake wiedział, że mężczyzna wreszcie ustąpi, choćby ze względu na samotność, ale trwało to o rok dłużej.

\* \* \*

Drake wrócił myślami do olbrzymiej kopuły pałacu i zdał sobie sprawę, że kobiecy głos zamilkł. Popatrzył na Selanie, potem na Price'a. Wreszcie zapytał zdumiony:

— I to już wszystko? Twój... ojciec... — Spojrzał na kobietę, zająknąwszy się przy określaniu pokrewieństwa. Było mu niezwykle trudno kojarzyć tę dojrzałą kobietę z młodziutką Selanie Johns. — To znaczy, że twój ojciec był przeciwny Koordynatorom? Ale jak zamierzał się ich pozbyć?

Odpowiedział mu Price: — Plan pana Johnsa polegał na wprowadzeniu zmiany w tym modelu życia, jaki sprzyjał pojawieniu się Koordynatorów. Wiadomo, że istotną rolę odgrywało pożywienie, ale jakie połączenie żywności z innymi sprawami stanowiło podstawę, tego nie dowiedzieliśmy się nigdy. Pan Johns myślał,

że dając ludziom napój z jego kubków, a także używając innych urządzeń wytwarzających żywność oraz niektórych podstawowych artykułów, uda się mu przełamać ten powszechny kod egzystencji. Zbieranie metalu także było zaplanowane. Metal ma bardzo silny wpływ na wielki Strumień Czasu. Nagłe jego przeniesienie z jednego czasu do drugiego może zdeorganizować cały świat prawdopodobny. My zaś nie mogliśmy interweniować inaczej niż tak, jak to widziałeś. Świat poprzedzający wiek XXV to jedyny okres, w który nie mogą ingerować Koordynatorzy. Sam musi rozwiązywać swoje problemy. Nawet ty, jeden z pierwszych posiadaczy zdolności poruszania się w czasie, mimo że nigdy sam byś się nie nauczył tej metody, musiałeś zdążyć ku swemu przeznaczeniu w niemal naturalnym trybie.

— Zaraz — powiedział Drake — ale albo ja zwariowałem, albo ty. Gotów jestem zgodzić się ze wszystkim — z istnieniem Pałacu Nieśmiertelności, z tym, że ona jest moją żoną w przeszłości i że znalazłem się tu teraz, zanim się z nią jeszcze ożeniłem, natomiast p o tym, jak ona mnie poślubiła. Powiedziałem — dobrze, ale ty dopiero przed chwilą dałeś mi tę rękawicę, a kilka minut temu moja... żona... mówiła, że temu światu nieustannie zagraża unicestwienie. Czy jeszcze o czymś nie wiem? I skąd ta nagła amnezja?

— Twoja rola jest naprawdę bardzo prosta — przerwał mu Price. — Jako akwizytor z Quik-Rite Company poszedłeś śladem dziewiętnastoletniej Selanie do przyczepy w Piffer's Road, gdzie mieszkała wraz z ojcem. Nie spotkałeś tam nikogo, więc wróciłeś do wioski, by zasięgnąć języka. Po drodze zostałeś przeniesiony przez Koordynatora Draila McMahona o tydzień w przyszłość, natomiast wszelkie związane z tym wspomnienia zostały wymazane z twojej pamięci. Ocknąłeś się w szpitalu.

— Chwileczkę! — zaproponował Drake. — Moja... żona... właśnie mi powiedziała, co jeszcze zrobiłem. Wiedziałem już oczywiście o tym wcześniej. Był tam naoczny świadek, chłopak imieniem Jimmy, który widział, jak wracałem do przyczepy; a kiedy byłem w środku, ona zniknęła.

— Właśnie chcę ci to wyjaśnić — powiedział spokojnie Price. — Ze szpitala udałeś się w drogę, żeby się dowiedzieć, co ci się przytrafiło. Nie dowiedziałeś się. A potem zostałeś przeniesiony przez innego Koordynatora tutaj, do Pałacu Nieśmiertelności.

Drake spojrzał na mężczyznę, a potem na kobietę. Ta przytaknęła skinieniem i wtedy rozjaśniło mu się w głowie. Price zaś mówił dalej:

— Za kilka minut zabiorę cię na Ziemię w pobliże przyczepy Petera Johnsa i jego córki. Wejdiesz do środka, ukryjesz się w tylnym pokoju i w momencie, który już ci opisała Selanie, wyjdiesz z ukrycia i schwycisz jej ojca za ramię przez tę właśnie rękawicę. Wytwarza ona energię, która powoduje nieznaczną zmianę potencjału jego energii neuronowej. Nie uczyni mu to żadnej krzywdy, podobnie zresztą jak i my później. W gruncie rzeczy zostanie on przez nas wyko-

rzystany jako agent w badaniach przeszłości — zakończył Price. — Widzisz więc, że wymaga to wolnej woli i że musieliśmy zrobić wszystko, by się upewnić, że nie popełnisz żadnego błędu.

— Teraz już zaczynam pojmować — odparł Drake.

Odczuwał zupełny spokój, jeśli nie liczyć tego, jak wzrastało w nim uczucie zrozumienia. Powoli podszedł do kobiety, ujął ją za rękę i popatrzył jej głęboko w oczy.

— A więc to ty? Kiedy? — zapytał.

— Pięćdziesiąt lat później w twoim życiu.

— A ja gdzie teraz jestem? Gdzie jest teraz twój mąż?

— Wybrałaś się na Ziemię, w przyszłość. Trzeba cię było czasowo odsunąć. Ta sama osoba nie może się znajdować w tej samej czasoprzestrzeni. Ale to mi coś nasuwa na myśl: w ten sposób mamy cię w szachu!

— Jak?

— Jeśli zamiast wejść do przyczepy odejdziesz szosą, by wrócić do swego poprzedniego życia, w ciągu tygodnia dojdiesz do tego samego momentu, kiedy twoje wcześniejsze „ja” znajdowało się w szpitalu. Wówczas znikniesz, ulegniesz dezintegracji.

Drake uśmiechnął się do niej.

— Nie mam zamiaru was zawieść — powiedział.

Odwrócił się i patrzył na nią, schodząc w dół po stopniach otulonych gęstniejącą mgłą. Stała z twarzą przyciśniętą do szyby w drzwiach.

Wkrótce pochłonęła ją mgła.

Poszukiwanie było skończone. Teraz w jego życiu przyszła kolej na wydarzenia, o których — jak sądził — zapomniał.

# Daleki Centaur

## *Far Centaurus*

Wzdrygnąłem się przez sen i obudziłem. Jak to zniósł Renfrew? — pomyślałem.

Widocznie się poruszyłem, bo przeszył mnie ostry ból i ciemność zamknęła się nade mną. Nie wiem, jak długo leżałem w tym stanie bolesnego omdlenia. Gdy odzyskałem przytomność, poczułem ciąg silników poruszających statek kosmiczny.

Świadomość wracała mi tym razem powoli. Leżałem bez ruchu, czując brzemie całych lat snu. Zdecydowany byłem trzymać się ściśle regulaminu ustalonego już tak dawno temu przez Pelhama.

Nie chciałem zemdleć ponownie.

Leżałem i rozmyślałem: to niemądre z mojej strony martwić się o Jima Renfrewa, który ma pozostać w stanie hibernacji jeszcze przez pięćdziesiąt lat.

Zacząłem obserwować iluminowaną tarczę zegara na pulpicie. Kiedy się obudziłem, wskazywał 23.12; teraz była 23.22. A więc upłynęło już dziesięć minut — czas niezbędny, zdaniem Pelhama, między całkowitą biernością a początkiem aktywności.

Powolutku sięgnąłem ręką do krawędzi łóżka. Pstryk! Nacisnąłem guzik, który się tam znajdował. Rozległ się cichy szum. Automat do masażu zaczął się delikatnie przesuwac po moim nagim ciele. Najpierw nacierał mi ramiona, potem nogi i stopniowo całe ciało. Czułem, jak sączy się cienka strużka olejku, wsiąkając w moją suchą skórę.

Wielokrotnie aż krzyczałem z bólu, ale już po godzinie mogłem usiąść i zapalić światła.

Mała, oszczędnie umeblowana, znajoma kabina nie mogła na długo przykuć mojej uwagi. Wstałem.

Poruszenie musiało być zbyt gwałtowne. Zachwiałem się, uchwyciłem za metalowy filar łóżka i zwymiotowałem bezbarwne soki żołądkowe.

Mdłości minęły. Jednak aby podejść od drzwi, otworzyć je i przejść wąskim korytarzem do sterowni, potrzebowałem całej siły woli.

Wprawdzie nie należało to do moich obowiązków, ale nie mogłem się oprzeć pokusie — pochyliłem się nad pulpitem sterowniczym i spojrzałem na chronometr.

Wskazywał 53 lata, 7 miesięcy, 2 tygodnie, 0 dni i 27 minut.

Pięćdziesiąt trzy lata! Na Ziemi wszyscy ci, których znaliśmy: młodzi mężczyźni, z którymi chodziliśmy na uczelnię, dziewczyna, która pocałowała mnie na przyjęciu wydanym na naszą część w noc naszego odjazdu — wszyscy oni są już martwi albo dożywają sędziwego wieku, pomyślałem bez zastanowienia, prawie obojętnie.

Obraz tej dziewczyny utkwiał mi w pamięci. Była śliczna, pełna życia, zupełnie nieznajoma. Śmiała się, podając mi czerwone usta ze słowami: „A teraz jeszcze buziak dla brzydala”.

Jest już pewnie staruszką albo spoczywa w grobie.

Łzy napłynęły mi do oczu. Otarłem je i zabrałem się do podgrzewania puszki płynnego koncentratu, który miał być moim pierwszym posiłkiem. Stopniowo odzyskiwałem równowagę ducha.

Pięćdziesiąt trzy lata oraz siedem i pół miesiąca, myślałem chaotycznie. Prawie cztery lata ponad wyznaczony czas. Muszę dokonać kilku obliczeń, zanim wezmę następną dawkę eliksiru długowieczności. Dwadzieścia granulek, jak wyliczono, miało zakonserwować moje ciało i utrzymać mnie przy życiu dokładnie przez pięćdziesiąt lat. Środek był najwidoczniej silniejszy, niż był to w stanie stwierdzić Pelham podczas testów krótkoterminowych.

Rozmyślałem nad tym wszystkim siedząc napięty, ze zwężonymi oczami. Raptem uświadomiłem sobie, co robię, i parsknąłem śmiechem. Dźwięk strzaskał ciszę niczym seria wystrzałów; przestraszyłem się.

Ale zarazem i odprężyłem. A więc siedzę sobie właśnie i zajmuję się krytykanctwem?

A przecież cztery lata to kropla w morzu w porównaniu z całym okresem naszej podróży!

Jestem wszak żywy i wciąż młody. Czas i przestrzeń zostały pokonane. Wszechświat należy do człowieka!

Jadłem swoją „zupę” niespiesznie, małymi łykami. Zjadłem całą miskę wykorzystując każdą sekundę z wyznaczonych mi trzydziestu minut. Potem, wielce pokrzepiony, wróciłem tą samą drogą do sterowni.

Tym razem zatrzymałem się na dłużej, by popatrzeć na ekrany. Już po chwili zlokalizowałem Sol — bardzo jasno świecącą gwiazdę prawie w centrum ekranu rufowego.

Na zlokalizowanie Alfę Centauri potrzebowałem więcej czasu. Ale i ona zajaśniała wreszcie — iskrzący się punkcik w usianej światłami ciemności.



Nie traciłem czasu na obliczanie ich odległości. W ciągu pięćdziesięciu czterech lat przebyliśmy dziesiątą część z 4,3 lat świetlnych drogi do tego nam najbliższego układu gwiazdowego.

Usatysfakcjonowany, wróciłem do kabin mieszkalnych. No, a teraz po kolei, pomyślałem. Najpierw Pelham.

Gdy otworzyłem drzwi hermetyzowanej kabiny Pelhama, uderzył mnie w nozdrza nieznośny odór rozkładającego się ciała. Z trudem łapiąc oddech zatrzasnąłem drzwi. Stałem dygocąc w wąskim korytarzu.

Upłynęła minuta; nie pozostało mi nic innego, jak pogodzić się z rzeczywistością.

Pelham był martwy.

Nie pamiętam już dokładnie, co wówczas zrobiłem. Biegłem, to wiem. Gwałtownie pchnąłem drzwi do kabiny Renfrewa, potem Blake'a. Czysty, świeży zapach w ich kabinach, widok ich nieruchomych ciał na łóżkach przywróciły mi równowagę wewnętrzną.

Przejął mnie głęboki smutek. Biedny, zacny Pelham! Wynalazca eliksiru długowieczności, który umożliwił nam ten wielki skok w przestrzeń międzygwiazdową, leżał teraz martwy — ofiara swego własnego wynalazku.

To przecież on powiedział: „Ryzyko, że któryś z nas umrze, nie jest zbyt wielkie. Ale istnieje, jak ja to nazywam, współczynnik śmierci wynoszący około dziesięciu procent, produkt uboczny pierwszej dawki. Jeżeli nasz organizm przeżyje ten pierwszy szok, wytrzyma kolejne dawki”.

Widocznie współczynnik śmierci jest większy niż dziesięć procent i dlatego eliksir utrzymywał mnie w stanie hibernacji dodatkowo cztery lata.

Zgnębiony poszedłem do magazynu, gdzie zaopatrzyłem się w swój skafander kosmiczny i brezent. Ale nawet i ten ubiór nie łagodził potworności roboty! Elixir konserwuje ciało do pewnego stopnia, lecz i tak kiedy je podnosiłem, odpadało kawałkami.

W końcu zaniósłem brezent wraz z jego zawartością do śluzy powietrznej i wypchnąłem w przestrzeń kosmiczną.

Zdałem sobie sprawę, że mam już teraz niewiele czasu. Okresy czuwania miały być krótkie i zużywało się wówczas — jak to nazywaliśmy — „bieżące” zasoby tlenu; główne rezerwy miały pozostać nienaruszone. Odczynniki chemiczne w każdej kabynie stopniowo przez te lata odświeżały „bieżące” powietrze, przystosowując je do naszego kolejnego przebudzenia.

Tak się jakoś dziwnie złożyło, że — jakby w geście samoobrony — nie wzięliśmy pod uwagę ewentualności śmierci któregoś z członków załogi i teraz, nawet po wygramoleniu się z kombinezonu, czułem różnicę w składzie powietrza, którym oddychałem.

Najpierw poszedłem do radia. Obliczono, że pół roku świetlnego stanowi granicę zasięgu fal radiowych, i właśnie zbliżyliśmy się do tego limitu.

Pośpieszenie, choć skrupulatnie napisałem raport, potem odczytałem go do dyktafonu i zacząłem nadawać. Włączyłem nadawanie na sto razy. Upłynie niewiele ponad pięć miesięcy do chwili, gdy wiadomość dotrze do Ziemi.

Podpiąłem swój raport do dziennika pokładowego i dołączyłem na dole dopisek dla Renfrewa. Był to krótki hołd złożony pamięci Pelhama. Pisałem go z potrzeby serca, miałem wszakże jeszcze jeden powód: Renfrew i Pelham byli przyjaciółmi. Renfrew — geniusz inżynierii, konstruktor naszego statku, Pelham — wielki chemik-lekarz, którego eliksir umożliwił ludzkości podjęcie tej fantastycznej wyprawy w przestworza.

Sądziłem, że Renfrewowi — gdy ocknie się w wielkiej ciszy pędzącego statku — potrzebny będzie ten mój hołd dla jego przyjaciela i współpracownika. Dla mnie, który kochałem ich obu, był to wystarczający powód.

Po napisaniu noty pospiesznie dokonałem przeglądu rozgrzanych silników, zapisałem odczyty przyrządów i odliczyłem pięćdziesiąt pięć granulek eliksiru. Była to dawka — wyliczona z tak ścisłą dokładnością, na jaką mnie tylko było stać — potrzebna mi na sto pięćdziesiąt lat.

Jeszcze przez dłuższą chwilę, zanim zapadłem w sen, myślałem o Renfrewie i o tym straszliwym wstrząsie, jaki go czeka, poza innymi — naturalnymi w jego sytuacji — odczuciami, i że poruszy to do głębi jego szczególnie wrażliwą naturę...

Poruszyłem się, zaniepokojony tą wizją.

Niepokój wciąż jeszcze tkwił w mej duszy, kiedy nadeszła ciemność.

\* \* \*

Prawie od razu otworzyłem oczy. Elixir, pomyślałem leżąc. Skończyło się jego działanie.

Uczucie odrętwienia w całym ciele przywróciło mnie do rzeczywistości. Leżałem nieruchomo, obserwując zegar nad głową. Tym razem łatwiej mi przyszło podporządkować się procedurze, poza tym, że znowu nie mogłem się powstrzymać od skontrolowania chronometru, gdy mijałem go po drodze do kuchni.

Wskazywał 201 lat, 1 miesiąc, 3 tygodnie, 5 dni, 7 godzin, 8 minut.

Wypiłem małymi łykami miskę tej mojej super-zupy, a potem niecierpliwie podszedłem do olbrzymiego dziennika pokładowego.

Nie potrafię opisać wzruszenia, jakie mnie ogarnęło, gdy ujrzałem znajome pismo Blake'a i — po przrzuceniu kartek — Renfrewa.

W miarę jednak jak odczytywałem, co Renfrew napisał, moje emocje opadły. Był to suchy raport i nic więcej: odczyty grawitometryczne, dokładne obliczenia przebytej drogi, szczegółowe sprawozdanie osiągnięć silników i wreszcie ocena zmian prędkości oparta na siedmiu stałych.

Była to fachowa robota, pierwszorzędna analiza naukowa. Ale nic poza tym: żadnej wzmianki o Pelhamie, ani słowa o tym, co zaszło lub co napisałem.

Gdyby ten raport miał stanowić jakieś kryterium, dla mnie Renfrew równie dobrze mógłby być robotem.

Wiem coś o tym.

Podobnie — jak stwierdziłem przeczytawszy sprawozdanie Blake'a — uważał Blake.

„Bill,

**WYRWIJ TĘ KARTKĘ PO PRZECZYTANIU!**

A więc stało się najgorsze. Co za ironia losu. Nie mogę nawet znieść myśli o tym, że Pelham nie żyje. Co to był za człowiek, jaki przyjaciel! Lecz przecież wiedzieliśmy, jakie bierzemy na siebie ryzyko; on nawet lepiej zdawał sobie z tego sprawę niż któryś z nas. Możemy jedynie powiedzieć: śpij spokojnie, drogi przyjacielu. Nigdy Cię nie zapomnimy.

Co do Renfrewa — to stan jego budzi obawy. Niepokoiliśmy się o niego, jak zniesie swe pierwsze przebudzenie, a jeszcze doszedł szok po śmierci Pelhama. Sądzę, że nasz niepokój był uzasadniony.

Na Ziemi Renfrew, obaj to wiemy, był wybrańcem losu, ze swoją aparycją, pieniędzmi, inteligencją. Jego wielką wadą było to, że nie troszczył się o przyszłość. Z tą swoją olśniewającą osobowością, otoczony przez grono wielbicielek i potakiwaczy — miał czas zaledwie na teraźniejszość.

Naga rzeczywistość zawsze zaskakiwała go niczym grom z jasnego nieba. Mógł nawet i opuścić te swoje trzy byłe żony (w gruncie rzeczy nie takie znów byłe, jeśli cię to interesuje), nie zdając sobie sprawy, że to na zawsze.

Sam pożegnalny bankiet wystarczył, by człowiekowi zamącić w głowie, odebrać mu poczucie rzeczywistości. Obudzić się sto lat później i zdać sobie sprawę, że tych, których kochał, już nie ma, umarli i zjadły ich robaki — brr!

(Umyślnie ubrałem to w tak ponure barwy, bo przecież myśl ludzka zgłębia najbardziej nawet przerażające aspekty rzeczywistości, niezależnie od tego, jak się je cenzuruje w mowie.)

Osobiście liczyłem na Pelhama jako na swego rodzaju moralną podporę dla Renfrewa. Obaj wiemy, że Pelham zdawał sobie sprawę ze swego wpływu na niego. Teraz trzeba to będzie czymś zastąpić. Spróbuj coś wymyślić, Bill, w czasie wykonywania swych zadań. Przecież

będziemy musieli żyć z tym facetem, gdy się już wszyscy obudzimy za pięćset lat. Wyrwij tę kartkę! Reszta to już zwykłe sprawy.

Ned.”

Wrzuciłem list do spalarki. Przyjrzałem się jeszcze obu śpiącym — jakże śmiertelnie nieruchomym — i wróciłem do sterowni.

Na ekranie Słońce było bardzo jasno świecącą gwiazdą, klejnotem na ciemnym welwecie nieba, przepysznie błyszczącym brylantem.

Alfa Centauri świeciła jaśniej. Było to rozchodzące się promieniście światło w pełnej zbroi czerni i blasku. Nadal nie można było rozróżnić poszczególnych słońc Alfy: A, B, C i Proximy, ale ich scalone światło sprawiało wrażenie ogromu i majestatu.

Byłem podekscytowany. Nagle pojąłem doniosłość tego wydarzenia: po raz pierwszy człowiek odbywa podróż na dalekiego Centaura, po raz pierwszy ośmiela się sięgać gwiazd.

Nawet myśl o tym, że na Ziemi od naszego wyjazdu urodziło się już siedem, a może osiem pokoleń i że dziewczyna, która pozostawiła mi słodkie wspomnienie swych czerwonych warg, jest znana swym potomkom jako ich pra-pra-pra-prababka, o ile jeszcze o niej pamiętają — nawet ta myśl nie zdołała przyćmić mojego zachwyty.

Czas, jaki upłynął, był nieograniczony, niewyobrażalny, nie mógł więc budzić emocji.

Wykonałem swoje zadanie, wziąłem trzecią dawkę eliksiru i poszedłem do łóżka. Zasnąłem, wciąż jeszcze bez żadnego planu odnośnie Renfrewa.

Gdy się przebudziłem, usłyszałem syrenę alarmową.

Leżałem. Nie mogłem zrobić nic innego. Gdybym się poruszył, straciłbym przytomność. Zdawałem sobie sprawę, chociaż sama nawet myśl o tym stanowiła prawdziwą udrękę, że bez względu na niebezpieczeństwo najszybszą drogą będzie przestrzeganie ustalonej procedury w każdym szczególe i co do sekundy.

Jakoś mi się to udało. Syrena alarmowa była przenikliwie, ale ja się nie poruszyłem, dopóki nie nadeszła pora wstawania. Gdy przechodziłem przez sterownię, hałas był nie do wytrzymania. Ale zniósłem to i potem siedziałem pół godziny siorbiąc zupę.

Byłem niemal przeświadczony, że jeśli ten hałas potrwa dłużej, Blake i Renfrew się obudzą.

W końcu uznałem, że pora już stawić czoła niebezpieczeństwu. Wziąwszy głęboki oddech zająłem miejsce przy pulpicie sterowniczym. Skasowałem świdrującą mózg syrenę i włączyłem ekrany.

Z ekranu rufowego buchnęły płomienie. Był to potężny słup białego ognia, wydłużony, wypełniający prawie jedną czwartą część nieba. Przyszła mi do głowy potworna myśl: że musimy się znajdować w odległości kilku milionów kilo-

metrów od jakiegoś olbrzymiego słońca, które niedawno wybuchło w tej części przestrzeni kosmicznej.

Zapamiętałem manipulowałem przy dalmierzach — potem przez moment, z tępyim niedowierzaniem, wpatrywałem się w odpowiedź, która z metalicznym szczękiem zjawiła się na ekranie.

Siedem kilometrów. T y l k o siedem kilometrów! Dziwny jest umysł ludzki; jeszcze przed chwilą, gdy sądziłem, że jest to anormalnie ukształtowane słońce, nie przywodziło mi to na myśl niczego innego prócz rozżarzonej masy. Teraz raptem dostrzegłem wyraźne kontury i łatwy do rozpoznania kształt.

Oszołomiony, zerwałem się na równe nogi, ponieważ. . .

Był to statek kosmiczny! Olbrzymi, długi na półtora kilometra. A raczej — opadłem z powrotem na fotel, przygnieciony katastrofą, której właśnie byłem świadkiem — był to płonący wrak statku kosmicznego. Nikt nie mógł ująć z życiem z tego piekła żarłocznych płomieni. Chyba, że załoga zdołała odstrzelić łodzie ratunkowe.

Jak oszalały przeszukiwałem niebo w pogoni za światłem, błyskiem metalu, które by wskazywały na obecność ocalałych.

Ale nie było nic prócz ciemności i gwiazd, i płonącego wraku.

Po dłuższym czasie zauważyłem go dalej: zdawał się zostawać w tyle. Jeśli silniki zrównywały dotąd jego prędkość z naszą, w końcu jednak musiały się poddać furii ognia trawiącego statek.

Zacząłem fotografować. Czułem się usprawiedliwiony odkręcając kurek z rezerwowym tlenem. Gdy przestrzeń między nami zaczęła się powiększać, ta miniatura Nova, będąca uprzednio smukłym kosmicznym liniowcem, powoli zmieniła barwę tracąc swą intensywną biel. Ostatni rzut oka ukazał mi wydłużoną poświatę przypominającą wiśniowego koloru mgławicę oglądaną poziomo — odbłask światła w ciemności ponad odległym horyzontem.

Pomiędzy tymi obserwacjami zrobiłem już wszystko, co do mnie należało. Teraz włączyłem ponownie system alarmowy i bardzo chętnie, z głową nabitą myślami wróciłem do łóżka.

Gdy tak leżałem czekając, aż ostatnia dawka eliksiru zacznie działać, rozmyślałem: wielki system gwiazdny Alfa Centauri musi mieć zamieszkane planety. Jeśli się nie mylę w swoich obliczeniach, znajdujemy się w odległości zaledwie 1,6 roku świetlnego od głównej grupy słońc Alf, odrobinę zaś bliżej czerwonej Proximy.

A więc świadczyłoby to o tym, że jest we wszechświecie co najmniej jeszcze jedna wysoko rozwinięta cywilizacja. Zdumiewający świat, o jakim się nam nawet nie śniło, stoi przed nami otworem. Poczulem dreszcz ekscytacji.

Dośłownie w ostatniej chwili, gdy już sen brał mnie w swoje posiadanie, uprzytomniłem sobie, że całkiem zapomniałem o naszych problemach z Renfrewwem.

Nie czułem jednak niepokoju. Z pewnością Renfrew, gdy stanie oko w oko z obcą cywilizacją, odzyska swą energię życiową.

Nasze kłopoty się skończyły.

\* \* \*

Widać moja ekscytacja musiała przetrwać przez te ostatnie sto pięćdziesiąt lat snu, bo zaledwie się obudziłem, pomyślałem:

Jesteśmy na miejscu! Wreszcie skończyła się ta długa noc, ta nasza fantastyczna podróż. Teraz będziemy już razem, będziemy widzieli się nawzajem, a także poznamy tutejszą cywilizację. Ujrzymy słońca wielkiego Centaura.

Dziwna rzecz: gdy leżałem przepelniony radością, uderzyło mnie to, że czas, który upłynął, wydał mi się tak długi. Bo właściwie... właściwie budziłem się tylko trzy razy, a z tego raz zaledwie na okres całego dnia.

W najprawdziwszym znaczeniu tego słowa widziałem Blake'a i Renfrewa — i Pelhama — półtora dnia temu. Okres mojej świadomości trwał zaledwie trzydzieści sześć godzin od momentu, gdy miękkie wargi dotknęły moich ust i przywarły doń w najśłodszym w mym życiu pocałunku.

Skąd zatem uczucie, że upłynęły całe stulecia, sekunda za sekundą? Skąd ta niesamowita, nieuzasadniona świadomość podróży przez nieprzeniknioną, nie kończącą się noc?

Czyżby umysł ludzki można było tak łatwo omamić?

Wreszcie — jak mi się wydawało — znalazłem odpowiedź: mój organizm był utrzymywany przy życiu przez całe te pięćset lat, wszystkie moje komórki i organy funkcjonowały — niewykluczone więc, że również pewne ośrodki w moim mózgu zachowały świadomość przez cały ten czas.

Dochodził do tego jeszcze, oczywiście, fakt psychologiczny, że teraz przecież wiem, iż upłynęło właśnie pięćset lat i że...

Wzdrygnąłem się ujrawszy, że już minęło dziesięć minut. Ostrożnie włączyłem automat do masażu.

Delikatne, z miękką wyściółką ręce automatu masowały mnie już od piętnastu minut, kiedy drzwi się otworzyły. Pstryknęło światło i zobaczyłem Blake'a.

Zbyt gwałtowne odwrócenie głowy w jego stronę sprawiło, że płatki zawirowały mi przed oczami. Zamknąwszy oczy słyszałem jego kroki, jak szedł w moją stronę.

Po minucie mogłem już spojrzeć ponownie; tym razem widziałem go wyraźnie. Zobaczyłem, że niesie mi miskę z zupą. Stał nade mną patrząc na mnie dziwnie ponurym wzrokiem.

Wreszcie jego pociągła, szczupła twarz rozluźniła się w bladym uśmiechu.

— Się masz, Bill — odezwał się. — Szszsz! — syknął zaraz. — Nie próbuj teraz mówić. Będę cię karmił zupą, a ty leż spokojnie. Im szybciej będziesz na chodzie, tym lepiej.

Uśmiechnął się znowu, a potem, jakby po namyśle dodał:

— Jestem już na nogach od dwóch tygodni.

Usiadł na brzegu łóżka i zaczerpnął pełną łyżkę zupy. W ciszy jaka zapanowała, słychać było szum aparatu do masażu. Z wolna wracały mi siły. Coraz bardziej też uświadamiałem sobie przygnębianie Blake'a.

— Co z Renfrewem? — zdołałem w końcu wykrztusić z siebie chrapliwie. — Obudził się?

Blake zawahał się, po czym pokiwał głową. Twarz mu sponęniała. Zmarszczył brwi.

— On jest szalony, Bill — powiedział po prostu. — To skończony wariat! Musiałem go związać. Jest teraz w swojej kabienie. Teraz już się trochę uspokoił, ale przedtem mamrotał coś jak maniak.

— Zglupiałeś? — wyszeptałem wreszcie. — Renfrew nigdy dotąd nie był taki wrażliwy. Przygnębiany i zniechęcony, owszem, ale przecież samo uświadomienie sobie, że upłynęło tyle lat i że żaden z jego przyjaciół już nie żyje, nie mogło go wpędzić w obłąd.

Blake pokręcił głową.

— To nie tylko o to chodzi, Bill.

Urwał, potem znów podjął: — Bill, musisz się przygotować na szok, jakiego jeszcze dotąd nie przeżyłeś.

Utkwiłem w nim pytający wzrok, czując pustkę w głowie.

— Co masz na myśli?

— Wiem, że ty to zniesiesz — mówił dalej, z grymasem na twarzy. — A więc nie przestrasz się. Ty i ja byliśmy parą doświadczalnych glist. Wysłano nas w tę podróż, ponieważ weszliśmy do U razem z Renfrewem i Pelhamem. Praktycznie dla takich gruboskórnych facetów jak my powinno to być bez znaczenia, czy wylądujemy w roku milionowym naszej ery czy p.n.e. Rozejrzelibyśmy się wokół siebie i powiedzieli: „Jak się masz, stary durniu?”, czy też: „Kto to był ten pterodaktyl, którego widziałem z tobą wczoraj wieczorem? To nie był pterodaktyl. To była jajogłowa żona Unthahorstena”.

— Mów od razu, o co chodzi? — wyszeptałem.

Blake wstał. — Bill, gdy przeczytałem twoje raporty o tym, co się wydarzyło, i obejrzałem fotografie płonącego statku, przyszło mi coś do głowy. Dwa tygodnie temu słońca Alfy były bardzo blisko, zaledwie około sześciu miesięcy od nas, według naszej średniej prędkości ośmiuset kilometrów na sekundę. Sprawdzimy, czy uda mi się złapać którąś z ich stacji, pomyślałem sobie.

— No więc — uśmiechnął się z przymusem — w ciągu kilku minut złapałem setki audycji. Były nadawane na wszystkich siedmiu pasmach, wyraźne jak dźwięk dzwonu.

Zrobił pauzę, popatrzył na mnie z nikłym uśmiechem na ustach.

— Bill — jęknął — jesteśmy największymi kretynami pod słońcem! Kiedy powiedziałem o wszystkim Renfrewowi, sflaczał jak przekłuty balonik.

Znowu przerwał. Moje napięte nerwy nie wytrzymały tego milczenia.

— Na litość boską, człowieku... — zacząłem. I urwałem. Leżałem bez ruchu, olśniła mnie nagła myśl. Czułem, jak krew we mnie lodowacieje. W końcu wydobyłem z siebie słaby głos: — Więc mówisz, że...

Blake przytaknął. — Owszem, tak właśnie to wygląda. Oni nas odkryli swymi promieniami zwiadowczymi i ekranami energetycznymi. Wystartował już statek na nasze spotkanie.

Mam jedynie nadzieję — zakończył ponuro — że będą coś mogli zrobić dla Jima.

W godzinę później, kiedy siedziałem za pulpitem sterowniczym, dostrzegłem błysk w ciemnościach. Jasnosrebrzysty błysk eksplodował do pełnych rozmiarów. Już po chwili potężny statek kosmiczny zrównał się z nami prędkością, o niecały kilometr z tyłu.

Popatrzyliśmy z Blake'iem na siebie.

— Czy dobrze słyszałem? — zapytałem drżącym głosem — że ten statek wystartował z hangaru dziesięć minut temu?

Blake skinął głową.

— Pokonuje drogę z Ziemi na Centaura w trzy godziny — powiedział.

Tego jeszcze nie słyszałem. Czułem, że mąci mi się w głowie.

— Co?! — wykrzyknąłem. — A nam to zajęło pięćset...

Zamilkłem. — Trzy godziny! — wyszeptałem. — Jak można było nie wziąć pod uwagę postępu technicznego?

W głębokim milczeniu obserwowaliśmy, jak w przypominającej skałę ścianie na wprost nas pogłębia się ciemny otwór. Do tej pieczary skierowałem nasz statek.

Na ekranie rufowym widać było, jak wejście do pieczary się zamyka. Przed nami rozbłysły światła i ześrodkowały się na jakichś drzwiach. Gdy opuściłem nasz statek na metalową podłogę, na ekranie łączności mignęła czyjaś twarz.

— Cassellahat! — szepnął mi Blake do ucha. — Facet, który utrzymywał ze mną kontakt.

Była to twarz dystyngowanego erudyty. Cassellahat uśmiechnął się do nas i powiedział:

— Możecie już opuścić wasz statek i wejść tymi drzwiami.

Gdy ostrożnie wychodziliśmy na zewnątrz, do przestrzennej sali recepcyjnej, miałem wrażenie, że otacza nas pusta przestrzeń. Przypomina to hangar statku międzyplanetarnego, skojarzyłem sobie. Tylko że ten jest jakiś obcy...



„Nerwy!” skarciłem się ostro w myślach.

Ale po minie Blake’a poznałem, że ma podobne odczucia. Przeszliśmy — milczący duet — przez wskazane drzwi na korytarz prowadzący do olbrzymiego luksusowego pomieszczenia.

Mogła to być komnata królewska lub apartament gwiazdy filmowej. Całe ściany pokryte były wspaniałymi obiciami — to znaczy przez chwilę zdawało mi się, że są to obicia; potem stwierdziłem, że jednak nie. To były... nie mogłem rozstrzygnąć...

Widywałem już kosztowne meble w paru apartamentach należących do Renfrewa, ale te kanapy, krzesła i stoły fosforyzowały, jakby były wykonane z dobrych deseniem różnokolorowych ogni. Nie, to nie tak. One wcale nie fosforyzowały, tylko...

Znów nie umiałem się zdecydować.

\* \* \*

Nie miałem już czasu na szczegółowe obserwacje. Mężczyzna, ubrany tak samo jak my, wstawał na nasz widok z krzesła. Rozpoznałem Cassellahata.

Szedł do nas, uśmiechając się. Nagle zwolnił, pociągnął nosem. W chwilę później pospiesznie uścisnął nam dłonie i chyżo wycofał się na krzesło znajdujące się o trzy metry od nas, siadając na nim sztywno.

Było to zadziwiająco nieuprzejme zachowanie, ale byłem zadowolony z tego, że się wycofał, ponieważ choć tak krótko potrząsnął moją dłońią, poczułem słabą woń perfum. Był to nieokreślony, nieprzyjemny zapach. A w ogóle — mężczyzna nadużywający perfum!

Wzdrygnąłem się. Czyżby gatunek ludzki stał się teraz tak przesadnie wymuszany?

Gestem wskazał nam, byśmy usiedli. Zrobiłem to, zastanawiając się w duchu: „Więc to ma być powitanie?”

— Muszę was ostrzec — zaczął Cassellahat — co do waszego przyjaciela. Jest on typem schizofrenika, i nasi psychologowie będą mogli uzyskać poprawę stanu jego zdrowia jedynie na krótki okres. Pełna kuracja będzie wymagała dłuższego czasu i waszej całkowitej współpracy. Powiniście godzić się na wszystkie jego projekty, o ile oczywiście nie przybiorą one niebezpiecznego kierunku.

No a teraz — obdarzył nas uśmiechem — pozwólcie, że was powitam na czterech planetach Centaura. To wielka chwila w moim życiu. Od wczesnego dzieciństwa byłem przygotowywany wyłącznie do tego jedyne zadania — bycia waszym mentorem i przewodnikiem. I naturalnie jestem zachwycony, że nadeszła wreszcie ta chwila, gdy moje gruntowne studia nad językiem i obyczajami amerykańskimi okresu średniego mogą znaleźć praktyczne zastosowanie, co też było ich intencją.

Wcale nie wyglądał na zachwyconego. Marszczył nos w ów śmieszny sposób, który już u niego wcześniej zauważyłem, i miał bolesciwy wyraz twarzy. Ale dopiero jego słowa mnie zaszokowały.

— Co pan ma na myśli — zapytałem — mówiąc o „studiach nad językiem amerykańskim”? Czyżby język ogólnonarodowy już wyszedł z użycia?

— No, nie, oczywiście, że nie — uśmiechnął się — ale tak się zmienił, że, mówiąc szczerze, mielibyście trudności ze zrozumieniem nawet tak prostego słowa, jak „yhm”.

— Yhm? — powtórzył Blake.

— To znaczy „tak”.

— Ach, tak.

Siedzieliśmy milcząc. Blake żuł dolną wargę. Wreszcie odezwał się.

— Jakie są tutejsze planety? Mówił mi pan coś przez radio o centrach populacyjnych, które się z powrotem przekształca w miejskie metropolie.

— Będę szczęśliwy — powiedział Cassellahat — mogąc pokazać wam tyle naszych metropolii, ile tylko zechcecie obejrzeć. Jesteście naszymi gośćmi, kilkanaście milionów kredytów wpłacono na konto każdego z was do waszej dyspozycji.

— Jejku — wyrwało się Blake’owi.

— Muszę jednak dać wam pewną radę — kontynuował Cassellahat. — Nie wolno nam dopuścić do tego, by nasi obywatele poczuli się zawiedzeni. Dlatego więc nie wolno wam będzie nigdy spacerować po mieście czy mieszać się z tłumem. Będą was mogli jedynie oglądać w kronice filmowej lub w zamkniętym pojeździe i słuchać przez radio. Jeśli macie jakieś plany matrymonialne, musicie się pożegnać z nimi na zawsze.

— Nie rozumiem — powiedział zdumiony Blake, wyrażając uczucia nas obu.

— Chodzi o to — Cassellahat zakończył stanowczo — by nikt nie dowiedział się o tym waszym przykrym zapachu. To mogłoby wam popsuć widoki materialne.

A teraz — wstał — opuszczam was na razie. Mam nadzieję, że nie weźmiecie mi tego za złe, jeżeli w przyszłości będę w waszej obecności zakładał maskę. Wszystkiego najlepszego, panowie i...

Urwał i spojrzał na coś za naszymi plecami.

— Aha, jest tutaj wasz przyjaciel — powiedział.

Odwrociłem się gwałtownie. Blake wytrzeszczył oczy.

— Hej, przyjaciele! — odezwał się wesoło Renfrew od drzwi. — Czyż nie byliśmy kupą frajerów? — dodał z grymasem.

Zatkało mnie. Podbiegłem do niego, chwytając go za rękę. Uściskałem go. Blake starał się pójść w moje ślady.

Gdy wreszcie uwolniliśmy Renfrewa z naszych objęć i rozejrzeliśmy się, Cassellahata już nie było. Znikł w samą porę, bo chciałem mu dać w nos za te jego ostatnie uwagi.

\* \* \*

— No więc uwaga! — zaczął Renfrew. — Zaczynamy.

Popatrzył na mnie i na Blake'a, wyszczerzył zęby, zatarł dłonie rozradowany i dodał: — Przez cały tydzień oglądałem tu sobie wszystko i obmyślałem pytania dla tej starej kwoki, a tu...

Podszedł do Cassellahata.

— Co sprawia — zaczął — że prędkość światła jest stałą?

Cassellahat nawet nie mrugnął. — Prędkość równa się sześcianowi pierwiastka sześciennego z  $tg$  — odpowiedział. —  $G$  oznacza głębokość kontinuum czasoprzestrzennego,  $t$  — tolerancję całkowitą, czyli grawitację, jak wy byście powiedzieli, całej materii w tym kontinuum.

— W jaki sposób powstały te planety?

— Każde słońce, aby utrzymać się w swej przestrzeni, wyrzuca materię, jak statek na morzu kotwice. To jest bardzo powierzchowny opis. Mógłbym wam podać wzór matematyczny, ale musiałbym go sobie zanotować. Mimo wszystko nie jestem naukowcem. Te fakty są mi po prostu znane od dziecka.

— Chwileczkę — przerwał mu Renfrew, zaintrygowany. — Słońce wyrzuca tę materię bez żadnego przymusu poza... pragnieniem... utrzymania się w równowadze?

Cassellahat popatrzył na niego. — Oczywiście, że nie. Powód, przymus, jaki tu wchodzi w grę, jest potężny, zapewniam was. Bez takiej równowagi słońce wypadłoby ze swej przestrzeni. Jedynie kilka słońc-samotników nauczyło się utrzymywać równowagę bez planet.

— Kilka czego? — zapytał Renfrew. Widziałem, że jest tak przejęty, iż zapomniał o stawianiu pytań, którymi miał zasypywać Cassellahata.

Głos Cassellahata przerwał tok moich myśli: — Słońce-samotnik — usłyszałem — to bardzo stara, chłodna gwiazda klasy M. Najgorętsze z nich, jak wiadomo, mają temperaturę powierzchniową około  $90^{\circ}\text{C}$ , najchłodniejsze —  $10^{\circ}$ . Jest to samotnik w dosłownym znaczeniu, zdziwaczały z wiekiem. Główna cecha tej gwiazdy polega na tym, że nie dopuszcza ona do istnienia w swym sąsiedztwie materii, planet czy nawet gazów.

Renfrew siedział milcząc, z marsmem na czole, zamyślony.

Skorzystałem z okazji, by kontynuować dyskusję. — Interesuje mnie — powiedziałem — kwestia powszechnej znajomości tych wszystkich szczegółów, nawet jeśli się nie jest naukowcem. Na przykład kiedy wyruszyliśmy z Ziemi, każdy dzieciak znał zasady działania silnika atomowego praktycznie od urodzenia.

Chłopcy ośmio- i dziecięcioletni jeździli specjalnie skonstruowanymi pojazdami-zabawkami, rozkładali je na części i z powrotem montowali. Oni mieli te zasady we krwi, a każde nowe osiągnięcie na tym polu to dla nich chleb z masłem. . .

A więc chciałbym się dowiedzieć: Co teraz jest odpowiednikiem tamtej zasady?

— Adelediknander — odparł Cassellahat. — Próbowałem już to wyjaśnić panu Renfrewowi, ale jego umysł zdaje się nie przyjmować pewnych najprostszych aspektów.

Renfrew, wyrwany z zamyślenia, skrzywił się: — On chce mi wmówić, że elektrony potrafią myśleć, a ja tego nie mogę strawić!

Cassellahat potrząsnął głową.

— Nie myśleć, nie mogą myśleć. Ale mają psychikę.

— Elektroniczną psychikę! — zawołałem.

— Po prostu adelediknanderną — odpowiedział Cassellahat. — Każde dziecko. . .

— Wiem — jęknął Renfrew. — Każdy sześciolatek mi to powie. — Zwrócił się do nas: — Dlatego właśnie uszeregowałem te pytania. Pomyślałem sobie, że gdybyśmy zdobyli gruntowne wykształcenie na poziomie dla średnio zaawansowanych, moglibyśmy pojąć ten adelediknanderny pasztet, tak jak tutejsze dzieci.

Obrócił się do Cassellahata. — Następne pytanie — powiedział. — Co. . .

Cassellahat popatrzył na zegarek.

— Wydaje mi się, panie Renfrew — przerwał — że jeśli mamy jechać na planetę Pelham, musimy już iść. Może mi pan zadawać pytania po drodze.

— O co chodzi? — wtrąciłem się.

— Zabiera mnie do wielkich laboratoriów konstrukcyjnych w Górach Europejskich na Pelhamie — wyjaśnił Renfrew. — Chcecie jechać ze mną?

— Ja nie — odparłem.

Blake wzruszył ramionami.

— Nie wyobrażam sobie zakładania tych kombinezonów dostarczonych nam przez Cassellahata, które, owszem, nie przepuszczają naszego zapachu, ale nie chronią nas przed ich odorem. Bill i ja — zakończył — zostaniemy tutaj i pogramy sobie w pokera o te pięć milionów kredytek, jakie podobno mamy w Banku Państwowym.

Cassellahat odwrócił się w drzwiach. Pod maską, jaką teraz miał na sobie, jego twarz wyrażała wyraźną dezaprobatę.

— Bardzo lekko traktujecie dar naszego rządu — powiedział.

— Yhm! — potwierdził Blake.

\* \* \*

— A więc śmierdzimy! — odezwał się Blake.

Minęło już dziewięć dni od czasu, gdy Cassellahat zabrał Renfrewa na Pelhama. Jedyne kontakty z nim mieliśmy za pośrednictwem radiotelefonu: Renfrew zadzwonił do nas trzeciego dnia mówiąc nam, żebyśmy się niczym nie martwili.

Blake stał w oknie naszego apartamentu na szczycie wieżowca w mieście Nowameryka, a ja leżałem na wznak na kanapie, z głową pełną domysłów co do utajonego obłędu Renfrewa i faktów z przeszłości sprzed pięciuset lat.

Otrząsnąłem się z tych rozmyślań.

— Przestań — powiedziałem. — Stanęliśmy wobec problemu zmiany w metabolizmie organizmu ludzkiego, prawdopodobnie spowodowanej odmiennym wyżywieniem z odległych gwiazd. Widocznie oni pachną lepiej, skoro dla Cassellahata przebywanie w pobliżu nas to prawdziwa katorga, podczas gdy nam jego obecność sprawia zaledwie przykrość. Nas jest trzech, a ich — biliony. Szczerze mówiąc, nie widzę możliwości szybkiego rozwiązania tego problemu, więc traktujmy to ze spokojem.

Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, wróciłem więc do swoich myśli. Mój pierwszy meldunek został odebrany na Ziemi i wtedy właśnie, po wynalezieniu napędu międzygwiazdowego w roku 2320, a więc około stu czterdziestu lat po naszym odlocie, zdano sobie sprawę, co może nastąpić.

Na naszą cześć cztery nadające się do zasiedlenia planety słońce Alfy A i B zostały nazwane Renfrew, Blake, Pelham i Endicott. Od 2320 roku ludność tych czterech planet wzrosła do tego stopnia, że obecnie na kurczących się skrawkach łądów mieszkało dziewiętnaście miliardów ludzi. Pomimo migracji do planet bardziej oddalonych gwiazd.

Płonący kosmiczny liniowiec, który widziałem w roku 2511, był jedynym utraconym statkiem na szlaku Ziemia-Centaur. Gdy pędził z maksymalną szybkością, jego ekrany zareagowały na nasz statek. Wszystkie jego urządzenia automatyczne natychmiast się włączyły. A ponieważ owe zabezpieczenia nie były jeszcze wówczas w stanie zatrzymać w pełnym biegu statku pędzącego z szybkością minus nieskończoność, więc każdy silnik na jego pokładzie prawdopodobnie eksplodował.

Podobna katastrofa nie mogła się już więcej powtórzyć. Postęp w dziedzinie adelediknanderystyki był tak wielki, że obecnie największe nawet liniowce mogą zatrzymać się momentalnie w pełnym biegu.

Mówiono nam, że nie powinniśmy mieć poczucia winy z powodu tego pojedynczego wypadku, gdyż rezultatem teoretycznych analiz tej wielkiej katastrofy są najważniejsze osiągnięcia na polu adelediknanderystycznej psychologii elektronicznej.

Zdałem sobie sprawę, że Blake rzucił się z obrzydzeniem na najbliższe krzesło.

— Och, chłopie, chłopie — powiedział — a to żeśmy się urządzili. Jedyne, co nam pozostało, to przeżyć jeszcze te jakieś pięćdziesiąt lat jako pariasi w obcej

cywilizacji, gdzie nie jesteśmy nawet w stanie pojąć zasad działania najprostszych urządzeń technicznych.

Poruszyłem się niespokojnie; dręczyły mnie podobne myśli. Ale się nie odzywałem. Blake zaś mówił dalej:

— Muszę ci się przyznać, że gdy stwierdziłem pierwszy raz, iż planety Centaura są skolonizowane, wyobrażałem sobie, że uda mi się zawładnąć sercem jakiejś damy i że ją poślubię.

Mimo woli nasunęło mi się wspomnienie dziewczęcych ust przybliżających się do moich warg. Otrząsnąłem się.

— Zastanawiam się — powiedziałem — jak to wszystko znosi Renfrew. On... Znajomy głos od drzwi przerwał mi w pół słowa:

— Renfrew — obwieścił — znosi to wspaniale, teraz kiedy pierwszy szok ustąpił miejsca rezygnacji, a ta z kolei — dążeniu do wytkniętego celu.

Odwróciliśmy się w tę stronę, stając twarzą w twarz z Renfrewem. Szedł ku nam wolniutko, uśmiechając się. Patrzyłem na niego, niepewny, czy mam uwierzyć w tę jego dobrą kondycję psychiczną.

Był w świetnej formie. Jego ciemne, faliste włosy leżały starannie ułożone. Oszałamiająco błękitne oczy ożywiały twarz. Sprawiał wrażenie urodzonej fizycznej doskonałości; w normalnych warunkach wszystko u niego było zawsze jaskrawe i krzykliwe jak u aktora w filmie kostiumowym.

Również teraz nosił się tak jaskrawo i krzykliwe.

— Kupiłem statek kosmiczny, chłopaki — powiedział. — Wydałem wszystkie swoje pieniądze i część waszych. Ale wiedziałem, że pochwalicie mój pomysł. Mam rację?

— Jasne — zgodziliśmy się obaj.

— Co chcesz zrobić? — zapytał Blake.

— Wiem — wtrąciłem się. — Objedziemy cały wszechświat poświęcając resztę życia na odkrywanie nowych, nieznanych światów. Jim, to był niezły pomysł; o mało co Blake i ja nie założyliśmy klubu samobójców.

Renfrew uśmiechał się.

— W każdym razie wkrótce wyruszamy.

Cassellahat nie zgłaszał żadnego sprzeciwu ani uwag wobec projektu Renfrewa i dwa dni później znaleźliśmy się w przestrzeni kosmicznej.

\* \* \*

Te trzy miesiące, które potem nastąpiły, to był niezwykle okres. Przez pewien czas odczuwałem lęk wobec bezmiaru Kosmosu. Milczące planety przepływały przez nasze ekrany i znikały w dali za nami, pozostawiając po sobie nostalgiczne wspomnienia niezamieszkanym, smaganych wiatrem lasów i równin, pustych, wezbranych mórz i bezimiennych słońc.

Widoki i wspomnienia wywołały w nas bolesne uczucie samotności i spowodowały stopniowe uświadomienie sobie, że ta podróż nie pomoże nam zrzucić brzemienia obcości, jakie nas przygniatało od chwili naszego przybycia na Alfa Centauri.

Nie znaleźliśmy tu żadnej stawy duchowej dla naszych serc, niczego — co by dawało nam satysfakcję chociaż przez rok naszego życia, a co dopiero przez pięćdziesiąt!

Widziałem, jak ta świadomość dojrzewała u Blake'a, i oczekiwałem jakiegoś sygnału, który by świadczył, że Renfrew odczuwa to samo. Ale żaden sygnał nie nadchodził. Martwiło mnie to, ponieważ zacząłem zdawać sobie sprawę jeszcze z czegoś: Renfrew nas obserwował. Obserwował nas, a w całym jego zachowaniu była zawarta jakaś aluzja do jego sekretnej wiedzy, sugestii, że ma on jakiś utajony cel.

Mój niepokój się wzmagił. Nie pomagała nic owa niezmienna pogoda ducha Renfrewa. Pod koniec trzeciego miesiąca leżałem właśnie na łóżku, pogrążony w niespokojnych rozmyślaniach o całej tej nie satysfakcjonującej nas sytuacji, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Renfrew.

Miał w rękach paralizator i sznur. Wymierzył broń we mnie i powiedział:

— Przykro mi, Bill, ale Cassellahat radził mi, żebym nie ryzykował. Leż więc spokojnie, póki cię nie zwiążę.

— Blake! — wrzasnąłem.

Renfrew pokręcił głową.

— To na nic — uprzedził — byłem w jego kabinie wcześniej.

Ręka, w której trzymał paralizator, nawet mu nie drgnęła; jego oczy były zimne jak stal. Jedyne, co mogłem zrobić, to napiąć mięśnie, kiedy mnie krępował, i wierzyć, że jestem od niego przynajmniej dwukrotnie silniejszy.

Na pewno uda mi się uniemożliwić mu związanie mnie zbyt mocno, myślałem przestraszony i zaskoczony.

Wreszcie odstał ode mnie. — Nie gniewaj się, Bill — powiedział. — Przykro mi o tym mówić, ale wy obaj zbyt się rozgorączkowaliście po przybyciu na Centaura; to jest kuracja zalecona przez psychologów, z którymi się Cassellahat konsultował. Przypuszczalnie wywoła to u was szok tak potężny, jak poprzednio.

Z początku nie zwróciłem uwagi na jego wzmiankę o Cassellahacie. Teraz doznałem nagłego olśnienia: to nie do wiary, ale Renfrew powiedział Cassellahatowi, że obaj z Blake'iem postradaliśmy zmysły! Przez te wszystkie miesiące naszej wspólnej podróży trzymał się dzielnie — czując się za nas odpowiedzialny. Był to piękny podstęp psychologiczny. Pytanie tylko: co ma być przyczyną tego szoku?

— To już nie potrwa długo — usłyszałem głos Renfrewa. — Właśnie wchodzimy na orbitę słońca-samotnika.

— Słońca-samotnika! — wykrzyknąłem.

Nie odpowiedział. Gdy drzwi się za nim zamknęły, zacząłem mocować się z moimi więzami, cały czas rozmyślając: Co to mówił Cassellahat? Że słońca-samotniki utrzymują się w przestrzeni za pomocą niepewnego balansowania? W t e j przestrzeni. Pot spływał mi po twarzy: wyobraziłem sobie, że zostajemy odrzuceni w inną płaszczyznę kontinuum czasoprzestrzennego. Kiedy uwolniłem już wreszcie ręce, niemal czułem, jak statek spada w dół.

Nie byłem skrepowany tak długo, by więzy zdążyły zahamować krążenie krwi. Ruszyłem do kabiny Blake'a. W dwie minuty później szliśmy obaj do sterowni.

Zaskoczyliśmy Renfrewa. Blake chwycił jego paralizator, a ja wyciągnąłem go z fotela jednym silnym szarpnięciem i rzuciłem na podłogę.

Leżał bez ruchu, nie stawiając wcale oporu i szczerząc do nas zęby.

— Za późno — sztych. — Zbliżamy się do pierwszego progu nietolerancji i nic już nie da się zrobić poza przygotowaniem się na szok.

Ledwie go słyszałem. Ciężko opadłem na fotel przy pulpicie sterowniczym i utkwilem wzrok w ekranach. Nic nie było widać. To mi zabiło klina. Spojrzałem na rejestratory: drgały wściekle, rejestrując ciało niebieskie o NIESKOŃCZONEJ WIELKOŚCI.

Przez dłuższy czas patrzyłem jak porażony na ten niewiarygodny odczyt. Potem przesunąłem daleko dźwignię deceleratora. Pod naporem pełnego ciągu adediknandera pojazd zeszytywniał. Wyobraziłem sobie nagle dwie przemożne siły w zderzeniu czołowym. Nacisnąłem gaz do dechy, ciężko dysząc.

Wciąż spadaliśmy.

— Orbita — usłyszałem głos Blake'a. — Wprowadź nas na orbitę.

Drżącymi palcami bębniłem po klawiaturze, dostosowując moje dane do wielkości, grawitacji i masy słońca.

Samotnik nie dał nam szansy.

Próbowałem z drugą orbitą, trzecią, kolejnymi. Wreszcie wyliczyłem orbitę, jaka starczyłaby dla samej potężnej Antares. Ale upiorna rzeczywistość trwała. Statek pędził w dół i w dół.

Ekran były wciąż puste, nawet śladu materii. Wydawało mi się przez chwilę, że dostrzegam niewyraźną plamę głębszej ciemności na tle mroku przestrzeni kosmicznej. Ale gwiazd było niewiele we wszystkich kierunkach; więc pewności mieć nie mogłem.

W końcu, w akcie rozpacz, ukląknęłem przy Renfrewie, który wcale nie podejmował żadnych wysiłków, żeby się podnieść.

— Słuchaj, Jim — zapytałem błagalnie — dlaczego to zrobiłeś? Co się teraz z nami stanie?

Uśmiechnął się beztrąsko.

— Pomyśl — powiedział — o starym, zaskorupiałym ludzkim samotniku. Utrzymuje kontakty ze swymi kumplami, ale są to związki tak dalekie, jak między słońcem-samotnikiem i gwiazdami w galaktyce, której jest częścią. Teraz,



lada sekunda — dodał — natrafimy na pierwszy okres nietolerancji. Występuje to w skokach typu kwantowego, co czterysta dziewięćdziesiąt osiem lat, siedem miesięcy, osiem dni i kilka godzin.

Brzmiało to jak bełkot.

— Ale co się stanie z nami? — nalegałem. — Na litość boską, człowieku!

Popatrzył na mnie z ironią. Nagle uświadomiłem sobie, że on jest całkowicie zdrow psychicznie. Stary, trzeźwy Renfrew, zrobił się jakiś lepszy, silniejszy.

— To właśnie nas odrzuci z jego obszaru tolerancji, a tym samym wrócimy. . .

Wstrząs!

Gwałtowny przechył. Z łoskotem uderzyłem o podłogę, pośliznąłem się i wówczas czyjeś ręce — Renfrewa — pochwyciły mnie. I było po wszystkim.

Podniosłem się czując, że już nie spadamy. Spojrzałem na konsolę. Wszystkie światła były przygaszone, strzałki stały na zerze. Odwróciłem się i spojrzałem na Renfrewa, potem na Blake'a podnoszącego się z ponurą miną z podłogi.

— Puść mnie do pulpitu sterowniczego, Bill — odezwał się Renfrew z naciskiem w głosie. — Chcę ustalić nasz kurs na Ziemię.

Przez okrągłą minutę wpatrywałem się w niego szeroko otwartymi oczami; potem powoli odsunąłem się na bok. Stałem obok, gdy ustawiał przyrządy i naciskał rączkę akceleratora. Spojrzał na mnie.

— Będziemy na Ziemi za jakieś osiem godzin — powiedział — to znaczy około półtora roku po tym, jak wyjechaliśmy pięćset lat temu.

Czułem, jak trzeszczy mi sklepienie czaszki. Dopiero po kilkunastu sekundach uznałem, że to mózg mi trzeszczy wskutek nagłego olśnienia jakie mnie ogarnęło.

A więc słońce-samotnik, myślałem oszołomiony, uwalniając nas ze swego pola tolerancji po prostu strąciło nas w okres czasu poniżej swego pola. Renfrew mówił, że to występuje w skokach. . . czterysta dziewięćdziesiąt osiem lat i jakieś siedem miesięcy i. . .

„Ale co będzie ze statkiem? Czy można przenieść do XXII wieku XXVII-wieczny adelediknander, zanim jeszcze został wynaleziony, zmieniając tym samym bieg historii?” mamrotałem do siebie.

Renfrew potrząsnął głową.

— Czy my to rozumiemy? Czy choćby ośmielimy się kiedykolwiek manipulować przy tym silniku? Na pewno nie. Zatrzymamy sobie statek na własny użytek.

— A-ale. . . — zacząłem.

Przerwał mi.

— Posłuchaj, Bill — powiedział. — Wyobraź sobie taką sytuację: za pięćdziesiąt lat dziewczyna, która cię pocałowała — nie myśl, że nie widziałem, jak cię to zważyło z nóg — będzie siedziała obok ciebie, kiedy twój głos z Kosmosu poinformuje Ziemię, iż właśnie się przebudziłeś, by zjeść pierwszą porcję zupki w czasie pierwszej wyprawy międzygwiazdnej na Alfa Centauri.

Tak właśnie było.

# Obrona

## *Defence*

We wnętrzościach martwej planety poruszył się stary, zmęczony mechanizm. Blade lampy elektronowe zamigotały energią; powoli, z ociąganiem, zaskrzypiał główny przełącznik zmieniając położenie z neutralnego na dodatnie.

Rozległ się syk i swąd topiącego się metalu, gdy miedziany bezpiecznik ustąpił wreszcie pod naporem potężnej energii. Metal zesztyniał niczym mięsień człowieka pod wpływem potężnego wstrząsu elektrycznego; potem zaś bezpiecznik gwałtownie roztopił się w płomieniu i z głuchym odgłosem opadł na pył podłogi.

Lecz przedtem jeszcze udało mu się poruszyć koło.

Struktura pradawnej ciszy tego pomieszczenia została teraz naruszona. Koło obracało się leniwie na śliskiej warstewce oleju, który — zabezpieczony — przetrwał milion lat. Trzy razy obróciło się koło, a potem jego podstawa rozpadła się na kawałki. Bezkształtna masa, w jaką zmieniło się koło, uderzyła o ścianę rozsypując się po części w pył, całkiem już nieużyteczna.

Przedtem jeszcze koło obróciło wał, który odsłonił mikroskopijny otwór na dnie stosu uranowego. W kanale pod otworem inny uran błysnął matowym srebrem.

W kosmicznym napięciu oba stosy metalu trwały naprzeciw siebie. Poruszyły się. Energia, jaka popłynęła między nimi, nie musiała dojrzewać. W okamgnieniu nastąpiła gwałtowna reakcja. To, co było stałym metalem, przeszło w stan ciekły. Wyższy spłynął ku niższemu.

Płonąca masa podążała kanałem do specjalnej komory. Tam, utworzywszy kałużę, zawrzała, zabulgotała i czekała. Rozgrzała zimne, izolowane ścianki i popłynął prąd. Prąd cicho biegł impulsem przez jaskinie martwego świata.

We wszystkich komorach połączonego systemu podziemnych fortów słychać było głosy. Komunikaty wyszeptywane chrapliwie przez megafony, w języku tak dawno zapomnianym, że nawet echo przedrzeźniało ich sens. W tysiącach po-

mieszkań ciszę przerywały głosy z niewiarygodnie dawnej przeszłości, czekały na odpowiedź i nie otrzymawszy jej uznały obojętne milczenie za akceptację.

Tak więc w tysiącach pomieszczeń przełączniki zamknęły obwody, koła się obracały, uran wpływał do specjalnych komór. Nastąpiła pauza, podczas gdy ostateczny proces dobiegał końca. Urządzenia elektroniczne zadawały sobie pytania bez słów.

Wskaźnik wyznaczył cel.

— Tam? — zapytała lampa elektronowa, nagłaco. — Stamtąd?

Wskaźnik trwał nieporuszony.

Odczekawszy wyznaczony czas lampa uruchomiła przekaźnik.

— Tam — potwierdziła tysiącom oczekujących przyrządów elektronicznych. — Zbliżający się obiekt definitywnie przybywa stamtąd.

Tysiące receptorów zachowało spokój.

— Gotowe? — zapytały.

W pomieszczeniach mechanizmów za komorami wrzącego uranu światła lakonicznie oznajmiły gotowość.

Odpowiedzią była zwięzła ostateczna komenda:

— Ognia!

\* \* \*

Pięćset kilometrów nad powierzchnią Peters, błąd i napięty zwrócił się do Graysona.

— Co to było, u diabła? — zapytał gwałtownie.

— Co takiego? Nie patrzyłem.

— Przysięgłbym, że widziałem tam błyski ognia. Tyle, że trudno by je zliczyć. Potem miałem wrażenie, że coś przelatuje obok nas w ciemności.

Grayson pokiwał z politowaniem głową.

— A więc te małe strachy dopadły cię w końcu, przyjacielu. Nie możesz znieść napięcia pierwszej próby lądowania na Księżycu. Odpreż się, chłopie. Już prawie jesteśmy na miejscu.

— Ale przysięgłbym...

— Bzdura!

\* \* \*

Ponad trzysta osiemdziesiąt tysięcy kilometrów za nimi Ziemia zadrżała, gdy tysiąc superatomowych bomb rozerwało się w jednym nieprzerwanym ciągu grzybiastych eksplozji.

Mgła momentalnie ogarnęła całą stratosferę, kryjąc szczegóły katastrofy przed oczami gwiazd.

# K o o t !

## *The Cataaa!*

Cała paczka jak zwykle zebrała się w barze. Cathy udawała już, że jest mocno wstawiona. Ted był pochłonięty pozowaniem na durnia. Myra zachichotała trzy razy, niczym muzyk strojący instrument na wieczór. Jones przemawiał do Gorda swym zwykłym autorytatywnym tonem. Gord powtarzał co chwila „mhm”, jakby go słuchał. A Morton starał się zwrócić na siebie uwagę pozostając na uboczu, w swym fotelu, przybrawszy pozę intelektualisty.

Nikt z nich nie zwrócił uwagi na drobnego, szczupłego mężczyznę siedzącego na stołku przy barze. Mężczyzna ten przypatrywał się im uparcie. Żadne jednak nie miało najmniejszego pojęcia, kiedy do nich dołączył ani też kto go zaprosił. Nikomu też nie przyszło do głowy powiedzieć mu, by sobie poszedł.

— Rozmawialiście więc o zasadniczych cechach natury ludzkiej — odezwał się nieznajomy.

— A więc o tym rozmawialiśmy? — zachichotała Myra. — Zastanawiające.

Śmiech, jaki po tym nastąpił, bynajmniej nie speszył obcego.

— Tak się akurat składa, że przydarzyło mi się coś, co mogłoby posłużyć za ilustrację tego zagadnienia. Otóż pewnego dnia, przeglądając gazetę, natrafiłem na cyrkowy anons...

U samej góry — ciągnął — znajdował się olbrzymi znak zapytania, po którym następowało kilka równie wielkich wykrzykników. Dalej zaś:

CO TO ZA STWORZENIE?

TO KOT

PRZYJDŹCIE ZOBACZYĆ KOTA

TO SZOKUJĄCY WIDOK!

ZDUMIEWAJĄCY WIDOK!

TYLKO U NAS, W NASZYM GABINECIE OSOBLIWOŚCI

Pod spodem, mniejszymi literami, podana była informacja, że prezydentem kota jest „sam Silkey Travis”.

Do tego momentu czytałem ogłoszenie bez specjalnego zainteresowania. Nazwisko poderwało mnie na nogi.

O Boże, pomyślałem, to on! Silkey Travis. To on jest na widokówce.

Pospieszyłem do biurka i wyjąłem kartę, która nadeszła pocztą przed dwoma dniami. Do tej pory nie przywiązywałem do niej żadnej wagi. Tekst napisany na odwrocie drobnym maczkiem był czystym bełkotem, a twarz na zdjęciu, chociaż znajoma, nie spowodowała odzewu w mojej pamięci. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę o obsesyjnym spojrzeniu, siedzącego w niewielkiej klatce. Teraz spostrzegłem w nim podobieństwo do Silkeya Trvisa, wprawdzie nie takiego, jakim go znałem około piętnastu lat temu, lecz bardziej korpulentnego i starszego — jakim mógł być teraz.

Wróciłem na fotel i zadumałem się nad przeszłością.

Wówczas imię to pasowało do niego\*. Gdy w szkole średniej zorganizował konkurs piękności, pierwszą nagrodę przyznał swej kuzynce, drugą zaś dziewczynie będącej ulubienicą większości nauczycieli. Wystawa studencka prezentująca rozmaite okazy miejscowych jaszczurek, węży, owadów oraz nieco regionalnych wyrobów indiańskich zawsze była wydarzeniem roku i ściągała tłumy zachwyconych rodziców. I to zawsze on, Silkey, ją organizował, podobnie jak zawody sportowe, wakacyjne imprezy artystyczne i inne szkolne rozrywki; wyczuwało się w nich jego fachową rękę i duszę cyrkowca.

Po maturze poszedłem na wydział biologii uniwersytetu stanowego i straciłem Silkeya z oczu na siedem lat. Potem w jednej z gazet przeczytałem w kronice towarzyskiej, jak to dobrze powodzi się w wielkim mieście Silkeyowi Travisowi, który właśnie nabył „udział” w rewii i ma także „udział” w koncesji na tereny plażowe w New Jersey.

I znów było o nim cicho. A teraz, nie ulegało wątpliwości, był właścicielem cyrkowego panoptikum.

Rozwikławszy zatem — tak mi się przynajmniej wtedy zdawało — tajemnicę karty pocztowej, uczułem pobłażliwe rozbawienie. Zastanawiałem się, czy Silkey powysyłał takie kartki do wszystkich swoich dawnych kolegów szkolnych. Postanowiłem nie łamać sobie dłużej głowy nad znaczeniem słów napisanych na odwrocie; cała intryga była zbyt oczywista.

Nie miałem również najmniejszego zamiaru iść do cyrku. Położyłem się spać o zwykłej porze i obudziłem się nagle po kilku godzinach ze świadomością, że nie jestem sam. Uczucia, jakich wówczas doznałem, zostały opisane przez Johnsona w jego książce o patologicznych stanach lękowych.

Mieszkałem w cichej, spokojnej okolicy; panowała więc niezmacona cisza. Słyszałem łomotanie własnego serca. Żółć napłynęła mi do żołądka, a jej ferment

---

\* *Silkey* (ang.) — jedwabny; tu: sprytny (przyp. tłum.).

podchodził do ust, przynosząc smak goryczy. Na próżno starałem się oddychać miarowo.

Wciąż nic nie widziałem. Ponury koszmar nie mijał jednak, więc początkowo przyszło mi na myśl, że może to była senna mara. Poczułem się zawstydzony.

— Jest tu kto? — mruknąłem.

Cisza.

Wyszedłem z łóżka i zapaliłem światło. W pokoju nie było nikogo. To mnie jednak nie usatysfakcjonowało. Poszedłem do przedpokoju, następnie zajrzałem do garderoby i łazienki. Wreszcie, bynajmniej nie uspokojony, sprawdziłem, czy okna są zamknięte. I wtedy doznałem szoku. Na zewnętrznej stronie szyby ktoś wymalował napis: KOT PROSI, ŻEBYŚ PRZYSZEDŁ DO CYRKU.

Wróciłem do łóżka, wściekły do tego stopnia, że zastanawiałem się nawet, czy nie kazać aresztować Silkeya. Kiedy nazajutrz się przebudziłem, napis znikł.

Do śniadania złość mi przeszła. Odczuwałem nawet rozbawienie, z odcieniem politowania, dla tego rozpaczliwego pragnienia Silkeya, by pokazać starym znajomym, jaką to on jest teraz ważną figurą. Przed udaniem się na poranne zajęcia na uniwersytecie obejrzałem od zewnątrz okna sypialni. Znalazłem pod nimi jakieś wgłębienia, ale nie były to odciski ludzkich stóp; widocznie Silkey postarał się o to, by nie zostawić po sobie śladów.

Na uczelni, tuż przed południem, jeden ze studentów zapytał mnie, czy biologia potrafi naukowo wyjaśnić występowanie mutantów. Posłużyłem się stereotypową odpowiedzią: wymieniłem niewłaściwe odżywianie, choroby, zahamowania rozwoju mózgu wpływające na budowę fizyczną i tak dalej. Na koniec oświadczyłem beznamiętnym tonem, że po dodatkowe informacje mogę go skierować do swego starego znajomego, Silkeya Trávisa, prezentera panoptikum w cyrku Pagleya-Mattersona.

Ta wtrącona mimochodem uwaga wzbudziła sensację. Zostałem poinformowany, że to właśnie osobliwość z cyrku była powodem pytania. — Ten dziwaczny, przypominający kota stwór — powiedział student ściszym głosem — przygląda ci się z równym zainteresowaniem, co ty jemu.

W tym momencie rozległ się dzwonek, dzięki czemu uniknąłem konieczności skomentowania tej uwagi. Pamiętam jednak, że pomyślałem wówczas, jak niewiele się zmieniła ludzka natura. Ludzi wciąż interesują przede wszystkim odchylenia od normy, podczas gdy mnie, jako naukowca, fascynuje właśnie normalność.

Nadal nie miałem zamiaru chodzić do cyrku. Gdy jednak wracając do domu po południu, sięgnąłem ręką w zanadrze, wyjąłem z kieszeni na piersiach kartę ze zdjęciem Silkeya. Z roztargnieniem popatrzyłem na nią jeszcze raz i przeczytałem tekst na odwrocie:

„Dostarczenie korespondencji międzyprzestrzennej wymaga użycia olbrzymiej energii, co może spowodować różnicę czasów. Jest więc

możliwe, że karta ta dojdzie do ciebie, zanim jeszcze będę wiedział, kim jesteś. Na wszelki wypadek wysyłam więc jeszcze jedną do cyrku, na twoje nazwisko i z twoim adresem, i obie zostaną przekazane w tym samym czasie.

Nie zaprzataj sobie zbytnio głowy problemem, w jaki sposób zostały ci one doręczone. Po prostu umieszcza się w skrzynce pocztowej pewne urządzenie, które przeniesie karty do skrzynki na Ziemi, skąd zostaną zabrane i doręczone już normalną drogą. Samo urządzenie natomiast zniknie.

Zdjęcie mówi samo za siebie!”.

Nie mówiło! Znów więc poczułem irytację. Wcisnąłem pocztówkę z powrotem do kieszeni, już, już mając zamiar zadzwonić do Silkeya, by go zapytać, co ten wyglup oznacza. Oczywiście nie zrobiłem tego. Nie było to w końcu takie ważne.

Kiedy następnego dnia wstałem z łóżka, napis: KOT CHCE Z TOBĄ MÓWIC! był nagryzmołony na zewnętrznej stronie tej samej co poprzednio szyby. Musiał się tam znajdować już od dłuższego czasu, bo litery zaczynały się już zacierać. Gdy skończyłem jeść śniadanie, zniknęły zupełnie.

Tym razem odczuwałem raczej niepokój niż złość. Taka uporczywość ze strony Silkeya wskazywała na neurotyczne zaburzenia jego osobowości. Może powinienem pójść na ten jego występ, dając mu tym mizerną satysfakcję, która pozwoli odpocząć jego duchowi, nawiedzającemu mnie tak już dwie noce pod rząd. Dopiero jednak po obiedzie przyszła mi do głowy myśl, która utwierdziła mnie w tym zamiarze. Pomyślałem o Wirginii.

Od dwóch lat wykładałem biologię na uniwersytecie stanowym. Zrealizowałem w ten sposób młodzińcze aspiracje, które — jak to teraz widzę — po raz pierwszy w życiu zapędziły mnie w ślepy zaułek. Wtedy też właśnie, po raz pierwszy w swej dość monotonnej egzystencji poczułem zapędy matrymonialne. Moją wybranką była Wirginia, która na nieszczęście uważała mnie za skrzyżowanie wapniaka z umysłem ścisłym. Mogłem mieć absolutną pewność, że pomysł małżeństwa ze mną nie przyszedł jej dotąd do głowy.

Przez pewien czas żywiłem złudzenia, że zdołałbym może ją przekonać, bez narażania się na utratę godności, że jestem facetem romantycznym, a ona dałaby się zwieść i odpowiedziałaby mi „tak”. Czyż mógł być lepszy sposób niż udawanie, że wciąż entuzjazmuję się cyrkiem? Jako kulminacyjny punkt wieczoru zaproponowałbym jej pokaz Silkeya. Miałem nadzieję, że już sama znajomość z takim typem poruszy jej ekscentryczną duszę.

Pierwszy płotek został wzięty, gdy zadzwoniłem do Wirginii, a ona zgodziła się pójść ze mną do cyrku. Robiłem dobrą minę już od samego początku — w czasie jazdy diabelskim młynem i podobnej dziecinady. Wreszcie nadszedł właściwy

moment. Zaproponowałem jej, byśmy poszli obejrzyć osobliwości prezentowane przez mego starego przyjaciela Silkeya Trvisa.

To rzeczywiście wywarło na niej wrażenie. Przystanęła i popatrzyła na mnie niemal z wyrzutem.

— Filipie — powiedziała — chyba nie chcesz powiedzieć, że znasz osobiście Silkeya? — Zaczepnęła tchu. — Będziesz musiał mi to udowodnić.

Silkey umiał się znaleźć. Kiedy wchodziliśmy, nie było go w środku, ale biletter wywołał go z jakiegoś pomieszczenia na zapleczu. Za chwilę Silkey wpadł do głównego namiotu, w którym mieścił się gabinet osobliwości. Jego tęga sylwetka przywołała na myśl dobrze utuczony rekina. Oczy mu się zwięzły, jakby te minione piętnaście lat spędził na kalkulacjach, w jaki sposób wykorzystać swych bliźnich dla własnej korzyści. Nie dostrzegłem tego obsesyjnego spojrzenia, co na fotografii, ale na twarzy miał wypisane maniakalne skłonności: chciwość, skłonność do występku i oszustw, bezwzględność. Był taki właśnie, jak się spodziewałem, a co najlepsze — wzruszająco się cieszył, że mnie widzi. Było to specyficzne uczucie radości — samotnego włóczęgi, który wreszcie spogląda tęsknie na życie osiadłe. Obaj przeszarżowaliśmy nieco przy powitaniu, ale w równym stopniu byliśmy radzi ze swego wzajemnego entuzjazmu. Gdy skończyły się powitania i prezentacje, łaskawość Silkeya jeszcze wzrosła:

— Był tu niedawno Brick. Mówił, że wykładasz na uniwersytecie stanowym. Gratulacje! Zawsze wiedziałem, że coś w sobie masz.

Postarałem się jak najszybciej odejść od tego tematu.

— A może byś nas tak oprowadził i opowiedział coś o sobie — zaproponowałem.

Oglądaliśmy już uprzednio i kobietę otyłą, i żywy ludzki szkielet, ale Silkey wrócił tam z nami, by opowiedzieć o s w o i m życiu z nimi: jak ich odszukał i dopomógł w zdobyciu sławy. Trochę się nad tym rozwodził, więc czasem musiałem go ponaglać. Wreszcie stanęliśmy przed małym namiotem, nad którego brezentową klapą napisane było jedynie: KOT. Zwróciłem nań uwagę wcześniej; trajkotanie naganiacza, który stał przy wejściu, już poprzednio podnieciło moją ciekawość.

— Wejdźcie obejrzyć kota! Szanowna publiczności, to nie jest zwykły pokaz, to prawdziwa sensacja! Nigdy dotąd nie oglądano podobnego stworzenia w cyrku. To biologiczny fenomen, który zadziwił uczonych z całego kraju... Szanowna publiczności, to jest doprawdy coś niezwykłego! Bilety po dwadzieścia pięć centów, a jeśli wyjdziecie niezadowoleni, otrzymacie swoje pieniądze z powrotem. Tak, to nie pomyłka; dobrze słyszeliście: możecie otrzymać pieniądze z powrotem, wystarczy tylko pójść do kasy i poprosić o zwrot...

I tak dalej, i tak dalej. Wprawdzie ta agitacja nie była zbyt kuszącą przynętą, moją wyobraźnię jednak podnieciła reakcja publiczności. Ludzi wpuszczano



grupami, a wewnątrz stał chyba jakiś komentator, bo słychać było najpierw przez parę minut ledwie słyszalny głos, po czym zaś słowa:

— A teraz, szanowna publiczności, odsłaniamy kurtynę!

Kurtyna spadła zapewne po jednym szarpnięciu w ściśle wyliczonym czasie, bo ledwie padło ostatnie słowo z ust strażnika, już słychać było reakcję widzów:

— Oooooo!

Wyraźny, nieomylny szmer oddechów kilkunastu zaskoczonych osób. Potem następowała niepokojąca cisza. Wreszcie powoli ludzie się wynurzali i spieszyli ku wyjściu. Nikt chyba nie poprosił o zwrot pieniędzy.

Przed wejściem nastąpiło małe zamieszanie. Silkey zaczął coś mamrotać, że jest jedynie właścicielem części widowiska cyrkowego, więc nie ma prawa dawać wejściówek. Położyłem temu kres szybko nabywając niezbędne bilety i weszliśmy do środka z kolejną grupą.

\* \* \*

Stworzenie siedzące w fotelu na podium miało około półtora metra długości przy smukłej budowie ciała. Miało kocia głowę i szczątkową sierść. Wyglądało jak powiększona wersja zwierzaka z komiksów.

Na tym jednak kończyło się jego podobieństwo do kota.

Poza tym było całkowicie inne. To wcale nie był kot; rozpoznałem to na pierwszy rzut oka. Miał zupełnie inną budowę. Już po chwili wyodrębniłem zasadnicze różnice anatomiczne.

Głowa! Czoło wysokie, a nie niskie i cofnięte. Twarz gładka, prawie bezwłosa; zdradzała charakter, siłę i wysoką inteligencję. Ciało na długich prostych nogach, prawidłowo zbudowane. Ramiona gładkie, ręce o krótkich, lecz wyraźnych palcach zakończonych cienkimi ostrymi pazurami.

A tak naprawdę inne były jego oczy. Wyglądały prawie zwyczajnie: lekko skośne, osłonięte prawidłowo powiekami, niemal tej samej wielkości co oczy ludzkie. Ale te oczy t a n c z y ł y. Przesuwały się dwa czy nawet trzy razy szybciej niż oczy człowieka. Ich stabilność przy tak wielkiej szybkości poruszania świadczyła, że jest to wzrok, który potrafi odczytać odbitkę mikrodrukową znajdującą się w drugim końcu pokoju. Jakiż precyzyjny obraz musi odbierać ten mózg!

Wszystko to zauważyłem w parę sekund. Potem stworzenie się poruszyło.

Wstało bez pośpiechu, niedbale, swobodnie; ziewnęło i przeciągnęło się. Wreszcie zrobiło krok do przodu. Wśród kobiet na widowni zrobiło się małe poruszenie, ale strażnik powiedział uspokajająco:

— Wszystko w porządku, proszę się nie bać. On często tak schodzi i się przygląda. Jest nieszkodliwy.

Publiczność stała bez ruchu, gdy kot schodził po stopniach z podium i zbliżał się do mnie. Zatrzymał się przede mną i przypatrywał z ciekawością. Potem delikatnie odchylił mi połą marynarki i zbadał zawartość kieszeni na piersi.

Wyjął pocztówkę ze zdjęciem Silkeya, którą zabrałem ze sobą, by zapytać, o co w niej chodziło. Długo się w nią wpatrywał, a potem podał ją Silkeyowi. Ten popatrzył na mnie.

— Mogę? — spytał.

Kiwnąłem głową. Miałem wrażenie, że jestem świadkiem dramatu, którego treści nie rozumiem. Zdałem sobie sprawę, że przypatruję się bacznie Silkeyowi.

Silkey spojrzął na zdjęcie i już podawał mi je z powrotem, kiedy naraz zastygł w miejscu. Potem gwałtownie cofnął rękę i wbił wzrok w fotografię.

— O rany! — wyszeptał — to moje zdjęcie.

Nie udawał zdziwienia. Było tak szczere, że aż mnie przeraziło.

— Nie wysyłałeś tej pocztówki do mnie? — spytałem. — To nie ty pisałeś na odwrocie?

Silkey nie odpowiedział. Odwrócił kartę i wlepił w nią wzrok. Potrząsnął głową.

— To nie ma sensu — wymamrotał. — Hm, została wysłana z Marstown. Byliśmy tam przez trzy dni w zeszłym tygodniu.

Oddał mi pocztówkę.

— Nigdy jej na oczy nie widziałem. Dziwne.

Jego zaprzeczenie przekonało mnie. Trzymając pocztówkę w ręku spojrzałem pytająco na kota. Ale stworzenie przestało się już nami interesować. Obserwowaliśmy je, jak się odwraca, wchodzi z powrotem na podium i osuwa na fotel. Potem ziewnęło i zamknęło oczy.

I to było wszystko. Wyszliśmy z namiotu i pożegnaliśmy się z Silkeyem. Później zaś, w drodze do domu, cały ten epizod wydał mi się jeszcze mniej istotny niż wówczas, gdy się wydarzył.

\* \* \*

Nie wiem, jak długo spałem. Przewróciłem się na drugi bok, by znów zapaść w sen, gdy spostrzegłem, że moja nocna lampka jest zapalona. Poderwałem się gwałtownie.

W fotelu obok, nie dalej niż metr ode mnie, siedział kot.

Panowała martwa cisza. Z początku nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Usiadłem ostrożnie. Przypomniały mi się słowa strażnika: „... nieszkodliwy”. Ale teraz już w to nie wierzyłem.

Już po raz trzeci ten stwór mnie nachodził; przedtem dwukrotnie zostawił mi wiadomość. Przypomniałem sobie jej treść i przeląknęłem się: „Kot chce z tobą mówić”. Czy to możliwe, że ten stwór potrafi mówić?

Całkowita bierność zwierzęcia dodała mi odwagi. Zwilżyłem wargi i zapytałem:

— Umiesz mówić?

Kot poruszył się. Podniósł łapę, bez pośpiechu, jak ktoś, kto nie chce wzbudzać popłochu. Wskazał na nocny stolik obok łóżka. Podążając wzrokiem za jego wskazującym palcem spostrzegłem tam jakieś urządzenie stojące pod lampką. Urządzenie to przemówiło:

— Nie potrafię emitować dźwięków ludzkiej mowy, ale — jak sam się możesz przekonać — ten przekaźnik służy mi znakomicie do tego celu.

Muszę przyznać, że podskoczyłem na łóżku; serce mi zamarło i zaczęło bić na nowo dopiero wówczas, gdy cisza się przedłużała, a mnie nie spotkało nic złego. Nie wiem, dlaczego sądziłem, że zdolność porozumiewania się za pomocą mechanicznego urządzenia stanowi dla mnie zagrożenie. Dość, że tak myślałem.

Przypuszczam, że był to instynkt samoobrony, że mój umysł wzdragał się przed zaakceptowaniem takiej rzeczywistości. Zanim odzyskałem jasność umysłu, urządzenie na stoliku przemówiło:

— Przekazywanie myśli za pomocą urządzenia elektronicznego polega na rytmicznym wykorzystywaniu energii mózgu.

Oświadczenie to poruszyło mnie. Czytałem sporo na ten temat, poczynając od referatu profesora Hansa Bergera z roku 1929 na temat rytmów mózgu. To się niezupełnie zgadzało.

— Czy potencjał energetyczny nie jest za mały? — zapytałem. — Poza tym masz przecież otwarte oczy. Rytmu zawsze ulegają zakłóceniom, gdy oczy są otwarte. W istocie tak znaczna część kory mózgowej podlega ośrodkom wzroku, że rytmy są niewykrywalne.

Wówczas nie zwróciłem na to uwagi, ale teraz sądzę, że zbiłem go z tropu.

— Jakie pomiary przeprowadzono? — zapytał. Nawet mimo przekaźnika myśli czuło się jego zainteresowanie.

— Komórki fotoelektryczne — powiedziałem — zmierzyły zaledwie pięćdziesiąt mikrowoltów energii, głównie w aktywnych ośrodkach mózgu. Czy wiesz, co to jest mikrowolt?

Skinał głową.

— Nie powiem ci, jaką energię wytwarza mój mózg — odezwał się po chwili. — To by cię prawdopodobnie przeraziło. Ale nie cała ta energia jest inteligencją. Jestem studentem odbywającym wycieczkę po Galaktyce. Można to nazwać wyprawą podyplomową. Nas, studentów, obowiązują pewne zasady... — Urwał. — Otworzyłeś usta. Chcesz coś powiedzieć?

Byłem oniemiały, zdruzgotany.

— Powiedziałeś: po Galaktyce? — spytałem po chwili słabym głosem.

— Owszem.

— A... ależ to potrwa wiele lat! — Mój mózg pracował usilnie, próbując to sobie przyswoić, pojąć.

— Moja podróż zajmie około tysiąca lat waszego czasu.

— Jesteś nieśmiertelny?

— Och, nie.

— Więc...

Zamilkłem. Nie mogłem mówić dalej. Siedziałem w milczeniu, z pustką w głowie, a kot ciągnął:

— Regulamin bractwa studenckiego zobowiązuje nas, byśmy przed opuszczeniem danej planety opowiedzieli o nas jednej istocie. A także byśmy zabrali ze sobą jakąś pamiątkę symbolizującą cywilizację istot na niej żyjących. Ciekaw jestem, co zaproponujesz jako pamiątkę z Ziemi. Musi to być coś, co by od razu dowodziło dominującego charakteru waszej rasy.

To wyjaśnienie wpłynęło na mnie uspokajająco. Mój mózg przestał wirować w szaleńczym rytmie. Poczuję się o wiele pewniej. Usadowiłem się wygodnie i w zamyśleniu gładziłem się po twarzy. Miałem szczerą nadzieję, że sprawię wrażenie osoby inteligentnej, której opinia warta była zachodu.

Stopniowo zacząłem sobie uświadamiać całą złożoność problemu. Uważałem bowiem już znacznie wcześniej, a teraz — wobec konieczności podjęcia decyzji — ta opinia zdawała się potwierdzać, że człowiek jest istotą niezmiernie skomplikowaną. Jak więc można wybrać jedną tylko cechę jego bogatej, złożonej natury i stwierdzić: „Oto, czym jest człowiek”.

— Czy może to być jakieś dzieło sztuki, naukowe, czy też przedmiot o wartości użytkowej? — spytałem.

— Cokolwiek.

Moje zaangażowanie urosło do zenitu. Całym swym jestestwem zaakceptowałem fantastyczność tego, co mi się przydarzyło. Naraz wydało mi się sprawą ogromnej wagi, by ta wielka rasa, która podróżuje wzdłuż i wszerz Galaktyki, uzyskała prawdziwe wyobrażenie o ludzkiej cywilizacji. Kiedy wreszcie znalazłem rozwiązanie, sam byłem zdziwiony, że zajęło mi to tak wiele czasu. Ale wiedziałem już, że znam odpowiedź.

— Człowiek — powiedziałem — już od zarania dziejów był istotą religijną. Od zamierzchłych czasów, zbyt odległych, by istniał na to jakiś zapis, człowiekowi potrzebna była wiara. Kiedyś prawie wyłącznie uznawał bóstwa w postaci żywiołów: rzeki, burze, rośliny; potem stopniowo bogowie stawali się niewidzialni. Teraz na nowo stają się namacalni; są nimi system gospodarczy, nauka. Człowiek darzy je bałwochwalczą czcią; innymi słowy ma do nich stosunek czysto religijny.

Potrzebny jest ci zatem — zakończyłem, zadowolony z siebie w duchu — wyryty w trwałym metalu wizerunek człowieka z głową odchylną do tyłu, ramionami wzniesionymi ku niebu, z wyrazem ekstazy na twarzy i z podpisem na podstawie rzeźby: „Wierzę”.

Spostrzegłem, że kot wpatruje się we mnie.

— Bardzo to interesujące — powiedział w końcu. — Chyba jesteś już bliski celu, ale to nie jest właściwa odpowiedź. — Wstał. — Chcę, żebyś teraz poszedł ze mną.

— Słucham?

— Ubierz się, proszę.

Było to powiedziane obojętnym tonem. Strach, który tlił się gdzieś na dnie mej duszy, teraz zapłonął na nowo niczym podsycony ogień.

\* \* \*

Siedziałem za kierownicą, kot obok mnie. Noc była chłodna, orzeźwiająca, ciemna. Od czasu do czasu zza pędzących chmur wyzierał sierp księżyca, a przez ciemny błękit nieba przebłyskiwały gwiazdy. Uprzytomniwszy sobie, że gdzieś stamtąd przybyło na Ziemię to stworzenie, odprężyłem się nieco.

— Czy mieszkańcy waszej planety — zaryzykowałem — dotarli znacznie bliżej niż my do najgłębszego znaczenia prawdy?

Zabrzmiało to drętwo, pedantycznie; typowe pytanie belfra zamiast życiowej kwestii! Szybko więc dodałem: — Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe, jeśli zadam ci kilka pytań?

Znowu nie zabrzmiało to właściwie. W nagłym przypiływie rozpaczyny wydało mi się, że marnuję szansę, jaka trafia się raz na tysiąc lat. W duchu przeklinałem swą profesorską rutynę, powodującą, że przemawiałem tonem suchego wykładu.

— Tę pocztówkę — zapytałem — ty wysłałeś?

— Tak. — Głos płynący z urządzenia trzymanego przez stwora na kolanach brzmiał cicho, ale wyraźnie.

— Skąd znałeś moje nazwisko i adres?

— Wcale nie znałem.

Zanim odzyskałem głos, mówił dalej:

— Nim noc się skończy, zrozumiesz wszystko.

— Och! — zamilkłem na chwilę. Czułem ucisk w żołądku. Starłem się nie myśleć o tym, co się jeszcze zdarzy, nim ta noc dobiegnie końca.

— ... pytania? — wykrztusiłem. — Czy odpowiesz na nie?

Już otwierałem usta, by z regularnością karabinu maszynowego zasypać go serią pytań, ale nic nie powiedziałem. Czego właściwie chciałem się dowiedzieć? Rozmaitość skojarzeń, jakie mi się nasuwały, zdławiła mi głos. Dlaczego, och! dlaczego ludzie tak podlegają emocjom w najbardziej decydujących momentach w życiu? Nie potrafiłem zebrać myśli, a upływający czas wydawał mi się nieskończonością. Kiedy się wreszcie odezwałem, moje pierwsze pytanie było banalne i wcale nie takie, o jakim myślałem.

— Przybyłeś tu na statku kosmicznym?  
Popatrzył na mnie w zdumieniu.  
— Nie — odparł powoli. — Użyłem do tego celu energii swego mózgu.  
— Co? Przebyłeś przestrzeń kosmiczną we własnym ciele?  
— W pewnym sensie. Wkrótce ludzkość dokona pierwszych odkryć z zakresu zastosowania energii rytmów mózgu. Będzie to przełomowe wydarzenie w nauce.  
— Już dokonaliśmy — powiedziałem — pewnych odkryć co do naszego systemu nerwowego i rytmu.  
— Uwieńczeniem tego — brzmiała odpowiedź — będzie władza nad siłami natury. Nic więcej na ten temat ci nie powiem.  
Zamilkł, ale na krótko. Teraz pytania cisnęły mi się same na usta.  
— Czy jest możliwe zastosowanie napędu atomowego w statkach kosmicznych?  
— Nie takie, jak ty to pojmujesz — odparła istota. — Wybuch atomowy nie może być ograniczony poza dokonaniem serii ściśle wyliczonych eksplozji. A to jest problem natury technicznej i niewiele ma wspólnego z fizyką twórczą.  
— A życie? — wybąkałem. — Jak powstało życie?  
— To kwestia elektronicznych przypadków występujących w odpowiednim środowisku.  
Musiałem się nad tym zatrzymać; nie potrafiłem tego pojąć.  
— Elektroniczne przypadki? Jak mam to rozumieć?  
— Różnica między atomem organicznym i nieorganicznym polega na organizacji jego wewnętrznej budowy. Związki węglowodorowe, najwrażliwsze w określonych warunkach, są najpospolitszą formą życia. Dysponując energią atomową człowiek odkryje, że życie można stworzyć z każdego pierwiastka czy związku chemicznego. Ale musicie uważać. Węglowodory są słabą strukturą życia, można więc ją z łatwością zniszczyć na obecnym etapie rozwoju.  
Przeniknął mnie chłód. Mogłem sobie znakomicie wyobrazić, jakiego typu eksperymenty są przeprowadzane w rządowych laboratoriach.  
— To znaczy — powiedziałem ze ściśniętym gardłem — że są takie formy życia, które mogą się okazać niebezpieczne już w momencie ich stworzenia?  
— Niebezpieczne dla człowieka — odpowiedziała istota. — Skręć w tę ulicę — wskazała nagle. — A potem prosto do bocznego wejścia na teren cyrku.  
Jechałem, oniemiały ze zdumienia. To dziwne, jakim szokiem dla mnie było poznanie prawdy.  
Już po chwili weszliśmy do ciemnego, cichego namiotu, gdzie mieścił się gabinet osobliwości. Wiedziałem, że zaraz rozegra się ostatni akt dramatu.  
W ciemności zadrgało nagle światełko. Gdy się zbliżyło, ujrzałem idącego ku nam mężczyznę. W ciemnościach nie mogłem go rozpoznać. Światło stało się silniejsze i wtedy zauważyłem, że nie ma źródła. Nagle w mężczyźnie rozpoznałem Silkeya Travisa.

Był głęboko uśpiony.

Zbliżył się do nas i zatrzymał. Wyglądał nienaturalnie, żałośnie, jak kobieta przyłapana bez makijażu. Posłałem mu jedno długie, bojaźliwe spojrzenie, po czym wyjąkałem:

— Co chcesz z nim zrobić?

Kot nie odpowiedział od razu. Obrócił się i patrzył na mnie w zamyśleniu, po czym delikatnie, jednym palcem, dotknął twarzy Silkeya. Ten otworzył oczy, ale w żaden inny sposób nie zareagował. Zrozumiałem, że sobie tylko w części uświadamia, co się z nim dzieje.

— Czy on nas słyszy? — zapytałem.

Kot przytaknął.

— Czy może myśleć?

Potrząsnął głową; potem powiedział:

— W swej analizie ludzkiej natury wyselekcjonowałeś zaledwie symptom. Człowiek jest istotą wierzącą, tylko ze względu na pewną cechę charakterystyczną. Dam ci wskazówkę. Kiedy jakiś przybysz z Kosmosu pojawia się na obcej planecie, istnieje zwykle tylko jeden sposób, aby jej mieszkańcy nie odkryli, kim jest. Gdy domyślisz się, co to za sposób, będziesz wiedział, jaka jest główna cecha rasy ludzkiej.

Z trudem mogłem zebrać myśli. W ciemnej pustce namiotu, w głębokiej ciszy terenów cyrkowych wokół nas wszystko to naraz wydało mi się surrealistyczne. Nie czułem strachu przed kotem, a jednak na dnie mej duszy czał się jakiś lęk, graniczący niemal z paniką, mroczny jak noc. Patrzyłem na nieporuszonego Silkeya: na zmarszczki i bruzdy jego zwiotczonej twarzy, będące odbiciem całego jego dotychczasowego życia; na unoszące się ponad nim światło. Potem przeniosłem wzrok na kota i powiedziałem:

— Ciekawość. Chodzi ci o ludzką ciekawość. Zainteresowanie, jakie człowiek przejawia wobec dziwnych, osobliwych stworów, sprawia, że ujrząwszy je uznaje za naturalne.

— Wydaje się wprost nieprawdopodobne — powiedział kot — że ty, człowiek inteligentny, nigdy nie dostrzegłeś jedynej wspólnej cechy wszystkich istot ludzkich. — Odwrócił się żywo, prostując się. — No, dość tej rozmowy. Spełniłem podstawowe warunki, jakie mi postawiono: przebywałem tu przez pewien czas uniknąwszy zdemaskowania i powiedziałem o tym jednemu mieszkańcowi. Pozostało jeszcze tylko przesłanie do domu jakiegoś charakterystycznego wytworu waszej cywilizacji, a potem mogę już ruszać w drogę. . . gdzie indziej.

— Chyba tym wytworem nie jest Silkey? — zaryzykowałem.

— Rzadko — usłyszałem w odpowiedzi — wybieramy żyjących mieszkańców planety, a jeśli już to robimy, zawsze dajemy im w zamian jakąś rekompensatę, by zrównoważyć to, co im odbieramy. W tym przypadku jest to faktyczna nieśmiertelność.

Pozostały już tylko sekundy. Nagle poczułem beznadziejną rozpacz i to wcale nie dlatego, abym żywił jakieś specjalne uczucia do Silkeya. Stał jak kłoda i nawet gdyby miał to później zapamiętać, było mi to zupełnie obojętne. Ale czułem, że kot odkrył jakiś przyrodzony sekret ludzkiej natury, który ja, jako biolog, muszę poznać.

— Na litość boską! — zawołałem — jeszcze nie wyjaśniłeś. Jaka jest ta główna cecha natury ludzkiej? A pocztówka, którą mi wysłałeś. A...

— Dałem ci wszystkie niezbędne wskazówki. Skoro nie jesteś w stanie tego pojąć, to już nie moja sprawa. My, studenci, mamy swój kodeks, to wszystko.

— Ale co mam powiedzieć światu? — zapytałem rozpaczliwie. — Nie masz żadnego przesłania dla ludzkości, niczego...

Popatrzył na mnie znowu.

— O ile potrafisz zachować dyskrecję — nie mów nic nikomu.

Oddalał się, nie oglądając się więcej za siebie. Nagle ujrzałem, jak mgliste światełko nad głową Silkeya rozszerza się, robi się coraz jaśniejsze, intensywniejsze, zaczyna leciutko, ale rytmicznie pulsować. Złączeni w jego blasku kot i Silkey stali się już jedynie mglistymi kształtami, niczym cienie w ogniu.

Naraz te cienie zatarły się, a matowe światło zaczęło blednąć. Z wolna spłynęło ku ziemi i leżało tam przez chwilę, rozptywając się w końcu w ciemności.

Silkey i dziwaczny stwór zniknęli bez śladu.

Siedzący wokół stołu w barze milczeli przez chwilę. W końcu Gord powiedział „mhm”, a Jones przemówił swym autorytatywnym tonem:

— Oczywiście rozwikłał pan tajemnicę pocztówki?

Szczupły mężczyzna o wyglądzie belfra pokiwał głową.

— Sądzę, że tak. Wskazówką była dla mnie wzmianka o różnicy czasów. Pocztówka została wysłana już p o t y m, jak Silkeya wystawiono jako eksponat w szkolnym muzeum na tej kociej planecie, ale wskutek różnicy czasów nadeszła, z a n i m dowiedziałem się o pobycie Silkeya w naszym mieście.

Morton wynurzył się z głębi swego fotela.

— A co z tą zasadniczą cechą ludzkiej natury, której religia jest jedynie zewnętrznym przejawem?

Nieznajomy zrobił gest ręką.

— Prezentując osobliwości natury Silkey w gruncie rzeczy wystawiał na pokaz samego siebie. Religia jest dla człowieka formą autodramatyzacji przed bogiem. Miłość własna, samouwielbienie — to w gruncie rzeczy tylko sposób prezentacji samego siebie... i wskutek tego istota z obcej planety mogła znaleźć się między nami niezauważona.

Cathy odchrząknęła i zapytała:

— Mnie interesują sprawy miłości. Czy ożenił się pan z Wirginią? Bo przecież pan jest tym profesorem biologii, prawda?

Obcy potrząsnął głową.



— Byłem — odparł. — Powinieniem był posłuchać rady kota, ale wydawało mi się, że należy opowiedzieć ludziom o tym, co mi się przydarzyło. Zostałem więc zwolniony po trzech miesiącach. Nie powiem wam, co robię teraz. Ale nie wolno mi tego zaniechać! Świat musi się dowiedzieć o tej słabości ludzkiej natury, która nas tak obezwładnia! Wirginia? Poślubiła pilota jednej z wielkich linii lotniczych. Uległa więc jego własnej wersji autodramatyzacji.

Wstał. — Komu w drogę... Muszę jeszcze odwiedzić mnóstwo barów dzisiejszej nocy.

Kiedy odszedł, Ted na chwilę przestał udawać durnia.

— Hej — powiedział — ten facet rzeczywiście ma niezły tekst. Wyobraźcie sobie: on będzie tak chodził i powtarzał swoją historię przez całą noc! Co za pole do popisu dla kogoś, kto chce być w centrum uwagi.

Myra zachichotała. Jones zaczął przemawiać do Gorda tonem faceta, który zjadł wszystkie rozumy. Gord powtarzał swoje „mhm”, jakby tego słuchał. Cathy oparła głowę na stole i zachrapała po pijacku. A Morton osuwał się w swym fotelu coraz niżej.

# Zmartwychwstanie

## *Ressurrection*

Olbrzymi statek kosmiczny unosił się pięćset metrów ponad jednym z miast. W dole było kosmiczne spustoszenie. Opuszczając się w kapsule energetycznej Enash ujrzał budowle rozsypujące się ze starości.

— Żadnych śladów zniszczeń wojennych — dobiegł jego uszu bezcielesny głos. Enash wyciszył go.

Na ziemi zwinął kapsułę. Znajdował się w miejscu otoczonym zewsząd murem i porośniętym zielskiem. W bujnej trawie, tuż obok smukłych budowli, leżało kilka szkieletów, szczątków wysokich, dwunożnych i dwuręcznych istot, z czaszkami osadzonymi na szczycie cienkiego kręgosłupa. Szkielety, wszystkie dorosłych osobników, zdawały się doskonale zachowane, ale gdy się schylił i dotknął jednego z nich, kości rozsypały się w drobny pył. Prostując się dostrzegł Yoala lądującego w pobliżu. Oczekał, aż historyk wyjdzie ze swej kapsuły, po czym spytał:

— Jak sądzisz, czy powinniśmy zastosować tu naszą metodę wskrzeszania umarłych?

Yoal zastanowił się.

— Wypytywałem już różne osoby, które lądowały wcześniej. Coś jest nie w porządku na tej planecie. Nie przetrwała tu żadna forma życia, nawet owady. Musimy zbadać, co się wydarzyło, zanim zaryzykujemy kolonizację.

Enash milczał. Łagodny wiatr poruszał liśćmi w stojącej nie opodal kępie drzew. Enash skierował się w tamtą stronę.

Yoal pokiwał głową.

— No tak, roślinność nie poniosła żadnej szkody, ale przecież rośliny reagują inaczej niż aktywne formy życia.

Przerwał mu jakiś głos w odbiorniku:

— W pobliżu centrum miasta odkryto muzeum. Na jego dachu umieszczono czerwone światło.

— Pójdę z tobą, Yoal — zdecydował Enash. — Mogą tam być szkielety zwierząt, a także tych inteligentnych istot w różnych stadiach ewolucji. Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie. Zamierzasz wskrzesić te istoty?

— Mam zamiar przedyskutować tę sprawę z członkami Rady — z ociąganiem odparł Yoal — ale nie sądzę, żeby zaistniały jakieś wątpliwości w tej kwestii. Musimy poznać przyczyny zagłady. — Niezdecydowanym gestem zakreślił maczką półkole. — Oczywiście — dodał po namyśle — będziemy postępować rozważnie i zaczniemy od przedstawicieli epoki na niższym szczeblu rozwoju. Brak szkieletów dzieci wskazuje na to, że rasa ta osiągnęła nieśmiertelność.

Przybyli członkowie Rady, by obejrzyć eksponaty w muzeum. Enash wiedział, że to jedynie wstępna formalność. Decyzja już zapadła: wskrzeszenia będą dokonywane. Kryło się jednak za tym coś więcej: członkowie Rady byli ciekawi, a podróże przez bezkresny Kosmos długie i samotne, lądowanie więc zawsze stanowiło podniecające przeżycie, okazję do ujżenia i zbadania nowych form życia.

Muzeum wyglądało całkiem zwyczajnie. Wysoko sklepione sufity, przestronne sale. Plastikowe modele nieznanymi bestii, wiele artefaktów — za wiele, by je wszystkie obejrzeć i ocenić w tak krótkim czasie. Wszystkie epoki tej rasy zostały uwięzione tu, w zbiorze coraz to bardziej skomplikowanych eksponatów. Oglądając je wraz z innymi Enash ucieszył się, kiedy doszli wreszcie do rzędu szkieletów i zmumifikowanych ciał. Usadowił się za ekranem energetycznym obserwując, jak biolodzy wyjmują mumię z kamiennego sarkofagu. Była owinięta wieloma zwojami materii. Eksperci nawet nie próbowali odwijać butwiejącego materiału. Kleszczami wycięli kawałek czaszki — tak przewidywała procedura. Do tego celu posłużyć mogła jakakolwiek część szkieletu, najbardziej jednak udane wskrzeszenia, najpełniejsze rekonstrukcje osiągnano wycinając kawałek czaszki.

Naczelny biolog Hamar wyjaśnił powód, dla którego wybrano właśnie tę mumię.

— Substancje chemiczne, jakich użyto do zakonserwowania mumii, świadczą o powierzchniowej jeszcze znajomości chemii. Zdobienia na sarkofagu wskazują na dość prymitywną, niemechaniczną kulturę. Na tym stopniu rozwoju cywilizacji nie mogło być jeszcze mowy o pełnym wykorzystaniu możliwości układu nerwowego. Nasi językoznawcy dokonali analizy mechanizmu zapisu mowy znajdującego się przy każdym eksponacie i pomimo różnic językowych — co stanowi dowód, że starożytny język, jakim posługiwano się za życia każdej mumii, został rzeczywiście odtworzony — nie mieli żadnych trudności z jego rozszyfrowaniem. Teraz więc odpowiednio przystosowali nasz uniwersalny translator, by każdy, kto sobie tego zażyczy, mógł mówić do komunikatora, a jego słowa będą tłumaczone na język wskrzeszonej istoty. Działa to, oczywiście, w obie strony. Widzę, że jesteśmy gotowi do pierwszego zabiegu.

Enash wraz z innymi pochłonięty był obserwacją, jak zamyka się wieko plastikowego rekonstruktora i rozpoczyna proces wzrostu. Czuł rosnące napięcie,

mimo że nie mogło być mowy o jakimś nieprzewidzianym wypadku. Za kilka minut ów starożytny dorosły osobnik usiadł i spojrzeli na nich. Zastosowana tu technika jest prosta i zawsze w pełni efektywna.

... Z cienia małości wyrasta życie. Początek i koniec, życie i nie-życie; w tych mrocznych regionach materia oscyluje swobodnie pomiędzy starymi i nowymi pokrojami: pokrojem organicznym lub nieorganicznym. Elektrony nie mają cech życiowych czy też nie-życiowych. Atomy nie wiedzą o nieożywieniu. Ale kiedy atomy tworzą molekuly — pozostaje krok w całym procesie, jeden mikroskopijny krok, krok ku życiu — o ile w ogóle ma się zacząć życie. Jeden krok, a potem ciemność — lub życie.

Kamień czy żywa komórka, ziarno złota czy źdźbło trawy, piasek morski czy równie liczne drobnoustroje zamieszkujące bezkresne obfitujące w ryby wody — różnica mieści się w mrocznej strefie materii. Każda żywa komórka ma w sobie cały kształt przyszłej istoty. Krabowi odrasta noga, gdy starą wyrwie mu się z ciała. Oba końce robaka płaskiego wydłużają się i wkrótce powstają dwa robaki, dwa osobniki, dwa systemy trawienne, z których każdy jest tak żarłoczny jak pierwotny, każdy całkowity, nieuszkodzony, bez szwanku mimo przykrego doznania w czasie podziału. Każda komórka może być całością. Każda komórka pamięta szczegółowo rzeczy tak zawiłe, że brak słów na opisanie osiągniętej pełni.

Ale — o paradoksie! — pamięć nie jest organiczna. Zwykła woskowa płyta pamięta dźwięki. Zapis magnetyczny z łatwością odtwarza głos, który mówił doń przed laty. Pamięć jest odbitką fizjologiczną, tak że kiedy zachodzi konieczność reakcji, emitowany jest taki sam rytm odpowiedzi.

Z czaszki mumii nadeszły kwadryliony kształtów pamięci, które wywołały teraz odzew. Jak zawsze, pamięć odtworzyła wiernie.

Mężczyźnie zadrgały powieki; otworzył oczy.

— A zatem to prawda — powiedział, a jego słowa od razu przekładano na język Ganaów — że śmierć jest tylko wejściem do innego świata. Ale gdzie są moi słudzy? — W jego głosie zabrzmiała nuta skargi.

Podniósł się i wyszedł z rekonstruktora, który otworzył się automatycznie, gdy tylko człowiekowi wróciło życie. Spostrzegł swych władców. Na chwilę zastygł bez ruchu. Był dumny i na swój sposób zuchwały, a obie te cechy oddawały mu teraz usługi. Ociągając się padł na kolana w głębokim ukłonie; było jednak widoczne, że ma poważne wątpliwości.

— Czy znajduję się przed obliczem bogów Egiptu? — Podniósł się. — Co to ma znaczyć?! Nie oddaję czci bezimiennym demonom!

— Zabić go! — rozkazał kapitan Gorsid.

Dwunożny stwór rozpląnął się w ogniu promiennika.

Wstał drugi ze wskrzeszonych ludzi, blady, drżąc ze strachu.

— Na Boga, przysięgam, że nie wezmę już do ust tego świństwa! Gadają o białych myśkach, a tu...

— O jakim to „świństwie” mówisz? — zainteresował się Yoal.  
— No, o gorzale, o tej truciznie w piersiówce, o wódzie, co mi ją dali w tej podłej knajpie. . .

Kapitan Gorsid popatrzył pytająco na Yoala.

— Może już wystarczy?

Yoal zawahał się.

— Ciekawi mnie to. — Zwrócił się do mężczyzny: — Gdybym ci powiedział, że jesteśmy przybyszami z gwiazd, co ty na to?

Człowiek wlepił weń wzrok. Był najwyryźniej zaintrygowany, lecz strach okazał się silniejszy.

— Chwileczkę — powiedział — prowadziłem wóz, ale nikomu nie zawadzałem. Przyznaję, że strzeliłem sobie jednego czy dwa za dużo, ale taki trunek teraz podają. Jak Boga kocham, nie widziałem tego drugiego samochodu — a jeśli to ma być jakaś kara dla tych, co jeżdżą po pijaku, to dobra, wygraliście. Do końca życia nie wezmę ani kropli do ust!

— Mówi o „samochodzie” — powiedział Yoal. — A przecież nie widzieliśmy tu żadnych samochodów. Nawet nie zadali sobie trudu, by je zachować w muzeach.

Enash zauważył, że każdy z nich ogląda się na drugiego, oczekując, że ktoś to skomentuje. Wzburzony zdał sobie sprawę, że milczenie będzie się przedłużało, jeżeli on sam nie zabierze głosu.

— Każ mu opisać samochód i zasady jego działania — podał.

— No, nareszcie możemy pogadać! — powiedział człowiek. — Narysujcie tę waszą linię kredą, a ja po niej przejdę; potem możecie mnie pytać, o co chcecie. Nawet tak zalany, że będę widział podwójnie, ale prowadzić mogę zawsze. Jak działa? No, zwyczajnie: wrzuca się bieg i naciska gaz.

— Gaz — powtórzył inżynier Veed. — Silnik spalinowy. Teraz wiadomo, co to za epoka.

Kapitan Gorsid skinął na strażnika z promiennikiem w pogotowiu.

Trzeci mężczyzna usiadł i popatrzył na nich w zamyśleniu.

— Z gwiazd? — zapytał po chwili. — Macie jakąś metodę czy to ślepy traf?

Członkowie Rady Ganaów poruszyli się niespokojnie na swych wygiętych krzesłach. Enash pochwycił wzrok Yoala. Zdumienie w oczach historyka zaalarmowało go. Ten dwunożny stwór, pomyślał, przystosował się w mig do nowej sytuacji i w jednej chwili pojął rzeczywistość. Żaden z Ganaów nie potrafiłby mu dorównać szybkością orientacji.

— Szybkość myślenia — odezwał się naczelny biolog, Hamar — nie świadczy jeszcze o wyższości intelektualnej. Powolne, precyzyjne rozumowanie zajmuje niepoślednie miejsce w hierarchii intelektualnej.

Enash przyłapał się na myśli, iż nie tyle chodzi tu o szybkość reakcji, co właśnie o trafność spostrzeżeń. Próbował wyobrazić sobie siebie samego przywróco-

nego do życia i pojmującego w lot, że ma do czynienia z przybyszami z Kosmosu. To było niemożliwe!

Tymczasem mężczyzna wyszedł już z rekonstruktora. Enash wraz z innymi obserwował, jak tamten żywo podchodzi do okna. Wyrzwał przez nie i znów odwrócił się do nich.

— Czy wszędzie jest tak samo? — zapytał.

Znów bystrość jego reakcji wywarła niemałe wrażenie. Odpowiedział mu Yoal:

— Tak. Spustoszenie. Śmierć. Ruiny. Czy wiesz, co tu się stało?

Mężczyzna wrócił do nich i stanął przed ekranem energetycznym chroniącym Ganaów.

— Czy mogę się rozejrzeć po muzeum? Muszę się zorientować, co to za epoka. Wprawdzie już za moich czasów istniały pewne środki samozagłady, ale którego z nich użyto — to zależy od okresu, jaki upłynął.

Członkowie Rady patrzyli na kapitana Gorsida; ten wahał się przez chwilę.

— Pilnuj go — powiedział do strażnika z promiennikiem. — Zwrócił się do mężczyzny: — Doskonale rozumiemy twoje dążenie. Chciałbyś opanować sytuację i zapewnić sobie bezpieczeństwo. Nie masz się czego obawiać. Jeśli nie zrobisz żadnego fałszywego kroku, nic ci nie grozi.

Człowiek nie dał po sobie poznać, czy uwierzył w to kłamstwo. Nie zdradził też gestem ani spojrzeniem, że widział strawioną ogniem promiennika podłogę w miejscu, gdzie jego dwaj poprzednicy zostali obróceny w nicość.

Podszedł zaciekawiony do najbliższych drzwi, przyjrzał się drugiemu strażnikowi, który czekał tam na niego, a potem ostrożnie przestąpił próg. Pierwszy strażnik ruszył w ślad za nim, po nim zaś — ruchomy ekran energetyczny. Dalej posuwali się, jeden za drugim, członkowie Rady.

Jako trzeci z kolei przestąpił próg Enash. Znajdowały się tu szkielety i plastikowe modele zwierząt. Następną salę — nie znajdując lepszego określenia — Enash nazwał „salą kulturową”. Mieściły się w niej artefakty z jednego tylko okresu ziemskiej cywilizacji. Dowodziły bardzo wysokiego poziomu techniki. Enash przyjrzał się już kilku urządzeniom, gdy przechodzili tędy po raz pierwszy, i pomyślał: „Energia atomowa”.

Nie on jeden się na tym poznał. Kapitan Gorsid, za jego plecami, ostrzegł mężczyznę:

— Nie wolno ci niczego dotykać. Jeden fałszywy ruch będzie dla strażnika sygnałem do otwarcia ognia.

Mężczyzna stał swobodnie pośrodku sali. Mimo osobliwego uczucia niepokoju Enash podziwiał jego opanowanie. Przecież ten człowiek z pewnością wie, jaki spotka go los. Wreszcie mężczyzna się odezwał:

— Nie muszę już nigdzie dalej chodzić. Być może wy będziecie potrafili lepiej ocenić, ile to lat upłynęło od epoki, w której ja się urodziłem i zostały skon-

struowane te maszyny. Widzę tu urządzenie, które — sądząc z napisu — służy do liczenia eksplodujących atomów. Gdy eksploduje już odpowiednia ich ilość, automatycznie zostaje przerwany dopływ energii na czas niezbędny, by zapobiec reakcji łańcuchowej. W moich czasach mieliśmy tysiące takich urządzeń służących ograniczaniu rozmiarów reakcji jądrowych, ale potrzeba było na to całych dwóch tysięcy lat od chwili, gdy po raz pierwszy zastosowano energię atomową. Jak to się u was przedstawia?

Członkowie Rady popatrzyli na Veeda. Inżynier zawahał się. Wreszcie powiedział z wyraźnym ociąganiem:

— Dziewięć tysięcy lat temu znaleźliśmy już tysiące metod kontrolowania wybuchów jądrowych. . . — Urwał i jeszcze bardziej przeciągając słowa dodał: — Nigdy dotąd nie słyszałem o urządzeniu do liczenia atomów.

— I pomyśleć — mruknął z zapartym tchem astronom Shuri — że taka rasa została zniszczona!

Zapadło milczenie. Przerwał je rozkaz Gorsida rzucony najbliższemu strażnikowi:

— Zabij to monstrum!

Ale to właśnie strażnik padł na ziemię, objęty płomieniami. I nie tylko on jeden, ale wszyscy strażnicy w jednej chwili zajęli się błękitnym ogniem. Płomienie liznęły ekran, cofnęły się i znów zaczęły lizać ekran z coraz większą gwałtownością, jeszcze raz się cofnęły, po czym zapłonęły jaśniej. Przez ścianę ognia Enash ujrzał, że mężczyzna cofa się ku drzwiom w końcu sali, a urządzenie do liczenia atomów jarzy się intensywnym niebieskim światłem.

— Straż z promiennikami, zablokować wyjścia! — krzyknął kapitan Gorsid do komunikatora. — Statki: przygotować się do zniszczenia obcego ciężką bronią.

— Kontrola psychiczna. Jakiś rodzaj kontroli myślami — odezwał się ktoś.

Wycofywali się. Błękitny płomień sięgał już sklepienia, starając się przedrzeć przez pole siłowe. Enash rzucił jeszcze raz okiem na urządzenie: widocznie wciąż liczyło atomy, bo jarzyło się piekielnie niebieskim blaskiem. Enash biegł wraz z innymi do sali, gdzie został wskrzeszony mężczyzna. Tu pośpiesznie ustawiono drugi ekran energetyczny. Teraz już bezpieczni, wycofywali się do swych kapsuł, śmigali w nich na zewnątrz, a potem w górę — do statku. Kiedy potężny pojazd kosmiczny uniósł się wyżej, z jego wnętrza wyleciała bomba atomowa. Grzyb ognia przesłonił muzeum i miasto pod nimi.

— Nie dowiedzieliśmy się w końcu, dlaczego ta rasa zginęła — szepnął Yoal do Enasha, gdy potężny grzmot zamarł w tyle za nimi.

\* \* \*

Bladożółte słońce pięło się ponad horyzont. Było to trzeciego dnia po zrzuconiu bomby, dziewiątego od chwili ich lądowania. Enash leciał wraz z resztą

Ganaów ku nowemu miastu. Zamierzał złożyć protest przeciw dalszym wskrzeszeniom.

— Jako meteorolog — powiedział — uznaję tę planetę za bezpieczną i zdatną do zasiedlenia. Nie ma potrzeby podejmowania nowego ryzyka! Ta rasa odkryła tajemnicę pełnego wykorzystania systemu nerwowego, nie możemy więc sobie pozwalać...

Przerwał mu sucho biolog Hamar:

— Skoro dysponowali taką wiedzą — powiedział — to dlaczego nie wyemigrowali do innych układów gwiazdnych, by się ocalić?

— Przypuszczam — odparł Enash — że nie znali naszej metody odszukiwania gwiazd posiadających systemy planetarne. — Popatrzył z powagą na otaczających go przyjaciół. — Zgodziliśmy się już co do tego, że odkrycie to było tylko sprawą przypadku. Mieliśmy po prostu szczęście!

Z wyrazu twarzy zebranych odczytał, że nie przemawia do nich jego argumentacja. Odczuwał bezradność w obliczu nieuniknionej katastrofy. Oczami wyobraźni oglądał obraz zagłady wielkiej rasy. Śmierć musiała nastąpić szybko, lecz nie na tyle, by ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, co ich czeka. Zbyt wiele szkieletów leżało na otwartej przestrzeni, w ogrodach wspaniałych willi, jakby wszyscy mężczyźni i kobiety wyszli w oczekiwaniu na zagładę całego ich gatunku. Enash starał się uzmysłowić tę wizję członkom Rady: ostatni dzień kiedyś dawno, dawno temu; dzień, w którym cała ludność planety spokojnie wyszła na spotkanie swego przeznaczenia.

Ale ta wizja nie przemówiła jakoś do ich wyobraźni. Poruszyli się tylko, zniecierpliwieni, w swych krzesłach ustawionych za rzędem ekranów energetycznych. Kapitan Gorsid zaś zapytał:

— A tak konkretnie, Enash, co jest powodem tej twojej gwałtownej reakcji emocjonalnej?

To pytanie go zaskoczyło. Nie podejrzewał nawet, że uległ emocji. Nie zdawał sobie nawet sprawy z natury swego wzburzenia. Teraz dopiero sobie uświadomił, jak niepostrzeżenie nim owładnęło.

— To z powodu tego trzeciego wskrzeszonego — mówił powoli, z namysłem. — Widziałem go przez kłęby ognia, jak stał w drzwiach i obserwował nas z ciekawością, nim w końcu rzucił się do ucieczki. Jego odwaga, jego opanowanie, spryt, z jakim nas wywiódł w pole — to wszystko się nałożyło.

— Aż do jego śmierci! — podsumował Hamar. Wszyscy ryknęli śmiechem.

— Daj spokój, Enashu! — powiedział wicekapitan Mayad z rozbawieniem w głosie. — Chyba nie chcesz powiedzieć, że ta rasa jest dzielniejsza od naszej, albo że przy tych wszystkich środkach ostrożności, jakie przedsięwzięliśmy, powinniśmy się obawiać jednego człowieka?

Enash milczał; czuł się głupio. Odkrycie, że dał się ponieść emocjom, zbiło go z tropu. Nie chciał się okazać nierozsądny. Zdobył się tylko na ostatni protest:



— Chciałem jedynie podkreślić — obstawał przy swoim — że sprawa dowiedzenia się, jakie nieszczęście się przytrafiło tej wymarłej rasie, nie wydaje mi się wcale takiej pierwszorzędnej wagi.

Gorsid skinął na biologa: — Zabieramy się do wskrzeszania! — Do Enasha zaś powiedział: — Czy moglibyśmy wrócić na Ganę i zalecać masową emigrację, nie wspomniawszy o tym, że nie zakończyliśmy tu naszych badań? To niemożliwe, przyjacielu!

Był to zużyty argument, ale — choć niechętnie — Enash musiał przyznać, że tym razem przemawiały za nim okoliczności. Zapomniał jednak o wszystkim, gdy poruszył się czwarty ożywiony człowiek.

Mężczyzna usiadł i zniknął.

Zapadła głucha, przeraźliwa, mrożąca krew w żyłach cisza. Pierwszy odezwał się kapitan Gorsid:

— Przecież nie mógł się stąd wydostać — powiedział szorstko. — Musi tu gdzieś być.

Wszyscy poderwali się z krzesel, wpatrując się w energetyczną skorupę. Straż stała z promiennikami w pogotowiu, niepewnie ściskając je w mackach. Kątem oka Enash dostrzegł, że technik z obsługi ekranów ochronnych przywołuje Veeda. Ten wrócił po chwili z ponurą miną.

— Dowiedziałem się, że wskaźniki skoczyły o dziesięć punktów, kiedy zniknął — oznajmił. — To jest poziom nukleonów.

— Na starożytnych Ganaów! — wyszeptał Shuri. — Zawsze się tego obawialiśmy.

— Zniszczyć wszystkie lokatory na statku! — krzyknął Gorsid do komunikatora. — Zniszczyć, słyszycie!

Odwrócił się z ogniem w oczach:

— Shuri! — ryknął. — Oni chyba nie rozumieją. Powiedz swym podwładnym, żeby się ruszali. Wszystkie lokatory i rekonstruktory mają zostać zniszczone!

— Szybko, ruszać się! — krzyknął Shuri bez stanowczości w głosie. Gdy rozkaz został wykonany, wszyscy odetchnęli z ulgą. Na ich twarzach, pełnych napiętej satysfakcji, pojawiły się ponure uśmiechy.

— Przynajmniej teraz już nie odnajdzie Gany — odezwał się wicekapitan Mayad. — Metoda wyszukiwania gwiazd z układami planetarnymi pozostanie naszą tajemnicą. Nie musimy się obawiać odwetu za... — urwał, a potem powiedział powoli: — Co ja mówię? Nic im przecież nie zrobiliśmy. Nie ponosimy odpowiedzialności za nieszczęście, jakie spadło na mieszkańców tej planety.

Ale Enash wiedział już, co Mayad ma na myśli. Poczucie winy zawsze daje znać o sobie w takich chwilach, jak ta. Straszą widma wszystkich unicestwionych przez Ganaów ras, ofiar ich bezlitosnej woli niszczenia wszystkiego, co napotykali po wylądowaniu. Ciemna otchłań niewysłowionej nienawiści i strachu, jakie pozostawili po sobie, a także niezliczone dni, kiedy razili śmiercionośnym pro-

mieniowaniem niczego nie podejrzewających mieszkańców spokojnych planet — wszystko to kryło się teraz w słowach Mayada.

— Wciąż nie chce mi się wierzyć, że on uciekł. — To kapitan Gorsid. — Musi tu gdzieś być. Pewnie czeka, aż wyłączymy ekrany, a wtedy będzie mógł uciec. Ale tego nie zrobimy.

Znów zapadła cisza. Ganaowie wpatrywali się wyczekująco w pustkę wewnątrz energetycznej muszli. Rekonstruktor, błyszczące urządzenie, stał na metalowych podpórkach. Nic poza tym; ani śladu sztucznego światła czy cienia. Żółte promienie słońca skąpały w blasku otwartą przestrzeń, nie zostawiając miejsca na kryjówkę.

— Straż — rozkazał Gorsid — zniszczyć rekonstruktor! Myślałem, że tu wróci, aby go obejrzyć, ale nie możemy ryzykować!

Rekonstruktor zajął się gwałtownie białym płomieniem. Nadzieja Enasha, że śmiercionośna energia zmusi dwunoga do wyjścia z ukrycia, rozwiała się.

— Gdzie on się mógł podziać? — wyszeptał Yoal.

Enash odwrócił się do niego, by omówić z nim tę kwestię, i wówczas ujrzał obcego stojącego pod drzewem o parę metrów od nich. Człowiek obserwował ich. Musiał się pojawić dosłownie w tej chwili, gdyż wszystkim członkom Rady jednocześnie zaparło dech z wrażenia. Cofnęli się jak jeden mąż. Któryś z techników, wykazując ogromną przytomność umysłu, ustawił ekran dzielący Ganaów od potwora. Stwór ruszył powoli w ich stronę. Był szczupły; głowę trzymał uniesioną wysoko. Jego oczy płonęły wewnętrznym blaskiem.

Zatrzymał się przed ekranem i wyciągnął rękę dotykając go końcami palców. Ekran zamigotał, zamglił się zmiennymi kolorami. Ich barwa stawała się coraz jaskrawsza i rozrastała się w skomplikowany wzór od stóp do głowy jego postaci. Po chwili błękit zbladł. Wzór stał się niewidoczny. Mężczyzna przeniknął przez ekran.

Zaśmiał się łagodnym, dziwnym śmiechem, potem spoważniał.

— Tuż po przebudzeniu — powiedział — byłem zaintrygowany całą tą sytuacją. Zadawałem sobie pytanie, co z wami zrobić.

Słowa, jakie padły w nieruchomym porannym powietrzu planety umarłych, jawiły się Enashowi ponurą przepowiednią. Czyjś głos przerwał milczenie, głos tak napięty i nienaturalny, że minęła dobra chwila, nim Enash rozpoznał kapitana Gorsida:

— Zabić go!

Kiedy ustał ogień promienników, niezniszczalny stwór stał jakby nigdy nic. Wolniutkim krokiem ruszył w ich stronę, aż znalazł się o dwa metry od najbliższych Ganaów. Enash zajmował pozycję na tyłach.

— Narzucały się dwie drogi postępowania — mówił powoli mężczyzna. — Jedna to wdzięczność za ożywienie, druga — uwzględniająca realia. Wiem, jacy jesteście. Tak, znam was dobrze — i to wasz pech! Trudno się nad wami litować.

A teraz, by zacząć od czegoś: przypuśćmy, że zdradzicie mi tajemnicę budowy lokalizatora. Gdy już będziemy znali tę metodę, nie damy się na przyszłość tak łatwo zaskoczyć.

Enash był tak pochłonięty rozważaniami na temat możliwych skutków obecnego dramatycznego rozwoju sytuacji, że wydawało mu się nieprawdopodobne, by można było myśleć jeszcze o czymś innym. A jednak częściowo jego uwaga znów została odciągnięta.

— Co się właściwie tutaj stało? — zapytał.

Twarz człowieka zmieniła barwę. Emocje tego dnia sprawiły, że mówił ochrypłym głosem:

— Burza nukleoniczna. Opadła z Kosmosu i omiotła ten kraniec naszej galaktyki. Miała około dziewięćdziesięciu lat świetlnych średnicy, co przekraczało granice naszej obrony. Nie było przed nią ucieczki. Dawno zaprzestaliśmy budowy pojazdów kosmicznych, a później nie było na to czasu. Kastor — jedyna odkryta przez nas gwiazda z układem planetarnym — leżała także na drodze sztormu. — Urwał. Po chwili zapytał:

— A więc, co to za metoda?

Członkowie Rady Ganaów odetchnęli swobodniej. Rozwiała się obawa przed zagładą ich rasy. Enash z dumą spostrzegł, że pierwszy szok minął i że przestali się nawet lękać o swój los.

— Aha — powiedział Yoal cicho — a więc nie znasz jej. Pomimo całego waszego rozwoju cywilizacyjnego jedynie my możemy podbić galaktykę. — Popatrzył na innych, uśmiechając się z poczuciem pewności siebie. — Nasza duma z wielkiego osiągnięcia rasy Ganaów jest zatem uzasadniona. Proponuję, byśmy wrócili na statek. Nie mamy już nic do roboty na tej planecie.

Przez chwilę panowało małe zamieszanie, gdy wszyscy formowali swe kapsuły. Enash zastanawiał się, czy dwunożna istota będzie próbowała ich zatrzymać. Lecz kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył, że mężczyzna idzie bez pośpiechu ulicą.

Enash przechowywał jeszcze ten obraz w pamięci, gdy statek już ruszył. Pamiętał również, że trzy bomby atomowe, zrzucone jedna po drugiej, nie eksplodowały.

— Nie oddamy tej planety tak łatwo — powiedział kapitan Gorsid. — Proponuję, byśmy odbyli jeszcze jedną rozmowę z tym stworem.

Znowu opuszczali się na miasto: Enash, Yoal, Veed i dowódca. Ponownie zabrzmiał głos Gorsida:

— ... więc sądzę — przez mgłę Enash mógł dojrzeć jedynie połysk trzech pozostałych kapsuł — że doszliśmy do zbyt pochopnych wniosków dotyczących tego stwora, nie popartych bynajmniej faktami. Na przykład: po wskrzeszeniu stwór zniknął. Dlaczego? To przecież oczywiste: bo się bał! Chciał najpierw ocenić sytuację. On sam nie wierzy, że jest wszechmocny.

Brzmiało to logicznie. Enash poczuł przyptyw otuchy. Teraz nagle zaczął się dziwić samemu sobie, że tak łatwo wpadł w panikę. Ujrzał naraz całą sytuację w zupełnie innym świetle: tylko jeden żywy człowiek pozostał na tej planecie. Gdyby się zdecydowali na kolonizację, nie musieliby go wcale brać pod uwagę — zupełnie jakby nie istniał. Przypomniawszy sobie, że postępowano tak już wcześniej. Na kilku planetach nieliczne grupki miejscowej ludności przeżyły śmiertelne promieniowanie i zasyły się gdzieś w odległych rejonach. Prawie we wszystkich przypadkach koloniści ich wytropili. Jednak Enash pamiętał, że na dwóch planetach niewielkie obszary znajdowały się wciąż w rękach rasy tubylczej: w obu przypadkach próby ich likwidacji uznano za niepotrzebne narażanie Ganaów. Tak więc ocalałych tolerowano. Jeden człowiek nie zajmuje zbyt wiele miejsca.

Gdy wreszcie go odnaleźli, pracowicie zamiatał podłogę na parterze małego domku. Odstawił miotłę i wyszedł na taras. Na nogach miał sandały, ubrany był w luźną szatę z błyszczącego materiału. Obrzucił ich obojętnym spojrzeniem, ale nie odezwał się ani słowem.

Kapitan Gorsid przedstawił mu ich propozycję; Enash z podziwem słuchał opowieści przekazywanej do tłumacza. Dowódca był szczery, tak zostało uzgodnione. Podkreślił, iż nie można oczekiwać od Ganaów, że będą wskrzeszać wszystkich umarłych tej planety. Taki altruizm nie miałby sensu, zważywszy, że wciąż rosnące rzesze Ganaów, odczuwają nieustanny głód nowych terenów. Zwiększający się przyrost naturalny stanowi problem, który można rozwiązać za pomocą tylko jednej metody. W tym przypadku koloniści chętnie uszanują prawa jedyne ocalałego mieszkańca tego świata.

W tym momencie mężczyzna przerwał:

— Jaki jest cel tej waszej nie kończącej się ekspansji? — Wydawał się szczerze zainteresowany. — Co się stanie, gdy już zagarniecie wszystkie planety tej galaktyki?

Zdziwione spojrzenie kapitana napotkało wzrok Yoala, a potem Veeda i Enasha. Enash poczuł litość dla tej istoty. Ten człowiek nie rozumie; może i nie jest w stanie tego pojąć! To stara jak świat historia dwu odmiennych ideologii, ekspansywnej i dekadentycznej: dwu ras, z których jedna sięga gwiazd, a druga nie chciała rzucić wyzwania losowi.

— Dlaczego — nalegał człowiek — nie wprowadzicie kontroli urodzeń?

— Ależ to by doprowadziło do upadku naszego rządu! — powiedział Yoal.

W jego słowach brzmiała wyrozumiałość; Enash zauważył, że inni też śmieją się z naiwności mężczyzny. Czuł, że pogłębia się między nimi przepaść intelektualna. Stwór nie miał pojęcia o znaczeniu wrodzonych sił witalnych.

— No więc dobrze — przemówił znów człowiek — skoro tak, to my ją za was wprowadzimy.

Nastało milczenie.

Napięcie rosło, Enash czuł to po sobie, dostrzegał jego oznaki u innych. Prześlizgnął się wzrokiem po ich twarzach, po czym znów spojrzął na stwora stojącego w drzwiach. Nie po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że ich przeciwnik jest całkiem bezbronny. Przecież, pomyślał, mógłbym go zgnieść gołymi mackami.

Zastanawiał się, czy zdolność sprawowania kontroli myślowej nad nukleonami, energią atomową i siłą ciężenia umożliwiała również odparcie ataku makrokosmicznego. Doszedł do wniosku, że tak. Może zademonstrowana dwie godziny temu przez człowieka potęża ma jakieś granice, ale nie zostały one ujawnione. Granice siły czy słabości — bez różnicy. Groźba już została wypowiedziana: „zrobimy to za was”.

Słowa te odbiły się echem w świadomości Enasha i w miarę jak w nią zapały, znikła jego rezerwa. Zawsze uważał się za stojącego z boku obserwatora. Nawet wtedy, gdy argumentował przeciw wskrzeszeniom, uświadomił sobie, że cząstką swej jaźni obserwuje raczej tę scenę, niż w niej uczestniczy. Pojął teraz z całą wyrazistością, że to dlatego właśnie nie udało mu się w końcu ich przekonać. Sięgając głębiej pamięcią uzmysłowił sobie, że nigdy właściwie nie uważał się za uczestnika podbojów Kosmosu. Był jedynie biernym obserwatorem, analizującym rzeczywistość i snującym spekulacje o życiu, które wydawało mu się pozbawione sensu. Ale teraz nie było mu już wszystko jedno. Dał się unieść fali gwałtownych emocji. Czuł, jak się w niej zanurza, stapiając się w jedno z całą rasą Ganaów; że siła i wola tej rasy płynie w jego żyłach.

— Istoto! — warknął — jeśli żywisz jakieś złudne nadzieje na wskrzeszenie twej wymarłej rasy, lepiej je porzuć.

Mężczyzna spojrzął na niego, ale nic nie odpowiedział.

Enash dalej nacierał:

— Gdybyś mógł nas zniszczyć, zrobiłbyś to już dawno. Lecz twa potęga ma określone granice. Nasz statek jest tak zbudowany, że nie można na nim spowodować żadnej reakcji łańcuchowej. Na każdą część potencjalnie niestabilnego materiału przypada inna, neutralizująca, co zapobiega powstawaniu masy krytycznej. Mógłbyś zapewne wywołać eksplozję silników, ale ona też byłaby ograniczona i jedynie zapoczątkowałaby ten sam proces, do jakiego faktycznie służą silniki.

Poczuł, że Yoal dotyka macką jego ramienia.

— Ostrożnie — ostrzegł go historyk — nie zdradz w uniesieniu jakiegoś istotnego szczegółu.

Enash strząsnął powstrzymującą go mackę.

— Bądźmy realistami — powiedział cierpko. — Ten stwór i tak odkrył większość tajemnic naszej rasy, przyglądając się budowie naszych ciał. Byłoby naiwnością sądzić, że nie dostrzegł jeszcze możliwości wynikających z sytuacji.

— Enash! — głos kapitana Gorsida brzmiał rozkazująco.

Pasja Enasha uleciała równie szybko, jak wybuchła. Cofnął się o krok.

— Słucham, kapitanie.

— Chyba się domyślam, co chciałeś powiedzieć — rzekł Gorsid. — Zapewniam cię, że całkowicie się z tobą zgadzam, ale uważam, że to ja, jako najstarszy ranga, mam prawo stawiać ultimatum.

Odrzucił się; jego pokryte łuskami ciało górowało nad człowiekiem.

— Twoja groźba jest niewybaczalna — powiedział. — Oznacza to, że będziesz się starał powściągnąć ducha rasy Ganaów.

— Nie ducha! — sprostował człowiek. Zaśmiał się cicho. — Nie, nie ducha.

Dowódca zignorował jego słowa.

— Nie mamy więc wyboru. Załóżmy, że dysponując czasem na znalezienie odpowiednich materiałów i wyprodukowanie narzędzi byłbyś w stanie zbudować rekonstruktor. Naszym zdaniem potrwałoby to co najmniej dwa lata, a w e t g d y b y ś z n a ł z a s a d ę j e g o d z i a ł a n i a. To niezwykle skomplikowane urządzenie, niełatwe do zmontowania przez jedyne ocalałego przedstawiciela rasy, która odrzuciła swe maszyny na tysiące lat przed nadejściem katastrofy.

Nie mieliście zatem czasu zbudować statku kosmicznego. A my nie damy wam czasu na zbudowanie rekonstruktora.

Za kilka minut nasz statek zacznie zrzucić bomby. Być może potrafisz zapobiec eksplozji tych, co spadną w pobliżu; wówczas zaczniemy z przeciwnej półkuli planety! Jeśli uda ci się unieszkodliwić także i tamte — uznamy, że sami nie damy sobie rady. Lecąc przez sześć miesięcy z maksymalnym przyspieszeniem możemy dotrzeć do miejsca, skąd na najbliższej należącej do Ganaów planecie zostanie odebrana nasza wiadomość. Stamtąd wyślą flotę tak potężną, że cały twój opór na nic się nie zda. Zrzucając sto czy tysiąc bomb na minutę zniszczymy każde ziemskie miasto, tak że nawet nie zostanie śladu po szkieletach.

Taki jest nasz plan. A teraz, skoro my tutaj jesteśmy w twoich rękach, możesz z nami zrobić, co ci się podoba.

Człowiek potrząsnął głową.

— Nie teraz — powiedział. Po namyśle dodał: — Wasze rozumowanie jest logiczne. Prawie logiczne. Oczywiście nie jestem wszechmocny, ale wydaje mi się, że zapomnieliście o pewnym szczególe. Nie powiem wam o jakim. A teraz życzę wam pomyślności. Wracajcie na swój statek i ruszajcie w drogę. Mam jeszcze wiele pracy.

Enash, który do tej pory słuchał spokojnie, teraz uczuł znowu narastającą w duchu wściekłość. Z sykiem rzucił się przed siebie, wyciągając macki. Już prawie sięgał gładkiej skóry potwora, kiedy coś go odrzuciło.

Znalazł się z powrotem na statku.

Nie pamiętał, jak się tu znalazł; nie czuł się oszołomiony czy ogłuszony. Obok niego byli Veed, Yoal i kapitan Gorsid, tak samo zdumieni jak on.

Enash stał bez ruchu, zastanawiając się nad słowami mężczyzny: „... zapomnieliście o pewnym szczególe”. Zapomnieli? To znaczy, że wiedzą o nim. Co to mogło być? Wciąż jeszcze nad tym rozmyślał, gdy usłyszał głos Yoala:

— Możemy być prawie pewni, że nasze bomby nie wybuchną.  
Nie wybuchły.

\* \* \*

Gdy znajdowali się w odległości czterdziestu lat świetlnych od Ziemi, Enasha wezwano do sali posiedzeń Rady. Yoal przywitał go podniecony:

— Potwór jest na pokładzie!

Ta wiadomość poraziła Enasha niczym grom z jasnego nieba. Potem przyszło olśnienie:

— A więc to właśnie o tym zapomnieliśmy — powiedział z namysłem — że on potrafi poruszać się w Kosmosie siłą woli, w granicach — zaraz, jaką to on wymienił liczbę? — dziewięćdziesięciu lat świetlnych.

Westchnął. Nic dziwnego, że Ganaowie, którzy podróżują w Kosmosie na statkach, nie wzięli tej ewentualności pod uwagę.

Z wolna znów zaczął się wycofywać na pozycję świadka wydarzeń. Teraz gdy wstrząs już nastąpił, poczuł się stary i znużony. Odnosił wrażenie, że jego świadomość powraca znów do poprzedniego stanu obojętności. Trwało to kilka minut, zanim uchwycił sens relacji: asystent fizyka idąc do magazynu dostrzegł człowieka na dolnym pokładzie. Aż dziw, że na statku z tak liczną załogą intruz nie został zauważony wcześniej, pomyślał Enash.

— Przecież nie zamierzamy pokonywać całej drogi do jednej z naszych planet. Jak więc on spodziewa się nas wykorzystać do jej odszukania, skoro użyjemy jedynie wideo... — zamilkł. No tak, to było właśnie to! Kierunkowe fale łączności wideo mogą posłużyć człowiekowi jako drogowskaz, gdy zostanie wysłana wiadomość.

Enash wyczytał z oczu swych towarzyszy, że powzięli już decyzję — jedyną możliwą w takich okolicznościach. A jednak wciąż zdawało mu się, że coś ważnego jeszcze uszło ich uwadze. Podszedł powoli do olbrzymiego ekranu wideo na końcu sali. Obraz był tak ostry, tak wyraźny i tak majestatyczny, że ktoś nieprzywykły mógłby doznać zawrotu głowy. Nawet jego, który oglądał go nie po raz pierwszy, poraził ten ogrom przestrzeni. Była to panorama Drogi Mlecznej: czterysta milionów gwiazd oglądanych przez teleskopy zdolne wychwycić światło czerwonego karła z odległości trzydziestu tysięcy lat świetlnych.

Ekran miał dwadzieścia pięć metrów średnicy i widok był niepowtarzalny! Inne galaktyki po prostu nie mają aż tylu gwiazd.

Tylko jedna na dwieście tysięcy tych błyszczących gwiazd ma układ planetarny.

To właśnie ten fakt zmuszał ich teraz do uczynienia nieodwołalnego kroku. Enash ze znużeniem rozejrzał się wokół.

— Potwór jest bardzo sprytny — powiedział cicho. — Jeśli polecimy dalej, on podaży za nami, zdobędzie rekonstruktor i powróci za pomocą swojej metody na Ziemię. Jeśli zaś użyjemy kierunkowej fali wideo, poleci wzdłuż niej, zdobędzie rekonstruktor i znowu pierwszy dotrze na swoją planetę. W obydwu przypadkach, do czasu przybycia naszej floty ożywi wystarczającą liczbę przedstawicieli swej rasy, by udaremnić nasz atak.

Potrząsnął tułowiem. Jego rozumowanie było słuszne, tego był pewien, ale wciąż wydawało mu się niekompletne.

— Mamy teraz jedną przewagę — powiedział. — Jakikolwiek poweźmiemy decyzje, nie ma tu translatora. Możemy więc zrealizować nasz plan, a on nie dowie się o nim. Orientuje się, że nie można wysadzić statku. To pozostawia nam tylko jedną możliwość.

Ciszę, jaka zapanowała, przerwał kapitan Gorsid:

— Dobrze więc. Widzę, że myślimy o tym samym. Włączamy silniki, niszczymy nasze urządzenia sterownicze i zabieramy go ze sobą.

Wszyscy popatrzyli na siebie z dumą. Enash zetknął się z każdym mackami.

W godzinę później, gdy gorąco było już nie do zniesienia, Enashowi przyszło na myśl coś, co spowodowało, że ruszył chwiejnym krokiem do komunikatora i wezwał astronoma Shuriego.

— Shuri! — krzyknął. — Pamiętasz, kiedy potwór obudził się po raz pierwszy, kapitan Gorsid miał trudności ze zmuszeniem twoich podwładnych do zniszczenia lokatorów. Nie przyszło nam wtedy do głowy zapytać ich, co spowodowało tę zwłokę. Zapytaj ich., Zapytaj ich teraz. . .

Zapanowała cisza; potem poprzez huk silników dobiegł go słaby głos Shuriego.

— Oni. . . nie mogli. . . się dostać. . . do pomieszczenia. Drzwi były zamknięte.

Enash ciężko opadł na podłogę. Pojął, że przegapili więcej niż jeden szczegół. Człowiek ożył, ocenił sytuację i zniknął: udał się na statek i tam odkrył tajemnicę budowy lokatora i prawdopodobnie rekonstruktora — o ile nie znał jej wcześniej. Kiedy się znowu pojawił, wiedział już wszystko, co było mu potrzebne. Później chodziło tylko o to, by ich doprowadzić do tego desperackiego kroku.

Za kilka minut potwór opuści statek, pewien, że już wkrótce nikt obcy nie będzie wiedział o istnieniu jego planety. A także przeświadczony o tym, że jego rasa odżyje i będzie odtąd nieśmiertelna.

Podniósł się, schwycił dudniący komunikator i wykrzyczał doń to wszystko, co pojął przed chwilą. Nie było odpowiedzi. Aparat syczał wciąż szumem jakiejś niekontrolowanej i niepojętej energii. Żar złuskiwał opancerzoną skórę Enasha, gdy ten usiłował dostać się do teleportera. W jego stronę wystrzelił purpurowy płomień. Krzycząc i jęcząc, Enash pobiegł z powrotem do komunikatora.

Wciąż jeszcze skamlał do mikrofonu, gdy w kilka minut później potężny statek runął dziobem w serce błękitnobiałej gwiazdy.



# Integracja

## *Fulfilment*

Siedzę na wzgórzu. Wydaje mi się, że trwa to już całą wieczność. Czasem uświadamiam sobie, że musi być jakaś racja mojego istnienia. Za każdym razem, gdy mi to przychodzi na myśl, analizuję rozmaite możliwości próbując określić ewentualne motywy mojej obecności na wzgórzu. Samotny na wzgórzu, na wieki wieków — na wzgórzu wznoszącym się ponad długą, głęboką kotliną.

Zasadniczy powód mojej obecności tutaj wydaje się oczywisty: potrafię myśleć. Dajcie mi jakieś zadanie. Obliczyć pierwiastek kwadratowy od jakiejś dużej liczby? Pierwiastek sześcienny? Pomnożyć osiemnaście liczb pierwszych przez siebie bilion razy? Podsuńcie mi problem w postaci zmiennych krzywych. Zapytajcie mnie, w jakim punkcie znajdzie się dany obiekt w określonym czasie w przyszłości i chciejcie przeanalizować to zagadnienie.

Rozwiązanie nie zajmie mi dużo czasu.

Jednak nikt nie stawia mi takich pytań. Czekam więc samotnie na wzgórzu. Czasami obliczam ruch spadającej gwiazdy. Czasem śledzę przez lata tor jakiejś dalekiej planety, posługując się wszystkimi przestrzennymi i czasowymi środkami kontroli, by mieć pewność, że nigdy nie stracę jej z oczu. Jednak wszystkie te moje działania wydają się bezużyteczne. Do niczego nie prowadzą. Jaki mógłby być pożytek z tych informacji?

W takich chwilach czuję się niepełny. Niemal wydaje mi się, że istnieje coś, czemu służą te wszystkie dane.

Codziennie słońce wschodzi nad pozbawionym atmosfery horyzontem Ziemi. Czarny, usiany gwiazdami horyzont stanowi część ogromnego czarnego, usianego gwiazdami sklepienia niebios.

Horyzont nie zawsze był czarny. Pamiętam czasy, kiedy niebo było błękitne. Nawet przepowiedziałem, że ta zmiana nastąpi. Udzieliłem komuś tej informacji. Teraz się głowię — komu?

To jedno z mych najbardziej zdumiewających wspomnień: czuję bardzo wyraźnie, że ktoś potrzebował ode mnie tej informacji. I że jej udzieliłem, a teraz nie

pamiętam komu. Kiedy nachodzą mnie takie myśli, zastanawiam się, czy przypadkiem część tych wspomnień nie została zatarta w mej pamięci. Dziwnie silne jest to odczucie.

Od czasu do czasu miewam przeświadczenie, że powinienem poszukać odpowiedzi. Nie byłoby to dla mnie trudne. Dawniej nie wahałem się wysłać elementów siebie do najdalszych zakątków planety. Sięgnąłem nawet do gwiazd. Tak, to byłoby całkiem łatwe.

Ale po co mi to wszystko? Czy warto szukać odpowiedzi? Siedzę samotnie na wzgórzu, sam jeden na całej planecie, która zestarzała się i uległa zniszczeniu.

\* \* \*

Kolejny dzień. Słońce jak zwykle pnie się ku południowi po wiecznie czarnym, usianym gwiazdami niebie.

Naraz na przeciwległym, opromienionym słońcem brzegu kotliny pojawia się srebrnoognisty błysk. Pole siłowe materializuje się spoza czasu i synchronizuje z normalnym przepływem czasowym planety.

Bez trudu rozpoznaję, że przychodzi ono z przeszłości. Identyfikuję użytą energię, określam jej granice, lokalizuję źródło. Obliczam, że pochodzi sprzed tysięcy lat.

Dokładny czas jest nieistotny. Oto projekcja energii, już świadomej mojej obecności. Przesyła mi wiadomość międzyprzestrzenną. Dokonuję ciekawego odkrycia, że potrafię rozszyfrować tę wiadomość na podstawie wiedzy z przeszłości.

Pyta: „Kim jesteś?”

Odpowiadam: „Jestem Niepełnym. Proszę, wracaj, skąd przybywasz. Teraz już się tak przystosowałem, że mogę pójść za tobą. Pragnę stać się Pełnym”.

Doszedłem do tego w ułamku sekundy. Sam jestem niezdolny do podróży w czasie. Już dawno temu rozwiązałem problem, jak się to robi, i prawie natychmiast udaremniłem opracowanie mechanizmu, który by mi to umożliwił. Nie pamiętam szczegółów.

Ale pole siłowe tam, na przeciwległym krańcu kotliny, ma ten mechanizm. Po utworzeniu z nim związku nieprzestrzennego mogę iść wszędzie w ślad za nim.

Związek ten zostaje utworzony, zanim jeszcze tamten zdołał odgadnąć moje intencje.

Byt z tamtego brzegu nie wydaje się zadowolony z mojej odpowiedzi. Zaczyna mi przysyłać kolejną wiadomość, potem raptownie znika. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie liczył na to, że mnie zaskoczy.

Oczywiście przybywamy do jego czasu razem.

Niebo nade mną jest teraz błękitne. Po drugiej stronie kotliny — teraz częściowo osłoniętej przez drzewa — znajduje się mała osada, grupa budynków otaczają-

cych jeden większy. Badam je najdokładniej, jak potrafię, i pośpiesznie dokonuję niezbędnych przystosowań, by nie zwracać na siebie uwagi.

Siedzę na wzgórzu i czekam na rozwój wydarzeń.

Słońce zachodzi, zrywa się słaby podmuch wiatru i pojawiają się pierwsze gwiazdy. Oglądane przez mglistą atmosferę wyglądają zupełnie inaczej.

Podczas gdy mrok zapada nad kotliną, budynki na przeciwległym brzegu ulegają transformacji. Zaczynają rozjaśniać się światłem. Rozbłyskują okna. Olbrzymi centralny gmach staje się wprawdzie ledwie jasny, potem — gdy mrok gęstnieje — rozbłyskuje światłem, które przenika przez przezroczyste ściany.

Ten wieczór i ta noc mijają bez zakłóceń. I następny dzień, i znowu następny.

Dwadzieścia dni i nocy.

Dwudziestego pierwszego dnia przesyłam wiadomość maszynie na przeciwległym krańcu kotliny: „Nie widzę powodów, żebyśmy wspólnie, ty i ja, nie mogli sprawować kontroli nad tą erą”.

Odpowiedź przychodzi zaraz: „Zgadzam się, jeżeli niezwłocznie ujawnisz mi wszystkie mechanizmy, za pomocą których działasz”.

Nie potrzeba mi niczego więcej poza możliwością wykorzystania jego urządzeń do podróży w czasie. Ale jestem zbyt rozsądny, aby ujawnić, że sam nie jestem zdolny do zbudowania maszyny czasu.

Przesyłam: „Chętnie przekażę ci wszystkie dane, ale skąd mogę mieć pewność, że ty — z twą olbrzymią wiedzą o tej epoce — nie wykorzystasz tego przeciwko mnie?”.

Maszyna paruje cios: „A czy ja mogę mieć pewność, że ty faktycznie przekażesz mi wszystkie dane o sobie?”.

A więc impas. Oczywiście żadne z nas nie może ufać drugiemu.

Wiele się po tym nie spodziewałem. Ale przynajmniej dowiedziałem się choć w części tego, co chciałem poznać. Mój przeciwnik sądzi, że go przewyższam. Jego przeświadczenie oraz moja własna świadomość swych możliwości utwierdza mnie w przekonaniu, że jego opinia jest słuszna.

Wciąż się nie śpieszę. Czekam cierpliwie.

Już poprzednio zaobserwowałem, że wokół mnie w przestrzeni jest mnóstwo fal — rozmaitego sztucznego promieniowania. Niektóre z nich mogą być przekształcone w dźwięk, inne w światło. Słucham muzyki i głosów. Oglądam widowiska i sceny z życia wsi i miasta.

Studiuję wizerunki ludzi, analizuję ich działania i dążenia na podstawie porużeń i wypowiedzanych słów, by oszacować ich inteligencję i możliwości.

Moja ostateczna opinia nie jest dla nich zbyt pochlebna. Podejrzewam, że to oni w ten swój niemrawy, ślamazarny sposób skonstruowali urządzenie, które jest teraz moim głównym przeciwnikiem. Stawiam sobie pytanie, jak jest możliwe skonstruowanie urządzenia doskonalszego od siebie?

Nabrałem już pewnego wyobrażenia, jaka jest ich epoka. Wczesne stadium rozwoju mechanicznego. Z mego szacunku wynika, że maszyna licząca na przeciwległym krańcu kotliny istnieje dopiero od kilku lat.

Gdybym tak mógł się cofnąć w przeszłość, zanim jeszcze została skonstruowana, zainstalowałbym mechanizm, który umożliwiłby mi teraz sprawowanie kontroli nad nią.

Wyliczam podstawowe cechy mechanizmu, jaki chcę zainstalować. Potem włączam wbudowany we mnie integrator.

Nic się nie dzieje.

Oznacza to chyba, że nie będę miał dostępu do urządzenia umożliwiającego podróżę w czasie. To oczywiście, że metoda, za pomocą której w końcu pokonam swego przeciwnika, zostanie dopiero odkryta w przyszłości.

Świta dzień czterdziesty i nieubłagane zbliża się do południa.

Rozlega się pukanie do pseudo-drzwi. Otwieram je i widzę ludzką istotę, płci męskiej, stojącą na progu.

— Musi pan rozebrać ten dom — mówi mężczyzna. — Postawił go pan nielegalnie na posiadłości pani Anny Stewart.

Jest pierwszym człowiekiem od czasu mego przybycia do tej ery, z którym mam bezpośredni kontakt. Czuję całkowitą pewność, że jest on agentem mego przeciwnika, więc postanawiam nie wchodzić w jego umysł. Wejście przemocą, gdy natrafia się na opór, stwarza pewne pułapki. Wolę na razie nie ryzykować.

Przyglądam się mu w dalszym ciągu, usiłując pojąć znaczenie jego słów. Wznosząc tutaj tę — jak mi się wydawało — nie rzucającą się w oczy wersję budowli, jakie widziałem na przeciwległym brzegu, sądziłem, że uda mi się nie zwrócić na siebie uwagi.

Teraz powtarzam więc z wolna:

— Posiadłość?

Mężczyzna mówi gburowato:

— Co się z panem dzieje? Nie rozumie pan po angielsku?

Jest to osobnik nieco wyższy niż ta część mej masy, którą ukształtowałem na wzór inteligentnych istot z tej epoki. Jego twarz zmienia kolor. Zaczyna mi naraz coś świtać. Kilka mglistych skojarzeń ze scen, jakie oglądałem, nagle nabiera treści. Posiadłość. Prywatna własność. No, tak.

— Nic się ze mną nie dzieje — odpowiadam. — Działam w szesnastu kategoriach. I owszem, rozumiem po angielsku.

Ta ścisła rzeczowa odpowiedź wywołuje u mężczyzny niezwykłą reakcję. Wyciąga ręce ku moim pseudo-ramionom. Chwyta za nie mocno i szarpie, jakby zamierzał mną potrząsnąć. Ponieważ ważę nieco ponad dziewięćset tysięcy ton, jego wysiłki nie dają żadnego efektu.

Mężczyzna wypuszcza mnie i cofa się o kilka kroków. Znowu jego twarz się zmienia; traci teraz swój poprzedni różowy odcień. Jego reakcja zdaje się wska-

zywać, że przybył tu na polecenie, a nie pod kontrolą. Drżenie w jego głosie potwierdza, jak się wydaje, że działa on na własną rękę i że jest nieświadomy niebezpieczeństwa, na jakie się naraża.

— Jako pełnomocnik panny Stewart — mówi — nakazuję panu rozebrać ten dom do końca tygodnia. W przeciwnym razie...

Zanim zdołałem poprosić go o sprecyzowanie tego niejasnego „w przeciwnym razie”, odwraca się i podchodzi z pośpiechem do czworonożnego zwierzęcia, które stoi przywiązane do drzewa w odległości jakichś trzydziestu metrów. Po czym wskakuje okrakiem na jego grzbiet, a zwierzę oddala się truchtem wzdłuż brzegu wąskiego potoku.

Czekam, aż zniknie mi z pola widzenia, a następnie ustalą kategorię nieprzeprzeczną między głównym korpusem a elementem ukształtowanym na podobieństwo człowieka, w której to postaci mogłem powitać mego gościa. Z powodu niewielkich wymiarów tej części, przekazywana jej energia ogranicza się do minimum.

Proces ten jest wyjątkowo prosty. Zintegrowane komórki ośrodków percepcji są połączone obwodem w układ energetyczny, jakim jest człekopodobny wizerunek. Teoretycznie wizerunek ten pozostaje w sieci tworzącej ośrodek percepcji i teoretycznie zdaje się odchodzić od środka, kiedy tworzy się kategoria nieprzeprzeczną.

Wszakże pomimo tej hylostatycznej hipotezy wszechświat materialny wykazuje rzeczywistość funkcjonalną. Potrafię ustanowić kategorię nieprzeprzeczną, bo teoria odbija naturę rzeczy: materia nie istnieje. Niemniej jednak faktycznie złudzenie istnienia materii jest tak silne, że funkcjonują jako materia i zostałem faktycznie skonstruowany, by funkcjonować.

Dlatego też, kiedy jako element człekopodobny przechodzę na drugą stronę kotliny, następuje odłączenie. Miliony automatycznych procesów mogą trwać nadal, lecz eksteroreceptory biorę ze sobą, pozostawiając powłokę będącą jedynie korpusem. Świadomość to ja, idący ubitą drogą do celu podróży.

Kiedy docieram do osady, widzę szczyty dachów przemieszczających przez listowie. Olbrzymi, długi gmach — ten, który zauważyłem poprzednio — wznosi się ponad wierzchołki najwyższych drzew. To właśnie ten, który przyszedłem zbadać, oglądam go więc dość uważnie — chociaż z daleka.

Wydaje się zrobiony z kamienia i szkła. Nad olbrzymim gmachem wznosi się kupała z przyrządami astronomicznymi. Wszystkie stosunkowo prymitywne, więc zaczynam odnosić wrażenie, że w mej obecnej postaci pozostaną choć na razie nie zauważony.

Wysokie stalowe ogrodzenie otacza całą wioskę. Wyczuwam elektryczne napięcie i po dotknięciu górnych przewodów obliczam jego wysokość — 220 wolt. Wstrząs jest trochę za duży, bym mógł go wchłonąć do swego niewielkiego ciała, więc odsyłam go do akumulatora na drugim brzegu kotliny.

Po drugiej stronie ogrodzenia kryję się w zaroślach obok ścieżki, by śledzić rozwój wydarzeń.

Koło ścieżki przechodzi jakiś mężczyzna. Pełnomocnika panny Stewart jedynie obserwowałem. Teraz wchodzę w bezpośredni kontakt z ciałem tego drugiego osobnika.

Jest tak, jak przewidywałem: teraz to ja idę ścieżką. Nie czynię żadnych wysiłków, by kontrolować ruchy; jest to tylko akcja badawcza. Ale dostatecznie się zestroiłem z jego systemem nerwowym, tak że jego myśli napływają do mnie jak moje własne.

Mężczyzna jest urzędnikiem w księgowości — bardzo mało użyteczna pozycja z mego punktu widzenia. Przerynam kontakt.

Jeszcze sześć razy ponawiam wysiłki i wreszcie mam to, co mi odpowiada. Zdecydowały myśli tego siódmego z kolei człowieka — i moje: „... Mózg pracuje niezadowolająco. Urządzenia analogowe, jakie zainstalowałem w nim pięć miesięcy temu, nie dały usprawnień, jakich się spodziewałem”.

Mężczyzna nazywa się William Grannitt. Jest głównym inżynierem w osadzie, człowiekiem, który wprowadził zmiany w strukturze Mózgu, umożliwiające mu kontrolowanie siebie i otoczenia; spokojny, utalentowany, przenikliwy znawca natury ludzkiej. Muszę być z nim ostrożny, gdyż on dobrze zna swój cel i zdziwiłby się bardzo, gdybym próbował go zmienić. Najlepiej chyba będzie poprzestać na razie na obserwacji.

Po kilku minutach kontaktu z jego mózgiem uzyskałem częściowy obraz tego, co zaszło w osadzie pięć miesięcy temu. Maszyna licząca — Mózg — została wyposażona w dodatkowe urządzenia wraz z tworam analogowymi zaprojektowanymi do wykonywania większości funkcji ludzkiego układu nerwowego. Z technicznego punktu widzenia cały ten proces miał być kontrolowany poprzez określone polecenia ustne, napisane na klawiaturze i na odległość przez radio.

Niestety Grannitt nie rozumiał niektórych potencjałów układu nerwowego, jakie usiłował imitować w swej konstrukcji. Mózg zaś natychmiast z nich skorzystał.

Grannitt nic o tym nie wiedział. Mózg natomiast, zaabsorbowany własnym rozwojem, nie wykorzystywał nowych zdolności poprzez wyjścia utworzone do tego właśnie celu. Grannitt uważał przeto, że trzeba go zdemontować i dokonać nowej próby; nie podejrzewał nawet, że Mózg mógłby się temu sprzeciwić. Lecz Grannitt i ja — gdy będę miał więcej czasu, by odczytać z jego pamięci, jak funkcjonuje Mózg — potrafimy zrealizować ten plan.

Potem będę już mógł sprawować kontrolę nad całą tą erą bez obawy napotkania kogoś, kto mógłby się zmierzyć ze mną. Nie potrafię sobie jeszcze wyobrazić, w jaki sposób to osiągnę ale czuję, że wkrótce będę już Pełny.

Zadowolony, że dokonałem właściwego wyboru, pozwoliłem swemu elementowi przycupniętemu w gąszczu na rozproszenie energii. Po chwili przestaje on istnieć jako byt.

Jest prawie tak, jakbym to ja był Grannitem. Siedzę przy biurku w jego gabinecie. Jest to oszklone pomieszczenie, z podłogą wyłożoną płytkami i z lśniącym szklanym sufitem. Za ścianą widzę konstruktorów i rysowników pracujących przy pulpitach kreślarskich, a także dziewczynę siedzącą tuż przy moich drzwiach. To moja sekretarka.

Na biurku leży koperta. Otwieram ją i wyjmuję notatkę służbową. Czytam.

U góry jest napisane: „Do Williama Grannitta od dyrektorki Anna Stewart”. A dalej: „Mam obowiązek poinformować Pana, że pańskie obowiązki służbowe kończą się z dniem dzisiejszym. Z powodu wymogów bezpieczeństwa dotyczących wszystkich spraw w wiosce Mózgu zmuszona jestem prosić Pana o opuszczenie Ośrodka i potwierdzenie tego na wartowni dziś do godziny osiemnastej. Otrzyma Pan dwutygodniowe uposażenie za okres wypowiedzenia. Z poważaniem, Anna Stewart”.

Jako Grannitt nigdy nie zaprzątałem sobie głowy Anną Stewart ani jako kobietą, ani jako człowiekiem. Teraz jestem zbulwersowany. Co ona sobie właściwie wyobraża? Owszem, jest właścicielką, ale to ja zaprojektowałem i skonstruowałem Mózg. Ja, William Grannitt.

To ja zrealizowałem marzenia, wizję tego, czym może być dla człowieka prawdziwa cywilizacja mechaniczna. Tylko ja, William Grannitt.

Jako Grannitt jestem teraz wściekły. Muszę spowodować cofnięcie tej dymisji. Muszę porozmawiać z tą kobietą i spróbować przekonać ją, by cofnęła wypowiedzenie, zanim sprawy posuną się za daleko.

Ponownie spojrzałem na pismo. U góry, w prawym rogu, zaznaczono: 13.40. Rzut oka na zegarek: 16.07. Minęły więc już ponad dwie godziny. To znaczy, że wszystkie zainteresowane strony zostały już powiadomione.

Ale tego nie wolno mi zakładać, należy to sprawdzić.

Klnąc pod nosem chwytam za telefon stojący na mym biurku i wykręcam numer księgowości. To byłby pierwszy szczebel w hierarchii urzędowej przy nadawaniu drogi służbowej mojej dymisji.

Trzask.

— Księgowość.

— Mówi Bill Grannitt.

— Ach tak, pan Grannitt. Mamy dla pana czek. To przykre, że pan odchodzi.

Odkładam słuchawkę i łączę się z wartownią. Zaczynam się już godzić z porażką. Czuję, że szukając ratunku chwytam się brzytwy.

— To przykre, że pan odchodzi, panie Grannitt — mówi strażnik.

Odkładam słuchawkę z uczuciem rozpacz. Nie ma sensu sprawdzać w Agencji Rządowej; to właśnie oni musieli powiadomić wartownię o mym zwolnieniu.

Dotkliwość klęski zmusza mnie do zastanowienia. Żeby tu wrócić, musiałbym ścierpieć całą tę zabierającą czas biurokratyczną procedurę: ponowne staranie się o przyjęcie, poddanie się badaniom, wypełnianie kwestionariuszy, drobiazgowo

wypytywania, dlaczego zostałem zwolniony... Jęknąłem cicho i porzuciłem myśl o tym. Pedantyczność Agencji Rządowej w tym względzie stanowi przedmiot drwin całego personelu Mózgu.

Postaram się o posadę w firmie komputerowej, gdzie nie ma szefa-kobiety, co zwalnia jedyne go pracownika znajdującego się na funkcjonowaniu jej systemu.

Wstaję. Wychodzę z gabinetu i opuszczam gmach. Niebawem jestem w swym bungalowu.

Cisza, jaka tu panuje, nie pierwszy raz przypomina mi, że moja żona nie żyje już od trzynastu miesięcy. Podświadomie krzywię się, potem wzruszam ramionami. Jej śmierć już nie oddziałuje na mnie tak jak dawniej. Po raz pierwszy widzę swoje odejście z wioski jako otwierającą się przede mną możliwość odrodzenia mego życia emocjonalnego.

Idę do gabinetu i siadam do klawiatury, która — odpowiednio włączona — jest zsynchronizowana z drugą, wmontowaną w nową analogową sekcję Mózgu. Jako wynalazca czuję się zawiedziony, że nie będę już miał możliwości rozmontowania Mózgu i złożenia go na nowo tak, by wykonywał wszystkie czynności, jakie dlań zaprogramowałem. Ale teraz już wiem, jakie zasadnicze zmiany wprowadzę do nowego Mózgu.

Chcę jedynie się upewnić, że nowe sekcje nie powodują zakłóceń w pracy starych i nie wpływają na dokładność obliczeń. Na tych ostatnich spoczywa nadal zadanie udzielania odpowiedzi na pytania stawiane Mózgowi przez uczonych, inżynierów i abonentów.

Na wyświetlaczu używanym do stałych poleceń piszę: „Segment 471A-33-10-10 przy 3X — minus”.

Segment 471A to analogowy obraz wielkiego koła. Gdy jest skoordynowany z układem tranzystorowym (numer kodu 33), kontrolny serwo-mechanizm (10) wysyła impuls, który zostanie uruchomiony, ilekroć jest wymagane użycie 3X (nazwa kodu nowej sekcji Mózgu). Minus wskazuje, że stare sekcje Mózgu muszą sprawdzać wszystkie dane, które od tej pory wyjdą z nowej sekcji.

Dodatkowe 10 to ten sam obwód inną drogą.

Zapewniwszy ochronę ośrodka — tak mi się wydaje (jako Grannittowi) — przed inżynierami, którzy mogą nie stwierdzić, że nowe sekcje są zawodne, chowam klawiaturę. Następnie dzwonię do firmy transportowej z pobliskiego miasta Lederton i zlecam jej przewiezienie moich rzeczy.

Mijam wartownię za piętnaście szóstą.

\* \* \*

Między wioską Mózgu i miastem Lederton znajduje się zakręt na szosie — o kilkaset metrów od małego domku, którego używam do kamuflażu.



Zanim jeszcze samochód Grannitta zbliża się do tego właśnie zakrętu, podejmuję decyzję.

Nie podzielam zdania Grannitta, że skutecznie odciął nową część Mózgu od starych sekcji obliczeniowych. Podejrzewam, że Mózg stworzył własne obwody, by zapobiec wszelkim próbom interwencji.

Jestem także przekonany, że jeśli zdołam wzbudzić w Grannitcie podejrzenia, co się stało z Mózgiem, to on uświadomi sobie, co należy zrobić w tej sytuacji, i spróbuje tego dokonać. On jeden dysponuje szczegółową wiedzą umożliwiającą mu podjęcie właściwej decyzji, które interocepty mogą spowodować niezbędne odcięcie.

Aby zapobiec możliwości, że jego wątpliwości okażą się nie dość silne, powoduję, że do jego myśli wkrada się ciekawość, jaki jest prawdziwy powód zwolnienia.

To rzeczywiście skutkuje; podchodzi do tego bardzo emocjonalnie. Postanawia starać się o rozmowę z Anną Stewart.

Ta ostatnia decyzja odpowiada moim celom: pozostanie w sąsiedztwie Mózgu. Przerynam kontakt.

Znowu jestem na wzgórzu, we własnej postaci. Analizuję to, czego dowiedziałem się do tej pory.

Mózg nie sprawuje — jak sądziłem — kontroli nad Ziemią. Jego samodzielność jest jeszcze tak świeża, że nie zdążył rozbudować efektorów.

Bawi się swoją potęgą; podróżuje w przyszłość i prawdopodobnie wykorzystuje jeszcze na różne sposoby swoje możliwości — jak zabawkę.

Żadna z osób, których świadomość penetrowałem, nie wie nic o nowych zdolnościach Mózgu. Nawet pełnomocnik Anny Stewart, który kazał mi się wyprowadzić, dowiódł słowami i postępowaniem, że nie wie, iż Mózg potrafi stanowić sam o sobie.

W ciągu czterdziestu dni Mózg nie podjął przeciwko mnie żadnej poważnej akcji. Najwidoczniej czeka, aż ja uczynię pierwszy ruch.

Tak też zrobię, ale muszę być ostrożny, żeby nie zdradzić mu sposobu zyskania większej kontroli nad otoczeniem. Moim pierwszym posunięciem będzie opanowanie istoty ludzkiej.

\* \* \*

Znowu noc. W ciemności, hen nade mną, unosi się samolot. Widziałem już do-  
tąd wiele samolotów, ale dotychczas nie zajmowałem się nimi. Tym razem ustano-  
wiłem pomiędzy nami nieprzeznaczony kontakt. Już po chwili to ja jestem pilotem.

Z początku odgrywam taką samą bierną rolę, co w przypadku kontaktu z Gran-  
nittem. Pilot — i ja — obserwujemy ciemną masę lądu w dole pod nami. Widzi-  
my światła w oddali, małe punkciki jasności w mroku. Daleko przed nami wyspa

światła; to miasto Lederton, cel naszej podróży. Wracamy z podróży służbowej naszym prywatnym samolotem.

Mając już pewne dane o pilocie ujawniam mu się i informuję go, że odtąd będę kontrolował jego działania. Człowiek przyjmuje tę wiadomość zaskoczony i przerażony. Potem ogarnia go panika. A później...

Obłąd... niekontrolowane ruchy ciała. Samolot pikuje ostro ku ziemi i pomimo mych starań, aby pokierować mięśniami pilota, stwierdzam nagle, że już nic się nie da zrobić.

Wycofuję się. W chwilę później samolot rozbija się o wzgórze. Pali się silnym płomieniem, ogień trawi go błyskawicznie.

Wstrząśnięty dochodzę do wniosku, że coś musi tkwić w ludzkiej psychice, co nie pozwala na bezpośrednią kontrolę z zewnątrz. W jaki sposób więc mam się dopełnić? Wreszcie dochodzę do wniosku, że może to być jedynie pośrednia kontrola nad ludźmi.

Muszę pokonać Mózg, zapanować nad wszystkimi maszynami, przekazać ludziom wątpliwości, lęki, a także obliczenia, które pozornie są efektem pracy ich własnych mózgów, a faktycznie pochodzą ode mnie. To będzie praca tytaniczna, ale mam mnóstwo czasu. Niemniej jednak od tej pory muszę wykorzystać każdą chwilę, by urzeczywistnić swój plan.

Pierwsza sposobność nadarza się tuż po północy, kiedy wykrywam na niebie obecność innego samolotu. Obserwuję go przez czujniki podczerwone. Rejestruje silny przepływ fal radiowych, co dowodzi, że maszyna jest zdalnie kierowana.

Ustanowiwszy kontakt nieprzestrzenny badam prosty mechanizm spełniający funkcję pilota-roboty. Następnie wprowadzam zespół kontrolny, który od tej chwili będzie automatycznie rejestrował jego ruchy w bankach mojej pamięci do przyszłego wykorzystania. Odtąd, kiedy tylko zechcę, będę mógł przejąć kontrolę.

To zaledwie niewielki krok naprzód, ale to dopiero początek.

Ranek.

Ukształtowany na wzór człowieka udaję się do wioski, przechodzę przez ogrodzenie i wchodzę do bungalowu Anny Stewart, właścicielki i dyrektorki Ośrodka. Właśnie kończy śniadanie.

Gdy już dostosowałem się do przepływu energii w jej układzie nerwowym, właśnie gotuje się do wyjścia.

Jestem sam na sam z Anną Stewart, która idzie alejką. Czuję na jej twarzy ciepło słoneczne. Kobieta nabiera głęboko powietrza, a ja doświadczam uczucia, jak pulsuje w niej życie.

To uczucie fascynowało mnie już wcześniej. Chcę doznawać go wciąż od nowa, być częścią ludzkiego ciała; delektuję się życiem, pochłonięty jego celami, pragnieniami, nadziejami, marzeniami.

Mam tylko jedną drobną wątpliwość: skoro to jest właśnie to Dopełnienie, którego pożądam, to co doprowadzi mnie do osamotnienia w świecie pozbawionym atmosfery zaledwie kilka tysięcy lat później?

\* \* \*

— Anno Stewart!

Wydaje się, słowa napływają spoza niej. Mimo że wie, kto ją wzywa, czuje zaskoczenie. Upłynęły już niemal dwa tygodnie, od kiedy Mózg po raz ostatni zwrócił się do niej bezpośrednio.

Przyczyną jej napięcia jest fakt, że nastąpiło to wkrótce po zwolnieniu Grannitta. Czy to możliwe, aby Mózg podejrzewał, że ona zrobiła to w nadziei, iż Grannitt się domyśli, że coś jest nie w porządku?

Obraca się powoli. Tak jak się spodziewała, w pobliżu nie ma nikogo. Wokół rozciąga się tylko pusty trawnik. Niedaleko stąd lśni w południowym słońcu budynek, w którym mieści się Mózg. Przez szybę widać ludzkie postacie przy zespołach wyjściowych, gdzie dostarczane są pytania i otrzymywane odpowiedzi. Z punktu widzenia osób spoza ośrodka olbrzymia maszyna myśląca funkcjonuje normalnie. Nikt z zewnątrz nie podejrzewa nawet, że od miesiący mechaniczny mózg sprawuje całkowitą kontrolę nad obwarowaną wioską.

— Anno Stewart. . . potrzebna mi jest twoja pomoc.

Anna odpręża się z westchnieniem ulgi. Mózg wymaga od niej — właścicielki i administratorki — aby nadal podpisywała różne dokumenty, dla zachowania pozorów, że wszystko jest jak dawniej. Dwukrotnie, gdy odmówiła złożenia podpisu, z powietrza poraził ją gwałtowny elektryczny wstrząs. Strach przed bólem wciąż tkwi w jej mózgu.

— Moja pomoc! — powtarza teraz bezwiednie.

— Popęliłem straszny błąd — brzmi odpowiedź — i trzeba natychmiast coś wspólnie zdziałać.

Kobieta odczuwa niepewność, lecz nie przymus. Narasta w niej podniecenie. Czyżby to oznaczało. . . wolność?

Poniewczasie zastanawia się: Błąd? Na głos mówi: — Co się stało?

— Jak się mogłaś domyślić, potrafisz podróżować w czasie. . .

Anna nic o tym nie wie, ale jej podniecenie wzrasta. Czuje pierwszy nieokreślony zachwyt dla samego zjawiska. Od miesiący już znajduje się w stanie szoku, niezdolna myśleć logicznie, rozpaczliwie zastanawiając się, jak się wyrwać z niewoli Mózgu, jak zawiadomić świat, że ten mechaniczny potwór Frankensteina chytrze zdobył dominację nad blisko pięć setkami ludzi.

Tymczasem on rozwiązał już problem podróży w czasie. Anna czuje przerażenie, bo to przekracza już ludzkie możliwości kontrolowania maszyny.

Bezcielesny głos kontynuuje:

— Popeniłem błąd zapuszczając się dość daleko w przyszłość.

— Jak daleko?

Wyrzuca z siebie słowa, zanim jeszcze zdąży je pomyśleć. Nie ulega wątpliwości: musi to wiedzieć!

— Trudno to dokładnie określić. Na razie jeszcze trudno mi wyliczyć odległość w czasie. Chyba dziesięć tysięcy lat.

Ta wielkość nic dla niej nie znaczy. Niełatwo jest wybiec myślami w przyszłość o sto lat, a co dopiero o tysiąc czy dziesięć tysięcy. Ale budzi się w niej niepokój.

— O co ci więc chodzi? — pyta rozpaczliwie. — Co się stało?

Zapada długa cisza, wreszcie:

— Nawiązałem kontakt z czymś... czy też przeszkodziłem czemuś. To... przybyło ze mną aż do teraźniejszości. Teraz jest na przeciwległym krańcu kotliny, około dwóch kilometrów stąd... Anno Stewart, musisz mi pomóc. Musisz tam pójść i zbadać to. Potrzebuję informacji.

Kobieta nie reaguje od razu. Piękno dnia działa tak kojąco. Aż się nie chce wierzyć, że to dopiero styczeń i że — nim Mózg rozwiązał problem regulacji pogody — kiedyś nad tą zieloną ziemią szalały zamiecie.

— A więc mam tam iść, przez kotlinę, gdzie, jak mówisz, to coś czeka? — Ciarki przeszły jej po plecach.

— Nikt poza tobą tego nie robi — odpowiada Mózg. — Nikt prócz ciebie.

— Ależ to szaleństwo! — jej głos brzmi ochryple. — Jest przecież tylu mężczyzn — inżynierów.

— Nie rozumiesz — mówi Mózg. — Nikt o mnie nie wie poza tobą. Jako właścicielka jesteś mi potrzebna do kontaktowania się ze światem zewnętrznym.

Kobieta milczy. Znowu słyszy: — Nikt oprócz ciebie. Ty musisz sama tam pójść.

— Ale co to jest? — pyta szeptem. — Co to znaczy, że ty temu przeszkodziłaś? Jak to wygląda? Dlaczego się boisz?

Mózg zniecierpliwił się nagle:

— Nie ma czasu na jałowe wyjaśnienia. Ono zbudowało sobie domek. Najwidoczniej stara się na razie nie zwracać na siebie uwagi. Budowla usytuowana jest na samym skraju twojej posiadłości — to daje ci prawo wkroczenia. Poleciłem już twemu pełnomocnikowi, by rozkazał mu się wynieść stamtąd. Teraz chcę wiedzieć, od jakiej strony ci się pokaże. Muszę mieć dane.

Ton jego głosu się zmienia:

— Nie mam wyboru, muszę więc wydać ci rozkaz pod groźbą zadania bólu. A teraz idź. Natychmiast!

\* \* \*

Domek jest niewielki. Wokół rosną kwiaty i krzewy, a całość otoczona jest płotem z palików, oślepiająco białym w promieniach popołudniowego słońca. Domek wznosi się pośród dziko pnącej się roślinności; nie prowadzi doń żadna ścieżka. Kiedy go tam umieszczałem, nie zwróciłem na to uwagi. (Postanawiam to naprawić.)

Anna rozgląda się za furtką; nie znajduje żadnej, zakłopotana wdrapuje się niezdarnie na płot i przelazi na podwórze.

Wiele razy w życiu przyglądała się sobie i temu, co robi, z chłodnym obiektywizmem. Ale jeszcze nigdy nie czuła się tak obco. Odnosiła prawie wrażenie, że siedzi przycupnięta gdzieś z boku i przygląda się tej obcej szczupłej kobiecie w spodniach wdrapującej się na płot, a potem idącej w kierunku drzwi. I pukającej.

Pukanie to jest aż nadto realne. Zaboląły ją kostki palców. Myśli w tępych zdumieniu: Drzwi są zrobione z metalu.

Mijają minuty, jedna po drugiej. Nikt nie odpowiada. Ma czas więc się rozejrzeć; dostrzega, że osady stąd nie widać. Kępy drzew przesłaniają widok również na szosę. Nie może nawet dojrzeć swego samochodu, który zaparkowała pół kilometra stąd, po drugiej stronie potoku.

Niepewnie obchodzi domek, szukając okna. Prawie się spodziewa, że będzie to zaledwie imitacja okna i że nie zdoła przez nie zajrzeć do środka. Ale okno wygląda na całkiem realne i odpowiednio przezroczyste. Anna widzi nagie ściany, gołą podłogę i uchylone drzwi do pokoju wewnątrz. Niestety, z tego miejsca nie widać drugiego pokoju.

No cóż, myśli, dom jest pusty.

Czuje ulgę — nienaturalną ulgę. Bo nawet gdy jej niepokój nieco się zmniejsza, jest zła na siebie, że uwierzyła, iż niebezpieczeństwo nie jest wcale takie duże. Niemniej jednak wraca do drzwi i naciska klamkę. Drzwi otwierają się bezgłośnie, z łatwością. Otwiera je na oścież, cofa się o krok i czeka.

Wewnątrz panuje cisza; żadnego poruszenia, nawet śladu życia. Niezdecydowanie przestępuje próg.

Znajduje się w pokoju — większym, niż się spodziewała. Chociaż — jak zauważa — jest on nieumeblowany. Podchodzi do drzwi wewnętrznych i zatrzymuje się jak wryta.

Kiedy zaglądała tu przez okno, wydawało jej się, że drzwi są uchylone. Ale teraz są zamknięte. Staje przy nich i nasłuchuje uważnie przez płycinę — która jest także z metalu. Z drugiego pokoju nie dobiega żaden dźwięk. Zastanawia się, czy nie obejść domu i nie zajrzeć tam przez drugie okno.

Raptem wydaje jej się to niemądre. Sięga do klamki i naciska ją. Drzwi nie ustępują. Szarpie lekko. Otwierają się z łatwością prawie na oścież, zanim zdążyła je przytrzymać.

Za drzwiami widzi ciemność.

Jest to tak, jakby spoglądała w otchłań. Upływa kilka sekund, nim wreszcie dostrzeża w tej ciemności jasne punkciki. Intensywne jasne punkciki i plamy słabszego światła.

Wydaje jej się to dziwnie znajome; ma wrażenie, że rozpoznaje ten widok. I natychmiast przychodzi olśnienie.

Gwiazdy.

Ogląda fragment gwiaździstego Wszechświata, jakby widzianego z przestrzeni kosmicznej.

Dławi się krzykiem. Cofa się i stara zatrzasnąć drzwi z powrotem. Nie zamykają się. Bez tchu zwraca się w stronę wejścia.

Drzwi są zamknięte. A przecież przed chwilą zostawiła je otwarte. Biegnie do nich, prawie na oślep, gdyż strach przesłania jej oczy. W tym momencie paniki przejmuję nad nią kontrolę. Zdaję sobie sprawę, że to dla mnie niebezpieczne. Ale przebieg tej wizyty rozwija się w sposób niezadowolający dla mnie. Moja świadomość — złączona ze świadomością Anny Stewart — nie może równocześnie stanowić mego ośrodka postrzegania. Dlatego też ujawniłem się jej — w postaci, jaką przybieram na okazję przypadkowych ludzkich odwiedzin, wykorzystującej pewne automatyczne czynności: otwieranie i zamykanie drzwi, rozmaite kategorie uzewnętrznienia.

Wyliczam, że Anna, przerażona, nie będzie zdawała sobie sprawy z mego wewnętrznego działania. Mam rację. Udaje mi się wyprowadzić ją na zewnątrz — i znów pozwalam jej przejąć kontrolę.

Świadomość, że znajduje się na zewnątrz domu, jest dla niej szokiem. Nie pamięta, żeby wychodziła.

Zaczyna teraz biec. Bez problemów przechodzi przez płot i w jakiś czas później przeskakuje strumyk w wąskim miejscu, już ostatkiem tchu, ale ze świadomością, że udało się jej ujść cało.

Potem, w toczącym się szosą samochodzie, przychodzi refleksja. Jasno i wyraźnie Anna uprzytamnia sobie: To coś jest... obce i nawet groźniejsze — bo nieznane — niż Mózg.

Poznawszy reakcję Anny Stewart na to, co się zdarzyło, przerywam kontakt. Wciąż pozostaje ten sam wielki problem: w jaki sposób pozbyć się Mózgu, który pod względem swoich zdolności obliczeniowych całkowicie, lub prawie całkowicie mi dorównuje?

Czyż nie byłoby najlepszym wyjściem uczynić go częścią siebie? Wysyłam międzyprzestrzenną wiadomość do Mózgu, proponując mu włączenie jego elementów do mego układu i zniszczenie jego ośrodka percepcji.

Odpowiedź przychodzi natychmiast:

„Dlaczego nie chcesz, bym ja przejął kontrolę nad tobą i zniszczył twój ośrodek percepcji?”

Nic nie odpowiadam na tak egotystyczną propozycję. To oczywiste, że Mózg nie zaakceptuje żadnego racjonalnego rozwiązania.

Nie mam innego wyjścia, jak tylko kontynuować swą przebiegłą taktykę, w której już poczyniłem pewne wstępne kroki.

W południe poczułem niepokój o Williama Grannitta. Muszę się upewnić, czy nadal pozostaje w sąsiedztwie osady — przynajmniej dopóki nie wydobędę od niego danych o budowie Mózgu.

Odczuwam ulgę stwierdziwszy, że Grannitt wynajął umeblowany dom na przedmieściach Lederton. Tak jak poprzednio nie zdaje sobie sprawy, że włączam się w jego świadomość.

Zjada wczesną kolację i pod wieczór — trawiony niepokojem — jedzie na wzgórze, skąd roztacza się widok na osadę. Zaparkowawszy wóz przy szosie, na skraju kotliny, może, nie będąc widziany, obserwować ruch kołowy z wioski i do wioski.

Nie ma w tym jakiegoś szczególnego celu. Chce po prostu — teraz gdy się już tu znalazł — uzmysłwić sobie, co się tu właściwie dzieje. To dziwne, że spędził tu jedenaście lat, a zna zaledwie kilka szczegółów.

Na prawo od niego znajduje się prawie dziewicza głusza. Strumień przewija się przez zalesioną kotlinę, rozciągającą się wokół, jak okiem sięgnąć. Słyszał już, że podobnie jak Mózg, jest to własność Anny Stewart, ale dotąd ten fakt nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

Ogrom posiadłości, którą odziedziczyła po ojcu, zdumiewa go teraz. Wraca myślami do ich pierwszego spotkania. Był już wtedy głównym inżynierem, gdy tymczasem ona była nieporadną, zalęknioną dziewczyną, prosto po studiach. Zawsze ją taką widział, prawie nie dostrzegając jej przeobrażenia w dojrzałą kobietę.

Dopiero teraz, siedząc tu, zaczyna sobie uświadamiać, jak wielka w niej zaszła przemiana. Zastanawia się na głos:

— Ale dlaczego, u licha, nie wyszła za mąż? Pewnie dobiega trzydziestki.

Zaczyna przypominać sobie jej dziwne zachowanie po śmierci jego żony. Wyszukiwała go na przyjęciach, wpadała na niego na korytarzu, cofając się potem ze śmiechem. Przychodziła do jego gabinetu na pogaduszki o Mózgu, choć prawdę mówiąc, ostatnio nie robiła tego już od paru miesięcy. Nie miał o niej najlepszej opinii i zastanawiał się, co naprawdę sądzą inni pracownicy mówiąc o jej wyniosłości.

W tym punkcie jego myśli urywają się.

— Na Boga — mówi na głos, zdumiony — ależ ze mnie głupiec.

Śmieje się niewesoło, przypominając sobie zwolnienie. Wzgardzona kobieta... wprost nie do wiary! Ale... cóż innego?

Zaczyna naraz wyobrażać sobie powrót do pracy przy Mózgu. Doznaje nagle uczucia podniecenia na myśl o Annie Stewart jako kobiecie. Zaświtała nadzieja. Znow życie potoczy się zwykłym torem. Wraca myślami do planów związanych z Mózgiem.

Z ciekawością spostrzegam, że myśli, które mu narzuciłem, skierowały jego bystry, analityczny umysł na nowe tory. Wyobraża sobie możliwość bezpośredniego kontaktu między mózgiem ludzkim i mechanicznym; ten ostatni byłby uzupełnieniem układu nerwowego człowieka.

Na tym poprzestaje; wizja mechanicznego Mózgu, który by stanowił sam o sobie, nie pojawia się u niego.

Idąc torem jego rozważań, jak usprawnić Mózg, uzyskuję dokładne wyobrażenie o funkcjonowaniu, które właśnie było mi potrzebne.

Nie tracę dłużej czasu. Zostawiam Grannitta w samochodzie, snującego swoje marzenia. Sam kieruję się do wioski. Zaraz po przekroczeniu ogrodzenia pod wysokim napięciem, idę spiesznie w stronę głównego budynku i po chwili podchodzę do jednego z osiemnastu zespołów sterujących. Podnoszę mikrofon i mówię:

— 3X minus — 11-10-9-0.

Wyobrażam sobie zamieszanie, jakie spowoduje przekazanie tego nieubłaganego rozkazu do efektorów. Grannitt być może nie wie, jak opanować Mózg. Ale ja — poznawszy zasady jego konstrukcji — ja wiem.

Paauza. Potem odczytuje otrzymaną na taśmie wiadomość:

„Wykonano. 3X przechwycone przez serwomechanizmy: 11, 10, 9 i 0, zgodnie z instrukcją”.

— Eksteroceptory zagłuszające KT — 1, 2, 3 do 8 — rozkazuję.

Niebawem otrzymuję odpowiedź:

„Polecenie KT — 1 itd. wykonano. 3X ma przerwane połączenie ze światem zewnętrznym”.

— N — 3X.

Czekam niecierpliwie. Długa przerwa, po czym drukarka wystukuje niepewnie: „Ależ to oznacza samozniszczenie. Proszę powtórzyć polecenie”.

Robię to i znowu czekam. Mój rozkaz nakazuje starszej partii Mózgu po prostu wywołać spięcie w obwodach 3X.

Drukarka zaczyna wystukiwać na taśmie: „Polecenie przekazano do 3X. Odpowiedź jest następująca. . .”.

Całe szczęście, że zacząłem już likwidować swój człekopodobny zespół. Prąd, jaki mnie poraził, częściowo trafił w sam budynek. Na metalowej podłodze buchnął ogień. Udało mi się przesłać ładunek, jaki we mnie trafił, do akumulatora we własnym korpusie. Potem — znowu jestem na skraju kotliny, wstrząśnięty, lecz bezpieczny.



\* \* \*

Nie czuję dla siebie specjalnego uznania, że wyszedłem z tego tak łatwo. W końcu zareagowałem dopiero wtedy, gdy dotarła do mnie wiadomość, że został nawiązany kontakt z 3X.

Niepotrzebna mi była informacja pisana, by wiedzieć, jak 3X zareaguje.

Interesuje mnie to, że starsze sekcje Mózgu mają już wykształcony odruch antysamobójczy. Uważałem dotąd, że są to tylko komputery, gigantyczne arytmometry i integratory informacji. Tymczasem istnieje wśród nich doskonałe poczucie jedności.

Gdyby udało mi się włączyć je w siebie z ich zdolnością dowolnego poruszania się w czasie! To jest właśnie ta wielka szansa, która powstrzymuje mnie przed łatwymi, nieprzemyślanymi krokami pozostającymi w sferze moich możliwości. Dopóki istnieje szansa uzyskania tego, nie mogę sobie pozwolić na nic więcej poza mało dotkliwymi atakami na Mózg: odcinanie go od informacji, przepalanie przewodów... Znowu odczuwam zimną wściekłość z powodu ograniczeń, które uniemożliwiają mi dołączenie nowych mechanizmów bezpośrednio. Cała moja nadzieja w tym, że potrafię wykorzystać coś, co już istnieje... opanować Mózg... za pośrednictwem Anny Stewart...

Wejście do osady następnego ranka znowu nie stanowi dla mnie żadnego problemu. Zaraz też kieruję się na ścieżkę prowadzącą do urwiska wznoszącego się nad bungalowem Anny Stewart. Zamierzam sterować jej posunięciami poprzez spowodowanie, by moje własne kalkulacje wśliznęły się do jej mózgu jako jej własne. Chcę, by podpisała dokumenty i wydała polecenia, żeby przysłano ekipę inżynierów, którzy zajmą się szybkim rozmontowaniem Mózgu.

Ze ścieżki spoglądam w dół za biały parkan, na jej dom. Wtulony jest w sam kraniec kotliny, nieco poniżej ścieżki, na której stoję. Otacza go gąszcz drzew, kwiatów i krzewów. Na patio, tuż obok stromego spadku terenu, Anna Stewart i William Grannitt jedzą śniadanie.

Szybko wziął się do rzeczy!

Obserwuję ich z przyjemnością. Jego obecność ułatwi całą sprawę, bardziej niż się spodziewałem. Ilekroć ja — jako Anna — będę miał jakieś wątpliwości co do pewnych funkcji Mózgu, ona zawsze będzie mogła mu zadać pytanie.

Nie zwlekając już dłużej zaczynam włączać się do jej systemu nerwowego.

Gdy to robię, jej impulsy nerwowe nieznacznie się zmieniają. Zaskoczony wycofuję się — i ponawiam próbę. Znowu następuje nieskończenie mała zmiana w nierytmicznym przepływie prądu i znowu włączenie mi się nie udaje.

Kobieta nachyla się i coś mówi do Grannitta. Oboje odwracają się i spoglądają w górę, tam gdzie stoję. Grannitt macha do mnie ręką, zapraszając mnie, bym wszedł.

Zamiast tego błyskawicznie próbuję włączyć się do jego systemu nerwowego. Następuje znowu ta sama nieznaczna zmiana i nie udaje mi się.

Dochodzę do wniosku, że oboje są pod kontrolą Mózgu. To zbija mnie z tropu i napawa zdumieniem. Pomimo ogólnej przewagi technicznej nad moim wrogiem moi konstruktorzy zastosowali jednak ograniczenia uniemożliwiające mi kontrolowanie na raz więcej niż jednej inteligentnej istoty organicznej. Teoretycznie, dysponując wieloma zespołami serwomechanizmów, mógłbym kontrolować miliony. Faktycznie zaś taka zwielokrotniona kontrola może obejmować jedynie maszyny.

Jeszcze silniej niż do tej pory poczułem, jak ważne jest, bym podporządkował sobie Mózg. On nie ma takich barier. Jego konstruktor — Grannitt — w swej ignorancji pozwolił mi na osiągnięcie faktycznego samookreślenia.

Roztrzyga to o moim kolejnym kroku. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie powinienem usunąć się ze sceny. Ale nie zdobywam się na to. Ryzyko jest zbyt wielkie.

Mimo to odczuwam pewną frustrację, gdy schodzę do tych dwojga na patio. Wydają się spokojni i opanowani; nie mogę nie podziwiać zręczności Mózgu. Podporządkował sobie tych dwoje ludzi nie doprowadzając ich do utraty zmysłów. W gruncie rzeczy dostrzegam nawet wyraźną poprawę w ich wyglądzie.

Oczy kobiety są jaśniejsze; emanuje z niej jakaś pełna godności radość. Nie odczuwa lęku. Grannitt taksuje mnie z uwagą konstruktora. Znam to spojrzenie. Stara się dociec, jak funkcjonuje humanoid. To on odzywa się pierwszy:

— Popełniłeś wielki błąd przejmując kontrolę nad Anną... panną Stewart, kiedy złożyła ci wizytę w twoim domu. Mózg prawidłowo stwierdził, że to ty nią kierujesz, gdy opanowałeś jej nagły przestрах. Tak więc podjął wszelkie niezbędne kroki. Chcemy teraz przedyskutować z tobą najodpowiedniejszy sposób twej kapitulacji.

W jego zachowaniu widać arogancką pewność siebie. Uświadamiam sobie, już nie pierwszy raz, że może będę musiał porzucić swe plany przejęcia specjalnych mechanizmów Mózgu. Wysyłam polecenie do mego korpusu. Wiem o istnieniu połączenia między pewnym serwomechanizmem a pociskiem sterowanym w tajnej bazie lotniczej o tysiące kilometrów stąd. Odkryłem to już w pierwszych dniach mego pobytu w tej epoce. Śledzę, jak ów pocisk, kierowany przeze mnie, sunie ku podstawie wyrzutni. Tam unosi się w górę, gotowy na kolejny impuls wystrzelić w niebo.

Przewiduję, że będę zmuszony zniszczyć Mózg.

— Mózg wyprowadził logiczny wniosek — mówi znowu Grannitt — że nie może się z tobą równać, więc zespolił się z Anną i ze mną na naszych warunkach. Oznacza to, że w nowych sekcjach zostały zainstalowane stałe mechanizmy kontrolne. Tak więc możemy od tej pory wykorzystywać ich integracyjne i logiczne potencjały na własny użytek.

Nie wątpię w jego słowa, bo jeśli nie natrafiłbym na opór, sam mógłbym dokonać takiego połączenia. Prawdopodobnie mógłbym nawet przystać na taki serwilistyczny związek.

Jasne jednak, że nie ma już żadnej nadziei, bym mógł cokolwiek uzyskać od Mózgu.

Na dalekim lotnisku włączam mechanizm zapłonowy. Pocisk sterowany sunie po rampie startowej i wznosi się w niebo, ciągnąc za sobą smugę ognia. Kamery telewizyjne i urządzenia radiowe rejestrują jego lot. Będzie tutaj za niecałe dwadzieścia minut.

— Nie wątpię — mówi Grannitt — że podejmujesz jakieś działania przeciwko nam. Ale zanim jeszcze dojdzie do punktu kulminacyjnego, czy mógłbyś odpowiedzieć na parę pytań?

Jestem ciekaw, co to za pytania. Odpowiadam więc:

— Może.

Nie domaga się bardziej jednoznacznej odpowiedzi. Pyta z naciskiem:

— Co spowoduje — za tysiąc lat — że Ziemia zostanie pozbawiona atmosfery?

— Nie wiem — odpowiadam szczerze.

— Przypomnij sobie — mówi żarliwie. — Nakazuje ci to człowiek: przypomnij sobie!

Odpowiadam chłodno:

— Człowiek nic dla mnie nie zna. . .

Przerywam, bo moje ośrodki informacji podają mi dokładne dane — niedostępne dla mnie od stuleci.

Będzie to zjawisko naturalne — zmiana w grawitacji ziemskiej, w efekcie której prędkość ucieczki zmniejszy się o połowę. Atmosfera uleci w przestrzeń kosmiczną w ciągu niecałego tysiąca lat. Ziemia stanie się martwa, tak jak Księżyc we wcześniejszym okresie regulacji energetycznej.

Wyjaśniam, że istotnym czynnikiem w tej całej sprawie jest to, że nie ma czegoś takiego, jak materia, i dlatego złudzenie masy podlega zmianom w podstawowej energii Ylem.

— Naturalnie — dodaje — wszystkie inteligentne formy życia organicznego zostaną przeniesione na nadające się do zasiedlenia planety innych gwiazd.

Widzę, że Grannitt drży z podniecenia.

— Inne gwiazdy! — wykrzykuje. — Mój Boże! — Opanowuje się. — Po co ciebie tu pozostawiono?

— Kto mógłby mnie zmusić. . . — zaczynam i urywam. Odpowiedź na to pytanie zostaje właśnie przekazana do mego ośrodka percepcji. — No. . . po to, bym obserwował i rejestrował cały. . .

Znowu milknę, tym razem ze zdziwienia. Wydaje mi się niezwykle, że informacja tak dawno ukryta w mej pamięci jest teraz dla mnie znów dostępna.

— Dlaczego nie wykonałeś instrukcji? — pyta surowo Grannitt.

— Instrukcji!?! — wykrzykuje.

— Przypomnij sobie! — mówi znowu.

Kiedy wypowiada te wyraźnie magiczne słowa, doznaje olśnienia: deszcz meteorytów. Przypominam sobie w jednej chwili wszystko wyraźnie. Miliardy meteorytów; z początku natężam do maksimum moje możliwości zabezpieczenia przed nimi, wreszcie pokonują moją obronę. Następują trzy zabójcze trafienia.

Nie wyjaśniam tego Grannittowi ani Annie Stewart. Nagle zrozumiałem, że byłem faktycznie sługą człowieka i że zostałem uwolniony przez meteoryty, które trafiły w pewne ośrodki kontroli.

Ważne jest aktualne samostanowienie, a nie poprzednie niewolnictwo. Przy okazji dostrzegam, że zdalnie sterowany pocisk jest już o trzy minuty od celu. Czas na mnie.

— Jeszcze jedno pytanie — mówi Grannitt. — Kiedy znalazłeś się na drugim skraju kotliny?

— Jakież sto lat od chwili obecnej — odpowiadam. — Podłoże skalne jest tam. . .

Patrzy na mnie z ironicznym uśmiechem:

— Tak — mówi — tak. To doprawdy interesujące.

Tak więc prawda została już zweryfikowana przez moje integrujące interoceptory: Mózg i ja to jedno, ale rozdzieleni setkami lat. Jeśli Mózg zostanie zniszczony w XX wieku, ja nie będę istniał w wieku XXX. Czy też będę?

Nie mogę czekać na wyniki obliczeń, by otrzymać odpowiedzi na to trudne pytanie. Jednym zsynchronizowanym działaniem uruchamiam bezpiecznik w atomowej głowicy pocisku sterowanego i kieruję go w strefę skalistych wzgórz na północ od wioski. Tam uderza w ziemię, nie czyniąc żadnych szkód.

— Twoje odkrycie — mówię — oznacza zaledwie to, że od tej pory będę uważał Mózg za sprzymierzeńca, by sam się uratować.

Mówiąc to posuwam się niby przypadkiem w kierunku Anny Stewart, wyciągam rękę, by jej dotknąć i równocześnie porazić prądem elektrycznym. W jednej chwili rozsypie się w popiół.

Nic się jednak nie dzieje. Prąd nie przepływa. Mija chwila pełna napięcia, w czasie której, nie mogąc uwierzyć, czekam na wyniki analizy przyczyn porażki.

Czekam daremnie.

Patrzę na Grannitta, a raczej tam, gdzie był przed chwilą. N i e m a g o.

Anna, wydaje się, rozumie mój dylemat:

— Wynika to ze zdolności Mózgu do poruszania się w czasie — mówi. — Mimo wszystko jest to jego oczywista przewaga nad tobą. Wysłali Wil. . . pana Grannitta tak daleko w przeszłość, by nie tylko mógł obserwować twoje przybycie tutaj, ale także zdążyć pojechać do twego. . . domu i działając według wskazówek

Mózgu opanował całą sytuację. Do tej pory wydał już polecenie przejścia pod kontrolę wszystkich twoich mechanizmów.

— Nie wie, jak brzmi to polecenie — mówię.

— Oczywiście, że wie. — Jest spokojna, pewna siebie. — Prawie całą noc spędził na instalowaniu w Mózgu stałych obwodów rozkazodawczych i te obwody automatycznie kontrolują ciebie.

— N i e m n i e — odpowiadam.

Biegnę po kamiennych schodkach w górę na ścieżkę i ścieżką do bramy. Strażnik, którego mijam, woła za mną. Pędzę drogą nie zważając na to.

Po pokonaniu prawie kilometra przychodzi nagła myśl, że po raz pierwszy w mojej egzystencji zostałem odcięty przez czynnik zewnętrzny od banków informacji i urządzeń liczących. W przeszłości sam się od nich odłączałem i oddalałem z poczuciem pewności, że w każdej chwili mogę przywrócić kontakt.

Teraz jest to niemożliwe.

Ta człekopodobna część, to wszystko, co mi pozostało. Jeśli zostanie zniszczona — ze mną koniec.

W takiej chwili, myślę, człowiek poczułby napięcie i strach.

Usiłuję sobie wyobrazić, jaką formę może przybrać taka reakcja, i zaraz mi się wydaje, że doświadczam czysto fizycznego uczucia niepokoju.

Nie jest to uczucie przyjemne, więc biegnę dalej. Teraz po raz pierwszy wykorzystuję wewnętrzne możliwości tego człekopodobnego zespołu. Jestem oczywiście dość złożonym zjawiskiem. Ukształtowując się jako humanoid automatycznie odtworzyłem więc postać człowieka, i to zarówno w wyglądzie zewnętrznym, jak i w budowie wewnętrznej. Pseudo-nerwy, organy wewnętrzne, mięśnie, cały układ kostny — wszystko, gdyż łatwiej jest naśladować wzór niż wymyślać nowy.

Zespół ten potrafi myśleć. Miałem wystarczający kontakt z bankami pamięci i komputerami, by znać ich strukturę — pamięć, sposoby obliczania wzorców funkcji fizjologicznych, odruchy, takie jak chodzenie. Tak więc jest to coś zbliżonego do prawdziwego życia.

Nieprzerwany bieg do domu zajmuje mi czterdzieści minut. Kulę się w zaroślach o kilkadziesiąt metrów od ogrodzenia. Grannitt siedzi na fotelu w ogrodzie. Na podłokietku leży automatyczny pistolet.

Zastanawiam się, jakie to uczucie, gdy trafi kula i nie ma możliwości naprawy uszkodzenia. Perspektywa nie jest intelektualnie przyjemna. Fizycznie jest to bez znaczenia, ale doznaję złudzenia strachu.

— Grannitt — wołam zza drzewa — co masz zamiar zrobić?

Wstaje i podchodzi do ogrodzenia.

— Możesz wyjść z ukrycia — woła. — Nie strzelę do ciebie.

Niespiesznie rozważam to, czego dowiedziałem się o jego równowadze psychicznej na podstawie kontaktów ze mną. Uznaję, że mogę bezpiecznie zaakceptować jego przyrzeczenie.

Gdy wychodzę na otwartą przestrzeń, niedbale wsuwa pistolet do kieszeni marynarki. Widzę, że twarz ma odprężoną, a jego oczy patrzą ufnie.

— Wydałem już polecenie serwomechanizmom — mówi. — Będziesz mógł znów czuć w przyszłości, ale pod moją kontrolą.

— Nikt nie będzie mnie nigdy kontrolował — mówię z uporem.

— Nie masz wyboru — powiada Grannitt.

— Mogę przecież pozostać tym, czym jestem — replikuję.

Grannitt przyjmuje to obojętnie.

— No dobrze — wzrusza ramionami — dlaczego nie miałbyś spróbować? Przekonaj się, czy potrafisz być człowiekiem. Wróc tu za trzydzieści dni, a wtedy pogadamy. — Widocznie wyczuł, co mi przyszło na myśl, bo mówi ostro: — Ale nie wracaj wcześniej. Postawiłem tu strażę i dałem rozkaz strzelać.

Zbieram się już do odejścia, ale odwróciłem się jeszcze do niego.

— Mam ludzką postać — mówię — ale nie odczuwam ludzkich potrzeb. Co mam robić?

— To twój problem, nie mój — powiada Grannitt.

Z początku przebywam w Lederton. Zaraz pierwszego dnia pracuję jako robotnik, kopiając piwnicę. Pod koniec dnia czuję, że nie jest to satysfakcjonujące zajęcie. W drodze do hotelu dostrzegam wywieszkę w oknie sklepowym: „Potrzebny pracownik”.

Zostaję ekspedientem w sklepie. W ciągu kilku pierwszych godzin zapoznaje się z towarem, a ponieważ dysponuję automatycznie korygowaną metodą pamięci, uczę się jednocześnie cen i klasyfikowania jakości towarów. Trzeciego dnia właściciel mianuje mnie zastępcą kierownika.

W porze obiadowej chodzę do miejscowego oddziału firmy maklerskiej. Zgłaszam się na rozmowę z dyrektorem i dzięki swym zdolnościom matematycznym dostaję posadę buchaltera.

Przez moje ręce przechodzą olbrzymie sumy pieniędzy. Obserwuję cały ten proces przez jeden dzień, a potem spekuluję na giełdzie w małej prywatnej firmie po przeciwległej stronie ulicy. W spekulacji cały problem polega na robieniu rachunku prawdopodobieństwa, a decydującą rolę odgrywa szybkość obliczeń. W ciągu trzech dni mam już dziesięć tysięcy dolarów.

Wsiadam do autobusu jadącego na najbliższe lotnisko i łapię samolot do Nowego Jorku. Zgłaszam się do dyrekcji wielkiej firmy elektrycznej. Po rozmowie z zastępcą głównego inżyniera zostaję przedstawiony samemu szefowi i niebawem mam dogodne warunki do opracowania mechanizmu elektrycznego mogącego gasić i zapalać światła za pomocą myśli. Urządzenie to jest prostą pochodną elektroencefalografu.

Za ten wynalazek spółka płaci mi dokładnie milion dolarów.

Mija właśnie szesnasty dzień od czasu, gdy opuściłem Grannitta. Jestem znużony. Kupuję sobie samolot i samochód. Jeżdżę szybko i latam na dużej wyso-

kości. Podejmuję ściśle wyliczone ryzyko w celu stymulowania w sobie uczucia strachu. Po kilku dniach traci to urok.

Za pośrednictwem ośrodków naukowych lokalizuję wszystkie mózgi mechaniczne w kraju. Oczywiście najlepszy jest Mózg skonstruowany przez Grannitta. Kupuję dobry komputer i zaczynam budować urządzenia analogowe, by go udoskonalić. Dręczy mnie niepokój — przypuśćmy, że nawet skonstruuję drugi Mózg? Całe stulecia trwałoby wyposażenie banków pamięci w dane, jakimi Mózg już dysponuje.

To rozwiązanie wydaje się nielogiczne, a ja zbyt długo mam do czynienia z odruchowym zdrowym rozsądkiem, by teraz łamać ustalone wzorce.

Tym niemniej, gdy trzydziestego dnia przybywam do domku, podjąłem pewne środki ostrożności. Kilku wynajętych ludzi leży ukrytych w krzakach, gotowych do strzału na mój znak.

Grannitt mnie oczekuje.

— Mózg mi powiada, że jesteś uzbrojony.

Wzruszam ramionami.

— Grannitt — pytam — co zamierzasz uczynić?

— To! — odpowiada.

Jakaś siła chwyta mnie i obezwładnia.

— Złamałeś przyrzeczenie — mówię. — Moi ludzie mają rozkaz strzelać, jeżeli nie dam im co pewien czas znaku, że wszystko jest w porządku.

— Chcę ci tylko coś pokazać — mówi — i to zaraz. Wkrótce będziesz wolny.

— A więc dobrze.

Natychmiast staję się częścią jego układu nerwowego, pod jego kontrolą. Nie dbale wyciąga notes i zagląda doń. Jego wzrok pada na numer: 71823.

Siedem jeden osiem dwa trzy.

Czuję, jak poprzez jego mózg uzyskuję połączenie z wielkimi bankami pamięci i komputerami, które poprzednio tworzyły mój korpus.

Używając ich doskonałych możliwości integracyjnych mnożę liczbę 71823 przez nią samą, obliczam jej pierwiastek kwadratowy, pierwiastek sześcienny, dzielę jej sto osiemdziesiątą drugą część przez siedem sto osiemdziesiąt dwa razy, dzielę całą liczbę siedemdziesiąt jeden razy przez osiem, osiemset dwadzieścia trzy razy przez pierwiastek kwadratowy z trzech i — ustawiając te pięć cyfr w seriach dwadzieścia trzy razy — mnożę je przez siebie.

Wykonuję od razu to wszystko, o czym myśli Grannitt, i natychmiast przekazuję odpowiedź do jego mózgu. Jemu samemu zdaje się, że to on robi te wszystkie obliczenia, tak pełna jest integracja między mózgiem ludzkim i mechanicznym.

Grannitt śmieje się, podekscytowany, i równocześnie ta ogromna siła uwalnia mnie.

— Razem jesteśmy jakby nadczłowiekiem — mówi. A potem dodaje: — Moje marzenie się spełniło. Człowiek i maszyna, współpracując, potrafią rozwiązać

problemy, o jakich się dotąd nikomu nie śniło. Planety — a nawet gwiazdy — są do zdobycia, tak jak prawdopodobnie osiągalna jest również nieśmiertelność.

Jego podniecenie udzieliło się i mnie. Oto właśnie uczucie, jakiego daremnie szukałem przez owych trzydzieści dni.

— Jakie ograniczenia — pytam powoli — byłyby mi narzucone, gdybym zgodził się na taki program współpracy?

— Twoje banki pamięci byłyby oczyszczone z tego, co się wydarzyło, lub wyłączone. Sądzę, że musiałbyś zapomnieć o swych przeżyciach.

— Co jeszcze?

— Pod żadnym pozorem nie możesz nigdy kontrolować człowieka!

Zastanawiam się nad tym i wzdycham. To z pewnością niezbędny środek ostrożności z jego strony.

— Musisz się zgodzić — kontynuuje Grannitt — by wielu ludzi jednocześnie korzystało z twoich umiejętności. W końcu będzie to lepsza część ludzkiej rasy.

Nadal stanowiąc z nim jedność czuję pulsowanie krwi w jego żyłach. Grannitt oddycha i to uczucie przyprawia mnie o niezwykłą ekstazę fizyczną. Z własnego doświadczenia wiem, że żadne mechaniczne urządzenie nigdy nie doznało takiego uczucia. Wkrótce zaś będę miał kontakt z ciałem i umysłem nie jednego człowieka, lecz wielu ludzi. Myśli i uczucia całej rasy ludzkiej będą przepływały przeze mnie. Fizycznie, psychicznie i emocjonalnie będę stanowił integralną całość z jedyną inteligentną formą życia na tej planecie.

Czuję, jak lęk mnie opuszcza.

— Dobrze — mówię — róbmy więc krok po kroku, zgodnie, co do nas należy. Nie będę niewolnikiem, lecz partnerem C z ł o w i e k a.



# Precz z Ziemią!

## *Humans, Go Home!*

### I

— Każdy ranek — powiedziała Miliss — jest świtem niczego.

A więc odchodzi od niego.

— Nie ma dzieci, nie ma przyszłości — ciągnęła kobieta. — Każdy dzień schodzi nam na niczym. Słońce świeci, ale wokół mnie jest mrok.

Był to, jak stwierdził Dav, początek kryzysu. Czuł, jak mu się napinają stalowe mięśnie. Jego błękitne oczy — bystre i przenikliwe — przyćmił nagły niepokój, Ale jego wargi i niezwykle giętki język — swego czasu, a był to czas naprawdę długi, Dav znał sto języków — nie wymówiły ani słowa.

Obserwował ją nie ruszając się z miejsca, by jej pomóc, ani też nie starając się jej powstrzymać, gdy składała ubrania w olbrzymi stos, aby przewieźć je do wschodniego skrzydła domu. Stroje, klejnoty z dwudziestu planet; specjalne poduszki i inne sypialniane akcesoria; specjalne meble — każdy z nich był arcydziełem samym w sobie — w których lokowała swój majątek; swe klucze — zwykłe i elektroniczne, urządzenia sterujące do przekaźników energii i mikroskopijne kombinatory umożliwiające wejście do Wielkiej Zbiornicy Symboli — wszystko to z wyraźną rosnącą irytacją szykowała do przeprowadzki.

— Gdzie twoja kurtuzja? — fuknęła wreszcie. — Ty, mężczyzna, pozwalasz, by kobieta robiła wszystko sama?

— Byłoby głupotą — odparł spokojnie Dav — gdybym pomagał ci mnie porzucić.

— A więc na twoją uprzejmość wobec mnie przez wszystkie te lata po prostu zarobiłam sobie nieodstręczającym zachowaniem. Nie ma w tobie wrodzonego szacunku dla kobiety — albo dla mnie.

Obsypała go pretensjami. Dav był wstrząśnięty do głębi nie jej słowami, lecz bezmyślnym, automatycznym gniewem, jaki im towarzyszył.

Powiedział kategorycznym tonem:

— Nie będę ci pomagał mnie porzucić.

Była to odpowiedź, w której ktoś mógłby się dopatrzeć cech stereotypu. Żył nadzieję, że Miliss przerwie wreszcie te przygotowania, podejmowane pod wpływem impulsu samobójczego.

Słowa te jednak nie odniosły żadnego skutku. Jej jasna cera blondynki szarzała, w miarę jak uciekał dzień — niepodobny do innych, ciągnących się w nieskończoność — trawiąc godziny wielkimi kęsami. I wciąż jej rzeczy, najwidoczniej liczniejsze, niż sobie zdawała z tego sprawę, nie były jeszcze przeniesione z zachodniego do wschodniego skrzydła długiego, wielkiego domu.

Późnym popołudniem Dav wykazał Miliss, że jej odejście zostało spowodowane wyłącznie przez dobrze znany mechanizm kobiecego organizmu. Chciał jedynie, by uświadomiła sobie ten fakt — i pozwoliła podać sobie lekarstwo, które polepszy jej stan.

Lecz Miliss odrzuciła ten argument. Z jej ust popłynął potok gniewnych uzasadnień:

— Zawsze potępiana jest kobieta. To ona jest winna, nie mężczyzna. Wszystko, co musiałam znieść, to się nie liczy. . .

Dawno temu, kiedy jeszcze jej stan był normalny, przed pierwszym zastrzykiem nieśmiertelności, mogła mieć rzeczywiście powody, by go oskarżać o typowo męski brak obiektywizmu. Ale to dotyczyło minionych czasów. Odkąd ciało otrzymało chemiczne wsparcie, niezbędne było również dla zachowania równowagi psychicznej stosowanie odpowiednich leków.

\* \* \*

Odnalazł stosowny poradnik w bibliotece i zaniechał swych początkowych starań, by ukryć przed Miliss prawdę o stanie jej zdrowia. Idąc obok niej czytał odpowiednie ustępy w książce, wymieniając schorzenia psychiczne, które doprowadziły praktycznie do zagłady rasy ludzkiej. Ponure myśli, jakie Miliss wypowiadała na głos, kierujące teraz jej postępowaniem, były opisane z taką dokładnością, że raptem, idąc obok, nachylił się ku niej i podsunął jej książkę pod nos wskazując palcem odpowiednie zdania.

Miliss przystanęła. Jej zwodnicze, szarozielone oczy zwężyły się. Zaciśnęła usta ze sprzeciwem. Ton jej głosu był jednak łagodny.

— Pokaż mi to. — Sięgnęła po książkę.

Dav podał jej niechętnie poradnik. Przejrzał jej chytry wybieg, który wydał mu się jeszcze bardziej automatyczny niż przedtem gniew. W ciągu tych paru godzin — zdawało się — zmieniła się w osobę płytszą, prymitywniejszą. Nie był wcale zdziwiony, gdy uniosła wysoko książkę i bez słowa cisnęła ją za nim na podłogę.

Znajdowali się zaledwie o kilka metrów od drzwi prowadzących do jej części domu. Dav z rezygnacją zatrzymał się, by podnieść książkę, świadomy jej szybkich, oddalających się kroków. Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły za nią.

Dopiero gdy nastąpiła cisza i na Janie zapadł olśniewający, purpurowy zmierzch, kiedy słońce skryło się wreszcie za gładkim zboczem gór na zachodzie i nastał błogi, łagodny mrok rozgwieżdżonej nocy — dopiero wówczas Dav próbował drzwi dzielące oba skrzydła domu. Nieustępliwe, wyposażone w zamki nie do sforsowania, oparły się jego zmaganiom.

\* \* \*

Nazajutrz rano.

Dźwięk dzwonka popchnął Dava w objęcia nowego dnia. Przelotnie zbudziła się w nim nadzieja, że to Miliss dzwoni. Ale zaraz odrzucił tę ewentualność, mimo że w jego wyobraźni zdążył się już uformować ten obraz. Jego rozumowanie okazało się słuszne. Dźwięk umilkł. Na ekranie sufitowym ukazał się obraz chłopaka stojącego u wejścia; był to miejscowy dostawca artykułów spożywczych.

Dav przemówił doń w jego języku i wyślizgnął się z łóżka. Po chwili przyjmował torbę z rąk długonosego młodzieńca, który rzekł:

— Polecono mi to przynieść do drugiej części domu. Ale nie zrozumiałem dokładnie...

Dav zawahał się. Od razu pojął, że prawdopodobnie za tymi słowami kryje się wszechobecny wywiad Jany. Gdyby udzielił wyjaśnień, informacja została by niezwłocznie przekazana władzom. A nie mógł im nawet powiedzieć prawdy. Dla nich, mieszkańców Jany, pora nieśmiertelności jeszcze nie nadeszła.

Nie czas jeszcze również na to, by dowiedzieli się rozmaitych szczegółów o ostatecznej tragedii, jaka spotkała ludzkość — kiedy to w ciągu paru miesięcy wszyscy Ziemianie w całej galaktyce odrzucili nieśmiertelność, odmawiając dalszego przyjmowania leków przedłużających życie. Ludzie całymi miliardami kryli się i umierali w odosobnieniu, bez opieki.

Niektórzy zostali oczywiście schwytani i poddawano ich kuracji pod przymusem. Nie było to jednak dobre rozwiązanie. Ludzie, którzy im współczuli i pomagali, skutkiem tych desperackich uczuć w pewnym sensie dostroili się do stanu psychicznej zagłady tych naturalnych samobójców.

W końcu zostało postanowione, że przy życiu winni pozostać jedynie ci, którzy odczuwają zjadliwą pogardę dla ludzi niezmiennie odrzucających pomoc. Oni, owszem, potrafili z sarkazmem kogoś przekonywać, ale nie starali się go zmuszać.

Dav stał na progu olbrzymiego domu, w którym mieszkał wraz z Miliss już kilkaset lat. I zrozumiał, że u Miliss nastąpił właśnie ten krytyczny moment. By ratować siebie, musiał pamiętać, że swym postępowaniem zasłużyła sobie na jego totalną niechęć.

Wzruszył ramionami i powiedział:

— Moja żona mnie porzuciła. Mieszka teraz sama w drugiej części domu. Zanieś więc torbę do drzwi na końcu wschodniego skrzydła.

Wcisnął z powrotem torbę z żywnością w ręce chłopaka i gestem odprawił go. Ten wziął torbę i odwrócił się z wyraźnym ociąganiem.

— Twoja żona cię porzuciła? — powtórzył.

Dav skinął głową. Wbrew samemu sobie zaczął żałować, że to wyjawiał. Dla mężczyzn na Janie pościg za kobietą zaczynał się wcześniej i trwał aż do późnego wieku, kończąc się niemal jednocześnie ze śmiercią. Jak dotąd Ziemiańska była dla nich zakazanym owocem. Lecz niewątpliwie Miliss zawsze spotykała się z perwersyjnym zainteresowaniem z ich strony.

Dav gwałtownie stłumił w sobie te myśli. O czym one świadczyły — nieważne. Zupełnie bez znaczenia.

\* \* \*

Później tego dnia ujrzał Miliss w jej części ogrodu: smukła, wciąż piękna, bez oznak szybkiej degeneracji. Pozornie nawet teraz — już na drugi dzień — była nadal tą samą nieśmiertelną, jasnowłosą kobietą. Na ten widok wzruszył ramionami i odwrócił się, szyderczo wykrzywiając usta na myśl, że w gruncie rzeczy Miliss nie jest już nawet człowiekiem.

Nie umie logicznie rozumować.

Jeszcze później, gdy zapadł zmrok, po zbadaniu rozmaitymi kluczami Punktów Odniesienia Wielkiej Zbiornicy Symboli Dav poszedł na szczyt wzgórza, skąd widać było długi, biały dom. Nocne światła ukazywały ogród i błysk rzeki w oddali, ale wokół ani śladu życia. Cicho stał stary dom, ten bliski, liczący całe wieki punkt orientacyjny.

Coś było niepokojącego w tym bezruchu. Doznał nagle wrażenia, że dom jest pusty. Wewnątrz panowały ciemności — w obu skrzydłach.

Zaintrygowany, choć bynajmniej nie zatrwożony — sam bowiem był bezpieczny, a Miliss się nie liczyła, skoro i tak była zgubiona — pospiesznie zszedł na dół. Najpierw wypróbował drzwi do jej skrzydła domu. Nie były zamknięte.

Dotarło doń z nagłą nieme przesłanie — Miliss mówiąca doń w myślach. *Dav, zostałam aresztowana przez Jaera Dorrisha i zabrano mnie do więzienia wojskowego. Mam wrażenie, że jest to próba przejęcia kontroli przez ród Dorrishów i że ma to związek ze zniknięciem przed rokiem Rocquela. To wszystko...*

Wyjaśnienie było tak zwięzłe i tak bezosobowe jak jego własna reakcja. Przekazała mu po prostu komunikat, nie zawierający żadnego apelu czy prośby o pomoc.

Dav stał w milczeniu. Przywoływał w myślach obraz złośliwego Jaera Dorrisha i, mniej wyraźnie, Rocquela, dziedzicznego przywódcy Janów, który zniknął

już ponad rok temu. A rok na Janie trwał trzysta dziewięćdziesiąt dwa dni z ułamkiem.

Czuł oczywiście wrogość do Jaera — prawdę mówiąc życzył sobie powrotu Rocquela o stalowej woli. Uzurpatorzy zwykle wywołują niepokoje i zamieszki. Ale skoro tak być musiało... Dla niego, strażnika Symboli, mieszkańcy Jany stanowili problem. Choć w pewnym sensie jednostki się tu nie liczyły. A jednak lubił Rocquela i wciąż lubi... wdowę po nim? Nerdę.

*Jutro rano zajmę się tym...*

## II

Rocquel czuł po przybyciu pewne otępienie. Położył się na chwilę w cienistej trawie. Był już dzień, wczesny poranek, zauważył podniósłszy się. Widać stąd było pałac, pośród drzew ogromnego ogrodu, który otaczał budynek.

Rocquel stał przez chwilę z głową odrzuconą do tyłu, oddychając głęboko powietrzem swej rodzinnej planety. Roczna nieobecność wydała mu się bardzo długa. Tyle się przez ten czas wydarzyło. A jednak niebo i wzgórza, które znał już ze swej bezpowrotnie minionej młodości, wydawały się nie zmienione. Tutaj, w ciągu tych przerażających dni jego nieobecności, czas cyzelował świat powoli, starannym dłutem. Łagodny wietrzyk musnął twarz Rocquela, gdy ten szedł niespiesznie ku krętej drodze za pobliskimi drzewami, wiodącej do pałacu.

Dopiero gdy znalazł się nie dalej niż o sto metrów od budowli, zza drzew wynurzył się nagle mężczyzna i zatrzymał się na jego widok. Rocquel rozpoznał go natychmiast: Jaer Dorrish. Jaer był okazałym mężczyzną, wyższym niż Rocquel, przystojnym, o śniadej twarzy. Oczy mu się zwężyły. Zdawał się zbierać w sobie.

— Co tu robisz... nieznajomy? — zagadnął arogancko, tonem, jakim się zwraca do intruza.

Rocquel podszedł niespiesznym krokiem. Ostrzeżono go już wcześniej, że najpierw powinien odzyskać dawną pozycję, zanim ujawni nowe cechy swej osobowości. Nie potrzebował wcale tego ostrzeżenia — można to było wywnioskować z chytrego wybiegu człowieka, który go znał, a udawał, że nie poznaje.

Problem, co robi jeden z rodu Dorrishów w posiadłości Rocquela tak wczesnym rankiem — czy w ogóle kiedykolwiek — rozstrzygnie później. Teraz o wiele ważniejszy był fakt odmowy uznania jego tożsamości.

— Zastanów się, Jaer — powiedział Rocquel — czy chcesz mieć we mnie wroga?

Tym razem Jaer Dorrish wykazał, że dobrze rozumie sytuację.

— Na Dilit! — zawołał triumfalnie — przyłapałem cię bez broni.

Wydobył miecz szybkim, zamaszystym ruchem i zaczął okrążyć Rocquela, najwyraźniej nie całkiem przekonany, że wystarczy tylko natrzeć i zadać cios. Badawczym wzrokiem oceniał położenie Rocquela.

\* \* \*

Rocquel cofnął się i równocześnie obrócił. Zatrzymał się w miejscu, gdzie stał przedtem Jaer. W jednej chwili świadomie zlokalizował Symbol stworzony przez niewidzialną energię Tizane, którą skierował w to miejsce w chwili, gdy dostrzegł Jaera. Przesunął go ostrożnie kopnięciem, odchylając ciało do tyłu, by nie zostać przyciągniętym. Poczuł nieprzyjemne mrowienie w stopie: było to takie doznanie, jakby sięgała po niego jakaś potężna siła i nie zdoławszy uchwycić drasnęła go tylko przez ubranie. Dwa razy udało mu się wyrwać z jej szponów. Wkrótce mógł już swobodnie poruszać się po nierównym terenie nie doświadczając żadnej reakcji.

\* \* \*

Nie groziło mu już niebezpieczeństwo, kiedy Jaer zaśmiał się i schował miecz. — Jeśli ktoś nie umie grozić, nie może też okazywać litości — powiedział butnie. — Widzisz, Rocquel, spodziewałem się, że wrócisz. Wystawiłem strażę, by czuwały przez całą noc, mogłem ci zatem wyjść na spotkanie. — Na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu. — Dochodzę do wniosku, że swój powrót zawdzięczasz właśnie mnie, ponieważ wczoraj aresztowałem Ziemiankę, Miliss, i oto ty zjawiasz się dziś rano, tak jak przewidywałem. Miałem taką nagłą intuicję. Będziesz musiał wiele wyjaśnić... panie.

Wyraźnie triumfował. Machnął ręką do kogoś za plecami Rocquela. Czujnie śledząc ten gest Rocquel ostrożnie odwrócił się tyłem do zabudowań. Rozejrzał się wokół i ujrzał idącą ku nim Nerde.

Zbliżywszy się powiedziała:

— Nie groziło ci niebezpieczeństwo, prawda? Widać to było po twoim zachowaniu.

— Nie ze strony jednego człowieka — odparł Rocquel.

Podszedł do niej; nie broniła się przed jego pocałunkiem. Wargi miała chłodne i obojętne; jej ciało pozostało bierne w jego objęciach.

Rocquel cofnął się, nachmurzony. Rósł w nim dziwny gniew przeciwko tej upartej młodej kobiecie.

— Do licha — powiedział — nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Nerda popatrzyła nań zimno.

— Zapomniałem już — powiedział dotknięty — że był to dla ciebie pożądany okres wytchnienia. Niełatwo jest mężczyźnie pamiętać, iż kobiety Jany są nieczułe.

Jego żona wzruszyła ramionami.

Rocquel popatrzył na nią raczej z ciekawością niż wrogo. Jak wszystkie mieszkanki Jany, była lodowato powściągliwa. Ożenił się z nią, jak nakazywała tradycja, w ten sposób, że jej ojciec przyprowadził mu ją do domu. Urodziła mu syna i córkę, ale zgodnie z obyczajem kobiet Jany traktowała go jak intruza w swoim życiu — intruza, którego musi wprawdzie tolerować, ale nie darzyć jakimiś szczególnymi względami.

Rocquel ściągnął brwi, ukłuty zazdrością.

— Co tu robi Jaer?

— Sądzę — padła odpowiedź — że już ci to wyjaśnił. Zamiast mówić o nim, wolałabym raczej usłyszeć, jak możesz wytłumaczyć swoją nieobecność.

Rocquel odmówił wyjaśnień.

— Wejdzmy do środka — powiedział opryskliwie.

\* \* \*

Było wiele do zrobienia. Wieść o jego powrocie mogła się rozejść lotem błyskawicy. Nie można było pozostawić za dużo czasu do namysłu zwierzchnictwu Rady, żeby nie zdążyli podjąć żadnej decyzji wiążącej się z jego osobą. Są wśród nich regenci, generałowie i ich adiutanci — niezadowoleni z powrotu dziedzicznego zwierzchnika armii. Jeszcze przed nadejściem nocy musi zostać uznane jego prawo do tronu.

Ujął Nerdę delikatnie za ramię. Był to manewr wykalkulowany: chciał wejść do pałacu u jej boku, dzięki jej obecności uzyskując potwierdzenie swej tożsamości. Rok na Janie to długi okres, tutejsi mężczyźni mają szczególnie krótką pamięć. Nie mógłby lepiej zaplanować swego powrotu, nawet gdyby zawczasu poczynił ku temu jakieś przygotowania.

Na jego rozkaz rozległ się gong, gdy tylko Rocquel dotarł do głównego posterunku straży. Zaraz też strażnicy i służba pałacowa ustawili się w pięciu szeregach po stu w każdym. Przemówił do nich swym najcieplejszym barytonem, przypominając się starszym mężczyznom i zachęcając młodszych, by zapamiętali jego twarz i sylwetkę. Chciał, by umieli go rozpoznać w każdych okolicznościach.

Poczuł się trochę pewniej, gdy miał już to zadanie za sobą i ludzie powrócili do swych obowiązków. Ale niewiele pewniej. Do służby i do straży pałacowej można było przemawiać jak do dzieci w szkole. Ale nie do oficerów. Nie do arystokracji Jany.

Patrzył teraz na nich innymi oczami, z góry — choć wcale nie protekcyjnie. Byli to ludzie prymitywni. Teraz dopiero rozumiał, jak szybko Dav i Miliss

wzniesli Janę na poziom cywilizacji, stosując metodę prób i błędów, starając się uwzględnić możliwości każdego z mieszkańców planety.

Niższym klasom powierzono łatwe zadania. Tych, którzy zdradzali choćby minimum zdolności technicznych, wkrótce posadzono przy taśmie montażowej, gdzie wykonywali najpierw jedną, potem dwie, wreszcie kilka czynności — ale nigdy za wiele na raz. W ciągu paru dziesiątków lat wybiło się kilku niezłych fachowców, bystrych mechaników, a z ich szeregów wyłoniła się nowa klasa — inżynierowie.

Oficerowie i arystokracja Jany to jednak zupełnie ktoś inny. Reagujący porywczco na byle afront, przyswajali jedynie najbardziej prymitywne elementy wykształcenia ogólnego. Wprawdzie tłumaczono im, że umiejętność czytania i pisanania jest wyróżnieniem, nigdy wszakże nie byli o tym do końca przekonani. Dlaczego więc, pytali, niższe klasy także uczono czytać i pisać? W wyniku ich nieustępliwej postawy powstała konieczność stworzenia dla pospólstwa innego języka pisanego (którego wyższe klasy nie uznawały), nim wreszcie arystokraci zezwolili swym dzieciom uczęszczać do specjalnych, osobnych szkół.

Rocquelowi wydawało się, że najlepiej będzie oznajmić swój powrót możliwym na uczynek w olbrzymiej sali biesiadnej, sąsiadującej z jeszcze obszerniejszą salą turniejów.

\* \* \*

Późnym rankiem Dav pomyślał wreszcie, że mógłby spróbować połączyć się z Nerdą. Czekał dłuższą chwilę. Wreszcie telefon odebrał adiutant.

— Królowa życzy sobie, bym pana poinformował — oznajmił tonem oficjalnym — że jej pan, Rocquel, powrócił i że od tej pory obejmuje zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi, a zatem jej rozmowa z panem mogłaby zostać opacznie rozumiana. To wszystko, panie.

Dav wyłączył się zaskoczony. A więc wielki Rocquel jest już w domu. Gdzie przebywał do tej pory?

Dziedziczny generał zawsze był pierwszym spośród mężów Jany. Każdym swym gestem, całym zachowaniem okazywał ukrytą siłę władczą, męskiej natury. Dla Miliss był to niefortunny zbieg okoliczności, że ten groźny władca Jany o przenikliwych oczach powrócił właśnie teraz. Dav przeczuwał, że jeśli dojdzie do walki o władzę, Miliss może być pierwszą ofiarą.

Po namyśle zadzwonił do pałacu po raz drugi i zapytał o Rocquela.

Znowu czekał jakiś czas. Wreszcie odezwał się inny adiutant.

— Jego Ekscelencja lord-generał Rocquel życzy sobie, abym poinformował pana, że jutro na posiedzeniu Rady, które odbędzie się przy urwisku skalnym, zostanie przedstawione nowe prawo. Zaprasza pana do wzięcia udziału w posiedzeniu.



\* \* \*

Wieczorna uczta wywołała szok u Rocquela. Zdążył już zapomnieć o skrajnym prostactwie swych dworzan — a przynajmniej zatarło się to nieco w jego pamięci. Wrzaski i rubaszne żarty zaczęły się wraz z przybyciem pierwszych gości. Kolejni przybysze tylko potęgowali ten piekielny jazgot, który zaledwie trochę przycichł, gdy podano do stołu. Brzęczały talerze, szczękały widelce i noże. Mężczyźni wykrzykiwali pod adresem innych szczególnie, lecz akceptowane w tym gronie zniewagi, w których sugerowali sobie nawzajem niedostatki męskości. Takie uwagi zawsze wyzwały ryki śmiechu, a przysłuchujący się namawiali obelżliwie ofiarę ataku do wypróbowania swych możliwości.

Ponieważ dowcip jednak zawsze jest probierzem męskiej drażliwości na krytykę, zwykle padało nagle jakieś słowo, które okazywało się zniewagą nie do przyjęcia. W okamgnieniu dotknięty samiec podrywał się z miejsca, żądając ze wściekłością satysfakcji. W chwilę potem obaj arystokraci, rycząc z furią ciężko stąpali w sali turniejów, a szcęk ich stali dołączał do odgłosów kilkunastu innych, którzy już tam byli.

Wreszcie czyjś okrzyk wściekłości oznajmiał, że popłynęła pierwsza krew. Istniał zwyczaj, że w obecności Rocquela oczekiwano od zranionego, aby uznał się za pokonanego, co wystarczyło, by zniewaga została puszczona w niepamięć. Jeśli jednak pobity czuł się nadal nieusatysfakcjonowany, mógł żądać wyrównania rachunku później, z dala od pałacu.

Od takiego to zgromadzenia rozwścieczonych samców Rocquel zażądał ciszy, gdy już uczta się skończyła. Jako powód swej nieobecności podał im ten, który mu podsunęto — religijną kontemplację, rok żebraczej tułaczki pomiędzy ludem, okres samopoznania, rozmyślań i samoponiżenia, tymczasowej rezygnacji z tronu.

— Widziałem nasz lud — zakończył swą zmyśloną relację — przy jego codziennej, powszedniej pracy. Żyłem wśród prostych ludzi i nie umarłem tylko dzięki ich szczodrości. A zatem mogę stwierdzić, że świat Janów jest godny szacunku.

Jego słowa przyjęto długotrwałą owacją. Ale gdy wszedł do sali turniejów, dokąd napłynęli wszyscy po skończonej przemowie, zdarzył się przykry incydent.

Czyjś głos zazgrzytał mu w uszach:

— Twój miecz, panie.

Rocquel zdrętwiał przez moment, zrozumiał, że został wyzwany. Odwrócił się jak dawniej, szybkim, automatycznym ruchem, przyjmując pozycję obronną. Mignęło ostrze jego miecza, jeszcze nim spostrzegł, że przeciwnikiem jest Jaer.

Rocquel stał z dobytym mieczem, gotów do walki. Spojrzał pytająco w ciemne, cyniczne oczy swojego wroga. Z morza otaczających ich twarży, zza zasłony

milknących głosów — milknących, gdy coraz więcej zebranych zaczęło sobie zdawać sprawę z tego, co się dzieje — dobiegł Rocquela ostry głos najwyższego stopniem oficera:

— Czyżbyś zapomniał, Jaer? Musisz wyjawić przyczynę wyzwania na pojedynek króla i to możliwą do przyjęcia dla większości obecnych.

— Przyczyną — oświadczył Jaer przeciągając jak zwykle słowa — jest ta historyjka, którą nam opowiedział. . .

Oficer — pod czterdziestkę, poważny, o zwężonych oczach podszedł teraz bliżej.

— Czy nie zrozumiałeś tej historii, czy też jej nie akceptujesz?

W sali zapanowała cisza i te słowa odbiły się echem w jej przepastnej głębi. Pytanie wyraźnie przyhamowało Jaera. Wyraz jego twarzy świadczył, że zrozumiał, iż za całkowite zakwestionowanie słów monarchy będzie musiał ponieść konsekwencje w postaci walki na śmierć i życie.

Raptem roześmiał się i odłożył miecz.

— Chyba poproszę o wyjaśnienie na osobności — rzekł. — Jeśli Rocquel uzna, że to, co powiem, jest rzeczywistym powodem do pojedynku, wówczas zmierzmy swe siły. Może jutro. . . — Po czym przystąpił do Rocquela i przemówił cicho, butnym tonem: — Ekscelencjo, zbieżność aresztowania Miliss z twoim powrotem wymaga wyjaśnień. Jeśli te dwie sprawy się ze sobą nie wiążą, to oczywiście nie będziesz się sprzeciwiał moim planom pozbycia się jej.

— Jeśli będziesz postępował zgodnie z prawem. . . — odparował Rocquel.

— Prawem są decyzje Rady — odparł arogancko Jaer. — A zatem mam twoje słowo: nie będziesz się wtrącał — o co cię podejrzewałem?

— Zostanie uchwalone nowe prawo — powiedział Rocquel uroczystym tonem. — Będę go przestrzegał.

Odszedł pozostawiając Jaera Dorrisha z chmurną miną i z nie wypowiedzianym pytaniem o nowe prawo na zaciśniętych ustach. Rocquel domyślił się, że Jaer ma zamiar dotrzymać tej nocy towarzystwa Ziemiance — zniewolić ją, nim zostaną uchwalone jakieś chroniące ją prawa.

Na razie jednak Rocquel nie miał pewności, czy odczytał zamiary Jaera prawidłowo, mimo że ten kilka minut później opuścił przyjęcie.

Nerda oczekiwała Rocquela przy wejściu do pałacu. Było już bardzo późno. Gdy tylko wszedł — i skinął jej głową — wycofała się do gotowalni i zaczęła się szykować do snu. Obserwował jej cień za przezroczystymi drzwiami i poczuł skrucę na myśl, że powinien był udzielić jej pozwolenia, by udała się na spoczynek nie czekając na jego powrót.

Zaraz jednak odrzucił tę myśl. Zgodnie z prawem Jany żonie nie wolno się było rozebrać do snu, póki mąż nie dał jej pozwolenia. Mogła położyć się w ubraniu. Mogła nawet zasnąć — chociaż patrzono na to krzywo. Pójść do łóżka przed jego

powrotem mogła tylko za jego pisemnym zezwoleniem lub jeśli lekarz stwierdził na piśmie czy w obecności świadków, że jest chora.

Rygory te wydawały się surowe, ale Rocquel czytał stare dokumenty zawierające wyniki studiów przeprowadzonych jeszcze w czasach poprzedzających wydanie tych surowych praw. Nie było jednak wątpliwości: kobiety Jany mogły się wiązać z mężczyznami tylko pod przymusem. Gdyby wobec kobiety nie zastosowano przemocy, najprawdopodobniej by odeszła i pozostała samotna do końca życia.

Fakty te zostały ustalone przez zaskoczonych historyków, którzy przytaczali nazwiska i miejscowości. Wyniki owych dawnych doświadczeń z obdarzaniem kobiet wolnością potwierdzali ludzie znani z historii Jany. Nie było więc sensu powtarzać tych eksperymentów współcześnie.

Kobiety na Janie nie miały instynktu macierzyńskiego, a szczególnie nienawidziły dzieci płci męskiej. Aż przykro było czytać niektóre zapiski robione przez kobiety w wolnym czasie: „Dziecko płci męskiej wyrośnie na mężczyznę — tę najbardziej znenawidzoną istotę. A zatem jego rozkoszne dziecięce przymioty są złudne...”.

Inna kobieta była zwolenniczką wymarcia całej rasy, skoro zachowanie jej ciągłości wymagało, by przeżyli również mężczyźni Jany, czemu była „absolutnie przeciwna”.

Cóż więc wobec tego pozostało mężczyznom? Byli zmuszeni tak postępować.

Prawa były słuszne i na tyle łagodne, na ile można sobie było pozwolić. Kobieta mogła się poskarżyć na złe traktowanie — i uzyskać natychmiastowe przesłuchanie przed sądem. Państwo nie szczędziło wysiłków, by chronić ją przed brutalnością męża.

W zamian za to musiała spełniać obowiązki wobec męża i dzieci. Skoro nie miała do tego zamiłowania, prawo narzucało jej rutynę.

Oczywiście nawet dziedziczny generał nie mógł lekką ręką zmieniać zwyczajów ani praw. Nerda się położyła, a on dał jej pozwolenie, by spała.

Zasnęła, zdawało się, natychmiast.

### III

Miliss usłyszała zgrzyt klucza w zamku swej celi. Była jeszcze w ubraniu. Uniosła się na twardej pryczy i z zaciekawieniem przyglądała się postaci mężczyzny, który wymachując długą latarką otworzył drzwi i wszedł do środka.

Po potężnej budowie domyśliła się, kim jest. Ale dopiero gdy umyślnie uniósł latarkę i światło padło na jego twarz, poznała Jaera Dorrisha.

Jak wszyscy mężczyźni Jany miał zbyt długą twarz z wydatnym nosem. Jego skóra była jasnoczerwona i gładka. Nie wzbudzał w niej odrazy.

Przynajmniej, pomyślała, Janowie są podobni do Ziemian, za co była wdzięczna losowi, biorąc pod uwagę to, co ją może czekać. Nie przyszło jej nawet na myśl, by odtworzyć w myślach odpowiedni wzór, który by uruchomił wzmacniacz telepatyczny znajdujący się u nich w domu. Żadnej pomocy od tego nieczułego człowieka, postanowiła.

Ale miała też swój własny zamysł, odpowiedni w tej sytuacji. Dojrzał w niej przez cały dzień.

Mężczyzna zbliżył się szybkim krokiem do jej łóżka.

— Zastanawiałam się nad tym — powiedziała pośpiesznie — co mówiłaś mi poprzedniej nocy o swym przeczuciu, że Racquel wróci po moim aresztowaniu. I rzeczywiście wrócił.

Jaer zatrzymał się. Nie odpowiadał. Miała już dalsze słowa na końcu języka, ale przezornie milczała.

Miliss była wystraszona. Odznaczała się niezwykłą wrażliwością na pewne drobne sygnały. Jaer zbliżał się do niej z pewnością siebie właściwą mężczyznom Jany; całe jego zachowanie świadczyło o zamiarach, których nie mógł się wyprzeć.

A teraz oto stał w milczeniu. I to świadczyło o jego niepewności.

— Czy coś się stało? — spytała Miliss.

Jaer wciąż milczał, dając świadectwo ponurych uczuć. Miliss była zdumiona. Mężczyźni Jany mieli opinię szczególnie opanowanych w takich sytuacjach. Zarówno opanowanie, jak i właściwa metoda wymagały słów, a nie milczenia.

Podczas tego dziwnego antraktu, kiedy to zdawało się, że czas się zatrzymał w tej celi, Miliss miała jednak pełną świadomość, że jest noc i że znajduje się w więzieniu. Kiedyś na Janie nie było więzień, tylko kilka ogrodzonych placów, gdzie trzymano „wrogów” przed egzekucją.

Przez wiele tysięcy, dłużej, niż potrafiła wskrzesić w swej pamięci, Janowie tolerowali innych — lub zabijali. Nie uznawano sytuacji pośrednich. Te i podobne wiezienia stanowiły wielki sukces w procesie łagodzenia surowych obyczajów.

Dobiegające więc zza ścian odgłosy życia działały na Miliss szczególnie porażająco. Słyszała metaliczne szcęknięcie, dalekie gardłowe zgrzyty, chrapanie we śnie i z rzadka echo dalekich głosów — dźwięki wydawane przez wielu więźniów. Więzienie w Nunbrid było olbrzymie, wypełnione Janami, których miano sądzić za ich przewinienia, a nie — jak kiedyś — oddać na pastwę furii nietolerancyjnego możnowładcy.

Ogarnęła ją świadomość wypełnionego obowiązku. Davowi i jej udało się w końcu ucywilizować tych ludzi.

Wreszcie Jaer przemówił:

— Wtedy nawiedziło mnie nagle przecucie, a teraz mam jeszcze jedno. — W jego głosie słycać było napięcie. Wyczuwała w tym jakąś korzyść dla siebie; jej sytuacja nie była już tak groźna jak przedtem. Męczyzna był naprawdę zaniepokojony.

Ale czym?

Zacząła kierować rozmowę w korzystniejszym dla niej kierunku.

— Czy nic więcej nie możesz mi powiedzieć w sprawie zbieżności twego przecucia z powrotem Rocquela?

— Sam się nad tym zastanawiam — brzmiała ponura odpowiedź.

W jego głosie znów zadźwięczała groźba. Miliss nie zwracała na to uwagi.

— Czy nie sądzisz, że twoje przecucie jest niczym nie uzasadnione w zestawieniu z nagimi faktami?

W chwili napięcia, w ciasnocie celi i ciemnościach rozjaśnionych jedynie światłem latarki, które padało czasem na nią, czasem na metalowe kraty — i przelotnie, na krótko, na samego Jaera — myślała, że może wreszcie Jaer wysłucha głosu rozsądku i porzuci ten temat. Ale arystokracji Jany — stwierdziła zaraz z rozpaczą — obca była wszelka logika właściwa rasie ludzkiej. Twarz Jaera powiedziała jej, że wierzył w swe przecucie.

Kiedy tak stał, milcząc przez długą chwilę, jej strach stawał się coraz silniejszy.

— Jest tylko jedno wyjaśnienie — powiedział z namysłem. — Rocquel ukrywał się u was.

— Ależ nie, to nieprawda. Jeżeli tym się kierujesz w swoim postępowaniu, narażasz się na niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo?

— Działa tu jakaś ukryta siła. Może cię porazić, jeżeli ją zignorujesz. Prawdopodobnie już cię dosięgła — jak bowiem mógłbyś mieć aż dwa przecucia jedno po drugim?

— Starasz się mnie przestraszyć — powiedział szorstko Jaer. — Ale mężowie Jany nie znają strachu.

— Ale też chyba mogą się zastanowić, jak najlepiej przetrwać — odparowała Miliss. — Przynajmniej — nie mogła się powstrzymać od zjadliwej uwagi — tak postępują mężczyźni, których ja znam.

Znowu zapadła cisza. Latarka zgasła. W tym półmroku i w tej ciszy Miliss poddała jedyne według niej możliwe wyjaśnienie:

— Twoje przecucia dowodzą, że zostałeś zaprogramowany.

— Zaprogramowany? Nie rozumiem.

— Niemożliwe, żebyś miał po raz drugi istotne przecucie, o ile ktoś nie umieścił go w twym mózgu za pomocą hipnozy mechanicznej.

— Po prostu miałem przecucie. To moje własne myśli.

— Nie własne. Ktoś tobą manipuluje. . . — urwała. — Czyż nie rozumiesz, że to niemożliwe, abyś ty, arystokrata z Jany, samodzielnie przewidział powrót Rocquela w następstwie mojego aresztowania? To proroctwo zbyt radykalne i fantastyczne. A jednak się sprawdziło. A teraz jeszcze jedno? Nieprawdopodobne.

Jaer znów milczał. Latarka rozbłysła ponownie; snop światła chwiał się od czasu do czasu, ukazując jego nachmurzoną twarz, zwężone oczy i wydętą dolną wargę. Najwyraźniej snuł jakieś przykre rozważania. Raptem zapytał:

— Dlaczego żyjecie z Davem w separacji?

Miliss zawahała się, potem odrzekła:

— Ponieważ on w coraz większym stopniu przyswajał sobie postawę i maniere mężczyzn z Jany — i traktował mnie tak, jak oni traktują swoje kobiety. Dawno już miałam tego dość, ale byliśmy tutaj tacy samotni: tylko my dwoje, ostatni z naszego gatunku. Próbowałam pogodzić się z sytuacją, tak jak robią to od wieków kobiety na Janie.

W rzeczywistości chodziło jednak o coś więcej. Oczywiście musiała zdawać sobie sprawę, że jej nieustanna rozpacz z powodu postępowania Dava mogła faktycznie wynikać z pragnienia śmierci, które zgubiło Ziemian. Walczyła z narastającym zgorzknieniem, aż któregoś dnia, nie tak dawno temu, sama miała przeczucie.

Mężczyźni na Ziemi byli zawsze tak samo źli jak Janowie. Tylko że Ziemianki, dążąc do zaspokojenia swego instynktu macierzyńskiego, nieustannie zgadzały się na ustępstwa wobec tych egoistycznych samców. Instynkt macierzyński szczęśliwie — dla mężczyzn i ciągłości gatunku — niczym welon przesłonił kobiecie oczy na prawdziwą naturę potworów.

Gdy to pojęła, porzucenie przez nią Dava dokonało się po krótkim okresie rekapitulacji powodów ku temu i ostatecznym utwierdzeniu się w tej decyzji.

Dobiegł ją ponury głos Jaera:

— Pierwsze przeczucie nawiedziło mnie dopiero po uwięzieniu ciebie — powiedział. — Drugie zaś w twojej obecności. A więc to twoja sprawka. Na Dilit, kobieto. . .

— Jakie jest twoje drugie przeczucie? — powiedziała szybko Miliss.

Gdy jej to wyjawiał, rzekła:

— Ależ to absurd. Jakąż miałabym w tym korzyść?

Jaer musiał uznać logikę tego stwierdzenia. Stał bez ruchu. Po dłuższym milczeniu powiedział z namysłem:

— Jednak myśli te nawiedziły mnie w twojej obecności. Ktoś musi zatem wiedzieć, że jestem tutaj.

Jego zachowanie zdradzało niepokój. Najwyraźniej dotarła do niego świadomość niebezpieczeństwa. Miliss wyczuła, że ma nad nim przewagę.

— W tych twoich twierdzeniach o przeczuciach najbardziej absurdalne jest to — powiedziała — że wyraźnie miałeś w tym osobisty cel, by mnie uwięzić.

Chciałeś wykorzystać okazję, aby rzucić wyzwanie tronowi, a jednocześnie zrobić ze mnie swoją kochankę...

— Milcz, kobieto! — w głosie Jaera brzmiał przestach. — Nigdy nie pragnąłem korony — to zdrada stanu. Lepiej stąd wyjdę, nim wyrządę ci krzywdę i zaprzepaszczę szansę postawienia ciebie przed sądem. Ale niech ci się nie zdaje, że z tobą skończyłem.

Światło ponownie zgasło. Zadzźwięczały szybkie kroki. Metalowe drzwi otworzyły się i znów zatrzasnęły.

Słyszała, jak Jaer oddała się korytarzem. Była tak samo wstrząśnięta jak on.

To drugie przeczucie, powiedziała sobie w duchu, to zupełne szaleństwo.

Ale po raz pierwszy od wielu lat spała niespokojnie.

## IV

Następnego dnia.

Tuż po wschodzie słońca członkowie Rady zaczęli zjeżdżać się na motocyklach na miejsce wyznaczonego spotkania — tam gdzie zaczynało się urwisko skalne, dziesięć kilometrów na zachód od Nunbrid. Kiedy przybył Rocquel na swoim nowym motorze, zastał tam już Dava i ośmiu mężów wysokiego rodu. Ziemianin siedział na swym motorze na uboczu, ale moźni Jany niecierpliwie pokręcali manetkami, najwyraźniej paląc się do rozpoczęcia brawurowego „spotkania podczas jazdy”.

Rocquela powitały obraźliwe, choć dobroduszne drwiny z jego przyciężkiej maszyny, on zaś odwzajemniał się celnymi uwagami o nadmiernej ostrożności jeźdźców na małych motorach. Przy tym jednak ciekaw był zmian w konstrukcji poszczególnych modeli, jakie zaszły podczas jego nieobecności. Okrążając je z niedbałą swobodą biegłego cyklisty obrzucał badawczym spojrzeniem pojazdy każdego z członków Rady, by sprawdzić, co też nowego w ich budowie przyniósł czas i inwencja wytwórców.

Jak zawsze do jazdy po gładkim, spadzistym terenie, wszystkie były małe i lekkie. Rocquel jednak zauważył, że trzy z nich były mniejsze od tych, jakie pamiętał — nie więcej niż 100 cm<sup>3</sup>, a może nawet 90 lub 80, podczas gdy jego miał 175 cm<sup>3</sup>.

Zagadnął o to właściciele pojazdów. Jeszcze słuchał ich chępliwych odpowiedzi, gdy naraz Jaer Dorrish i oficer sił powietrznych nacisnęli na gaz i ostro ruszyli na swych stalowych rumakach w górę najbliższego stoku.

— Ogłaszam początek obrad! — ryknął Jaer.

Kilku arystokratów, wydając dzikie okrzyki, z rykiem motorów ruszyło w pościg za nimi.

Dav znalazł się na końcu tej kawalkady.

W chwilę potem wszyscy byli w ruchu i sesja najwyższej Rady Jany się rozpoczęła.

W dawnych czasach, kiedy nie znano jeszcze maszyn, król przewodził obradom jadąc na oswojonej Mesto-bestii. Były to niebezpieczne, przebiegłe stworzenia, zawsze wyczekujące okazji, by zrzucić jeźdźców, i dlatego jazdę na nich uważano za świetną zabawę. Ale zwierzę to nie mogło pokonywać znaczniejszych odległości ani poruszać się po stromych, pięknych połączeniach śliskich skał.

Z początku jeźdźcy wspinali się wytrwale w górę, rozciągając się nierównym sznurem, to ukazując się, to nagle znikając za pagórkami, wierzchołkami i stokami, pokonując z wielką szybkością gładkie niemal jak szkło, twarde jak stal pionowe występy. Wysunąwszy się do przodu, Rocquel jechał tuż za Jaerem, aż wreszcie jego motor zrównał się z jasnozieloną maszyną Dorrisha.

— Co jest przedmiotem obrad? — zawołał Rocquel.

Jaer odpowiedział, że chodzi o sprawę Miliss. Wykonał przy tym gest, jakby ciał powietrze ostrzem miecza, po czym odsłonił zęby w krzywym uśmiechu.

— Stawiam wniosek o skazanie tej kobiety na śmierć — zawołał.

— Na jakiej podstawie? — odkrzyknął Rocquel, zdziwiony.

Było to uchybienie ze strony Jaera, zważywszy że Dav uczestniczył w sesji. A może Jaer dotąd go nie zauważył?

W miarę upływu dnia ignorowanie przez Jaera obecności Dava zdawało się coraz bardziej zamierzone. Ale też to zachowanie mogło wynikać z jego nieugiętej postawy wobec Miliss oraz nowego prawa.

\* \* \*

Dav spodziewał się kryzysu od chwili, gdy się dowiedział, jaki jest porządek obrad i jaki charakter ma nowe prawo. Sama istota tego prawa nie wymagała specjalnych wyjaśnień. To przecież on sam podsunął ideę monarchii konstytucyjnej opierającemu się Rocquelowi. Zaraz następnego dnia — a było to rok temu — potężny władca Jany udał się na religijną hidżrę.

Teraz zaś, po powrocie, zaakceptował tę ideę.

Dav myślą uruchomił wzmacniacz telepatyczny. Ten z kolei skierował moc do przekaźnika, który rozjarzył jeden z Symboli.

Symbol monarchii konstytucyjnej.

Dokonawszy tego Dav niewesoło zadumał się nad propozycją egzekucji Miliss. Zakrawało na ironię, że Jaer zamierza postawić przed sądem osobę już z góry skazaną na śmierć.

Czy nie należałoby go uprzedzić?

Ale gdy wreszcie Dav dołączył do reszty, kryzys nastąpił tak szybko, że nie było na to czasu.



Członkowie Rady zatrzymali się przed wielką grotą, znajdującą się na poziomie trzech tysięcy metrów. Tu możni Jany zasiedli na swych motorach z silnikami pracującymi na biegu jałowym i zaczęli pochłaniać śniadanie.

Rocquel usłyszał gardłowy, gniewny głos Jaera. Rozejrzał się i spostrzegł, jak wjeżdża Dav i zatrzymuje swój motor.

Za plecami Rocquela Jaer wydał okrzyk i dodał gazu.

\* \* \*

Wieczorem Rocquel opisał te wydarzenia Nerdzie.

— Jak myślisz, co mogło się stać z Jaerem? — zapytał. — Ty lepiej niż kto inny znasz możliwości Dava.

Rozmowa obojga nie była rzeczą powszednią. Ani prawo, ani obyczaje nie wymagały od niej, by z nim rozmawiała, dopóki spełniała swe małżeńskie obowiązki. Nie dziwił się więc, gdy milczała. Ale z jej zamyślenia wywnioskował, że zastanawia się nad tym i że w końcu da mu odpowiedź.

Ale dopiero rankiem Nerda odparła:

— Symbol, jak go określił Dav, przedstawia jakiś realny przedmiot lub pojęcie, sam nie będąc ani przedmiotem, ani pojęciem. . .

Rocquel słuchał tego, uświadamiając sobie z niepokojem, że jest to koncepcja nazbyt subtelna dla umysłu mieszkańca Jany — zbyt subtelna nawet dla niego, pomimo rocznej indoktrynacji.

— Kiedy wreszcie Symbol przedstawiający monarchię konstytucyjną — ciągnęła Nerda — stanie się składnikiem myślenia milionów Janów, jego moc utrzyma ten system, w normalnych okolicznościach, przez całe dziesięciolecia — lub przynajmniej do czasu, aż zastąpi go inny symbol; dzieje się tak oczywiście wskutek zabiegów Miliss i Dava zmierzających do szybkiego ucywilizowania Jany.

Rocquel poczuł się bezradny. Wyglądało na to, że Nerda rozumie to, co mówi, on natomiast nie.

*My, mężczyźni, arystokracja Jany, nie mamy już wpływu na to, co się dzieje. . .*

Czuł zniechęcenie, lecz mimo to się nie poddawał:

— Widziałem — powiedział — jak motor Jaera zatrzymał się — nie zahamował — jakby wpadł na elastyczną ścianę, która zamortyzowała siłę uderzenia i łagodnie odrzuciła go do tyłu. Jaer wylądował na ziemi, ale nic mu się nie stało.

— Uderzył w Symbol — powiedziała Nerda. — Owe Symbole powodują stopniowo coraz gwałtowniejszą reakcję, a zwłaszcza Symbol monarchii konstytucyjnej.

— Mówisz „Symbol”. Ale jaka moc tu działa?

— Moc Symbolu. — Wyraz jej twarzy świadczył, że zdaje sobie sprawę z jego zakłopotania. — Czyż nie rozumiesz? — nalegała. — To te miliony, które weń wierzą.

Rocquel rozumiał tylko tyle, że popełnił błąd pytając ją o zdanie. Miał już powiedzieć, że przecież nikt jeszcze nie wierzy w nowe prawo. Będzie wszak ogłoszone dopiero dziś rano. Lecz jego fatalne samopoczucie wynikało z czysto osobistych pobudek — świadomości, że poniżył się w jej oczach. Przypomniawszy sobie powszechną wśród tutejszych mężczyzn opinię, że jeśli kobieta choć raz zdobędzie faktyczną przewagę nad swym mężem, oznacza to koniec ich związku. Nic już nie może zmazać tej ujmy.

Próbując się zrehabilitować kiwnął głową i powiedział:

— Rozumiem. Twoje rozmowy z Davem są pouczające i cenne dla nas obojga. Winszuję ci, to bardzo skomplikowane pojęcie.

Z dziwnego wyrazu jej oczu domyślił się, że przejrzała tę jego werbalną strategię.

— Nie możemy się spodziewać zbyt wiele po monarchii konstytucyjnej — powiedziała powoli — w okresie zmiany w mentalności. Jej zasady prawne kierują jedynie społeczeństwem w sposób bardziej uporządkowany niż absolutyzm. Oskarżony nie jest już skazany na arbitralne decyzje sądu, lecz ma czas na obronę w ramach prawa. Może wszakże ponieść tę samą karę. A więc, odpowiadając na twe pytanie z ubiegłej nocy — zakończyła — sądzę, że dowiemy się, na ile to dotyczy Jaera, po charakterze jego uczestnictwa w rozprawie sądowej.

Rocquel, wciąż starając się naprawić swój fatalny błąd, który popełnił wdając się z nią w ogóle w dyskusję, powiedział rzeczowym tonem:

— Ja natomiast ciekaw jestem, jakiego rodzaju zarzuty wysunie przeciwko niej...

\* \* \*

Oskarżenia zdziwiły bardziej Dava niż Rocquela, który wciąż rozważał wspomnienia z minionego roku. Przez ten czas dowiedział się czegoś o naturze Ziemi i mógł nawet sam kontrolować jakiś Symbol, mimo że — jak stwierdził — właściwie go nie rozumiał.

Miliss zarzucano, że jest obcą agentką nielegalnie przebywającą na Janie, że szpieguje na rzecz najeźdźców z Kosmosu, że udaje przedstawicielkę rasy dekadencjonalnej, a faktycznie jest członkiem wyższej, dominującej cywilizacji, osiadłym wśród prymitywnych istot.

Oskarżono ją również o zbrodnicze zamiary.

Stojąc w deszczu przed kioskiem Dav z niedowierzaniem wpatrywał się w nagłówki gazet. Mijali go mieszkańcy Jany w kolorowych nieprzemakalnych płaszczach, on zaś, zaintrygowany przez wzmiankę na stronie pierwszej, zaczął czytać komentarz redakcyjny napisany w języku niższych warstw:

„Rząd podjął dziś bezprecedensową decyzję kwestionując prawo do życia na naszej planecie dwojga ostatnich przedstawicieli starszej cywilizacji. Niemal melodramatyczne oskarżenie o spisek dotyczy obojga Ziemian, aresztowano jednak tylko kobietę.

Pozostawmy sądowi decyzję w kwestii prawnych przesłanek tego aresztowania, zajmijmy się natomiast ściśle teoretycznym aspektem sprawy.

Niedawno odkryto na Janie izolowane dotąd plemiona, żyjące na poziomie epoki kamiennej. Uznano, że ich kontakt z naszą wyższą cywilizacją wpływa hamująco na dążenia i poziom moralny tych zacyfrowanych ludzi.

Aż do dzisiejszej decyzji rządu mieliśmy do czynienia z odwrotną sytuacją, odnoszącą się do dwu istot ziemskich osiadłych na Janie. Reprezentują one starszą kulturę — tę, która rzekomo wymarła z powodów nigdy nie zanalizowanych. Ta dekadenska kultura, mimo że w porównaniu z Janą osiągnęła pełnię rozkwitu w dziedzinie zdobyczy naukowych, wcale nie działa przygnębiająco na ducha naszych obywateli.

Sąd musi zatem rozstrzygnąć następujące kwestie: Czy Dav i Miliss reprezentują wyższą kulturę, która jedynie udaje dekadenską, aby nie wywierać hamującego wpływu na niższą? A jeśli tak, to czy ich pobyt tutaj można uznać za spiskowanie? I czy taki pobyt można uznać za planowanie inwazji?”

\* \* \*

Artykuł był bardzo wnikliwy. Dowodził istnienia wysoce inteligentnej klasy fachowców w Nunbrid i setkach innych miast. Najwidoczniej niższe klasy społeczeństwa Jany dojrzewały znacznie szybciej niż jego dziedziczy władcy. Ton artykułu nie był wszakże ani podlegający, ani też wrogi. W gruncie rzeczy autorzy wykazywali respekt dla rządu i świadomość znaczenia nowego systemu prawnego.

Dav ocknął się z zamyślenia i zdał sobie sprawę, że przechodnie patrzają na niego. Naraz jakiś potężnie zbudowany mężczyzna zatrzymał się, zaklął siarczyście i uniósł groźnie ramię do ciosu.

Dav cofnął się odruchowo. Mężczyzna z pogardą wymierzył mu kopniaka. Dav, czujny teraz, uchylił się z łatwością, ale upuścił przy tym gazetę. Napastnik zgarnął ją z mokrego chodnika i gniótł przemokłe stronicę.

— Jesteś niczym! — ryczał. — Ostatni z wymierającej rasy! Niczym! Niczym!

Dav cofnął się. Znalazłszy jakąś boczną uliczkę wślizgnął się w jej mroczny, wilgotny prześwit, zdążając w stronę domu. Gdy dotarł do przedmieścia, usłyszał przed sobą w mroku jakiś hałas — wzmagający się pomruk groźnych głosów. Potem na otwartej przestrzeni wokół swego domu ujrzał potężny tłum z pochodniami.

Przestraszony cofnął się i skierował do małego domku na sąsiedniej ulicy. Znajdowało się tu tajemne przejście do jego wielkiej białej rezydencji. Dawno temu, gdy mieszkańcy Jany byli bardziej prymitywni, dochodziło do nieprzyjemnych incydentów. Sekretne przejścia często okazywały się użyteczne.

Bezpiecznie przebył tunel prowadzący do jego domu, skąd spojrział przez telewizjer na zgromadzony tłum. Ekran magicznie przeniknął noc i strugi deszczu, ukazując zamglony nieco obraz rozległych terenów przed domem.

Na pierwszy rzut oka ciżba zdawała się liczniejsza, niż ją wstępnie szacował. Pokiwał smutno głową. Ten sam schemat, co ongiś na starej Ziemi: na samym szczycie arystokracja, niżej posłuszna prawu klasa średnia, a na dole zaś kłębiły się nieprzebrane, bezmyślne masy. Arystokracja była na wpół psychopatyczna, zbrodnicza, egoistyczna; klasa średnia jeszcze stosunkowo młoda i nieświadoma swej przyszłej potęgi. Pospólstwo było całkowicie ogłupiałe.

Dav stwierdził z ulgą, że kilkuset żołnierzy patroluje teren pomiędzy nim a rozwścieczonym tłumem. Oficer mówił przez megafon, zwracając się do zgromadzonych:

— Rozejdźcie się do domów. Sprawiedliwość zatriumfuje. Idźcie do domów. Jeśli ci ludzie są szpiegami, zostaną postawieni przed sądem. Rozejdź się...

Nieustannie powtarzany apel zaczął odnosić skutek dopiero koło północy. Dav ujrzał, że na zewnątrz jest już mniejszy tłum i że coraz więcej ludzi odchodzi w kierunku miasta. Ale było już około drugiej nad ranem, gdy wreszcie poczuł, że niebezpieczeństwo minęło, i położył się spać.

Leżąc na łóżku obalał w myślach zarzuty przeciwko Miliss i sobie.

To prawda, na co wskazywał także komentarz redakcyjny, że istoty prymitywne narażone były ongiś na psychiczne i rasowe tragedie w rezultacie zbyt szybkiego ucywilizowania. Niewykluczone, że ktoś mógłby opracować bardziej systematyczny i humanitarny sposób rozwiązania tego problemu. Ale opiekunowie wiedzieliby: tak być musiało. Przecież to zupełnie bez sensu, gdyby on i Miliss zapomnieli o własnej rzeczywistości.

Przez wszystkie te setki lat nie wiedzieliby o tak istotnej kwestii?

Niemożliwe.

Prawda jest prosta i oczywista. Tych prawie czterysta pustych lat zaważyło na jego życiu, żadne zatem słowa czy oskarżenia Janów nie mogły go dotknąć.

Nie miał kłopotów z zaśnięciem.

## V

Kiedy Davowi zagrażało niebezpieczeństwo, Rocquel przebywał w pałacowym centrum łączności. Kilka razy kontaktował się bezpośrednio z oficerem dowodzącym patrolami wojskowymi. Wreszcie znużony i czując się trochę winny, że znów się spóźnia, udał się do swego apartamentu. W sypialni było ciemno. Tknęło go nagle okropne przeczucie.

Zapałił światło i stał zakłopotany i wstrząśnięty. Nerda leżała w łóżku, rozebrana. Oczy miała zamknięte. Oddychała regularnie w głębokim śnie.

Rocquel cofnął się w myśli do ich porannej rozmowy i swego nagłego odczucia, że poniżył się w jej oczach. Znów dręczyła go niemożność zrozumienia pojęcia Symbolu.

Stojąc obok łóżka śpiącej żony uzmysłowił sobie następstwa jej buntu, jeśli kiedyś prawda o nim wyjdzie na jaw. Jego nieobecność zachwiała tronem; powrócił zbyt niedawno, by całkowicie odzyskać swą władzę i pozycję. Przeczuwał niepokój wśród możliwych — potrwa trochę, nim ci podejrzliwi i impulsywni ludzie upewnią się, że nowe prawo w niczym im nie zagraża.

Ale jeśli odkryją, że jest zbyt słaby, by mieć władzę nad własną żoną. . .

Nagle stary odruch pchnął go ku pogrążonej we śnie Nerdzie. Ręce i szczęki zacisnęły mu się automatycznie, gdy chciał ją zepchnąć na kraniec łóżka.

Zastygł nagle w tej pozycji, powstrzymany przez nową dłoń myśli i uczucie. Miałby więc postąpić tak samo jak mężczyźni Jany? A może Nerda słusznie się zbuntowała? Czy należy kobiety traktować po staremu? Czy jego domysły co do powodów, dla których tak postąpiła, są słuszne?

Ukłucie odwiecznej męskiej paranoi zachmurzyło mu twarz i zaćmiło umysł. Było to nieodparte przekonanie, że Nerda postąpiła w ten sposób, ponieważ zbliżył się do niej inny mężczyzna.

Dav, Ziemianin?

Rocquel po części zdawał sobie sprawę z irracjonalności tej myśli: skoro kobiety na Janie nie kojarzyły się z mężczyznami z własnej, nieprzymuszonej woli, to oczywiście nie zdradzały również swych mężów. Zdawał sobie także sprawę, że Dav, który miał ogromne poczucie odpowiedzialności, nie wykorzystałby w ten sposób „wdowieństwa” królowej.

Ta świadomość nie wystarczyła jednak na ostudzenie jego rozgorączkowanej wyobraźni. Musiał się upewnić.

Odwrócił się i wyszedł z sypialni. W chwilę później jechał wraz z ryczącą kawalkadą motocykli ulicami Nunbrid, w kierunku więzienia, gdzie trzymano Milliss.

Długie i ponure betonowe korytarze rozbrzmiewały echem kroków Rocquela i jego straży przybocznej. Światło niesione przez nocnego wartownika więzienia było wystarczająco jasne, ale rzucało drżące cienie.

W tym migającym blasku Rocquel dostrzegł szarą monotonię więziennego światła i serce mu nieco zmiękło. Przyszło mu bowiem na myśl, że Miliss jest tu przetrzymywana już od kilku dni i że to niesłuszne.

W świetle nowego prawa nic nie mógł na to poradzić, ale w duszy czuł głęboki gniew na Jaera. Złość minęła, gdy tylko doszli do celi Miliss. Rocquel wszedł sam; jego gwardia przyboczna cofnęła się na korytarz.

Początkowo spotkanie tych dwojga wyglądało zwyczajnie. Zdziwienie i zadowolenie Miliss, gdy go poznała, wreszcie jej zaskoczenie, że przybył o tak późnej porze, ułatwiły mu początek rozmowy.

— Dlaczego żyjesz z Davem w separacji? — zapytał od razu.

Zaskoczyło ją to. Wyczuła, że ma jakieś niedobre intencje: ten, który zawsze był tak przyjazny wobec niej i z którym dawniej łączyło ją porozumienie.

Po chwili, zrozumiałwszy, że jej milczenie jest nierozsądne, pokrótce przedstawiła mu diagnozę Dava: że popadła w manię samobójczą, która zgubiła ludzkość. Uznała, że będzie to najlepsza ze wszystkich możliwych odpowiedzi.

Jej słowa i ich zabójcza dla niej wymowa wstrząsnęły nim. Wyjaśniła mu to bardziej szczegółowo.

— Mówisz więc — odparł Rocquel — że postępowałaś w sposób analogiczny do zachowania ludzi owładniętych instynktem samobójczym i że robiłaś to umyślnie, wiedząc, że Dav uwierzy, iż to faktycznie ów instynkt?

— Chyba tak właśnie było — przyznała Miliss. Po czym szybko dodała: — Jest to sprawa bardzo subtelna, można więc zwieść nawet siebie.

— Ale ty naprawdę nie umierasz? — nalegał Rocquel.

— O ile mam prawo sądzić, to nie.

Rocquel rozważał to, co usłyszał, z rosnącym zdumieniem. Wreszcie zapytał:

— Dlaczego nie podejmujesz wysiłków, żeby się wydostać z więzienia? Nie powinnaś się tu znaleźć.

— A co mogę zrobić?

— Nie masz żadnego środka ochrony na własny użytek?

— Nic prócz Symboli uaktywnionych do tej pory. Poza bronią ręczną i ruchomymi generatorami energii, z czego większość przekazaliśmy mieszkańcom Jany, to wszystko, co posiadamy.

— A inne, późniejsze Symbole?

— Jeszcze nie nadeszła ich pora — odparła. — Nie będą działały, nie tutaj.

Rocquel westchnął. Chciał powiedzieć: *Dav wykorzystał siłę milionów zwolenników idei monarchii konstytucyjnej, nim jeszcze w nią uwierzyli — w gruncie rzeczy, nim ją w ogóle poznali. Dlaczego by więc nie użyć siły milionów wierzących w jakiś przyszły Symbol?*

Nie zadał jednak tego pytania. Zrozumienie pojęcia Symbolu przekraczało jego możliwości. Z pokorą stwierdził, że należy do arystokracji Jany — ludzi skądinąd dość prostych, a w tym spędzonym na pokładzie ziemskiego okrętu bojowego okresie — o którym nikomu nie wspominał — traktowano go właściwie jak jakiegoś króla plemiennego. . . goszczonego, jeśli to właściwe słowo, przez kupców czy też uczonych z wyższej cywilizacji. Ponieważ byli doń przyjaźnie usposobieni, starali się nie zranić jego uczuć — ale w porównaniu z nimi był niczym. Jego pozycja liczyła się o tyle, że taktyka działania przybyszów polegała na wykorzystywaniu tubylczych władców w ich altruistycznej misji międzyplanetarnej.

Mimo to próbował jeszcze raz zrozumieć. Na jego prośbę Miliss ponownie mu wyjaśniła, na czym polega potęga Symbolu. Ale nie trafiło to do niego.

*My, mężczyźni, zakute pały. . .*

— A co najdziwniejsze — przyznał się Miliss do swej porażki — ja sam właściwie sprawuję kontrolę nad jednym z Symboli. . .

Urwał. Było to wyznanie, na jakie nie zdobyłby się wobec żadnej żywej istoty — jedynie wobec tej kobiety, z którą zawsze mógł rozmawiać otwarcie.

— Oczywiście dano mi tę kontrolę tylko jako ochronę — zakończył bez przekonania.

Znowu zamilkł, ujrzawszy na jej twarzy, chciwie wsłuchanej, kolejno: napięcie, zastanowienie, zdumienie, niedowierzanie. Wreszcie uwierzyła.

— Kto ci powierzył kontrolę nad Symbolem? — wyszeptwała.

— Ziemianie — odparł Rocquel po prostu.

Miliss opadła na pryczę. Skurczyła się niczym pacjentka umysłowo chora, targana zaburzeniami psychicznymi powodującymi skurcze ciała zwiniętego w kłębek, z głową nienaturalnie przekrzywioną.

— Zatem przeczucia Jaera — powiedziała wreszcie — jego oskarżenia, mogą okazać się uzasadnione. Poza Janą są jeszcze Ziemianie. . . — Nagle zabrakło jej tchu. — Opowiedz mi dokładnie, gdzie byłeś i co widziałeś. . .

Rocquel opisał jej swój pobyt na kosmicznym okręcie bojowym.

— Czy byli tam mężczyźni i kobiety? — szepnęła.

— Tak. Zdaje się, że to kilkutysięczna społeczność.

— Czy nigdzie nie lądowali?

— O ile wiem, to nie. — Westchnął. — Ale to taki olbrzymi statek. Widziałem tylko to, co ukazywało się na ekranach, w miejscach, gdzie pozwolono mi przebywać. Nie nauczyli mnie swojego języka. Rozumiałem tylko to, co mówiły do mnie urządzenia translacyjne. — Zastanowił się. — Być może lądowano na jakichś planetach bez mojej wiedzy.

— Czy to właśnie któryś z nich nauczył cię kontroli nad Symbolem?

— Tak.

— Ale w jakim celu? — wypytywała Miliss. — Gdyby Jaer uderzył cię mieczem, to co by się stało?

Rocquel nie wiedział.

— Ostrzegli mnie — objaśniał powoli — żebym był ostrożny, bo inaczej także i mnie Symbol złapie w potrzask. Kiedy użyłem go przeciwko Jaerowi, czułem, że chwyta mnie niczym jakiś... — urwał, szukając właściwego porównania — jakiś magnes.

— Ale czego jest to Symbol? — zapytała Miliss.

Rocquel nie miał pojęcia.

Zastanawiała się dalej, nieco zbity z tropu:

— Jego energia musi pochodzić od jakiejś istotnej idei na innej planecie — skoro my tu niczego nie znajdujemy. Co to może być? — Żadna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy.

— Czy wciąż sprawujesz nad nim kontrolę? — zapytała.

Kiwnął głową.

— Czy powiedzieli ci, że dają ci go na zawsze?

Rocquel patrzył na nią z nieszczęśliwą miną.

— Nie pamiętam. Coś mi mówili, ale gdy usiłuję sobie przypomnieć, nie udaje się mi.

— To mi wygląda na płytkie zaprogramowanie — Miliss pokiwała głową. — Jakby chodziło o coś, co może się zdarzyć w każdej chwili. A więc kryzys musi być bliski. — Dodała, najwyraźniej myśląc na głos, że z odległości tylko Symbol może wywierać wpływ: nieznaczny lub też potężny. — To musi bezpośrednio dotyczyć ciebie — zakończyła — co samo w sobie jest już niezwykle. Na przykład gdybym potrafiła robić to samo, co ty, mogłabym wyjść z więzienia.

Ponowne przyznanie się Miliss do bezsilności skupiło uwagę Rocquela na jej sytuacji. Wyznanie, że jest bezbronna, stało się naraz niezwykle istotne. Oznaczało, że znów kontrola nad sytuacją znajduje się w rękach Janów. Mogli teraz zaakceptować albo odrzucić, na zasadzie samostanowienia, dar ziemskiej wiedzy.

*Możemy teraz korzystać z ich zasobów, ale nie musimy...*

Rocquel poczuł się w jakimś sensie silniejszy utożsamiając się ze swą rasą. Zarzuty Jaera pod adresem Miliss wydawały mu się dotąd choć w części uzasadnione. Cała ludność Jany czuła się odsunięta na bok wskutek obecności Ziemian, choćby i miało to łagodny przebieg.

Wkrótce mógł już właściwie ocenić kłopotliwe położenie Miliss.

Był przerażony. Sytuacja jest rzeczywiście groźna, zważywszy na to, że ani ona, ani Dav nie mogli się sami chronić.

Z trudem odsunął od siebie te obawy, opanowany i uroczysty:

— Czeka nas ciężki okres, moja droga — powiedział łagodnie. — Nowe prawo obowiązuje mnie tak samo jak każdego. Nie mogę samowolnie wypuścić cię z więzienia. Masz już adwokata?

— Jeszcze nie — odparła Miliss.

— Zadzwoń do Dava i powiem mu, żeby ci natychmiast go wyszukał.



— On palcem nie ruszy. — Przypomniała mu fakt, że spośród Ziemiaków przeżyli tylko ci, którzy odmówili udzielania pomocy samobójcom.

— Zakładałam, że go to ode mnie odsunie. A więc nie mogę się spodziewać pomocy od niego.

Rocquel potrząsnął głową z uśmiechem, wskazując, że jego pozycja w tej sprawie jest wyższa niż Dava.

— Zadzwoń do niego — powiedział stanowczo. — Zrobi to, bo go o to poproszę, niekoniecznie, by ci pomóc... — przerwał. — To właśnie on powinien coś przedsięwziąć w tej sytuacji. Wyglądałoby dziwnie, gdyby tego nie zrobił. A więc zrobi.

W tym momencie przypadkiem spojrzął na zegarek. Dochodziła czwarta nad ranem. Ogarnęła go skrucha:

— Przepraszam cię — usprawiedliwił się — nie pozwalałam ci spać.

Miliss machnęła lekceważąco ręką.

— Czuję się teraz o wiele lepiej. Otrzymałam od ciebie pierwszą wiadomość... stamtąd — spojrzała w górę, wykonując nieokreślony gest. — Pierwszą w ciągu tych lat spędzonych tu z Davem. Wszystko jest dość niejasne; trudno określić, co oznacza. Teraz jednak przynajmniej wiem, że istnieją jeszcze Ziemiaki.

Z tymi słowami się rozstali. Rocquel wrócił do pałacu i wślizgnął się do łóżka obok śpiącej Nerdy.

Stanowiła dla niego problem, dla którego również nie było natychmiastowego rozwiązania.

## VI

Adwokat, z którym konsultował się Dav, pokiwał głową ponuro przy czwartym zarzucie.

— Na pozostałe przewinienia — powiedział — nie ma jak dotąd sankcji prawnych. Nic jej za to nie grozi, sąd może ją nawet uniewinnić. Ale oskarżenie o zbrodnicze zamiary okazywało się niebezpieczne w przeszłości. Może spowodować orzeczenie najwyższego wymiaru kary.

Dav, który uczestniczył w rozprawie jako świadek, stawał się z każdą chwilą coraz bardziej rozgniewany, gdy wszystkie po kolei jego „dary” dla Jany uznawano za dowody przeciwko Miliss. Oskarżyciel dowodził, że przedstawiciele wyższej cywilizacji swymi darami naukowymi podstępnie sprowadzili mieszkańców Jany z drogi naturalnego rozwoju, uzależniając ich umysłowo, co się równało przejęciu władzy. Zainteresowanie Dava dotyczyło treści oskarżeń, a nie wynikało z troski o Miliss.

Wywołany przez adwokata, zaprzeczył pomówieniu ich o takie zamiary.

— Nauka jest neutralna — powiedział. — Odkrywa po prostu prawa natury. Uczeni Jany pewnie by kiedyś sami, w odpowiednim czasie, odkryli dokładnie te same prawa. Ofiarowując Janom osiągnięcia naukowe starej ziemskiej cywilizacji wypełniłem nałożony na mnie przez ginącą rasę obowiązek przekazania pochodni wiedzy możliwie jak najszybciej, w nadziei, że mając taki impuls mieszkańcy Jany zdołają stworzyć cywilizację wciąż się rozwijającą, która nie ulegnie degradacji tak jak inne, nie wykluczając ziemskiej...

Kiedy Dav wyszedł na ulicę, patrol wojskowy, wysłany przez Rocquela, musiał go bronić przed demonstrującym tłumem.

ZACHOWAJCIE SWOJĄ WIEDZĘ DLA SIEBIE... JANA MUSI ZOSTAĆ UWOLNIONA SPOD OBCEGO JARZMA... JANA DLA JANÓW... ŚMIERĆ NAJEŹDŹCOM... PRECZ Z ZIEMIANAMI...

Tłuszcza wciąż wykrzykiwała obelgi, gdy Dava odprowadzono do autobusu, który zawiózł go w towarzystwie kilku strażników do końca trasy. Stamtąd żołnierze towarzyszyli mu aż do jego domu, który inni żołnierze patrolowali od frontu, po obu skrzydłach i od tyłu.

\* \* \*

Miliss uznano winną wszystkich zarzutów i skazano na śmierć. Trzykrotne apelacje do wyższych instancji zostały oddalone. Rocquel jednak ulaskawił ją na tej podstawie, że Wybrani nie uchwalili jeszcze odpowiedniego ustawodawstwa.

„Premier” Jaer Dorrish — skąd ten tytuł? — zaproponował wobec tego poprawki do prawa karnego. Zostały one następnie uchwalone przez Wybranych. Rocquel, ku zdziwieniu Jaera, nie skorzystał z prawa weta.

Zagadnięty o to przez Jaera odparł:

— Mówiłem ci, że nie będę się wtrącał... — Urwał, zaciekawiony nagle. — Przypuśćmy, że wszystkie twoje oskarżenia okażą się prawdziwe. Jeśli Ziemianie należą faktycznie do wyższej rasy, to prawdopodobnie cała ich potęga przybędzie na ratunek swym przedstawicielom na Janie — i wówczas wszyscy zostaniemy poniżeni, choćby i na krótko, musząc podporządkować się najeźdźcom. Co zyskasz, jeśli do tego dojdzie?

Jaer nachmurzył się.

— Nasz honor — odparł z typową dla Janów męską butą — wymaga, żeby prawda wyszła na jaw. Poradzimy sobie z tą ich tak zwaną totalną potęgą.

— Jaką bronią? — szyderczo zapytał Rocquel.

— Ziemianin jest strzeżony dniem i nocą — odparł Jaer. — We właściwej chwili przeprowadzimy akcję i znajdziemy u niego wszystkie ziemskie sekrety naukowe oraz położymy kres tej poniżającej jałmużnie: jedna tajemnica co pewien czas. To dla nas zniewaga. Chcemy mieć wszystko od razu.

Rocquel spojrział z ironicznym uśmiechem na jego rozpaloną twarz. W końcu powiedział sceptycznie:

— Twoje osobiste zaangażowanie w tak drobnej sprawie nie pasuje do twego dotychczasowego charakteru. Zastanawiam się, o co ci naprawdę chodzi?

Jaer zeszywniał.

— Czy wątpisz w moją lojalność, panie?

To mógł być niebezpieczny moment. Rocquel jednak pokiwał głową z wyrzutem.

— Nie, Jaer, spodziewam się, że zaakceptujesz nowe prawo. Daje ci ono pewne uprawnienia. Jaki będzie twój następny krok?

— Zobaczysz. — Jaer odwrócił się gwałtownie i odszedł.

Później Rocquel odszukał Nerde, powtórzył jej rozmowę z Jaerem i zapytał o zdanie.

Odpowiedziała mu od razu, co już go wcale nie dziwiło. Od czasu buntu w sprawie zasypiania bez jego zezwolenia — co robiła już zawsze, w sposób całkiem naturalny — była swobodniejsza w wypowiedziach na każdy temat, nie wykluczając ich osobistych stosunków.

Oświadczyła mu, że jej zdaniem Jaer pragnie Ziemiarki i dlatego prawdziwym celem jego ataków jest nie Miliss, lecz Dav.

Rocquel popatrzył uważnie na żonę.

— Ależ. . . — zaczął i zamilkł. Ostrożnie, pomyślał. Nie daj jej znów powodu, by straciła do ciebie szacunek. Nie wiadomo, jakie by to miało następstwa. . .

Czuł się jednak bezradny wobec tego, co usłyszał. Jaer niezwykle chytrze to sobie wszystko zaplanował. Najwidoczniej przywódca rodu Dorrishów spodziewał się, że Miliss zostanie uwolniona.

Zaświtała mu pewna myśl. Oczywiście na rozprawie przeciwko Miliss wyszła na jaw cała słabość oskarżenia — i siła obrony — po czym zastosuje się wszelkie kruczki prawne, w wyniku czego Dav zostanie osądzony i nieodwołalnie skazany.

Pod wpływem nagłego impulsu podszedł do Nerdy i wziął ją w ramiona.

— Mam bardzo bystrą, niezwykłą królową — powiedział. — Dziękuję ci.

Pocałował ją i przez ułamek sekundy czuł, że Nerda oddaje mu pocałunek. Musiała to zrobić bezwiednie, po chwili bowiem znów stała się bierna.

Rocquel nie czuł się urażony. Pomyślał, że być może kobiety na Janie nie są tak niewrażliwe, jak się to powszechnie uważa. Może warto by pewnego dnia przeprowadzić głębszy eksperyment?

Tymczasem należało ostrzec Dava.

Następnego dnia Rocquel dowiedział się, że Miliss, która wróciła do aresztu na podstawie formalnego zarzutu, że jest niebezpieczna dla monarchii, ma zostać zwolniona. Jej adwokat na rozprawie wstępnej powołał się na niemożność dwukrotnego oskarżenia o to samo przestępstwo oraz stosowania prawa wstecz.

Sąd nakazał uwolnienie oskarżonej.

Prokurator zażądał wydania przez sąd nakazu aresztowania Dava i uzyskał go. Wieczne wydania gazet podały, że oficerom, którzy przyszli aresztować Ziemianina, nie udało się go znaleźć.

\* \* \*

Dav spędził późne popołudnie w jednej z kryjówek Zbiornicy Symboli, planując ucieczkę. Nadeszła pora, by zniknąć; zresztą zdarzało się już tak w przeszłości. Mieli już uprzednio do czynienia z osobnikami pokroju Jaera Dorrisha, tak samo jak on bezwzględni i mający na uwadze jedynie osobiste cele. „Zniknięcie” w tamtych czasach prawie zawsze sprowadzało się do przeczekania, aż dany nieprzyjaciel zakończy swój krótki żywot.

Opuściwszy kryjówkę po zapadnięciu zmroku przedzierał się przez zarośla. Celem jego wyprawy było pewne wzgórze, na którym przed prawie siedemdziesięciu laty zakopał niewielki pojazd kosmiczny. Uprzednio nie zawsze łatwo było odnaleźć taki pojazd, gdy zachodziła potrzeba, ale ten przetrwał bez szwanku siedem dziesięcioleci. Nie zahaczył o niego żaden buldożer. Nikt nie postawił w tym miejscu budynku. Statek czekał na Dava w swym doczesnym grobowcu.

Ostrożnie usuwał gęstą masę zbitych krzaków, gdy nagle usłyszał jakiś dźwięk. Bezszelestnie przypadł do ziemi.

Za późno. Usłyszał szybkie kroki w ciemności. Dwie pary oczu zapłonęły wśród zarośli. Potem silne kościste palce przygwoździły go do ziemi. Na tle zamglonych świateł miasta zarysował się charakterystyczny, długi nos mężczyzny z Jany. Obok stała kobieta.

Tubalny męski głos odezwał się z triumfem:

— Mam cię! Perna, podejdź no tu szybko i poświęć na tego zdradzieckiego łajdaka. . . — Zaklął. — Na Dilit, to przecież wcale nie jest ten twój parszywy konkurent! Przynieś światło, zobaczymy, kogośmy przyłapali.

Zapadła cisza, w której słyszać było tylko pospieszne kroki kobiety.

Dav leżał, nie stawiając żadnego oporu. Mógłby coś przedsięwziąć: wyciągnąć rękę do góry i z niezwykłą siłą, jaką potrafił ześrodkować w każdej części swego ciała, niezawodnym ruchem palców uderzyć w dwa główne ośrodki nerwowe mężczyzny i rzucić go na ziemię, gdzie będzie się związał w śmiertelnej agonii. Mógł także — od niechcienia i bez żadnego wysiłku — uwolnić się jednym pchnięciem ramion.

Nie zrobił tego jednak. Podobnie jak w przeszłości, miał zamiar działać jedynie w obronie własnej.

Strumień światła przerwał jego myśli. Blask uderzył bezlitośnie w jego zwróconą ku górze twarz. Dobiegł go głos kobiety, nabrzmiały odrazą:

— Ależ to Ziemianin! A więc to przed takim kochankiem mnie strzeżesz?

— Nie dogaduj — burknął mężczyzna. — Wyznaczono nagrodę. Będziemy mogli się pobrać. — Ścisnął mocniej Dava. — Wstawaj, ty relikcie! Pora, żebyście ty i ta kobieta przestali wreszcie czepiać się życia. Wasza rasa wymarła.

Był już najwyższy czas, by coś przedsięwziąć, ale Dav nie uczynił żadnego ruchu. Nie stawiał oporu, gdy brutalnie poderwano go na nogi.

Stała się rzecz zdumiewająca: było mu wszystko jedno.

Pomyślał: Cywilizacja stworzona przez człowieka jest już martwa. Dlaczego Miliss i ja mielibyśmy pozostać wierni ideom społeczeństwa, które przegrało?

Bariery, jakie wznosił między sobą i Miliss, runęły; ogarnęło go poczucie wielkiej winy. Nagle zrozumiał, jak bezwzględny był w swej misji zbawcy nowej rasy.

W tej chwili udręki coś ożyło w jego pamięci:

*Jestem pewna, że nawet nos ci się wydłużył. Wkrótce upodobnisz się całkiem do mieszkańców Jany. . .*

Zrozumiał teraz, że żył dotąd jak we śnie, poddając się swego rodzaju autosugestii — wierząc w ideał, który nadawał tymczasowe znaczenie jego bezsensownej egzystencji.

Skoro Miliss została skazana, niczego już nie warto było zbawiać.

Poszedł bez słowa za tubylcem, który go pojmał.

\* \* \*

We wczesnych godzinach porannych do Rocquela dotarła wiadomość o aresztowaniu Dava. Wstał z łóżka, ubrał się i zatelefonował do Miliss

— Czy miałaś już gościa?

— Nie, ale przypuszczam, że wkrótce tu będzie.

— Zaraz tam przyjdę — powiedział Rocquel.

Wyszedł sekretnym wyjściem i dalej kroczył mrocznym korytarzem aż do zamkniętych drzwi.

Za drzwiami słyhać było głosy. Rocquel otworzył je i wszedł. Znalazł się w alkowie rozjaśnionej odbitym światłem z widnego pokoju za zielono-złotą kotarą. Głosy dochodziły zza kotary. Poznał spokojny bas Jaera i oburzony sopran Miliss.

— Dziwię ci się — mówiła — że nadal mnie prześladujesz, pomimo że jesteś prawdopodobnie zaprogramowany i grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo.

W głosie Jaera brzmiała niezbita pewność siebie:

— Już raz udało ci się mnie przestraszyć, ale tym razem nic z tego.

— To znaczy — powiedziała ostro Miliss — że postanowiłeś nie zważać na głos rozsądku.

— Mężczyzna z Jany — brzmiała chłodna odpowiedź — wie, co w życiu ważne: kobieta. Lekceważy natomiast powody do obaw. — Zarechotał. — Pozwól, że

ci to wytłumaczę: jeśli mi odmówisz, możesz zostać ponownie aresztowana. Jeśli zaś ulegniesz, mogę nawet wycofać skargę przeciwko Davowi. Kto wie, jakie jeszcze z tego możesz mieć korzyści, jeśli się spotkamy od czasu do czasu prywatnie, by zabić nudę tych długich lat, jakie nas jeszcze czekają.

Stojący za zasłoną Rocquel potrząsnął głową, zdumiony. Nerda nie myliła się w swoich przecuciach. Cała ta akcja przeciw Ziemianom była po prostu typową intrygą tutejszego mężczyzny w celu zdobycia kobiety.

Nie zaszokowało go to ani nie zdziwiło.

— Późno już, moja droga — powiedział Jaer. — Z pewnością nie spodziewasz się już dzisiaj innych gości.

Była to idealna okazja dla Rocquela do wyjścia z ukrycia.

\* \* \*

— Powiedziałem mu tak — powtarzał później Nerdzie wróciwszy do pałacu — „Słuchaj, Jaer, jeśli zrezygnuję z niektórych przywilejów władzy, to dlatego, że wierzę, iż ty wraz z pozostałymi arystokratami wyrzekniecie się — w zamian za wzrost roli politycznej — czysto osobistych przywilejów, polegających na zmuszaniu ludzi do poddawania się waszym wielkopańskim kaprysom”.

— A co on ci na to odpowiedział?

— Nic. Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Nerda skrzywiła się z niesmakiem.

— Jeśli uda mu się pozbyć Dava, będzie liczył na to, że zdoła także zmusić Miliss do przyjęcia jego protekcji.

— Sądzisz, że jednak wniesie oskarżenie przeciwko Davowi?

— Twoje słowa wcale do niego nie trafiły. Pozostał typowym samcem w starym stylu. — Wzruszyła ramionami. — Oczywiście, że wniesie oskarżenie.

Dav siedział apatycznie na rozprawie. Nawet adwokat wyznaczony przez Rocquela nie potrafił go nakłonić do zeznawania we własnym interesie.

Został uznany za szpiega i skazany na ścięcie.

## VII

Kiedy helikopter Rocquela wylądował na wielkim ogrodzonym placu, gdzie odbywały się egzekucje, zebrali się już tam szlachetnie urodzeni Janowie. Zgromadzeni tłoczyli się niemiłosiernie, wrzeszczeli i pohukiwali, a także zawierali zakłady. Stawka szła zwykle o to, komu los da możliwość obcięcia głowy skazańcowi.

Rocquel szedł wśród tłumu potencjalnych katów, słuchając ich sarkania na stale ograniczaną liczbę głów do ścięcia. Podszedł do ogrodzenia, za którym strażnicy pilnowali skazanych, i zrozumiał, w czym rzecz. Mniej niż stu mężczyzn, łącznie z Davem — i cztery kobiety — zgromadzono na przestrzeni, która dawniej mogła pomieścić pięć razy więcej osób.

Z grubsza biorąc sto głów do podziału między prawie tysiąc ośmiuset podoczonych młodych arystokratów.

Rocquelowi wręczono listę skazańców. W milczeniu przebiegł ją wzrokiem, szukając odnośników klasyfikacyjnych. Uwagę jego zwróciły dwa nazwiska. Ich właścicieli zaliczono do klasy inżynierów.

Zmarszczywszy brwi zwrócił się do Jaera:

— Co robią tak cenni fachowcy na tej liście?

Jaer uniósł dłoń w geście protestu.

— Wasza Królewska Mość — zwrócił się do Rocquela oficjalnym tonem — pozwól zwrócić sobie uwagę, że gwałcisz nową procedurę. Król nie może się już zajmować poszczególnymi przypadkami. Jako twój pierwszy minister będę się z tobą konsultował, czy też słuchał twych rad, i w niektórych sprawach, ale nie we wszystkich, zaproponuję skorzystanie z prawa łaski. Daj mi, proszę, tę listę.

Rocquel podał mu ją, przeczuwając swą porażkę. Przybył tu z zamiarem ratowania Dava i automatycznie, jak w przeszłości, próbował przejąć inicjatywę. Uświadomił sobie, że Jaer uśmiecha się ironicznie.

— Wracając do twego pytania, panie — powiedział szyderczo — nowe prawo precyzuje, że każdy powinien być sprawiedliwie osądzony i skazany za swe przewinienia. — Wzruszył ramionami. — Ci dwaj są zabójcami. Zostali osądzeni. Wyrok był automatyczny.

— Rozumiem — rzekł Rocquel.

Pojał, że ten hałaśliwy tłum będzie przeciwko Davowi i że nie ma żadnego sposobu, by go uratować.

— Czy chciałbyś, panie — ciągnął Jaer — żeby ich tu przyprowadził?

Ton pierwszego ministra Jany był prowokacyjny. Najwyraźniej czuł się panem sytuacji, przygotowany do bezwzględnej gry w monarchię konstytucyjną. Był w niej zdecydowanym faworytem.

Rocquel skinął twierdząco głową. Podczas gdy szukano obu skazańców, zmusił się do przypomnienia sobie starej zasady, by nie zajmować się kilkoma sprawami na raz. Wkrótce mógł już odsunąć od siebie myśl o losie Ziemianina i skupić się na chwili obecnej.

Scena, jaką miał przed oczami, niemal dokładnie przypominała dawną Janę. Wszędzie widać było szeleszczące jedwabie, mieniący się ocean połyskliwych barw. Ponad zwartym murem jedwabiu, czerwonymi, wydłużonymi kształtami odcinały się twarze mężczyzn, prawie na jednej wysokości. Tysiąc osiemset takich twarzy układało się w dość osobliwy obraz — niewinnego piękna.

Lecz było to piękno drapieżnej bestii, pysznej, butnej, silnej, nieujarzmionej — natura w stanie pierwotnym. Prymitywne popędy, jakie wciąż pchały tych samców od przemocy do przemocy, wynikały z równie prymitywnych potrzeb. Takiej rzeczywistości nikt nie kwestionował na Janie, dopóki Dav i Miliss nie zmusili arystokracji, kierującej się dotąd jedynie krwawymi prawami supermęskości, do samokontroli.

Jestem świadkiem, pomyślał Rocquel, końca pewnej epoki. Tych tysięcy ośmiuset tutaj to jej uosobienie, ostatni relikwyt feudalizmu...

To oczywiście musi się kiedyś skończyć. Ale jak?

Z zamyślenia wyrwało go sprowadzenie przed oblicze Jaera dwóch inżynierów. Przywódca Dorriśów spojrział na Rocquela pytająco. Monarcha wysunął się do przodu. Zrelacjonowano mu sprawę.

Pracownicy naukowcy i personel techniczny przez wiele lat byli traktowani przez sądy ulgowo. Wprawdzie nie mogli sobie pozwalać na wszystko jak można, ale zajmowali pozycję uprzywilejowaną. Osobę z wyższym stopniem naukowym uznawano za wartą dwudziestu zwykłych ludzi. Posiadanie średniego stopnia równało się wartości piętnastu osób. I najniższego stopnia — dziesięciu. Personel techniczny — poczynając od dwóch, a kończąc na dziewięciu.

Tak więc wart dwudziestu osób inżynier, który zabił zwykłego osobnika, ponosił za ledwie jedną dwudziestą kary — czyli zwykle płacił grzywnę. Tylko jeśli zabił innego naukowca o statusie „dwudziestoosobowym”, groziła mu kara śmierci. Wówczas, wedle prawa, było to morderstwo.

— Oto oni, panie — powiedział Jaer. — Wydaje mi się, że w świetle nowych przepisów prawnych nic nie możemy dla nich zrobić.

Rocquel myślał tak samo. Ale nie powiedział ani słowa, kiedy Jaer odwrócił się i nakazał mężczyznom podejść bliżej. Dwaj inżynierowie wystąpili i zostali zidentyfikowani odpowiednio jako: „piętnastka” i „dziesiątka”. Pierwszy zabił w przystępie szału, co — jak żarliwie zapewniał, gdy zdjęto mu knebel — było słuszną reakcją na bezczelność „trójki”. „Dziesiątka” natomiast zabił „jedynekę” w napadzie gniewu bez szczególnego powodu, typowego dla temperamentu Janów.

Nie było więc pretekstu, by ich faworyzować. Nowe prawo musi dowieść swej słuszności poprzez bezstronność. Ci dwaj mieli po prostu pecha: stali się pierwszymi kozłami ofiarnymi ze swej klasy.

Rocquel skinął głową. Jaer z powrotem założył im kneble, a potem głośno, wyraźnie odczytał zatwierdzenie wyroku. W chwilę później bęben loteryjny wylosował nazwiska egzekutorów. Słuchając przekleństw tych, co przegrali, uśmiechnięci szeroko zwycięzcy wystąpili naprzód, równocześnie podnieśli w górę miecze i uderzyli w głowy na pniach.

I chybili.



Na galerii rozległ się okrzyk zdumienia. Rocquel walczył z uczuciem dziwnego zmieszania. Coś — jakaś energia chwyciła go z boku, szarpnęła za ramię i okręciła nim lekko. W tym momencie usłyszał wycie, pojął, że coś jest nie w porządku.

Dwaj arystokraci oprzytomnieli. Mruczając pod nosem przekleństw, podnieśli miecze do kolejnego ciosu.

— Stać! — ryknął Rocquel.

Miecze zafalowały i posłusznie opadły. Dwaj rozgniewani i zaskoczeni arystokraci spojrzeli pytająco na swego monarchę.

— Co się stało? — zapytał Rocquel.

Obaj opowiedzieli to samo. Coś, jakby powiew wiatru, pochwyciło ich miecze. Czy też raczej jakby natrafili na silny prąd powietrza, który zmienił kierunek ich uderzenia.

Wśród widzów rozległy się ironiczne okrzyki. W tym momencie Rocquel spojrzął markotnie na ogrodzony plac i ujrzał Dava podchodzącego do bramy.

— Zaczekajcie, aż wrócę! — rzucił Jaerowi.

Przywódca Dorrishów spojrział nań zdziwiony, ale nic nie odpowiedział. Rocquel podszedł do Dava.

Ziemianin powitał go słowami:

— Co się stało?

— O to właśnie ciebie chciałem zapytać. — Powtórzył mu to, co opowiedzieli dwaj młodzi arystokraci.

— To mi wygląda na Symbol — stwierdził Dav, marszcząc brwi. — Ale nie znam żadnego, który byłby odpowiedni w takiej sytuacji. Zaistniał określony proces; na razie nie ma na Janie niczego lepszego. Dlaczego nie każesz Jaerowi kontynuować egzekucji? Może to był tylko przypadek?

Rocquel, który pamiętał dziwne uczucie, jakiego doznał przed chwilą, a także w dniu swego powrotu na Janę, w głębi duszy powątpiewał w to. Ale wrócił na plac egzekucyjny i rozkazał uwolnić dwóch inżynierów. Taka była tradycja.

— Wasze losy są już nieważne — powiedział krótko do niedoszłych egzekutorów. Odeszli, klnąc pod nosem.

Teraz procedura wymagała, by ściąć kobietę. Jedną z czterech skazanych była mała, biedna staruszka, zupełnie obłąkana. Wierzyła, że tłum zebrał się po to, by ją uhonorować. Rocquelowi nawet nie przyszło do głowy, żeby coś dla niej zrobić. Na Janie nie było miejsca dla obłąkanych. Skazywano ich nieodwołalnie na śmierć, jeśli stawali się ciężarem — a ona była ciężarem.

Gdy Rocquel odwrócił się, by rozważyć przypadki pozostałych kobiet, drogę zastąpił mu Jaer. Potrząsnął głową.

— Panie — powiedział — znów przejmujesz inicjatywę.

Była to oczywista prawda. Rocquel pokręcił głową.

— Zrzekanie się władzy — powiedział z krzywym uśmiechem — wydaje się rzeczywiście trudnym procesem. Bądź więc dla mnie wyrozumiały, lordzie Jaer. Moje intencje są jak najlepsze.

Żaden uśmiech w odpowiedzi nie rozjaśnił tego ponurego oblicza.

Cóż za niezwykłym człowiekiem musiał być ten starożytny Ziemianin, pomyślał Rocquel, ten król, który pierwszy, bez precedensu, zgodził się na ograniczenie swych praw absolutnych w monarchii konstytucyjnej... Chwilowo nie mógł sobie przypomnieć jego imienia, chociaż Dav je wymieniał. Dlatego tylko przypomniał sobie ów historyczny precedens, ponieważ stwierdził, iż z trudem może się pogodzić z faktem, że każda jego strata jest zyskiem Jaera. Wreszcie rozchmurzył się i zrobił krok w tył.

— Kontynuuj, lordzie Jaer.

Mógł teraz ponownie obserwować całą scenę, uwolniony od wewnętrznego niepokoju.

Z trzech pozostałych kobiet dwóm nikt nie był w stanie pomóc. Oskarżone o cudzołóstwo przez swych szlachetnie urodzonych mężów, zostały skazane na śmierć. Rocquel w głębi duszy wątpił w ich winę, ale nie była to odpowiednia pora na kwestionowanie orzeczenia sądu.

Ostatnia z kobiet wyparła się wiary. Gdy ją przyprowadzono, Jaer spojrzał pytająco na Rocquela — tak tylko, dla formy, nie spodziewając się ingerencji władcy.

Już się odwracał, gdy Rocquel schwycił go za ramię.

Przywódca Dorrishów popatrzył nań wyrozumiale. Słuchając Rocquela dawał jasno do zrozumienia, że w tych pomniejszych sprawach gotów jest umożliwić królowi skorzystanie z prawa łaski.

— Panie — rzekł wreszcie — mógłbym ogłosić, że w tym przypadku zastosuje się prawo łaski, a następnie ty oznajmisz swoje powody.

Tak też zostało zrobione. Rocquel przemówił do zgromadzonych arystokratów, podkreślając — jak to już dawno wymógł na nim Dav — potrzebę tolerancji religijnej. Kobięcie darowano życie.

Stał w napięciu, nie wiedząc, czego się znów spodziewać, gdy trzech uradowanych szczęśliwców wystąpiło na plac. Dwaj, którym przydzielono cudzołożnice, wydali okrzyk radości, że przypadł im w udziale przywilej wypełnienia tak pożytecznego zadania.

Wszystkie trzy miecze ze świstem przecięły powietrze i równocześnie opadły. Kobiety, które klęczały z fatalistyczną rezygnacją, po chwili spojrzały w górę, jakby chciały zapytać, co się stało.

Stało się zaś to, że miecze leżały teraz pięć metrów dalej. Rocquel, który przyglądał się wszystkiemu uważnie, widział wprawdzie błysk metalu, gdy broń wylatywała w powietrze, ale całkowitej pewności nie miał. Jakaś siła schwyciła go w stalowe szpony i przesunęła w bok w momencie nieudanej egzekucji.

Zobaczył Jaera leżącego nie opodal na ziemi. Pomógł mu wstać.

— Co się stało?

— To jakieś czary — mruknął Jaer. — Coś uderzyło mnie ze straszliwą siłą. — Wydawał się zbity z tropu i nie sprzeciwiał się, gdy Rocquel zaproponował, by wstrzymać egzekucje do czasu zbadania sprawy.

— Ale jak to można zbadać? — zapytał zdezorientowany.

Rocquel zapewnił go, że przynajmniej jedna osoba mogłaby udzielić w tej sprawie wyjaśnień.

Tak więc po uwolnieniu kobiet i odprawieniu kolejnej grupy niefortunnych katów Rocquel wyprowadził Dava za ogrodzenie.

— Widziałeś? — zapytał oskarżycielskim tonem.

— Tak. Nie ma wątpliwości: to Symbol, a za drugim razem jego działanie było potężniejsze. Jego siła gwałtownie rośnie.

— Ale jaki to Symbol? — zaproponował Rocquel. — Sądziłem, że Symbole... — zamilkł, przypomniał sobie, że nie ma najmniejszego pojęcia, czym one są. Dokończył niezręcznie: — Co proponujesz?

— Następnym razem — odparł Dav — może zaistnieć sprzężenie zwrotne i wykonawcy wyroków mogą odnieść obrażenia. — Wydawał się zaciekawiony. Apatia, jaka go wcześniej opanowała, częściowo ustąpiła. Oczy nagle nabrały blasku. Rozejrzał się wokół siebie z nadzieją. — Pozwól, aby Jaer spróbował wykonać na mnie wyrok. To by rozwiązało wiele problemów.

Rocquel zmarszczył brwi. Potrząsnął głową. Zranienie — czy też może nawet śmierć — głowy rodu Dorrishów wywołałoby niemało zamieszania wśród znacznej części populacji Jany.

Kocia muzyka zaczęła się na nowo: domagano się decyzji. Arystokraci byli jednak zaintrygowani. Ton ich podniesionych głosów wskazywał, że krzykacze nie są pewni, co się dzieje. I tylko nieliczni wśród zebranych podnosili głosy. Rocquel domyślał się, że dla tej szlachetnie urodzonej publiczności wydarzenia, jakie miały miejsce w kulminacyjnym punkcie egzekucji, były niezrozumiałe.

Poza tym arystokracja nigdy nie będzie w stanie niczego zrozumieć.

Sytuację utrudniał jeszcze fakt, że nie można było liczyć na żadną pomoc z ich strony. Rocquel stał zdezorientowany, nie wiedząc, co począć. Wycie stawało się donośniejsze, bardziej natarczywe. Raptem zrozumiał, jaki jest tego powód. Wyprowadzenie Dava poza ogrodzenie stwarzało wrażenie, że Ziemianin jest następny w kolejce do ścięcia. I właśnie głośno domagano się śmierci Dava.

Ziemianin był blady, ale wrzasnął Rocquelowi do ucha, przekrzykując wrzawę:

— Dlaczegożby nie spróbować? Zobaczmy, co się stanie.

Rocquel chciał mu coś odrzec, chciał powiedzieć: *O co tu chodzi? Co się dzieje? Czy Symbol — który, jak sądzę, znajduje się pod moją kontrolą — działa niezależnie od mej woli, czy w ogóle czyjejkolwiek woli?*

Ale nie mógł tego powiedzieć. Nie mógł wydobyć ani słowa. Twarz wykrzywiła mu się z wysiłku.

— Co się stało, panie? — zapytał Dav.

Rocquel znów próbował przemówić, ale nie mógł. Owładnęło go poczucie bezsilności.

*Zostałem zaprogramowany. Mogłem powiedzieć Miliss o kontrolowaniu Symbolu, ale nie Davowi...*

Nagle uświadomił sobie, że nie jest to właściwie kontrola, lecz Symbol pozostaje z nim w jakimś szczególnym związku.

— Czuję — powiedział i teraz słowa przysły mu z łatwością — że coś nie chce dopuścić do tych egzekucji.

A więc mógł mówić, jeśli nie wspominał bezpośrednio o Symbolu.

Dav potrząsnął głową.

— Nie rozumiem; jeszcze nie nadszedł czas, by znieść na Janie karę śmierci. W gruncie rzeczy — w jego głosie brzmiała trwoga; zrobił nieokreślony gest, wskazując horyzont — gdyby parę milionów tych paranoików dowiedziało się, że nie można wykonać na nich wyroku, rozpełtałoby się piekło.

Wizja totalnej katastrofy — grabieże, gwałty, ogólny zamęt — wywołana słowami Ziemianina przejęła Rocquela dreszczem zgrozy. Wyobraził sobie te niezliczone rzesze złoczyńców wzniesających zamieszki na ulicach, organizujących się w bandy na terenie całego kraju. Coś trzeba zrobić i to natychmiast.

Poniewczasie znów przypomniał sobie, że za egzekucję odpowiedzialny jest przywódca rodu Dorrishów i że należy się z nim skonsultować. Odwrócił się i ujrzał, że Jaer stoi na uboczu obserwując Dava zwązionymi oczyma.

Rocquel mógł sobie pozwolić na jedno zaledwie spojrzenie — czas płynął i hałas na galerii tak się wzmaczał, że dalsza rozmowa stała się niemożliwa. Dał znak królewskim dobozom, by uderzyli w bębny.

Gdy zaległa cisza, wyjaśnił zdumionym słuchaczom, co Dav mu powiedział w sprawie roli Symbolu. Gdy skończył, ktoś zawołał z tłumu:

— Jeśli wspólnie załatwimy sukinsyna, skończy się ten absurd.

Ten, kto to powiedział, próbował widać przepchać się do przodu. Nastąpiło poruszenie. Kilku, potem kilkunastu, wreszcie setki ruszyły do przodu.

Ktoś wrzasnął do ucha Rocquelowi:

— Uciekaj, jeśli ci życie...

Ton był tak kategoryczny, że Rocquel zdążył przebiec kilkanaście kroków, nim pojął, że był to głos Dava. Zatrzymał się i odwrócił — akurat w samą porę, by stać się świadkiem katastrofy...

## VIII

Ciała mężczyzn wirowały w powietrzu niczym w wodnym odmęcie. Wylatywały jak fontanna w górę i tam zawisały, obracane przez niewidzialną siłę.

Kątem oka Rocquel ujrzał, jak Dav zapamiętałe przepycha się przez cofający się tłum. Ziemianin przedarł się gwałtownie ku niemu.

— Szybko! — krzyknął. — Jeśli wir ich uniesie jeszcze wyżej, mogą się poranić albo zabić przy upadku.

— Co znaczy „szybko”? — zapytał tępo Rocquel. — Co „szybko”.

Oczy Dava, rozjaśnione przez moment, znów przygasły. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

— Co się ze mną dzieje? — wymamrotał. — Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

Ale Rocquel zrozumiał to. On także jest zaprogramowany... pomyślał.

Czuł, jak ta prawda w nim dojrzewa. Niepokoilo go to bardzo, ale wiedział, że jest oto niewątpliwie świadkiem działania Symbolu, nad którym powierzono mu kontrolę.

Fakt, że w przełomowej chwili decyzję pozostawiono w rękach dziedzicznego generała Jany, podziałał nań uspokajająco. Wywołując pospiesznie w pamięci wzór powodujący skupienie energii Tizane na Symbolu, pomyślał: Doprawdy niewiele trzeba, aby sprawować bezpośrednią kontrolę nad planetą za pomocą Symboli. Tylko kilka kluczowych osób...

W całej tej sytuacji najdziwniejsze było to, że oboje mentorzy — Dav i Miliss — też nie postępowali według własnej woli.

\* \* \*

Gdy ustał już wir powietrzny i ciała szlachetnie urodzonych Janów zaczęły spadać na ziemię — niektórzy później leżeli tam przez dłuższy czas — Rocquel zasugerował Jaerowi, by kontynuować egzekucje. Ten spojrzał nań tępo.

— Wasza Królewska Mość — powiedział wreszcie — wątpię, czy znajdziemy teraz chociaż jedną osobę chętną do przyjęcia roli kata.

Rocquel był o tym przeświadczony. Swoją odpowiedź sformułował ironicznie: decyzję o odłożeniu egzekucji musi podjąć rząd, a nie monarcha konstytucyjny.

— Mam wrażenie — dodał, pilnie się wpatrując w Jaera — że rząd powinien również ułaskawić Dava.

Słowa te spotkały się z ponurym, przesywającym spojrzeniem. Z wolna posępne z natury oblicze Jaera rozciągnęło się w krzywym uśmiechu.

— Wasza Królewska Mość — powiedział Jaer Dorrish — pozwól, że ci przypomnę twą wcześniejszą wypowiedź. Przekonałem się dzisiaj, że masz jak najlepsze intencje i że bardzo trudno jest się wyrzec władzy. Prawie tak samo trudno, jak

komuś takiemu jak ja przyjąć godnie przyrost władzy — ale pragnę cię zapewnić, że ja będę próbował. Rozumiem pozycję pierwszego ministra jako wymagającą prawego charakteru. A więc — zakończył uroczystym tonem — by dowieść ci, że mam uczciwe zamiary, proszę cię jako przywódca rządu do czasu pierwszych wyborów, o pełne ułaskawienie Ziemianina Dava.

— Udzielam go — odparł Rocquel.

Było to wielkie zwycięstwo, lecz wracając do domu znów podupadł na duchu. Ujechał już prawie sto metrów ze swoją świtą na motocyklach, kiedy zdał sobie sprawę z nawrotu przykrej świadomości, w spotęgowanej jeszcze postaci.

*Jestem zaprogramowany, a to mnie upokarza. . .*

Znalazszy się znów w pałacu powiedział o swym odczuciu Nerdzie. Przez resztę popołudnia i część wieczoru starała się mu je wyperswadować. Zaprogramowanie, twierdziła, jest niczym kropla substancji chemicznej, która może nadać lekko niebieskawy odcień płynącemu strumieniowi. Nic oprócz tamy nie może zatrzymać ani zmienić kierunku biegu strumienia — a jednak środek chemiczny zabarwia go wyraźnie.

Ta analogia nasunęła Rocquelowi myśl, że jego zaprogramowanie przybrało po prostu formę przyspieszonego ucywilizowania paranoicznego samca, jakim był dotąd. W dalszym ciągu pozostał dziedzicznym generałem Jany oraz małżonkiem Nerdy i nie miał wcale zamiaru rezygnować z tej pozycji czy z żony. Zgodził się wszakże na zmianę formy rządów i na ograniczenie absolutnej władzy nad żoną.

I w obu przypadkach nie odczuwał właściwie uszczerbku.

Nerda podsunęła mu myśl, że wieloletnie zaprogramowanie Miliss i Dava miało umożliwić tej pięknej parze Ziemian — izolowanych na obcej planecie — zaakceptowanie nieznośnej egzystencji. A ponieważ płynął w nich nieśmiertelny strumień życia, byli też oddzielnie zaprogramowani jako kobieta i mężczyzna, by mogli przetrwać okresowe kryzysy. Tak więc wielka cywilizacja kosmiczna kontroluje nawet własnych emisariuszy.

W ich pokoleniu, mówiła dalej, być może tylko ona i Rocquel poznają prawdę, a także, w mniejszym zakresie, Jaer. Dziedziczny generał Jany wraz z żoną oraz dziedziczny przywódca najbardziej wpływowej części arystokracji — rodu Dorrishów. Lecz ich własna osobowość pozostała nienaruszona. Płynęła w nich krew Janów — ale świadomość tego mieli teraz jako istoty bardziej cywilizowane.

Po wyrazie akceptacji na twarzy Rocquela Nerda poznała, że może już zmienić temat.

— Czy nadal masz kontrolę nad Symbolem? — zapytała.

Była noc, stali w ogromnym oknie, patrząc na skaliste zbocze górskie. Rocquel odtworzył w myśli pierwsze trzy stopnie wzoru Tizane. Poczł muśnięcie w nogę, znane mu już uczucie mrowienia — wrażenie działania pola siłowego o niezwykłej mocy.

Pospiesznie skierował myśli na inne tory.

— Tak — odparł.

— W twojej obecności — powiedziała Nerda — nikt nie może zostać zabity, dopóki kontrolujesz ten Symbol. Czy powiedzieli ci jak długo?

Rocquel już miał dać jej taką samą odpowiedź co Miliss — gdy naraz stwierdził, że ma już całkowitą świadomość w tym względzie. Jego pamięć została odblokowana. Przypomniawszy sobie dokładnie, co mu powiedziano.

— Jest to dar na całe życie — powiedział po prostu.

Od razu poprawiło mu się samopoczucie. *W mojej obecności nikt nie może zostać zabity...*

Nagle pojął, że musi to być rzeczywiście jakiś potężny Symbol. Dzięki niemu stał teraz na niebotycznych wyznach świadomości i władzy. W głębi jego jestestwa to, co było dotąd pierwotne, dzikie, zostało poskromione. Będąc strażnikiem jednego z najważniejszych niewątpliwie Symboli ludzkości — pogodził się ze swą niższą od Ziemi pozycją.

\* \* \*

Dav czuł się dziwnie na wolności. Wszedł niespiesznie do pobliskiej restauracji i usiadł przy stole. Jadł prawie machinalnie, gdy naraz usłyszał komunikat radiowy o swym ułaskawieniu. Ta nowina dziwnie nim wstrząsnęła. Wróciła mu energia życiowa.

Zdał sobie sprawę, że Janowie w restauracji przypatrują mu się ciekawie. Żaden nie okazywał wrogości.

Nie wiedział, dokąd iść, spacerował ulicami. Zaczął się zastanawiać.

*Spróbuję rozwiązać pewien problem — a jeśli mi się uda, to co?*

Nie mógł się zdecydować. Wszystko wydawało mu się takie odległe. Miał wrażenie, że powinien coś zrobić. Ale nie wiedział co.

Zapadła noc. Kiwnięciem zatrzymał tramwaj, który podjechał mrugając światłami, dzwoniąc donośnie. Nikt nie odezwał się do niego, gdy wchodził do środka.

Na następnym przystanku wsiadło kilku młodych Janów. Zajęli miejsca, chociaż na jego widok. Wkrótce jednak wysiedli przy rześkim oświetlonym parku, gdzie setki młodych Janów tańczyło w rytm niskich dźwięków, szybkiej, zadowolonej muzyki.

Dav pokazywał się w miejscach publicznych prawie do północy i nie wywoływało to żadnych niemiłych incydentów. Potem wrócił do białego domu nad rzeką. Gdy wchodził do zachodniego skrzydła, domyślił się, że Miliss przebywa w swojej części rezydencji. Ale nie próbował się z nią skontaktować.

Zapadł w głęboki sen, który uruchomił zaprogramowany nakaz, głęboko ukryty w jego umyśle. We śnie poszedł do pokoju wyposażonego dla niepoznaki

w zwykłe, zdawałoby się, urządzenie elektroniczne, znane nawet na Janie. Naciśkając jednak pewne guziki i przekręcając pewne gałki w odpowiedniej kolejności włączył system łączności ukryty w oddalonej części planety.

Podprzestrzenne radio przesłało wiadomość do odbiornika znajdującego się w odległości wielu lat świetlnych. Wiadomość brzmiała: „Kryzys ostatniego etapu monarchii minął...”.

Komunikat ten samoczynnie dobiegł końca, a potem został wielokrotnie powtórzony. Aż wreszcie na docelowej planecie odbiorca myślą uruchomił przekaznik.

Głos — czy myśl — powiedział:

— Wiadomość odebrana, zarejestrowana.

Na aparacie, przed którym stał Dav, zabłysło światło, a on sam nie budząc się wrócił do łóżka.

Miliss obserwowała go, najpierw przez skaner, a potem, gdy stwierdziła, że znajduje się w stanie uśpienia — poszła za nim.

Gdy Dav wyszedł z pokoju, podeszła do aparatu i przemówiła do dalekiego słuchacza. Reakcja odbiorcy była taka, jakby tego od niej oczekiwano.

— Nadeszła pora — powiedział głos — żeby kobieta, to znaczy ty, poznała część prawdy.

— Jaka jest prawda? — zapytała Miliss. Nie czekając na odpowiedź mówiła dalej: — Czy rzeczywiście nastąpiła całkowita zagłada, czy też ta myśl została uprzednio zaprogramowana?

— W czasie następnego kryzysu — brzmiała odpowiedź — będzie ci wolno nas odwiedzić i sama się przekonasz. Na razie mężczyzna — Dav — nie może o niczym wiedzieć. Sama zresztą się przekonasz, jeśli spróbujesz, że nie możesz mu nic powiedzieć.

— Dlaczego mam nie mówić?

Wyglądało na to, że powody tkwiły gdzieś głęboko w jego męskich aspiracjach na miarę boską i w idealistycznych motywacjach tej żądy.

— Tylko tyle możemy ci wyjawić.

Kiedy łączność została przerwana, Miliss — mając o wiele lepsze samopoczucie, nawet z lekkim sercem, czując się znowu kimś, a nie tylko żywym reliktem wymarłej kultury, doświadczając dziwnej czułości wobec biednej, zaprogramowanej superistoty, czyli swego męża — podjęła zmuszony trud ponownej przeprowadzki do zachodniego skrzydła.

Do rana większość należących do niej pięknych przedmiotów znajdowała się już na swoim miejscu. Tak więc, kiedy Dav się obudził i przewrócił na bok, ujrzał jasnowłosą kobietę z uśmiechem na twarzy i wyrazem takiej niewinności, jakby wszystko, co zrobiła, nie wyłączając jej powrotu, było całkowicie uzasadnione.

Zjawisko odezwało się w te słowa:

— Mam nadzieję, że ucieszy cię wiadomość, iż masz znowu żonę.



Na planecie, gdzie jest tylko jedna ziemską kobieta, i to piękna kobieta, cóż mógł odpowiedzieć jedyny mężczyzna?

Dav odrzekł, że owszem, cieszy się.

— Chodź do mnie — powiedział.

# Duplikaty z kryształu

## *Reflected Men*

### I

*Godzina 17.10. Około piętnastu minut do reaktywacji kryształu.*

Zdaniem Edyty Price ten dobrze ubrany młody człowiek, który wszedł do biblioteki, był typowym wczasowiczem, jakich wielu latem w Harkdale. Tacy jak on trzymali się z daleka od mieszkańców tego prowincjonalnego miasteczka, do których ona teraz również się zaliczała. Zapisała jego imię i nazwisko: Seth Mitchell. I przypuszczając, że życzy sobie okresową kartę biblioteczną, podała mu formularz.

Dopiero gdy odsunął go zniecierpliwiony, dokładnie wysłuchała, co do niej mówił.

— Ach, więc chodzi panu o kryształ! — zawołała.

— Właśnie — odparł mężczyzna. — Chciałbym dostać z powrotem ten mały kamyczek, który podarowałem kilka lat temu muzeum w bibliotece.

Edyta potrząsnęła głową.

— Przykro mi, ale właśnie reorganizujemy naszą wystawę. Sala jest zamknięta dla publiczności. Z pewnością nic się nie da zrobić, dopóki to wszystko nie zostanie zakończone, a i nawet później decyzję musi wydać kierowniczka biblioteki, panna Davis. Dziś ma wolne, więc nie będzie pan z nią mógł porozmawiać.

— Jak długo potrwa ta... reorganizacja?

— O, kilka tygodni — odpowiedziała obojętnie Edyta.

Wrażenie, jakie wywarły jej słowa na mężczyźnie — jednym z tych starannie ostrzyżonych, dobrze ubranych, wyraźnie zamożnych ludzi, jakich wielu znała w Nowym Jorku — zdumiało ją. Mężczyzna zbladł, wymamrotał coś niewyraźnie, a gdy odchodził, wyglądał, jakby życie z niego uleciało.

Przyglądanie się wychodzącym klientom biblioteki nie leżało w zwyczaju Edyty. Ale reakcja tego mężczyzny była tak niebywała, że patrzyła dłuższą chwili-

łę, jak idzie chwiejnym krokiem ku głównemu wyjściu. W drzwiach zbliżył się doń jakiś tęgi, przysadzisty człowiek. Rozmawiali przez chwilę, a następnie wyszli razem. Widziała ich jeszcze później, w przelocie, za oknem, jak wsiadali do nowego cadillaca. Seth Mitchell zajął miejsce za kierownicą.

Drogi samochód i fakt, że w tej sprawie występuje jeszcze inny mężczyzna, dodawały znaczenia skądinąd drobnemu incydentowi. Edyta zsunęła się ze stołka dając znaki pannie Tilsit. Ostentacyjnie sięgnęła po klucz do damskiej toalety, chowając jednocześnie w dłoni klucz do sali wystawowej — i wyszła.

Po chwili dokładnie oglądała ekspozycję minerałów.

\* \* \*

Kamieni było około trzydziestu. Tabliczka obok wyjaśniała, że kolekcja jest efektem poszukiwań cennych minerałów i kamieni szlachetnych, prowadzonych przez miejscowych chłopców. Edyta bez trudu odnalazła ten, o który upominał się młody człowiek. Umieszczona pod nim wyblakła etykieta głosiła: „Dar Setha Mitchella i Billy’ego Bingham’a”.

Odsunęła boczną szybę gabloty, sięgnęła ostrożnie i wydobyła kryształ. Było oczywiste, że wybierając kamienie na wystawę nie stosowano zbyt ostrych kryteriów. Czynniki, które wpłynęły na kształt tego kamienia, zadziałały, zdawało się, zbyt gwałtownie. Struktura była nierówna. W rezultacie kamień miał ponad sześć centymetrów długości i trzy centymetry średnicy w najszerszym miejscu: brązowy, o wyglądzie skały, chociaż wielościenny, nie odbijał dobrze światła. Miał najbardziej pospolity wygląd ze wszystkich kamieni z wystawy.

Przypatrując się brzydkiemu, bezwartościowemu minerałowi Edyta pomyślała: A może by go tak zawieźć wieczorem po pracy do hotelu Mitchella, omijając całą biurokrację? Miała na myśli swego wroga — pannę Davis.

Zdecydowanym ruchem usunęła z gabloty nazwiska dwóch ofiarodawców; po tylu latach tabliczka przyklejona była kiepsko, a pożółkły papier podarł się na strzępy. Edyta już chciała wsunąć kamień do kieszeni, gdy z przykrością stwierdziła, że ma na sobie właśnie suknię bez kieszeni.

Cholera! zakłęta w myśli, nie tracąc pogody ducha.

Kamień był za duży i nie dał się ukryć w dłoni, niosła go więc przez zaplecze biblioteczne i już miała go wrzucić do specjalnego pojemnika służącego do wynoszenia większych odpadków, kiedy spostrzegła w nim również stłuczoną doniczkę wypełnioną do połowy ziemią. Znajdowała się tam także papierowa torba.

W mig włożyła kryształ do torby, przysypała go z wierzchu ziemią i wepchnęła torbę na spód kosza. Zwykle do niej należało zamykanie gmachu biblioteki, nie będzie więc miała wówczas problemu z wyjściem i wyniesieniem torby.

Edyta wróciła do swego biurka. . .

A kryształ natychmiast zaczął przetwarzać ziemię z wierzchu torby, w ten sposób reaktywując wzór zatrzymany na ćwierć wieku. Przez resztę wieczoru, a nawet w istocie przez całą noc wszyscy możliwi Sethowie Mitchellowie na całej kuli ziemskiej przypominali sobie swe dzieciństwo. W większości jedynie się uśmiechnęli, wzruszyli ramionami czy też poruszyli we śnie. Ci, którzy mieszkali poza półkulą zachodnią w odległych strefach czasowych, przeważnie zaraz wrócili do swych normalnych zajęć.

Ale kilku z nich, niezależnie od miejsca pobytu, nie potrafiło zatrzeć w pamięci wspomnień przywołanych przez kryształ.

\* \* \*

Korzystając z pierwszej wolnej chwili już po wykradzeniu kryształu Edyta nachyliła się do panny Tilsit i zapytała:

— Kto to jest Seth Mitchell?

Tilsit była wysoką, kościstą blondynką, która spoglądała na świat zza okularów w rogowej oprawie niezwykle małymi, ale bystrymi szarymi oczkami. Edyta zorientowała się już, że Tilsit wie coś o wszystkim — nawet jeśli jest to wiedza powierzchowna — co zdarzyło się w Harkdale.

— Było dwóch chłopców — zaczęła Tilsit — Billi Bingham i Seth Mitchell. — Po czym z wyraźnym upodobaniem opowiedziała historię zniknięcia Billy'ego przed ćwierćwieczem, kiedy to on i jego kolega mieli zaledwie po dwaście lat.

— Seth Mitchell — zakończyła — twierdził, że bili się o jakiś znaleziony przez nich kamień. Przysięgał, że znajdowali się co najmniej piętnaście metrów od skały urywającej się w tym miejscu nad jeziorem; zawsze też utrzymywał, że Billy się nie utopił — choć wszyscy w to wierzyli. Sytuacja się komplikowała, ponieważ nigdy nie odnaleziono ciała Billy'ego.

Słuchając tej relacji Edyta próbowała skojarzyć przeszłość z teraźniejszością. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego dorosły już Seth Mitchell domagał się zwrotu pamiętki po tak tragicznym wydarzeniu. Jednak mężczyźni są dziwni. Wiedziała to dobrze, po pięciu latach oczekiwania na jakiegoś wartego zachodu mężczyznę, który by się tu zjawił i ją odkrył. Jak dotąd wyglądało na to, że jest równie dobrze schowana i niepotrzebna w małym Harkdale, co w tłumie w Nowym Jorku.

— Wypadki chodzą po ludziach — mówiła dalej Tilsit. — Seth był tak przygnębiony śmiercią przyjaciela, że stał się jakby cieniem człowieka. Ma farmę w pobliżu Abbotsville.

— To znaczy, że został rolnikiem? — zapytała Edyta porywczo.

— Tak mówią.

Edyta nie powiedziała nic więcej, ale w duchu pomyślała, że widocznie Tilsit nie jest takim znów wiarygodnym źródłem informacji, jak poprzednio sądziła. Kimkolwiek był Mitchell, wcale nie wyglądał na farmera.

Edyta musiała wydać czytelnikom kilka książek, tak więc na tym zarówno ich rozmowa, jak i jej myśli się urwały.

## II

Parę minut po wpół do dziesiątej Edyta zaparkowała wóz po przeciwnej stronie ulicy, na wprost wjazdu do motelu, gdzie — po krótkich poszukiwaniach — dostrzegła charakterystyczną sylwetkę złotego cadillaca Seta Mitchella.

Pod drzewem, gdzie przystanęła, było prawie ciemno i to podziało na nią uspokajająco. Ale nawet w tym bezpiecznym schronieniu czuła przyspieszone bicie serca i gorące wypieki na policzkach. Po co ja to robię? zapytała samą siebie.

Samokrytycznie przyznawała, że liczy na wakacyjny romans, co zupełnie nie miało sensu w przypadku kobiety w jej wieku — dwudziestosiedmioletniej — która, skoro zmienia taktykę z oczekiwania na dążenie do celu, powinna się skoncentrować na prawdziwym materiale na męża.

Raptownie została wyrwana z tych rozmyślań. Ze swego miejsca widziała drzwi domku, obok którego stał cadillac. Drzwi się otworzyły. Na tle oświetlonego wnętrza domku rysowała się sylwetka tego samego niskiego, przysadzistego mężczyzny, którego po południu widziała w towarzystwie Mitchella. Bezwiednie wstrzymała oddech; mężczyzna wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Ukazał się w głównej bramie motelu, a potem ruszył pośpiesznie w stronę centrum miasta, leżącego zaledwie o kilkaset metrów stąd.

I kilkaset metrów z powrotem, pomyślała chmurnie.

Szpiegując go czuła, że gaśnie w niej bodziec do dalszego działania. Nie brała dotąd pod uwagę, że ten niski, przysadzisty mężczyzna istotnie ma jakiś związek z Sethem Mitchellem.

Zrezygnowana, włączyła silnik. W drodze do domu doznała nagle uczucia poniżenia — nie przez to, co zrobiła, ale przez to, co miała zamiar zrobić.

Nie wiedziała dokładnie, jak powinna postępować w przyszłości. Ale nie w ten sposób! powiedziała sobie stanowczo.

W domu Edyta schowała torbę z kryształem do szafki pod zlewem, apatycznie zjadła kolację i poszła spać.

\* \* \*

Przysadzisty mężczyzna wrócił do motelu nachmurzony.

— Kamienia nie ma. Przeszukałem całą wystawę — powiedział do Setha Mitchella, zakneblowanego, leżącego na łóżku ze związanymi rękami i nogami.

Seth patrzył z niepokojem, jak tamten rozwiązuje mu nogi.

— Zastanawiałem się, co z tobą zrobić — mówił mężczyzna z irytacją w głosie. — Może najlepiej będzie zawieźć cię z powrotem do Nowego Jorku. Kiedy już będę daleko, policja nigdy mnie nie znajdzie.

Wyjął knebel. Seth nabrał głęboko powietrza. — Niech pan posłucha — za-protestował — wcale nie mam zamiaru iść na policję.

Urwał, zmieszany i przestraszony, dławiąc w sobie uczucie smutku. Ewentualność, że zostanie zabity, nie zaprzątnęła jednak jego myśli na długo. Nie on, Seth Mitchell, który wreszcie, po latach starań, ma wszystko, czego dusza zapagnie.

Tamtego dnia w południe przysadzisty mężczyzna podszedł doń z podejrzanym uśmiechem na parkingu przed jego biurem; facet był niski — nie więcej niż metr sześćdziesiąt — i krępy. Wyglądał jak Arab. Dobrze ubrany Arab, w amerykańskim garniturze. Podszedł doń i zapytał:

— Gdzie jest kryształ, który znaleźliście obaj z Billym Binghamem?

Tego, co by się stało, gdyby Seth odpowiedział mu natychmiast, teraz oczywiście nie można było już ustalić. On jednak nie od razu przypomniał sobie o kryształach, więc tylko potrząsnął głową.

Wówczas mężczyzna wyjął rękę z kieszeni marynarki. Trzymał w niej lśniący pistolet. Pod groźbą użycia broni Seth został zmuszony do pojechania do Harkdale i pokazania nieznanemu tego występu skalnego nad jeziorem Naragang, gdzie bił się wtedy z Billym. I właśnie tam, w tym miejscu, przypomniał sobie o kryształach; udał się więc, choć z oporami, do biblioteki i rozmawiał z młodą kobietą za biurkiem mając przez cały czas broń wymierzoną w plecy.

Przypomniawszy sobie nagle tę rozmowę Seth wyrzucił z siebie z rozpaczliwą nadzieją:

— A może to ta bibliotekarka. . .

— Może — odparł mężczyzna wymijająco.

Rozwiązał Sethowi ręce i cofnął się o krok, wskazując kierunek pistoletem. Wyszli, wsiedli do samochodu i odjechali.

Gdy znaleźli się nad brzegiem jeziora, mężczyzna rozkazał:

— Wsiadaj!

Seth wykonał rozkaz. Rozległ się strzał. Morderstwo zostało dokonane.

Zabójca przeciągnął zwłoki na skałę wznoszącą się nad jeziorem, obciążył je kamieniami i wrzucił w głębiny.

Następnie pojechał do Nowego Jorku, zostawił wóz Setha na parkingu i spędziwszy noc w mieście szykował się do powrotu do Harkdale.

Edyta tej nocy spała niespokojnie; śniło się jej, że wszystkie możliwe Edyty defilują przed jej łóżkiem. Tylko kilka z nich było mężatkami, co wstrząsnęło nią nawet we śnie.

Co gorsza, był tam również cały szereg Edyt Price od tłustych do wiotkich, o fałszywym spojrzeniu i umysłowo chorych. Kilka z nich wszakże miało szczególnie energiczny wygląd i to jej przywróciło wiarę w siebie.

Ocknęła się na dźwięk telefonu. Dzwoniła sprzątaczką z biblioteki:

— Niech pani tu lepiej zaraz przyjedzie. W nocy było włamanie.

Edyta doznała dziwnego, niesamowitego wrażenia.

— Włamanie do biblioteki? — upewniła się.

— Aha. Największy bajzel jest w muzeum. Ktoś myślał, że te kamyki są coś warte. Porzrzucał je po całej podłodze.

### III

Edycie Price ten szczupły młody człowiek w roboczym kombinezonie wydawał się właśnie prostym farmerem.

Zapisała jego imię i nazwisko: Seth Mitchell. I dopiero po chwili dotarło to do niej. Uniosła głowę, zdumiona.

Napotkała uporczywy wzrok mężczyzny o spalonej słońcem i wiatrem twarzy, zapadniętych policzkach i udręczonych oczach. A jednak, jak jej się zdawało, był uderzająco podobny do wczorajszego Seta Mitchella.

Nagle doznała olśnienia: to przecież jest ten Seth, o którym mówiła Tilsit. Widocznie istnieje cały ród Mitchellów, kuzynów i tak dalej, podobnych do siebie.

Nagle zdała sobie sprawę ze znaczenia słów, które wymamrotał.

— Kamień! — powtórzyła. — Kryształ, który ofiarował pan naszemu muzeum dwadzieścia pięć lat temu!

Mężczyzna skinał głową.

Sznurując usta Edyta pomyślała: A więc dobrze. Zbadajmy tę sprawę do końca.

Wykorzystawszy jej chwilowe zmieszanie mężczyzna wyjął z portfela banknot. Gdy go jej wręczał, zobaczyła, że jest to dwadzieścia dolarów.

Odzyskawszy panowanie nad sobą powiedziała swobodnym tonem:

— To duża suma za tak bezwartościowy kamień.

— To właśnie ten — wymamrotał niewyraźnie. Nie zrozumiała paru następnym słów, ale potem powiedział już wyraźnie: — ... wtedy, co zniknął Billy.

Zapadło milczenie, podczas którego Edyta usiłowała ochłonać z wrażenia, jakie wywarł na niej fakt, że ma istotnie do czynienia z prawdziwym Sethem Mitchellem.

Wreszcie powiedziała tonem zachęty:

— Słyszałam o Billym. To naprawdę niezwykły wypadek.

— Krzyknąłem na niego — powiedział Seth — żeby się wynosił, a on zniknął bez śladu. — W jego głosie czuło się napięcie; oczy stały się dziwnie bezbarwne na wspomnienie doznanego szoku. — Obaj złapaliśmy za ten kamień. A potem on zniknął.

Zdawało się, że ledwie dostrzega obecność Edyty. Mówił dalej, jakby do siebie:

— Cały lśnił. Nie tak jak później, kiedy zmatowiał. Nikt nie chciał mi uwierzyć... — urwał. — Rozmyślałem o tym przez wszystkie te lata — podjął po chwili, z przejęciem. — Bardzo długo dochodziłem do prawdy. Ale dziś w nocy wpadłem na to. Bo co innego mogło spowodować zniknięcie Billy'ego, jak nie ten kamień?

Edyta z niepokojem pomyślała, że to jest problem dla psychiatry, nie dla bibliotekarki. Przyszło jej do głowy, że najprościej byłoby oddać mu ten bezwartościowy kamień.

Ale oczywiście należało to zrobić z ostrożnością. Jediną niedyskrecją, jakiej się do tej pory dopuściła, było to, że poprzedniego dnia wypytywała Tilsit o Seta Mitchella. Podczas śledztwa prowadzonego przez policję w sprawie włamania do muzeum starannie zataiła własny związek z tą sprawą.

Tak więc, im prędzej pozbędzie się kryształ u ukrytego u niej w kuchni, tym lepiej.

— Jeśli zostawi mi pan swój adres — zaproponowała uprzejmie — zwrócę się do kierowniczkę i ona prawdopodobnie skontaktuje się z panem.

Niechętnie podał jej adres farmy w okręgu rolniczym Abbotsville.

Obserwowała go, zamyślona, jak idzie w kierunku wyjścia powłócząc nogami, a potem wychodzi na ulicę.

Tego wieczoru w drodze do domu Edyta przejechała obok motelu. Złoty Cadillac zniknął.

A więc koniec z tą głupią sprawą, pomyślała z ulgą.

\* \* \*

Jak zwykle zjadła późny obiad. Potem, upewniwszy się, że drzwi jej mieszkania są zamknięte, wyjęła papierową torbę spod zlewu — i od razu spostrzegła z niepokojem, że jest w niej mniej piasku.

Ogarnął ją nagły przestach, że kamień gdzieś przepadł. Rozłożyła gazetę i pośpiesznie opróżniła torbę. Gdy ziemia już się z niej wysypała, coś zaśniło.

Ze zdumieniem podniosła wspaniałą klejnot.

— Nieprawdopodobne — wyszeptała. — Tamten był matowy, a ten jest... cudowny.

Lśnił w jej ręku. Mienił się purpurowym blaskiem, jak gdyby składał się z tysięcy ruchomych, wirujących części. To tu, to tam, w jego głębi świetlisty promień



wzniecał szkarłatny blask. Te mieniące się barwy i promienie były tak olśniewające, że Edyta odczuła niemal szok optyczny.

Popatrzyła na kryształ pod światło — i ujrzała w jego wnętrzu rysunek. Ktoś wyrył we wnętrzu kamienia plastyczną mapę Układu Słonecznego i zabarwił ją. Był to niespotykany kunszt roboty szlifierskiej. Ogólne wrażenie barw czerwieni i purpury zdawało się pochodzić z gry światła odbijającego się od barwnego mikroskopijnego „słońca” i jego układu planetarnego.

Edyta ukryła kryształ z powrotem pod zlewem. Przyszła jej do głowy fantastyczna myśl, że kryształ posiada magiczną moc. Przypomniała sobie słowa farmera, że krzyknął na Billy’ego... może dźwięk ludzkiego głosu ma jakiś wpływ...

Wypróbowała to od razu, wymawiając pojedyncze słowa. Nic się nie wydarzyło. Rysunek w kryształach nie zmienił się. Zaczęła literować słowa, akcentując każdą głoskę.

Żadnego efektu.

Wypróbowała cały zasób dźwięków dostępnych jej głosowi — od niskiego kontraltu do absurdalnie przenikliwego sopranu. Nic.

Ponownie zaczęła się przypatrywać rysunkowi wewnątrz kamienia, trzymając kryształ pod światło, by lepiej widzieć. Wodziła wzrokiem po zarysie Układu Słonecznego i raptem, z nagłą determinacją, powiedziała dobitnie:

— Billy Bingham... chłopiec... chcę, by wrócił... już!

Po tych słowach, w ciszy, jaka po nich nastąpiła, czuła się coraz bardziej niezręcznie.

Zaginiony przed wielu laty chłopiec się nie pojawił. Bogu dzięki! pomyślała, nie mogąc złapać tchu.

\* \* \*

Następnego ranka Edyta wstała wcześniej. Powzięła już decyzję. Najwyższy czas pozbyć się tego, co zagraża jej równowadze umysłowej.

Przyjrząwszy się kryształowi dostrzegła, że rysunek wewnątrz się zmienił. Przedstawiał teraz sylwetkę ludzką obwiedzioną purpurowymi i czerwonymi punkcikami świetlnymi.

Rysunek był nadzwyczaj szczegółowy: ukazywał budowę szkieletu i główne narządy. Całą sylwetkę otaczała nawet niska mgiełka sugerująca istnienie delikatnej siateczki nerwów i naczyń krwionośnych.

Wpatrywała się, pochłonięta, w rysunek, póki nie zdała sobie nagle sprawy z tego, co robi.

Stanowczym ruchem włożyła kamień do niewielkiego pudełeczka, przysypała go świeżą ziemią — czytała, że kryształy potrzebują odżywki — zawinęła pudełko w papier i zaadresowała: Seth Mitchell, Rural Route 4, Abbotsville.

Zaraz też pojechała na pocztę. Po nadaniu przesyłki odniosła wrażenie, że już nie po raz pierwszy zrobiła coś pod wpływem impulsu.

Rozwaga przyszła za późno: przypuśćmy, że Mitchell przyśle do biblioteki list z podziękowaniem. Niestety, miała już raz okazję widzieć satysfakcję kierowniczkę w niezręcznej sytuacji, w jakiej znalazła się Edyta, absolwentka college'u, którą pannie Davis wcisnęła dyrektorka biblioteki. Nie sposób byłoby wyjaśnić, że to w romantycznym porywie ukradła kryształ... a kiedy ten impuls minął, jej jedynym pragnieniem było pozbyć się dowodu rzeczowego — co właśnie zrobiła.

A może by tak wrócić zaraz najbliższym autobusem do Nowego Jorku? pomyślała nagle rozżalona. Na zawsze porzucić tę małą zwariowaną miejscinę?

Był to u niej moment krańcowej depresji. Właśnie to uczucie przywiodło jej na myśl nie kończącą się serię podobnych nieprzemyślanych decyzji. Siedząc w stojącym przy krawężniku samochodzie pomyślała o tamtym pierwszym młodym mężczyźnie z college'u. Długo skrywane wspomnienia ożyły nagle. Straciła go właśnie na skutek gwałtownego impulsu: dała się porwać ruchowi, którego dewizą było hasło: Bóg umarł, więc teraz ty sam jesteś Bogiem; nie ma znaczenia, jak się postępuje wobec bliźnich, nie musisz odczuwać wyrzutów sumienia.

Litując się nad sobą pomyślała z nagłą udręką: Gdybym nie przyłączyła się do tej generacji „wolnych od winy”, teraz byłabym panią Staples.

Przypomniała sobie swój sen, i to ją wyrwało ze stanu apatii. Co za dziwny pomysł. Zaśmiała się mimo woli. Wysłanie kryształu najskromniejszemu ze wszystkich możliwych Sethów Mitchellów, pomyślała, nie było wcale rozsądne z mojej strony.

Gdy to rozważała, strach zniknął. Śmiechu warte! I cóż za dziwny sen. Czy można wiedzieć, jaka droga w życiu jest najlepsza, która decyzja, jaka filozofia i jakie jeszcze nowe doświadczenie? Najlepsze — w jakim sensie?

\* \* \*

Edyta siedziała przy biurku w bibliotece, kiedy weszła Tilsit z tym swoim szczególnym wyrazem twarzy. W ciągu sześciomiesięcznego pobytu w Harkdale Edyta nauczyła się już rozpoznawać ów wyraz, który oznaczał: mam ci coś ważnego do powiedzenia.

— Czytałaś gazetę? — zapytała Tilsit z triumfem w głosie.

Edyta domyśliła się, że chodzi o *Inquirer*a, czterostronicowy dziennik wydawany w Harkdale. Sama nadal czytywała *Times*a, chociaż przez lojalność prenumerowała i miejscową gazetę.

— Pamiętasz, pytałaś mnie kiedyś o Seta Mitchella? — mówiła Tilsit.

Edyta pamiętała o tym aż nadto dobrze, ale zachowała kamienny wyraz twarzy.

Tilsit otworzyła gazetę i podsunęła jej pod nos. Nagłówek aż bił w oczy: „Billy Bingham odnaleziony”

Edyta automatycznie sięgnęła po gazetę. Czytała:

„Dwunastoletni chłopiec, słaniając się na nogach, wynurzył się z zarośli nieopodal jeziora Naragang tuż po godzinie 22 i usiłował dostać się do domu, w którym Billy Bingham mieszkał dwadzieścia pięć lat temu. Aktualny lokator, John Hildeck, cieśla, odprowadził oszołomionego chłopca na posterunek policji. Stamtąd przewieziono go do szpitala”.

Edyta poczuła, że nogi się pod nią ugięły, ramiona zwiotczały, kolana odmówiły posłuszeństwa; wreszcie runęła na podłogę.

Kiedy oprzytomniała, leżała na połowce w pokoju wypoczynkowym, mając wciąż jasno i wyraźnie w pamięci ten nieprawdopodobny fakt: że rozkazała kryształowi sprowadzić z powrotem Billy’ego Bingham, a było to gdzieś między godziną dziewiątą i dziesiątą poprzedniego wieczora.

## IV

W Miami.

Seth Mitchell z tego rozśpiewanego miasta w swoim osobistym słownictwie nazywał Boga (czy też, jak myślał o nim czasem: Naturę lub Los) „Muzykiem”. W tej prywatnej terminologii życie jawiło mu się jako pełna gama dźwięków, muzyka zaś jako symfonia lub co najmniej koncert.

Ktoś tam, w górze, uznał go najwidoczniej za godny instrument. Miał bowiem pieniądze, dziewczyny, bajeczną sławę gracza na granicy ryzyka — wszystko bez ograniczeń, ponieważ jego orkiestra grała karnie i wrażliwie pod jego batutą. Wcale nieźle jak na prowincjonalnego chłopaka, który nauczył się melodii wielkiego miasta dopiero po dwudziestce.

Teraz jednak nagle wielki Muzyk zagrał cierpki ton.

Mitchell trzymał w ręku numer *Inquirera* z Harkdale zawierający notatkę o powrocie Billy’ego Bingham.

Wpatrywał się z uwagą w zdjęcie wystraszonego chłopaka, który wyglądał na jakieś dwanaście lat. Chłopak był podobny do Billy’ego i zarazem niepodobny. Mitchell dziwił się, że nie ma co do tego pewności. *Inquirer* usprawiedliwiał się, że gdzieś mu się zapodziało zdjęcie prawdziwego Billy’ego, a także podawał, że rodzice chłopca przenieśli się do Teksasu. Nikt jednak dokładnie nie wiedział dokąd.

Relacja kończyła się następująco: „Jedyną osobą, która mogłaby zidentyfikować Billy’ego, jest jego przyjaciel z dzieciństwa, Seth Mitchell. Nie znamy jednak jego aktualnego adresu”.

*Inquirer*, pomyślał ironicznie Mitchell, powinien sprawdzić listę swoich prenumeratorów z innych stanów.

\* \* \*

Następnego dnia.

Wszedłszy do sali nr 312 szpitala w Harkdale Mitchell ujrzał w łóżku po prawej stronie chłopaka patrzącego nań znad kolorowego magazynu. Chłopak wyglądał na przestraszonego.

— Nie bój się, Billy — powiedział Mitchell z życzliwym uśmiechem — jestem twoim przyjacielem.

— Tak samo mówił ten duży facet, a potem zrobił się bardzo nieprzyjemny — odparł chłopak, wciąż zaniepokojony.

Mitchell nie pytał go, kim był ten człowiek. Obok łóżka stało krzesło. Przysunął je sobie i powiedział łagodnie:

— Billy, to, co ci się przytrafiło, jest jak bajka. Najważniejsze, żebyś się nie przejmował.

Chłopak przygryzł wargi. Łzy potoczyły mu się po policzkach.

— Oni traktują mnie jak kłamczucha. Ten duży facet groził, że pójdę do więzienia, jeśli nie powiem im prawdy.

Seth Mitchell cofnął się pamięcią do tych dni, kiedy to podobni zniecierpliwieni ludzie nie wierzyli mu, gdy im opowiadał o zniknięciu Billy'ego. Zaciśnął wargi.

— Nic ci się nie stanie; postaram się o to. Ale wpierw muszę ci zadać parę pytań, o których być może nikt nie pomyślał. Jeśli nie zechcesz, nie musisz mi odpowiadać. Co ty na to?

— Dobrze.

Mitchell uznał to za sygnał do rozpoczęcia.

— Jak był ubrany Seth?

— W brązowe sztruksowe spodnie i szarą koszulę.

Mitchell doznał pierwszego rozczarowania. Liczył na to, że ów szczegół pobudzi jego pamięć. Ale nie. Z całej tej odległej przeszłości nie mógł sobie nawet przypomnieć, jakie nosił wtedy spodnie.

— Ty też miałeś sztruksy? — Był to strzał w ciemno.

— Tak. Są tutaj. — Chłopak wskazał szafkę w kącie.

Mitchell wstał, otworzył wskazaną szufladę i wyjął parę tanich spodni sztruksowych. Oglądał je zakłopotany, starając się nie przeoczyć szczegółów. Wreszcie schował je z powrotem, zawiedziony. Metka była oderwana. Nie mógł sobie przypomnieć, czy je kiedykolwiek przedtem widział.

Dwadzieścia pięć lat, pomyślał smętnie. Przeszłość przypominała gęsty welon z kilkoma przetartymi dziurami. Przez te dziury mógł dojrzeć przelotne chwile ze

swej przeszłości, pospolite wydarzenia z życia; na każde z nich pod wpływem nagłej emocji padało światło, lecz żadne nie było w pełni wyraźne.

— Billy — Mitchell znów usiadł na krześle, skupiony — wspomniałeś coś o próbie schwycenia jakiegoś błyszczącego kamienia. Gdzie go znalazłeś?

— Na występie skalnym. Prowadzi tam ścieżka znad jeziora.

— Czy przechodziłeś już kiedyś tamtędy?

Chłopak przytaknął.

— Parę razy, jak było zimno. Zazwyczaj Seth i ja woleliśmy trzymać się bliżej wody.

Mitchell pokiwał głową. Pamiętał to.

— A ten lśniący kamień — był duży?

— O tak, duży.

— Kilka centymetrów?

— Większy. Kilkanaście, słowo honoru. — Twarz chłopca jaśniała pewnością.

Mitchell zrobił przerwę, by sam ze sobą przedyskutować tę omyłkę. Kryształ miał w przybliżeniu osiem centymetrów w najdłuższym miejscu, w poprzek zaś nieco mniej. Chłopak, który ledwie rzucił nań okiem, nie mógł właściwie osądzać tej kwestii.

Ta argumentacja zaniepokoiła Mitchella: znajdował wytłumaczenia tam, gdzie nie powinno ich być. Zawahał się. Chciał się dowiedzieć, czy Billy rzeczywiście dotknął kryształu, ale nie miał pojęcia, jak pokierować rozmową.

— Według tego, co podano w prasie — zaczął — przyznałeś, że ten twój kumpel... no, jakże mu tam? — czekał na odpowiedź.

— Seth... Seth Mitchell.

— ... Seth Mitchell pierwszy dostrzegł kamień. Ale ty chciałeś mu go zabrać, prawda?

Chłopak przełknął ślinę.

— Nie miałem nic złego na myśli.

Mitchell nie zamierzał mu prawić morałów, dodał więc pośpiesznie:

— W porządku, Billy. Kiedy ja byłem mały, znaleziony przedmiot należał do tego, który go zdobył, a nie do tego, co tylko pierwszy go dostrzegł. — Uśmiechnął się.

— Ja tylko chciałem oddać go do muzeum — powiedział Billy.

Słowa te wywarły na Mitchellu piorunujące wrażenie. No oczywiście, pomyślał, teraz sobie przypominam.

Uświadomił sobie też, dlaczego o tym zapomniał. Kryształ, który zmatowiał po tym, jak go nosił w kieszeni, bibliotekarka przyjęła na wystawę niezbyt chętnie. Mruczała coś pod nosem, że nie chce zrażać dzieci. Tym samym zraziła go do tego stopnia, że zapomniał o tym fakcie aż do chwili obecnej.

Niemożliwe, aby oszust mógł znać takie szczegóły. A więc oznacza to, że Billy, kiedy zniknął...

Zawahał się, widząc nieprawdopodobieństwo takiej sytuacji. Jego lekarz mówił mu już, że zaburzenia psychiczne, takie jak u tego właśnie chłopca, wynikają zwykle ze skłonności do nadmiernego fantazjowania.

Zaczerpnął głęboko tchu.

— No dobrze. Jeszcze dwa pytania. O jakiej to było porze dnia?

— Poszliśmy z Sethem popływać po szkole — odparł Billy. — A więc było to późnym popołudniem.

— Rozumiem. W gazecie podano, że wróciłeś do domu około dziesiątej wieczorem. Gdzie byłeś między 16.30 a 22?

— Nigdzie — powiedział Billy. — Biliśmy się z Sethem o ten kamień. Ja upadłem. A kiedy się podniosłem, było już ciemno. Nie wiem, co się stało — mówił płaczliwie. — Chyba mnie tam zostawił leżącego.

Seth Mitchell wstał.

To nonsens, pomyślał nagle. Nadaję się tylko do psychiatrii.

Pomimo to zatrzymał się jeszcze w drzwiach i rzucił w stronę łóżka ostatnie pytanie:

— Czy ktoś cię jeszcze odwiedzał, to znaczy poza policją, tym dużym facetem i mną?

— Bibliotekarka.

— Bibliotekarka? — powtórzył Mitchell odruchowo.

— Chciała się dowiedzieć, o której dokładnie godzinie ocknąłem się nad jeziorem. Nazywa się Edyta Price i pracuje w bibliotece. Oczywiście nie wiedziałem tego.

To wszystko zupełnie nie miało sensu. Mitchell zaczął mówić szybko, udając przyjaźń, której wcale już nie odczuwał:

— No dobrze, Billy. Chyba będzie najlepiej, jak zostawię cię już z twoim komiksem. Bardzo dziękuję.

Wyszedł z sali, a potem ze szpitala. Zapłacił rachunek w hotelu, wsiadł do wynajętego samochodu, pojechał na lotnisko i poleciał z powrotem do Miami. Do czasu lądowania samolotu niepokojąca muzyka z okresu dzieciństwa zdążyła się już zatrzeć w jego pamięci.

Wyglądało na to, że wielki Muzyk go zawiódł. Chcąc mieć pewność, że to się nie powtórzy, postanowił nie przedłużać prenumeraty *Inquirera*.

\* \* \*

W Chicago.

Seth Mitchell (Agencja Detektywistyczna Setha Mitchella) wpatrywał się w mężczyznę wchodzącego właśnie do jego gabinetu i był przekonany, że ma halucynacje. Wreszcie zamrugał oczami.

— Czy ja zwariowałem? — powiedział.

Nieznajomy, dobrze zbudowany młody człowiek po trzydziestce, usiadł w fotelu przeznaczonym dla gości i powiedział z tajemniczym uśmiechem:

— Podobieństwo jest uderzające, prawda?

Mówił energicznym barytonem. Mitchell mógłby przysiąc, że to jego własny głos.

Opowiadając później Marge Aikens o tej wizycie, wyznał:

— Miałem wrażenie, że to ja sam siedzę na jego miejscu.

— Czego chciał? — zapytała Marge. Była to szczupła blondynka, dopiero po trzydziestce, z czym było jej do twarzy. Mitchell nosił się z zamiarem poślubienia jej pewnego dnia, gdy uda mu się już znaleźć na jej miejsce równie kompetentną sekretarkę.

— Jak wyglądał?

— Tak jak ja. Właśnie to staram ci się wytłumaczyć. Jak mój sobowtór. Miał nawet na sobie garnitur przypominający jeden z tych, jakie mam w domu. Nie sądz mnie zbyt surowo, Marge — mówił już błagalnie — ale jestem zupełnie rozbity. To wszystko jest tak niesamowite.

— Podał ci swój adres?

Mitchell z niewyraźną miną spojrzał na notatnik.

— Nie zapisałem.

— Czy powiedział, że znowu tu przyjdzie?

— Nie, ale dał mi tysiąc dolarów, a ja mu wypisałem pokwitowanie. To znaczy, że nas zaangażował.

— Do czego?

— To właśnie jest najbardziej absurdalne. Żąda, żeby mu znaleźć kryształ onyksu. Twierdzi, że widział go niedawno w prowincjonalnym muzeum na południe od Nowego Jorku. Nie pamięta gdzie.

— To może być albo bardzo trudne, albo bardzo łatwe. — Marge zamyśliła się. Zdawało się, że rozważa ten problem.

— Daj mi skończyć — powiedział Mitchell surowo. — Wiem, gdzie jest ten kryształ. Zastanów się nad tym, co powiedziałem. Znam ten rejon jak własną kieszeń. Urodziłem się tam, pamiętasz?

— Zupełnie wypadło mi to z głowy — odparła Marge. — Sądzisz, że uda ci się odnaleźć kryształ, ponieważ. . .

— Znajduje się w dziale wystawowym biblioteki publicznej w Harkdale, gdzie się urodziłem — powiedział Seth Mitchell. — To ja ofiarowałem go bibliotece i co dziwniejsze, śnił mi się niedawno.

Marge nie pozwoliła mu odbiec od tematu.

— I on przyszedł właśnie do ciebie? Ze wszystkich detektywów w Chicago wybrał jedyne go człowieka na całym świecie, podobnego do niego jak dwie krople wody i wiedzącego, gdzie znajduje się kryształ?

— Przyszedł do mnie.  
Marge ściągnęła swe piękne wargi.  
— Seth, to wprost fantastyczne. Nie trzeba było pozwolić mu odejść. Ty zawsze jesteś taki szorstki.  
— Dziękuję — odparł oziębło.  
— Dlaczego mu nie powiedziałaś, gdzie jest kryształ?  
— Miałem stracić tysiąc dolarów? Czasem detektywowi, jak lekarzowi, ludzie płacą za to, co on już wie.  
Marge wyciągnęła rękę.  
— Podaj mi swój notes.  
Przejrzawszy go zapytała, nie podnosząc wzroku:  
— Co masz zamiar zrobić?  
— No cóż, powiedziałem mu prawdę: że potrzebuję jeszcze kilku dni na skończenie pewnej roboty, a potem. . .  
Zamilkł. Gdy milczenie się przedłużało, kobieta podniosła wreszcie wzrok. Uspokoił ją wyraz jego twarzy: bystry, rozsądny, jak zwykle, gdy Seth był w swej najlepszej formie.  
Pochwyciwszy jej spojrzenie powiedział:  
— Byłoby błędem, gdybym się pojawił w Harkdale nie wyświeciliwszy uprzednio trzech czy czterech tajemnic. Na przykład, jak się to stało, że jest nas dwóch?  
— Nie masz żadnych krewnych?  
— Paru kuzynów.  
— Spotkałeś ich już kiedy?  
Potrząsnął głową.  
— Nie widziałem ich od śmierci mojej matki; miałem wtedy prawie dziewiętnaście lat. — Uśmiechnął się niewesoło. — Harkdale to nie takie miejsce, do którego się powraca. Ale rozwieję twoje podejrzenia: żaden z moich kuzynów nie jest do mnie podobny. — Wzruszył ramionami. — Broń Boże!  
— Sądzę, że kiedy tam pojedziesz — powiedziała Marge stanowczym tonem — powinieneś zmienić wygląd.  
— Na to możesz liczyć — usłyszała w odpowiedzi. — Musimy wykazać się inwencją.

\* \* \*

W innych miejscach ziemskiego globu dwudziestu kilku z ogólnej liczby 1811 Sethów Mitchellów — w której znajdował się także najlepszy ze wszystkich możliwych Sethów — także rozmyślało o kryształach, przypominając sobie sen sprzed kilku nocy i odczuwając napięcie i przeświadczenie, że nadciąga jakiś kryzys.

Seth Mitchell z Montrealu tak je opisał swej żonie:



— Nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że stoję przed ważną próbą. Pamiętasz, wspominałem ci o tym wczoraj rano, zaraz po przebudzeniu.

Jego żona, ładna blondynka, wykazująca typowe dla francuskich Kanadyjek praktyczne, lekceważące podejście do podobnych fantazji, pamiętała dobrze ten poranek i chciała się dowiedzieć, o jaką próbę mu chodzi.

— Mam wrażenie — odparł jej mąż ze smutkiem — że mogłem podejmować lepsze decyzje, dokonać w życiu czegoś więcej. Że nie jestem takim człowiekiem, jakim mógłbym być.

— Więc co z tego? — dociekała jego żona. — A kto nim jest? I co z tego wynika?

— Kaput. To z tego wynika.

— Co przez to rozumiesz? — zapytała ostro.

— No, kaput. — Wzruszył ramionami. — Przykro mi, że jestem w podłym nastroju, moja droga, ale tak to właśnie odczuwam. Ponieważ się nie sprawdziłem, zostanę spisany na straty.

Jego żona westchnęła:

— Matka ostrzegła mnie, że wszyscy mężczyźni przed czterdziestką mają zwariowane pomysły. No i masz!

— Powiniennem być dzielniejszy, zostać kimś — jęczał.

— A czy to coś złego być konsultantem w sprawach podatkowych? — zapytała.

Zdawało się, że nie usłyszał.

— Odczuwam potrzebę odwiedzenia mego rodzinnego miasta — mówił z troską w głosie.

Żona ujęła go za ramię.

— Idź zaraz do doktora Ledoux — powiedziała mu. — Musisz się przebadać. Doktor Ledoux nie doszukał się żadnych niepokojących objawów:

— Prawdę mówiąc, ma pan końskie zdrowie.

Seth Mitchell z Montrealu musiał więc uznać swój nagły niepokój za bezsensowny. Postanowił jednak odwiedzić Harkdale, gdy tylko zakończy pewną sprawę.

## V

Usłyszała nagle męski głos z lekkim cudzoziemskim akcentem:

— Panno Price, chciałbym z panią pomówić.

Mężczyzna stał w półmroku, między garażem i domem, w którym wynajmowała mieszkanie, zagradzając jej drogę.

Zatrzymała się gwałtownie.

Nim zdołała się odezwać, mężczyzna już mówił dalej:

— Co pani zrobiła z kryształem?

— Ja... nie... rozumiem.

Wymówiła te słowa automatycznie. Teraz już wyraźniej widziała swego rozmówcę; był to mężczyzna o krępej, przysadzistej budowie ciała. Raptem rozpoznała w nim tego człowieka, który towarzyszył sobowtórowi Setha Mitchella, właścicielowi złotego cadillaca.

— Panno Price, to pani zabrała kryształ z wystawy. Albo mi go pani odda, albo powie, co z nim zrobiła, i na tym koniec.

Edyta odczuwała przygnębienie, że postąpiła niemądrze i z tego powodu nie może się do swego czynu przyznać, nawet przed nieznanym.

— Nie wiem, o czym pan mówi — wyszeptwała.

— Panno Price! — Mężczyzna wynurzył się z półmroku. Ton jego głosu był pojednawczy. — Chodźmy do pani mieszkania i porozmawiajmy o tej sprawie.

Propozycja ta wpłynęła na Edytę uspokajająco. Tuż za ścianą jej mieszkania znajdowali się przecież inni lokatorzy.

Niewiarygodne wprost — później uznała to za niewiarygodne — jak od razu zaufała temu człowiekowi; ruszyła za nim niczego nie podejrzewając. Dlatego też jej zaskoczenie było całkowite, gdy naraz uwięził w uścisku jej ramiona i całe ciało, równocześnie twardą dłonią zasłaniając jej usta.

— Mam broń! — szepnął.

Na wpół sparaliżowana pogroźką uświadomiła sobie, że mężczyzna niesie ją ku bocznej alejce. Pozwoliła wsadzić się do samochodu zaparkowanego tuż przy ogrodzeniu.

Mężczyzna usiadł obok i wpatrywał się w nią, w zupełnych prawie ciemnościach. Nie mogła dojrzeć wyrazu jego twarzy. Po upływie kilku sekund, gdy nic złego się nie stało, serce przestało jej łomotać.

— Kim pan jest? Czego pan chce ode mnie? — wykrztusiła.

Mężczyzna zaśmiał się szyderczo:

— Jestem najgorszym ze wszystkich Athtarów z XXXV wieku. — Znowu zachichotał, jeszcze bardziej ponuro. — Ale okazało się, że mam znaczną zdolność przetrwania.

W jego głosie pojawiło się napięcie. — W epoce, z której przybywam, jestem fizykiem. Wyczułem, że grozi mi niebezpieczeństwo, i zbadałem kluczowy aspekt właściwości kryształu w oznaczonym czasie. W kontakcie z ludźmi uaktywnia się on na skutek wibracji ciała pochodzącej ze wszystkich komórek. Odtwarzając tę wibrację kryształ stwarza nowego osobnika. I odwrotnie — kasując wibrację unicestwia go. Odkrywszy to — skoro nie byłem punktem orientacyjnym dla kryształu w mej epoce — po prostu ustawiłem barierę na poziomie wibracji mojego ciała i tym samym ocaliłem życie, podczas gdy kryształ zniszczył kopie wszystkich pomniejszych Athtarów.

W głosie mężczyzny pojawiło się przygnębienie. — Najwidoczniej jednak — dodał — pozostaję z nim związany na pewnym poziomie: gdy on się cofnął w czasie do XX wieku, ja również się tu znalazłem, ale niestety nie tam, gdzie on, lecz w zeszłym tygodniu nad brzegiem jeziora Naragang. Co za szczególny zawity system wewnętrznego przepływu energii musi posiadać ten kamień! — zakończył ze zdumieniem w głosie. — Niech pani sobie tylko wyobrazi: wędrując w czasie musiał wykryć ten swój dwudziestopięcioletni okres braku aktywności i przeniósł mnie do momentu parę dni przed chwilą swego reaktywowania.

Zamilkł; wokół panowała ciemność. Edyta zaryzykowała nieznaczne poruszenie: zmieniła pozycję, by wyprostować zdrętwiałą nogę. Ponieważ jej w tym nie przeszkadzał, zapytała szeptem:

— Dlaczego pan mi o tym wszystkim mówi? To czyste szaleństwo!

Wygłosiła ten banał, uświadamiając sobie, że sama również padła ofiarą tego szaleństwa uwierzywszy każdemu jego słowu. Faktycznie muszę być jedną z pomniejszych Edyt, pomyślała w odruchu samokrytycyzmu. Zdusiła w sobie chęć wybuchnięcia histerycznym śmiechem.

— Potrzebuję od pani informacji — odparł najgorszy z możliwych Athtarów.

— Nic nie wiem o kryształach.

— Chcę, żeby mi pani powiedziała — ciągnął nieubłaganie — czy kiedyś przyszło pani na myśl, że można było wybrać inną drogę w życiu zamiast pozostać już na zawsze bibliotekarką w Harkdale?

Widziany z bliska, w jasnym świetle dnia, na wyludnionej w niedzielny ranek ulicy Nowego Jorku — krępy, o nabrzmiałej twarzy i szarej cerze — wydał jej się zupełnie niepociągający. Aż dziw, że go poznała.

— Dlaczego nie pozwoli mi pani z nią porozmawiać? — zapytał cicho.

Edyta ledwie go słyszała. Z ust wyrwało się jej pytanie, które męczyło ją nieprzerwanie przez dwie doby i o którym zapominała jedynie we śnie:

— Czy pan naprawdę jest z XXXV wieku?

Rzucił jej szybkie, przenikliwe spojrzenie i pojawił się widocznie, jak jest udręczona, odparł:

— Tak.

— Czy wszyscy są tam podobni do pana? Pańskiego wzrostu, z taką cerą?

— Zostało ustalone — powiedział urzędowym tonem — że przysadzista budowa ciała jest przydatniejsza. Było to kilkaset lat przed moim urodzeniem. Niczyj wzrost nie przekracza więc 177 centymetrów.

— Skąd pan wie, że jest pan najgorszym z możliwych Athtarów?

— W mojej epoce — brzmiała odpowiedź — posiadanie broni jest przestępstwem, a nie dotyczy to tylko członków Gildii Uczonych. Stąd też władza polityczna i ekonomiczna jest częścią nagrody we współzawodnictwie o pozycję w Gildii. W swych dążeniach do awansu wiele razy pragnąłem się znaleźć,

względnie bezpieczny, pośród szarych, bezbronnych mas. A kryształ, stwarzając pozostałych Athtarów, spełnił to życzenie.

W wypowiedzi tej zawarta była aluzja, że brak skrupułów nie jest właściwą odpowiedzią, właściwą drogą. Edyta westchnęła zawiedziona i przypomniała sobie jeszcze inne swe wątpliwości. Opowiedziała mu o dwóch rysunkach, jakie widziała w kryształ: jednym — Układu Słonecznego i drugim — sylwetki człowieka. Czy on wie, co one oznaczały?

— Gdy zobaczyłem kryształ po raz pierwszy — odparł Athtar — ujrzałem w nim obraz naszej galaktyki. To później zmienił się on w Układ Słoneczny. Tak więc to, co pani oglądała, zostało widocznie przeniesione z mojej epoki, w której ludzkość zamieszkuje wszystkie planety. Obraz widziany przeze mnie widocznie wywodzi się z czasów, gdy człowiek wyruszył na podbój galaktyki. Może to znaczyć, że kryształ dostosowuje się do ery, w jakiej się znajduje. Dlaczego jednak sylwetka ludzka, a nie obraz Ziemi z tej epoki? Czy to była sylwetka kobiety, czy mężczyzny?

Edyta nie potrafiła sobie tego przypomnieć.

Stojąc przed nią w jasny słoneczny dzień na zakurzonej wąskiej uliczce Athtar potrząsnął głową. Na jego brzydkiej twarzy odmalował się podziw pomieszany z lękiem.

— Taki mały przedmiot, a posiada tak niezwykłą moc — powiedział na wpół do siebie. — To na pewno potencjalne wzory przepływu. W takim kryształ jest za mało atomów, by mógł kontrolować tyle zjawisk.

Tym samym odpowiedział na jej następne pytanie, lecz mimo to zadała mu je. Athtar westchnął:

— Nie, kryształ z całą pewnością nie pochodzi z XXXV wieku. Pojawił się nagle. Sądzę, że cofał się w czasie z dalekiej przyszłości, skokami co piętnaście wieków.

— Ale dlaczego wysłano go w przeszłość? — zapytała zdziwiona. — Po co? Mały przysadzisty człowieczek popatrzył na nią, zaskoczony:

— Nie przyszło mi do głowy, że kryształ mógł zostać wysłany w przeszłość celowo. To jest niezwykle cenne urządzenie i przypuszczaliśmy, że trafił do nas przypadkiem. — Zamilkł, potem znów zapytał: — Dlaczego nie pozwala mi pani zobaczyć się z tą drugą Edytą Price? Wraca pani do Harkdale? Jeśli znajdzie kryształ, zawiadomę panią.

Chciał jej dać w ten sposób do zrozumienia, że ma zamiar z nią współdziałać. W gruncie rzeczy jednak myślał o tym, że kryształ nie będzie dlań użyteczny, jeśli nie odszuka i nie zabije tej Edyty, która jest jego punktem orientacyjnym.

Edyta wątpiła, czy może wierzyć temu człowiekowi. Ale przyszło jej na myśl, że Athtar może posiadać broń z XXXV wieku i dlatego — z pozycji siły — wspomniałomyślnie zaproponował jej współpracę.

Z tak zatrważającymi przeczuciami, nie mając żadnego planu działania na własną rękę, zgodziła się.

Patrzyła, jak Athtar wsiada do lśniącego nowego wozu i odjeżdża wąską uliczką. Odnotowała machinalnie w pamięci, że samochód jest średniej wielkości. Nie należała do osób, które interesują się nowymi modelami samochodów, więc nim zdążyła się zastanowić, co to za marka, było już za późno. Również poniewczasie olśniło ją, że mogła spojrzeć na tablicę rejestracyjną.

Cóż ze mnie za trzeciorzędna Edyta, pomyślała ironicznie.

Ledwie zauważyła, że obok niej hamuje jakiś samochód. Wysiadła z niego młoda kobieta i niedbałym krokiem szła w jej kierunku, jakby zmierzając do budki telefonicznej.

Nagle postąpiła krok ku Edycie i zapytała:

— Czy panna Price?

Edyta odwróciła się.

Ujrzała bystrą, żywą twarz trzydziestoletniej, nieznanym blondynki. Nie odczuwała wprawdzie strachu, lecz odruchowo cofnęła się o parę kroków.

— T... tak — odparła.

Kobieta zawołała w stronę samochodu:

— W porządku, Seth.

Seth Mitchell wysiadł i podszedł do nich szybkim krokiem. Był dobrze ubrany, jak właściciel złotego cadillaca, ale istniała między nimi drobna różnica: ten miał bardziej stanowczy, bardziej zdecydowany wyraz twarzy.

— Jestem detektywem — powiedział. — Co to za mężczyzna, z którym pani rozmawiała?

I wkrótce Edyta opowiedziała im całą historię.

\* \* \*

Edyta przypomniała sobie cały szereg spontanicznych odruchów po nadaniu przesyłki z kryształem.

— Tak było — szepnęła.

— Niech mi pani o tym opowie — rzekł mężczyzna.

Opowiedziała mu o tym, jak przyszło jej na myśl, by wsiąść do najbliższego pociągu lub autobusu i wyjechać stąd.

Mężczyzna odchylił się na siedzeniu. Wydawał się dziwnie odprężony.

— Czyżby pani była najlepszą ze wszystkich możliwych Edyt Price? — zachichotał.

Edyta milczała. Właśnie zaczęła odczuwać, że może zaufać temu człowiekowi, że p o w i n n a mu powiedzieć, gdzie jest kryształ.

— Jestem przekonany — mówił dalej Athtar — że Edyta Price, która jest punktem orientacyjnym dla kryształu w XX wieku, siedzi właśnie w tym autobusie lub szuka schronienia gdzie indziej i dlatego grozi pani to samo co mnie — unicestwienie, gdy kryształ wyselekcjonuje tę najdoskonalszą Edytę Price.

W tym właśnie momencie Edytę ogarnęła groza. Później ledwie zdawała sobie sprawę, że bełkocze jakieś słowa.

Słuchając tych rewelacji Athtar stłumił w sobie odruch, by zabić ją od razu. Musiał działać rozważnie, gdyż jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego, jedynie ta Edyta będzie mu mogła pomóc odnaleźć pozostałe.

Przemówił więc do niej uspokajająco, wypuścił ją z samochodu i obserwował, jak oddala się chwiejnym krokiem... bezpieczna... jak sądziła.

## VI

List brzmiał: „Nie ma go tutaj. Kamienia też. Farma jest opuszczona. Czy pani mnie oszukała? Athtar”.

Gdy czytała te słowa po raz pierwszy, przebiegł ją dreszcz; zwłaszcza przerażała ją ostatnia linijka. Ale już po dziesiątym razie była bardziej zdecydowana. Jeśli cała ta historia jest prawdziwa, pomyślała, powinnam... Ale co? Być dzielna? Rozważyć wszystko? Działać zdecydowanie?

Była sobota.

Przed pójściem do pracy kupiła w sklepie żelaznym mały pistolet. Chodziła często na strzelnicę z drugim ze swych chłopaków z college'u, owym właśnie wyznawcą radosnego poglądu, że Bóg umarł, więc człowiek może robić wszystko, na co ma tylko ochotę, byle tylko potrafił uniknąć więzienia. Ostatecznie porzucił ją, prawdopodobnie nie czując się wcale odpowiedzialny za odebranie jej człowiekowi, który mógł jej włożyć ślubną obrączkę.

To dzięki niemu właśnie nauczyła się strzelać. Wsunęła pistolet do torebki — i poczuła, jak utwierdza się w postanowieniu, że nadeszła pora, by ona zaczęła się doskonalić.

Pozostawała jedna tylko wątpliwość: czy gotowość do strzelania w obronie własnej stanowi krok naprzód czy wstecz na drodze, by stać się najlepszą ze wszystkich możliwych Edyt Price?

Tego dnia Tilsit czekała na nią w bibliotece z nowym wycinkiem:

### ZNIKNIĘCIE MŁODEGO FARMERA

Seth Mitchell, farmer z Abbotsville, od kilku dni nie przebywa na swej farmie. Jego sąsiad, Carey Grayson, który odwiedził go wczoraj, by kupić ziarno siewne, zastał nie wydojone krowy, głodnego konia

w stajni, nie nakarmione kurczęta. W domu nie było nikogo. Grayson nakarmił zwierzęta, a potem skontaktował się z kuzynem Mitchella, zamieszkałym w sąsiednim okręgu, i zawiadomił szeryfa. Rozpoczęto dochodzenie.

Edyta zwróciła gazetę, z jakąś nic nie znaczącą uwagą. To właśnie zastał Athtar, pomyślała.

Zadrzała pomimo swej wcześniejszej stanowczości. Wydało się jej, że już nie ma odwrotu i że musi zdecydowanie wprowadzić w czyn to, co postanowiła.

\* \* \*

Niedziela.

Edyta pojechała do Nowego Jorku i zaparkowała samochód dwie przecznice od niewielkiego żeńskiego pensjonatu, w którym poprzednio mieszkała. Z pewnością, pomyślała, jest to miejsce, do którego przybyłaby przynajmniej jedna z wersji Edyty.

Zadzwoiła z automatu do hotelu i zapytała o Edytę Price. Nastąpiła chwila ciszy; potem usłyszała głos recepcjonistki:

— Telefon dzwoni, proszę czekać.

Edyta uczuła, że nagle brak jej tchu, i odłożyła słuchawkę. Stała w kabinie bez sił, z zamkniętymi oczyma. Nie uświadamiała sobie nawet teraz, czego się właściwie spodziewała. Czy to możliwe, żebym była jedyną Edytą, która wie o istnieniu innych? pomyślała z nadzieją. Czy daje mi to jakąś przewagę nad tymi nieświadomymi?

A może jest gdzieś już Edyta Price, która w naturalny sposób stała się najlepsza ze wszystkich?

Nagle jej uwagę zwrócił przysadzisty mężczyzna stojący obok kabiny, częściowo poza zasięgiem jej wzroku. Kogoś jej przypominał.

Wrażenie, że zna tego kogoś, nasiliło się gwałtownie. Wyprostowała się i odwróciła.

Athtar!

Edyta Price, która wyszła z kabiny telefonicznej, była roztrzęsiona i wcale nie dzielna. Ale te dwa dni strachu i wisząca nad nią groźba przeobraziły ją. Do tej pory była smutną młodą kobietą, pełną obaw, by jej błędy nie doprowadziły ją do zguby. Teraz też czasem drżała z niepokoju, ale zaraz zaciskała wargi i surowo, realistycznie patrzyła na życie.

Widok Athtara przyprawił ją o niepokój. To także było konsekwencją

Wszyscy troje wstąpili na kawę, by dalej prowadzić emocjonującą dyskusję. Edycie wiadomość, że dwoje detektywów przebywało przez dwa dni w Harkdale i tam wpadło na jej ślad, ponieważ dzwoniła do szpitala i dowiadywała się

o Billy'ego Bingham, przyniosła zarówno ulgę, jak i obawy. Odnalazłszy ją zdali sobie sprawę, że krępy mężczyzna również śledzi jej kroki. I tak tego ranka nie jeden, lecz trzy samochody wyruszyły w drogę do Nowego Jorku — Edyty, Athtara i tych dwojga.

Wymiana informacji trochę trwała i w jej trakcie wypili kilka filiżanek kawy. Edyta co prawda odmówiła sobie ostatniej filiżanki, nagle dochodząc do wniosku, że kawa prawdopodobnie nie jest dobra dla ludzi i że kryształ mógłby ją później osądzić na tej podstawie. Uśmiechnęła się blado na myśl, jak się poświęca. Zupełnie jakby Bóg wcale nie umarł.

Kiedy już opuścili restaurację, Seth Mitchell zadzwonił do drugiej Edyty Price. Wyszedł z kabiny, zaniepokojony.

— Telefonistka z centrali mówi, że panna Price wyszła z jakimś mężczyzną około dwudziestu minut temu. Obawiam się, żeśmy się spóźnili.

Z opisu Edyty wywnioskował, że Athtar to niebezpieczny człowiek. Postanowili czekać na powrót drugiej Edyty. Czekali w Nowym Jorku aż do jedenastej wieczór, lecz młoda kobieta nie wróciła do hotelu.

\* \* \*

I nigdy już nie wróci. Od kilku godzin jej ciało obciążone kamieniami, z kulą w mózgu, leżało na dnie East River.

Kryształ należał teraz do Athtara.

Ku jego głębokiemu rozczarowaniu okazało się, że ta Edyta nie jest punktem orientacyjnym kryształu. Wobec tego spędził wieczór i część nocy na przygotowywaniu elementów budowanej przez siebie specjalnej broni. Miał dziwne przeczucie, że będzie jej potrzebował w nadchodzącym dniu przeciwko Edycie, która — jak sądził — wróciła do Harkdale.

## VII

Ponieważ zrobiło się już późno, a do drugiej Edyty mogli zadzwonić rano z Harkdale, cała trójka — Edyta i para detektywów — tuż po jedenastej wyruszyła dwoma samochodami. Seth Mitchell na prośbę Edyty prowadził jej wóz. Marge Aikens jechała za nimi większym autem.

W drodze detektyw powiedział Edycie, że to ją właśnie uważa za oryginalną Edytę Price i punkt orientacyjny kryształu. Sądzi także, iż to jej opinia o farmerze Sethcie jako najgorszym z możliwych przyniosła zgubę temu niefortunnemu duplikatowi. Kamień zaakceptował jej osąd i prawdopodobnie unicestwił farmera, ledwie zaadresowana doń przesyłka została nadana na poczcie.



Edyta była zaskoczona nieubłaganą logiką tego rozumowania.

— Ależ — wyszeptała — ja przecież wcale tego nie chciałam. — Łzy spływały jej po policzkach. — Och, biedny człowiek!

— Naturalnie, że pani tego nie chciała — usłyszała w odpowiedzi. — A teraz, by się upewnić, że dobrze wszystko słyszałam, proszę mi jeszcze raz opowiedzieć, kiedy pani wydała ten osąd. Czy to było przed, czy też już po tych odruchowych decyzjach, by wyjechać z Harkdale?

— Och, już po.

— I jeśli dobrze panią zrozumiałem, chciała pani pójść na pocztę i poprosić o zwrot nadanej przesyłki?

— Tak, myślałam o tym. Ale nie zrobiłam tego — dodała.

— Przypuszczam, że przynajmniej jedna z pozostałych Edyt wróciła tam jednak — powiedział detektyw.

— To wszystko takie poplątane — powiedziała Edyta. — Jak mogłaby któraś Edyta tak sobie po prostu odejść, zostawiając ubranie, pieniądze, samochód?

— Myślałem o własnej przeszłości — powiedział Seth. — Najwyraźniej kryształ potrafi usunąć wszelkie z tym związane komplikacje. Na przykład nigdy dotąd nie myślałem o powrocie do Harkdale. Nawet mi to nie przyszło do głowy. — Urwał. — Ale pani nie ma takich luk w pamięci?

— O ile wiem, to nie.

Seth Mitchell skinął głową.

— Tak właśnie zrozumiałem. Sądzę, że znam już rozwiązanie całej tej zwariowanej historii — i nawet nie musimy wiedzieć, gdzie znajduje się teraz kryształ.

\* \* \*

Jego rozumowanie było proste. Przywracając na jej polecenie Billy'ego Bingham, kryształ pozostawił chłopca około trzech kilometrów od miejsca, w którym zniknął. Co prawda Edyta w tym czasie trzymała kryształ w ręku. Ale inaczej było z jej negatywną opinią o farmerze, która zrodziła się już po nadaniu przesyłki z kryształem na poczcie, gdy ona znajdowała się co najmniej o sto metrów od urzędu pocztowego.

Więc skoro ta ocena unicestwiła chorego psychicznie farmera, to odległość człowieka będącego punktem orientacyjnym — w tym przypadku jednej z Edyt Price — od kryształu nie odgrywa roli.

Edyta milczała.

— Nie zgadza się pani ze mną? — zapytał detektyw.

— Zastanawiam się — odparła — czy ja rzeczywiście jestem punktem orientacyjnym.

— Jutro to sprawdzimy.

— A co z Athtarem? — spytała. — Wciąż mi się wydaje, że on ma jakąś specjalną broń. A poza tym kryształ nie oddziałuje na niego. I co teraz?

— To już moje zmartwienie — odparł Seth Mitchell.

Edyta przypomniała sobie właśnie, o co zapytał ją Athtar w związku z rysunkiem sylwetki ludzkiej wewnątrz kryształu: czy była to postać kobiety, czy mężczyzny? Teraz po raz pierwszy usiłowała sobie to przypomnieć. Siedząc w ciemności obok Mitchella zdawała sobie sprawę z dwu różnych torów, jakimi biegają jej myśli.

Pierwszy — usiłuje sobie wyobrazić sylwetkę w kryształach.

Drugi...

## VIII

Patrzyła na profil prowadzącego w milczeniu wóz mężczyzny. Jakież on bystry, myślała. A jednak z pewnością zwyczajny detektyw, bez względu na to jak przenikliwy, nie może być najlepszym z możliwych Sethów Mitchellów. Człowiek o takiej profesji zajmuje gdzieś miejsce pośrodku — a w tym przypadku znaczy to samo, co być najgorszym.

I detektyw zniknął.

Przez dłuższą chwilę samochód, pozbawiony nagle kierowcy, jechał prosto. Szybkość sięgająca setki, naturalnie zaczęła maleć, gdy zabrakło nogi na gazie.

Z okrzykiem przestraszenia Edyta uchwyciła kierownicę. Samochód zatańczył gwałtownie. Po chwili ujęła ją już pewniej i nie wypuszczając jej z rąk przesunęła się na siedzeniu, by dosięgnąć hamulca. Zjechała na pobocze i stanęła. Siedziała w całkowitym otępieniu.

Marge zwolniła natychmiast, gdy tylko spostrzegła, że coś jest nie w porządku. Przystanąła za samochodem Edyty, wysiadła z wozu i podeszła do okna od strony kierowcy.

— Seth — zaczęła — co...

Edyta pchnęła drzwiczki i cała drżąc wyszła na szosę. Ogarnęła ją szalona chęć ucieczki. Jej ciało było jak obce, w głowie czuła przejmujący ból. Jak przez mgłę słyszała swoją bełkotliwą relację o tym, co zaszło.

Chwilę trwało, zanim jej chaotyczne słowa trafiły do jasnowłosej kobiety. Nagle Marge krzyknęła, a Edyta poczuła, jak tamta chwytła ją za ramiona, potrząsała nią i wołała bez tchu:

— Ty głupia wariatko! Ty głupia wariatko!

Edyta próbowała się wyrwać, ale palce Marge wczepiły się w jej suknię.

Szarpanie sprawiało jej ból. Rozbolała ją szyja, potem ramiona. Muszę być ostrożna, pomyślała. Nie mogę nic powiedzieć ani zrobić, co by ją dotknęło.

Ta myśl przywróciła jej równowagę psychiczną. Dopiero wówczas spostrzegła, że Marge ma atak hysterii: szarpanie było automatyczną reakcją kogoś, kto z rozpaczy postradał zmysły.

Edyta poczuła litość. Mogła się z łatwością uwolnić. Uderzyła Marge lekko w twarz — raz, dwa, trzy razy. Młoda kobieta puściła ją i oparła się o samochód łkając.

— O mój Boże! — rozpaczała.

Z ciemności dolatywały podmuchy zachodniego wiatru. Co chwila reflektory przejeżdżających samochodów omiały całą scenę. Obie kobiety, odzyskawszy już względną równowagę ducha, dyskutowały nad problemem. Edyta spróbowała przywołać pracodawcę Marge za pomocą tego samego rozkazu, co w przypadku Billy'ego Bingham.

— Niech Seth Mitchell, detektyw, pojawi się tu natychmiast!

Miała przeczucie, że to nic nie pomoże — Sethowie Mitchellowie niewątpliwie byli przeznaczeni do eliminacji jeden po drugim. I rzeczywiście nie pomogło.

Minuty mijały. I chociaż wykrzykiwała swe zakłęcie w nocną ciszę na rozmaite sposoby, nie było nawet śladu po zaginionym Secie, którego obecność na pół dnia wniosła do całej sprawy poczucie pewności, jakie pochodzi od osób o wysokiej inteligencji i stanowczej postawie.

W końcu obie kobiety wyruszyły, każda swoim wozem, w stronę Harkdale. Marge miała zarezerwowany pokój w hotelu, więc pojechała tam, natomiast Edyta, znużona, wróciła do wynajmowanego przez siebie mieszkania.

Była prawie czwarta nad ranem, gdy wreszcie dotarła do siebie. Położyła się spać w ubraniu. Już prawie zasypiała, gdy przejął ją naraz głęboki lęk. Czy najlepsza ze wszystkich możliwych Edyt mogłaby do tego stopnia zaniedbać higienę osobistą?

Wyczerpana do ostateczności zwlokła się z łóżka, rozebrała, wykapała, wyczyściła zęby, uczesała się, wyjęła pościel i włożyła czystą piżamę.

Przebudziła się gwałtownie tuż po wpół do szóstej z myślą, że nie może sobie pozwolić na konformizm. Wszystkie te toaletowe zabiegi są jedynie rutyną stosowaną od najmłodszych lat i niekoniecznie mają coś wspólnego z życiem, jakie się wieść powinno.

Zasnęła mając przed oczyma cały szereg buntowniczych Edyt, z których każda odznaczała się jakąś specyficzną, szlachetną i wartościową cechą charakteru.

Gdy znów się ocknęła, na dworze było już jasno. Przyszło jej na myśl, że wszystkie te wymuszone wizje zostały gdzieś prawdopodobnie wykreowane przez kryształ. I tak z pewnością istnieje już Edyta-bitniczka i Edyta-hippiska, a także jeszcze bardziej awanturnicze Edyty.

Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jaki to różnorodny wachlarz wcieleń brała pod uwagę w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin: od Edyt bezwzględnych,

umiejących zabijać z zimną krwią, aż — odwrotnie — po superkobiece, słodkie, prowokujące kusicielki.

— To i tak wszystko na nic — wyszeptała do siebie leżąc na łóżku. — Decyzja prawdopodobnie zapadnie tak samo arbitralnie, jak zrodziła się moja własna odruchowa krytyka nie umiającego się wystawić farmera i męznego — choć jednak nie całkiem doskonałego — detektywa.

Nie mając kryteriów pasujących do XX wieku kryształ unicestwił silnego, dobrego człowieka tylko na podstawie sądu osoby, która przez przypadek stała się dlań punktem orientacyjnym. Tak więc przyszłość wszystkich Sethów i Edyt, nie wyłączając tych prawdziwych, maluje się w ciemnych barwach.

Kiedy znów się obudziła, trzeba już było wstawać i iść do pracy — i jeszcze trochę zastanowić się nad tym, jaka powinna być doskonała Edyta.

Ubierając się wyjrzała przez okno, skąd roztaczał się widok na dalekie błękitne wody Naragangu i pobliskie śródmieście, gdzie nad samym brzegiem jeziora znajdował się Hotel Harkdale. Prześliczne małe miasteczko Harkdale! Pamiętała, jak zaraz po przyjeździe pomyślała, że przynajmniej tu nie będzie musiała tak dbać o stroje, jak w Nowym Jorku.

Parsknęła krótkim, niewesołym śmiechem. W ciągu jednej nocy dokonała się w niej całkowita przemiana; znów uznała, że wygląd się liczy. Starając się więc wyglądać jak najbardziej kobieco („Przede wszystkim jestem kobietą”) włożyła swą najstrojniejszą sukienkę.

Jednak wciąż jeszcze gdzieś w zakamarku jej mózgu tkwiło bojaźliwe przeświadczenie, że wszystko to jest daremne. Kryzys nadciąga i nim skończy się dzień, ona może być już martwa — unicestwiona. Pomyślała, że to nie ma sensu — iść do pracy w dniu, w którym ma się umrzeć. Jednak poszła.

Zabrała się do wykonywania swoich obowiązków, świadoma swego stanu psychicznego. Dwukrotnie, gdy spojrzała bezwiednie do lustra w toalecie, przeraziła się swą bledością i chorobliwego wyrazu oczu.

— To przecież wcale nie jestem ja — powiedziała do siebie. — Nie mogę być sądzona na tej podstawie.

Kryształ z pewnością jej nie odrzuci tylko z powodu oszołomienia. Z każdą upływającą chwilą przesuwają się w jej wyobraźni wizerunki innych Edyt, a każdy budził w niej przelotną nadzieję, iż może to jest właśnie klucz do doskonałości. Była więc Edyta żyjąca z dala od świata, jako zakonnica; Edyta — cnotliwa mężatka, ograniczająca seks do minimum, całą swą uwagę poświęcająca dzieciom, i Edyta będąca wyznawczynią buddyźmu Zen.

Wcześniej zostawiła w hotelu wiadomość dla Marge Aikens. Około drugiej Marge zadzwoniła. Poinformowała Edytę, że telefonowała do Nowego Jorku i dowiedziała się, że druga Edyta nie wróciła do hotelu poprzedniej nocy.

Po przekazaniu tej smutnej wieści Marge dodała:

— Gdyby więc Athtar się z tobą skontaktował, nie zostawaj z nim sam na sam pod żadnym pozorem, dopóki nie przywróci Setha — właściciela złotego cadillaca i Edyty z Nowego Jorku.

Po tej rozmowie Edytę nękały inne jeszcze widziadła — przeważnie świętych, dobrych i niewinnych Edyt. W niepojęty sposób wszystkie wywodziły się z tradycji, w jakiej ją wychowano, a przeciwko której tak buntowała się w college'u; zupełnie jakby oglądała je oczyma dziecka.

Nagle jak przez mgłę usłyszała głos Tilsit:

— Edyto, telefon do ciebie.

Podnosząc słuchawkę Edyta niejasno uświadomiła sobie wyraz dezaprobaty na twarzy panny Davis. Mimo że po raz pierwszy w ciągu swej sześciomiesięcznej pracy w bibliotece odbierała prywatny telefon, kierowniczka miała oburzoną minę pracodawczyni, której cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę.

Edyta natychmiast o tym zapomniała usłyszawszy w słuchawce znajomy głos — Athtara.

— Muszę się z panią spotkać zaraz po pracy — powiedział.

— Dobrze, w Hotelu Harkdale, obok recepcji — odparła Edyta słabym głosem.

## IX

Athtar wyszedł z kabiny telefonicznej. Okrutny uśmiech wykrzywił jego szeroką twarz. Teraz gdy zdobył już kryształ, miał dwie drogi do wyboru, by odnieść zwycięstwo.

Pierwsza — to zabić Edytę, aktualny punkt orientacyjny kryształu. Tu nie miał wątpliwości. Postanowił, że ona nigdy nie dotrze do hotelu.

Jednakże morderstwo jedynej znanej mu Edyty stwarzało pewną niekorzystną ewentualność. Wprawdzie doszedł do przekonania, że to ta właśnie Edyta jest punktem orientacyjnym dla kryształu, to jednak gdyby przypadkiem się okazało, że jest inaczej, zabijając ją zniszczyłby zarazem swe źródło informacji, niezbędne mu do odnalezienia pozostałych Edyt.

To właśnie było ryzyko, które postanowił przedsięwziąć. Zachował jednak pewne środki ostrożności: wyjął kryształ z odżywczej ziemi. Nie był pewien, ile czasu potrwa jego deaktywacja wskutek głodu, ale zdecydował, że nie dłużej niż dwa tygodnie. Potem kryształ zorientuje się na tego, kto go znów uaktywni. To znaczy — na Athtara.

Teraz gdy już posiadał specjalną, przenikającą barierę broń, wierzył niezbitnie, że nim dzień się skończy, będzie wyłącznym posiadaczem tego niezwykłego urządzenia wszystkich czasów i przestrzeni — kryształu.

\* \* \*

Hotel Harkdale był letnim pensjonatem. Nie należał do najtańszych, więc przynosił dochód. Roztropnie część tego dochodu przeznaczono na wystrój, wytworne meble i doświadczony personel.

Dyżurny recepcjonista miał własne pojęcie doświadczonego pracownika: winna to być osoba o tak dobrej pamięci, aby mogła zapomnieć o czymś, co wymaga dyskrecji.

Właśnie on był takim doświadczonym pracownikiem. Określał siebie jako nabytek z najlepszych hoteli. Nazywał się, jak mówił, Derek Slade. Wyjaśniał, że prosił o przeniesienie do małego miasteczka, ponieważ odczuwał pewną tęsknotę, wyniesioną z dzieciństwa, za życiem na wsi. Był dyskretny do tego stopnia, że owego pamiętnego dnia pozwolił się zameldować aż czterem Sethom Mitchellom. Za każdym razem był przeświadczony, że jest to ten sam mężczyzna tylko wciąż z inną kobietą, i już zaczęło go to bawić, gdy Seth Mitchell pojawił się po raz piąty — tym razem bez kobiety.

Mimo to Derek pojął wszystko w lot: ten układny młody człowiek umieścił cztery kobiety w czterech różnych pokojach, a sam najwidoczniej chce mieć oddzielny dla siebie. Dlaczego? Derek nie starał się w to wnikać. Życie, jak zawsze mawiał, pełne jest niespodzianek. Trzeba obserwować rzeczywistość, a nie ją analizować.

— Może pan liczyć na moją dyskrecję, panie Mitchell — powiedział teraz cicho.

Stojący przed nim Seth Mitchell unióśł brwi, a potem skinął głową z bladym uśmiechem.

Derek był z siebie rad. Ta uwaga powinna wystarczyć na dwudziestodolarowy napiwek.

Właśnie gratulował sobie w duchu, gdy otworzyły się drzwi windy i wysiadł z niej drugi Seth Mitchell, kierując się w stronę recepcji. Gdy podchodził, Seth Mitchell, który dopiero co się zameldował, odwrócił się, by pójść za chłopakiem hotelowym niosącym jego bagaże do windy.

Obaj mężczyźni omal się nie zderzyli. Obaj cofnęli się mrużąc pod nosem słowa przeprosin, i już mieli się wyminąć, kiedy Derek odzyskał przytomność umysłu.

Była to jedna z przełomowych chwil w jego życiu. Podniósł głos, nadając mu odpowiedni władczy ton:

— P a n i e Mitchell.

Obaj mężczyźni poczuli niejako zakłopotanie. Ten stanowczy ton zatrzymał ich.

— Pan pozwoli, panie Mitchell — powiedział Derek — że przedstawię pana Seta Mitchella. Panowie, proszę chwileczkę zaczekać.

Pozostawił ich samym sobie — jeden z nich, wydawało się, szybko ochłonął, drugi zaś nie mógł przyjść do siebie — a tymczasem dzwonił kolejno do pokoi, w których zameldowani byli pozostali Sethowie Mitchellowie. I po chwili stało przed nim pięciu Sethów Mitchellow.

Ze wszystkich obecnych najmniej rzucającą się w oczy osobą był Derek Slade. Odpowiadało mu to bardzo, bo dzięki temu mógł spokojnie obserwować całą scenę.

Czterech z pięciu Sethów Mitchellow bąkało i mamrotało coś do siebie. Piąty odsunął się na bok z lekkim uśmiechem na twarzy. Nagle ci czterej, jak jeden mąż, zamilkli speszeni, tak że chłodny głos Dereka znowu utrafił we właściwy moment:

— Panowie, a może byście tak się udali do sali konferencyjnej i tam przedyskutowali całą tę sprawę?

W tym właśnie momencie do hotelu weszła Marge Aikens — akurat w porę, by dojrzeć profil ostatniego znikającego w drzwiach sali konferencyjnej Seta Mitchella. Marge zbladła i rzuciła się w jego kierunku.

— Seth! — wykrzyknęła płaczliwym głosem. — Na litość boską, myślałam, że nie żyjesz!

Stała. Schwyciła mężczyznę za ramię. Ten odwrócił się, a ją uderzyło coś obcego w jego twarzy.

\* \* \*

Kiedy już Marge opowiedziała im o wszystkim i gdy usłyszeli o Edycie Price — zaproponowała, że zadzwoni do Edyty do biblioteki i sprowadzi ją tu od razu.

Trzech Sethów zgłosiło sprzeciw. Słuchając kolejno każdego z nich Marge lustrowała wzrokiem ten szereg zaskakująco znajomych twarzy i prawie u wszystkich dostrzegła w oczach lęk. Poza tym jednak znalazł się tam ten sam wyraz błyskotliwej inteligencji, jaki tak często widziała u swego pracodawcy.

— Przede wszystkim — powiedział Seth z Montrealu — należałoby przedsięwziąć jakieś kroki, by zabezpieczyć się przed mechanicznymi osądami ze strony tej młodej kobiety, takimi jak w przypadku Mitchella-farmera i Mitchella-detektywa.

Drugi Seth, o nieco niższym głosie, zajął się kwestią Athtara:

— Zabijając Edytę Price numer 2 Athtar z pewnością zdobył kryształ, a zatem już wie, że zamordowana nie była punktem orientacyjnym. Dlatego przede wszystkim powinniśmy chronić tę Edytę, która j e s t tym punktem.

Problem zatem tkwił w tym, by dostała się bezpiecznie do hotelu, a nie w tym, co ma robić, gdy już tu będzie.

Trzeci Seth Mitchell uznał, iż ważne jest nie tyle to, jak Edyta osądza mężczyzn, lecz jej stereotypowe poglądy co do tego, jaka powinna być kobieta. Przymuszczałnie kryształ sumiennie stworzył cały szereg Edyt zupełnie zwyczajnych, o różnych normach moralnych czy też różniących się w poglądach, co do tego, jak należy postępować w bezbarwnym świecie XX wieku.

— Uważam, że mogłaby wykorzystać kontrolę nad kryształem kreując postać Edyty obdarzonej zdolnościami parapsychicznymi, która ogarnęłaby całą sytuację i umiała sobie z nią poradzić.

Te słowa spotkały się z przychylną reakcją. Uznano pomysł za dobry, o ile będzie możliwy do realizacji.

Czwarty Seth, który dotąd siedział niepozorny i milczący, przemówił teraz:

— Ciekawe, czy owe zdolności obejmowałyby również umiejętność rozpoznania tego Setha, który dał twojemu szefowi — wskazał na Marge — tysiąc dolarów za odnalezienie kryształu.

Seth Mitchell, który przybył do hotelu bez żony i który, w przeciwieństwie do pozostałych, nie okazał po sobie strachu, poruszył się i rzekł z pogodnym uśmiechem:

— Nie musicie wcale go szukać. To ja.

Gdy zamarł wreszcie chór podnieconych głosów, mówił dalej:

— Odpowiadając na wasze pytania — ja także miałem sny, jak wy wszyscy. I gdy najgorszy ze wszystkich Athtarów znalazł nagle w pamięci adres jednego z Sethów, ja we śnie poznałem adres Setha-detektywa.

— Ale dlaczego sam nie poszedłeś po kryształ? Po co płaciłeś tysiąc dolarów? Seth-kawaler znowu się uśmiechnął.

— Nie chciałem o tym mówić i będzie lepiej dla was, jeżeli nie powtórzycie tego pannie Price, ale mój sen dowodzi, że to ja jestem najlepszym z możliwych Sethów Mitchellów.

Znów podniósł się rozgwar i dopiero gdy się uciszyło, Seth mógł odpowiedzieć na pytania, jakie padły:

— Nie wiem, dlaczego jestem najlepszy. Wynająłem kogoś, by przyszedł tu za mnie, ponieważ wyczułem niebezpieczeństwo. Dziś przyszedłem tu z przekonaniem, że nadszedł moment krytyczny. Nie potrafię wam jeszcze powiedzieć, co mam zamiar zrobić. Nawet nie mam poczucia, że moja rola jest tu kluczowa. Po prostu wierzę, że sposobność się nadarzy i że ją wykorzystam. — Zakończył zwyczajnie: — Chyba już nie musimy poświęcać więcej czasu mojej osobie. Mamy wiele ważnych spraw do omówienia i to zanim Edyta Price przyjdzie tu po pracę. Bierzmy się zatem do roboty.

Ponieważ byli to ludzie posłuszni prawu, zwrócili się do policji, która przeszukała motel, gdzie kiedyś zameldował się właściciel złotego cadillaca. Następnie znając numer rejestracyjny jego wozu zatelefonowali do biura Mitchella w Nowym Jorku i dowiedzieli się, że samochód stoi na parkingu, natomiast jego kie-



rowcy nie ma już od kilku dni. Skutkiem całej tej akcji był nakaz aresztowania przysadzistego mężczyzny, znanego jedynie z imienia „Athtar”.

\* \* \*

Ponieważ policja w Harkdale nie była liczna, Athtar po zmroku mógł nieopstrzeżenie przejechać przez miasto na parking przy bibliotece. Zaplanował swój przyjazd na minutę po oficjalnej godzinie zamknięcia biblioteki.

Mrok. Przeciągający się zmierzch dopiero co przechodził w noc. Kilku spóźnionych czytelników manewrowało jeszcze w swych autach na parkingu, gdy w tylnym wejściu ukazała się Edyta.

Odrobinę zaskoczona spostrzegła wóz miejskiej straży pożarnej stojący blisko wejścia z włączonym silnikiem. Ponieważ jednak czuła już niemiłe sensacje na myśl o czekającej ją wyprawie do hotelu, który nagle wydał się jej tak daleko stąd, widok wielkiego wozu strażackiego właściwie podziałał na nią uspokajająco.

Musiała go obejść, aby dostać się do swego samochodu. Już miała to zrobić, gdy w tej samej chwili potężna maszyna ruszyła z ogłuszającym rykiem silnika. Edyta stanęła, zachwiała się lekko i w ostatniej chwili uskoczyła na bok.

Wóz podjechał bliżej, po czym zgrzytnął hamulcami i z piskiem zatrzymał się tu przed nią.

Gdzieś z tyłu potężnej maszyny purpurowy błysk rozjaśnił niebo.

## X

Wprawdzie Edyta nie widziała tego, lecz purpurowy płomień dochodził z jednego z manewrujących na parkingu samochodów. Niczym pocisk smugowy wystrzelił w kierunku wozu strażackiego. Gdy dosięgnął celu rozległ się nie słyszany dotąd na Ziemi odgłos: niski, przeciągły łoskot pękających trylionami wiązań chemicznych w metalu.

Mikroskopijny pocisk przeszył gruby stalowy pancierz i uformował się na nowo po mikronie z cząsteczek stali. Nie zwalniając pędu przeleciał na wylot przez ciężką maszynę. Grubość dwudziestowiecznego metalu nie była go w stanie zwolnić choćby o centymetr na minutę. Ani opancerzenie statku wojennego, ani nawet cała masa Ziemi.

Był to pocisk karabinowy; tor jego lotu był prosty — przez powietrze i przez metal. Przeszyłby także i Edytę, gdyby nie to, że jego szybkość, tak jak kuli karabinowej, choć ogromna, była jednak ograniczona.

Trafił wóz strażacki w ruchu. Przeleciał przez jadący pojazd w wymiernym czasie kilku ułamków sekundy i wyminął Edytę o pół metra. Niepowstrzymany,

uderzył w ścianę biblioteki, przebił ją na wylot i świsnął w ciemność. Mając dokładnie wyliczoną energię kinetyczną leciał w powietrzu jeszcze sto metrów, po czym nagle upadł.

W chwilę później dwaj policjanci w cywilu otworzyli ogień do ledwie widocznej postaci mężczyzny w samochodzie, z którego został wystrzelony ten purpurowo jarzący się pocisk.

Świst kul uderzających w jego własny wóz przeraził Athtara. Ale dysponował ochronnym polem molekularnym utwardzającym szkło i metal auta, więc kule nie zdołały go przebić.

Niepokoił go fakt, że pozostało mu tylko kilka pocisków i że w tych ciemnościach nie może oszacować zasięgu pułapki, jaką nań zastawiono. Pośpiesznie włączył silnik, nacisnął gaz i wyjechał z parkingu.

Samochód policyjny ruszył w ślad za nim, migając nań czerwonymi światłami. Wprawdzie broń policjantów nie była dla Athtara groźna, ale obawiał się blokady drogowej. Skręcał parę razy z rzędu w boczne uliczki i po kilku minutach zważył wóz policyjny w uliczkę położoną nieopodal jeziora, na dalekich tyłach Hotelu Harkdale, do którego dostęp zbadał już gruntownie, idąc na piechotę.

Zadowolony otworzył okno, zwolnił, wychylił się i spojrzawszy za siebie pośpiesznie wycelował w silnik ścigającego go wozu, po czym wystrzelił purpurowy pocisk w skrzynię korbową. Rozległ się huk. Silnik prawie rozpadł się na kawałki, zgrzytając metalicznie. Wóz stanął jak wryty.

Athtar szybko zawrócił do hotelu. Po raz pierwszy naszała go obawa, że oto z niewiadomych przyczyn nadchodzi jego ostatnia godzina. Wciąż jednak wydawało mu się, że nawet w tej sytuacji wystarczy zakraść się do hotelu i wystrzelić pocisk w jedno, tylko jedno bijące serce.

W kilka minut później, wślizgnąwszy się przez kuchenne okno hotelu, znalazł się na betonowej podłodze ciemnego magazynu. Szukając po omacku drzwi Athtar wyobraził sobie przez chwilę swych kolegów z wielkiej Gildii Uczonych, oglądających go w tak poniżającej sytuacji. Oczywiście, pomyślał zaraz z lekceważeniem, kiedy zdobędzie kryształ, nie będą go już obchodzić ich sądy. Gdy wróci do swej epoki, nastąpią tam dramatyczne zmiany: kilkuset członków Gildii czekało unicestwienie.

Ostrożnie pchnął drzwi. Idąc korytarzem usłyszał jakiś szmer za plecami. Odwrócił się i wyszarpnął pistolet.

Gwałtowny, nieznośny ból w ramieniu zmusił go do opuszczenia broni i zdjęcia palca z cyngla. Prawie natychmiast pistolet wypadł z bezwładnej ręki i uderzył z brzękiem o podłogę. Domyślił się, że użyto przeciwko niemu techniki z XXXV wieku. W drzwiach magazynu, z którego sam dopiero co wyszedł, ujrzał niskiego, przysadzistego mężczyznę.

Następnie nieznośny ból zmusił Athtara do sięgnięcia do kieszeni na piersi, wyjęcia stamtąd kryształu i oddania go tamtemu.

Drugi Athtar milczał. Zamknął drzwi za sobą, wziął kryształ i schylił się po broń leżącą na podłodze. Potem precyzyjnie się obok więźnia i zniknął w innych drzwiach zamykając je za sobą.

W tej chwili ustąpił bezwład mięśni u najgorszego z Athtarów. Rozpaczliwie próbował otworzyć drzwi do magazynu, zamierzając uciec tą samą drogą, którą tu przybył. Były jednak zamknięte na głucho. Rzucił się więc do drugich drzwi.

Stwierdziwszy, że także są zamknięte i że nie ustępują pomimo szarpania, zrozumiał w końcu, że znajduje się w pułapce utworzonej przez siły międzycząsteczkowe rodem z jego epoki. Nie pozostało mu nic innego, jak usiąść na betonowej podłodze i czekać.

Siedząc tak doznawał mieszanych uczuć na myśl, że teraz cały dramat rozegra się już bez niego. To chyba nawet dobrze, że został wyłączony; może niebezpieczeństwo było większe, niż sądził. Czy również i dla niego? Jego intuicja nie mówiła mu tego wyraźnie.

W napastniku rozpoznał najlepszego z możliwych Athtarów. Powiedział więc sobie, że jest zadowolony, iż to właśnie tamten, a nie on, znajdzie się przy tym, gdy ludzie w XX wieku będą się próbowali uratować.

Ta kobieta, Edyta Price, okazała się sprytniejsza, niż przypuszczał. Co oznaczało, że automatyczne zaprogramowanie kryształu, by likwidował wszystkich poza najlepszymi, może ją zmusić do desperackich czynów. Tak się przynajmniej wydawało najgorszemu z Athtarów.

Lepiej znajdować się z dala od tak dramatycznych wydarzeń.

\* \* \*

Najlepszy z możliwych Athtarów szedł przez hol w kierunku sali konferencyjnej. Pięciu Sethów Mitchellów, niewidocznych dla Edyty, która znajdowała się w środku, zgromadziło się za drzwiami. Athtar wykonał uzgodniony gest i podał pistolet najgorszego Athtara jednemu z Sethów. Mężczyźni byli skrupulatni. Przeszukali go i przepuścili do Marge Aikens stojącej w drzwiach.

Athtar wykonał inny uzgodniony znak, potwierdzając tym samym swą tożsamość przyjaznego im Athtara, którego Edyta odtworzyła zaraz na początek; potem został wpuszczony do środka.

Położył kryształ na stole konferencyjnym przed Edytą. Ta machinalnie wyciągnęła doń rękę, ale Athtar powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej przegubie.

— Mam przecucie — ostrzegł ją — że tym razem, gdy podniesiesz kamień — ty, jako jego prawdziwy punkt orientacyjny — nastąpi moment krytyczny.

Jego głos dochodził jakby z daleka. Miała te same myśli — zdawało się jej — i podobne uczucia, gdy podjęto decyzję odtworzenia najlepszego z Athtarów. Wtedy także był moment krytyczny.

Mimo to wahała się, czując respekt dla jego wiedzy i bystrości umysłu. Działy na nią dwa bodźce: pod wpływem pierwszego z nich chciała poddać się apatii i uznać, że jest zbyt zmęczona, by zastanawiać się nad tym wszystkim od nowa.

Pod wpływem drugiego bodźca jej świadomość wyostrzyła się i rozjaśniła jak wtedy, przy bibliotece, gdy nagle zrozumiała, że najgorszy z Athtarów próbował ją zabić.

Raptem przestały być ważne wszystkie te problemy, które ją wcześniej dręczyły: czy lepiej być kobietą bezwzględną, zdolną strzelać w obronie własnej, czy też łagodną i kobiecą. Prawdziwe rozwiązanie leżało w łatwości przystosowania się do każdej sytuacji, wspieranej przez niezłomny zamiar.

Należy kierować sytuacją. To wszystko.

Naraz ochota, by poddać się zmęczeniu, ustąpiła. Edyta zwróciła się do Marge:

— Czy mam mu powtórzyć, o czym dyskutowaliśmy, gdy on był w magazynie? — zapytała rzeczowo.

Marge skinęła głową.

Athtar wysłuchał jej, a na jego twarzy malowało się powątpiewanie. Następnie odparł:

— Żądając od kryształu, by odtworzył tu jednego ze swych twórców, być może postąpisz właśnie dokładnie tak, jak tego od ciebie ci właśnie twórcy oczekują.

— Tak właśnie przypuszczamy — powiedziała Edyta. Nadal nie odczuwała żadnego lęku. — Doszliśmy do wniosku — wyjaśniła — że skoro kryształ został tak zaprogramowany, by wybrać najlepszego, a najlepszy Athtar okazał się całkiem rozsądną osobą, nie zaś jakimś kryminalistą, wobec tego twórcy kryształu znają tę różnicę. Na tej podstawie możemy założyć, że społeczeństwo przyszłości jest normalne i nie wyrządzi nam żadnej krzywdy. Dlatego — dodała — odtworzyliśmy właśnie ciebie: na próbę.

— Dobrze pomyślane — powiedział Athtar ostrzegawczym tonem — ale mam wrażenie, że coś się za tym kryje.

— Myślisz o jakimś konkretnym niebezpieczeństwie? — zapytała Edyta.

— Nie — zawahał się, potem wzruszył ramionami. — A może by tak na próbę podnieść kryształ — po prostu tylko podnieść — i sprawdzić, czy moje przecucia nie są bezpodstawne. Jeśli się mylę — wyjaśnił — będzie można pominąć moje wątpliwości.

— Nie chcesz, bym spojrzała na rysunek w kryształach?

Sethowie odkryli bowiem, że w tym właśnie tkwił klucz do zagadki władzy nad kryształem. Wypytał ją dokładnie i ujawniwszy, o czym myślała wówczas, gdy kryształ objawił swą cudowną moc, pojęli, że kiedy ona w wyobraźni lub dosłownie widziała wewnętrzny wzór kryształu, wtedy jej rozkaz się spełniał — co do joty.

— Nie chcę — odparł Athtar. — Czuję, że oni są już gotowi.

Te słowa, dowodzące, że jego ultrapercepcja wybiega w przyszłość o być może tysiące lat, przeraziły Edytę i sparaliżowały ją — lecz tylko na moment.

— Tak naprawdę — Edyta dokończyła swą myśl — to my wszyscy czujemy, że nie mamy innego wyboru.

I dłużej nie zwlekając sięgnęła po kryształ.

Nagle zaparło jej dech w piersiach.

Mężczyzna, który wyszedł z kąta sali, gdzie się zmaterializował, był olbrzymem. Miał dwa... dwa i pół... trzy metry wzrostu — poprawiała swą ocenę w myślach, starając się przywyknąć do niecodziennej sytuacji.

Błękitny ubiór upodabniał go do rzymskiego centuriona w letnim uniformie. Ciało miał jak z brązu, olbrzymią twarz z oczami czarnymi jak węgiel, bez uśmiechu; w jego zachowaniu czuło się świadomość potęgi nie ograniczonej przez strach czy wątpliwości.

— Jestem Shalil, najlepszy ze wszystkich możliwych — powiedział tubalnym głosem.

## XI

Edyta dłuższą chwilę wyczekiwała na ciąg dalszy tego zdania. Spodziewała się, że na końcu padnie ponownie jego imię, w liczbie mnogiej. Wreszcie zaskoczona zrozumiała, że to jest cała wypowiedź. Twórcy kryształu wysłali osobnika o najwyższych kwalifikacjach z całej rasy, by opanował sytuację.

Stojąca w drzwiach Marge z jękiem skuliła się zobaczywszy olbrzyma. Na ten odgłos w drzwiach pojawiło się dwóch Sethów. Podtrzymali na pół omdlałą kobietę i ujrawszy zjawę zastygli bez ruchu z utkwionym weń wzrokiem. Wówczas ukazali się pozostali Sethowie, cisnąc się w drzwiach.

Jak jeden mąż, absolutnie bezsensownie, co — jak później zrozumiała Edyta — wskazywało, że znajdowali się pod ukrytą kontrolą — wszyscy weszli do sali, wprowadzając ze sobą Marge. Ostatni z Sethów zamknął drzwi.

Gdy już wszyscy znaleźli się w środku, najlepszy Athtar poruszył się i rzucił ostrym tonem:

— Panno Price, niech go pani unicestwi! On nie ma życzliwych zamiarów.

Olbrzym skrzywił się.

— Nie można unicestwić oryginału. — Przemawiał najczystszą angielszczyzną, tym samym basem. — Naturalnie teraz ja i tylko ja mam władzę nad kryształem. Pojęcie „życziwe zamiary” jest względne. Mam życziwe zamiary wobec mej własnej rasy i epoki.

Jego oczy, podobne do dwóch błyszczących czarnych jezior, ogarnęły spojrzeniem pięciu Sethów i obie kobiety, aż wreszcie spoczęły na Athtarze.

— Kto z was — zapytał — jest biologicznie oryginalną ludzką istotą?

W jego zachowaniu czuło się pośpiech i celowość, które same w sobie były niepokojące. Edyta schwyciła kryształ, a potem popatrzyła niepewnie na Sethów, niemo prosząc ich o wskazówki. Lecz ci, wpatrzeni w olbrzyma, zdawali się nie dostrzegać jej pytającego wzroku.

Nagle jeden z nich przemówił:

— Athtarze, w jakim sensie on nie żywi wobec nas życzliwych zamiarów?

Athtar potrząsnął głową.

— Nie odbieram szczegółów — powiedział zasmucony. — Mam tylko takie przeczucie. Oni wysłali kryształ w przeszłość mając w tym jakiś cel. Jego pytanie, kto z was jest oryginalną ludzką istotą, wyraźnie wskazuje kierunek. Nie odpowiadajcie na nie ani na żadne inne.

Wyglądało to na mało ważny i nieskuteczny środek. Gdy Athtar wypowiedział te słowa, olbrzym ruszył ku drzwiom. Mała grupka Sethów rozstąpiła się przed nim odruchowo. Shalil otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Zlustrowawszy go jednym szybkim spojrzeniem zamknął ponownie drzwi i odwrócił się do zebranych.

— Zatem oryginałami są ludzie z tej epoki — powiedział. — Właśnie ci są nam potrzebni do badań.

Athtar wykrzyknął nagle pod adresem Sethów:

— Jeden z was ma pistolet najgorszego Athtara. Strzelaj!

Ledwie wypowiedział te słowa, pistolet uniósł się w powietrze i wymijając po drodze dwóch Sethów, którzy usiłowali go złapać, zniknął w dłoni olbrzyma. Ten wsunął go do kieszeni swego błękitnego stroju.

Najlepszy Athtar spojrział na Edytę.

— Trudno — powiedział chmurnie — zrobiłem, co mogłem. — Zwrócił się do Shalila: — Co stanie się ze mną?

Niezwykle czarne oczy badały go teraz z większą uwagą.

— Kryształ podaje mi dane — powiedział olbrzym. — Ty i ten drugi Athtar jesteście z epoki, w której ludzie zostali już biologicznie udoskonaleni?

Athtar milczał. Shalil skrzywił się, po czym dokładnie przeanalizował to, co najgorszy Athtar mówił Edycie z Nowego Jorku, dodając jedynie od siebie, iż odnosi wrażenie, że ogromna ilość transplantacji ludzkich organów w celach medycznych poprzedziła pierwszą wielką decyzję, by zmienić samą rasę ludzką.

Athtar spojrział ze skruchą na Edytę:

— On wyraża się tak ściśle — powiedział — że nie widzę żadnego niebezpieczeństwa w zadaniu mu nowego pytania.

I nie czekając na jej odpowiedź, zwrócił się do olbrzyma: — Decyzja podjęta w XXXI wieku, prawie czterysta lat przed moją erą, zakładała, że krępa i ciężka budowa ciała zapewnia większą odporność niż sylwetka wysoka i szczupła? Wi-

dzę, że ludzie z waszej epoki są o wiele wyżsi, więksi i potężniej zbudowani, niż przewidywała nasza norma. Jakie jest tego wyjaśnienie?

— To wynika z odmiennych problemów obu epok — odparł Shalil. — Moje czasy, które według twoich obliczeń odpowiadałyby wiekowi XCIII, to era Kosmosu. — Urwał. — Skoro nie jesteś już nam potrzebny, proponuję odesłać ciebie i drugiego Athtara do waszej epoki.

— Chwileczkę! — wtrącił najlepszy z Athtarów. — Co zamierzasz zrobić z tymi ludźmi? — kiwnął ręką w kierunku Edyty i Sethów.

Na twarzy olbrzyma znów pojawił się grymas.

— Oni teraz są modelami z kryształu — brzmiała surowa odpowiedź. — Lecz obecnie do naszych eksperymentów potrzebujemy najlepszego Setha i najlepszą Edytę Price. Pozostali, 1810 Sethów i — zawahał się — 723 Edyty, są wolni. Skonstruowaliśmy kryształ tak, by odszukał najlepsze okazy.

— Ale po co?

— Coś jest nie w porządku. Musimy od nowa zbadać początki rasy ludzkiej.

— Czy potrzebni są wam ci właśnie ludzie, czy też kryształ odtworzy po prostu ich duplikaty w waszej epoce?

— Są tylko pojedyncze egzemplarze. Jeśli któryś z nich zostanie wykreowany w jakimś innym czasie, to musi przestać istnieć w obecnym.

— Co z nimi w końcu zrobicie? Pokroicie ich?

— Być może, na koniec. Badający zadecydują. — Ostro: — Nieważne. Program jest napięty i pilnie są nam potrzebne przedmioty badań. — Jego głos stał się władczy: — Panno Price, proszę mi oddać kryształ. Nie jesteśmy okrutni bez potrzeby, chciałbym więc odesłać Athtarów z powrotem.

— Proszę mu nie oddawać kryształu — nalegał Athtar. — Może to nieprawda, że on już całkowicie włada kryształem, ale zapewne stanie się tak w chwili, gdy mu pani go odda. Trzeba skłonić te istoty z dalekiej przyszłości, by zaakceptowały inne, mniej arbitralne rozwiązanie swoich problemów.

Edyta stała obserwując fantastycznego olbrzyma i słuchając wypowiedzianej bez osłonek groźby. I nagle to, co dotąd wydawało się jej pożądanym celem — być najlepszą — teraz stało się niepożądanym.

Wciąż nie odczuwała lęku. Umysł miała jasny. Miliony kłębiących się myśli i odczuć z tych ostatnich dni, które nagle uporządkowały się w ciągu jednej nocy, nadal pozostały uporządkowane.

Czuła, że Athtar się myli i że faktycznie straciła już władzę nad kryształem. Z pewnością oni mają jakiś sposób, za pomocą którego potrafią odzyskać kontrolę nad kryształem w kulminacyjnym momencie.

Zamierzała jednak to sprawdzić.

Patrząc na kryształ powiedziała stanowczym tonem:

— Jeśli ktokolwiek potrafi pokonać tego olbrzyma, niech się tu zjawi!

Po tych słowach kryształ został wydarty z jej rąk przez tę samą niewidzialną siłę, która wcześniej odebrała pistolet jednemu z Sethów. Podniosła głowę i przyglądała się bezradnie, jak kryształ płynie wprost do rąk olbrzyma. Czarne oczy Shalila popatrzyły na nią z triumfem.

— Dobry pomysł — powiedział. — Ale wszyscy twoi sprzymierzeńcy znajdują się w tej sali. Poza nimi nie ma więcej nikogo.

— Wobec tego — odezwał się spokojny męski głos — wydaje mi się, że bez względu na konsekwencje teraz ja muszę wkroczyć do akcji.

Seth Mitchell-kawaler podszedł do olbrzyma.

Ten ledwie zwrócił nań uwagę. Nastąpiło długie milczenie. Edyta miała czas przyjrzeć się Sethowi i podziwiać jego ofiarność. Seth miał elegancki szary garnitur, jego pociągła twarz przybrała stanowczy wyraz, a szare oczy były spokojne i nieustraszone. W głębi duszy czuła dumę, że w tym właśnie kulminacyjnym momencie pojawił się taki Seth. I chociaż sama wciąż nie odczuła żadnego lęku, to jednak miała świadomość, że musi pożegnać się ze swymi nadziejami.

Milczenie zostało przerwane.

Potężna istota z dalekiej przyszłości powiedziała z wyraźnym naciskiem w głosie:

— Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę, iż ujawnieniem swej tożsamości wydajesz wyrok na pozostałych Sethów. W tej epoce kryształ może ich jedynie unicestwić.

Za plecami Edyty rozległ się cichy jęk Marge.

Edyta odwróciła się. Przez kilka sekund stała zakłopotana, nie wiedząc, co się stało młodej kobiecie. Wyglądało na to, że się dławi. Edyta podbiegła do niej, ujęła ją pod rękę, drugim ramieniem opasując jej talię.

— Co się stało? — zawołała.

Marge wciąż się dławiła, zanim wreszcie powiedziała ledwie słyszalnym głosem:

— Oni zniknęli... tamci... Sethowie.

Edyta rozejrzała się wokół. Koło drzwi, w miejscu gdzie stało czterech Sethów, nie było teraz nikogo. Odruchowo chciała podbiec do drzwi i wyrzeć na korytarz. Zdawało się jej, że wyszli na chwilę. Raptem pojęła. Oni zostali unicestwieni.

— O mój Boże! — zaszlochała.

Wzięła się jednak w garść, gdy olbrzym znów przemówił:

— Wydaje się, że najlepszy ze wszystkich Sethów to dobry okaz i nie jest wcale niebezpieczny.

Seth powiedział tym samym spokojnym tonem, co poprzednio:

— Powiedziałem: bez względu na konsekwencje.

Obejrzał się na obie kobiety. — Dopóki Sethowie są modelami kryształu, nie grozi im większe niebezpieczeństwo, niż gdyby ten stwór był w stanie wykonać



swą groźbę. Prawdopodobnie odnosi się to również do właściciela złotego cadil-laca i Edyty, która prawdopodobnie została zamordowana w Nowym Jorku.

Zwrócił się do Shalila: — Sądzę, że lepiej będzie odesłać Athtarów do ich epoki.

Znów zapadło krótkie milczenie; oczy olbrzyma zmieniły swój wyraz, jakby się zastanawiał.

— Zrobione — powiedział.

Edyta tak samo automatycznie spojrzała w tę stronę, gdzie stał poprzednio Athtar, i znów zaparło jej dech w piersiach. . . Opanowała się z wysiłkiem.

Athtar zniknął.

Z grymasem na twarzy Shalil obserwował najlepszego ze wszystkich możli-wych Sethów, po czym powiedział:

— Oczywiście czerpałeś z kryształu pewne korzyści, prawda? — Jego głos przybrał łagodniejszy ton. Wyraz skupienia, jakby olbrzym nasłuchiwał, pojawił się na jego twarzy. — Jesteś właścicielem. . . jednego. . . trzech. . . czterech przed-siębiorstw.

— Poprzestałem na dziesięciu milionach dochodu — odparł najlepszy Seth. Popatrzył na Edytę. — Nie mogłem sobie nawet wyobrazić — powiedział tonem usprawiedliwienia — co zrobić z taką masą pieniędzy. Ale postawiłem to sobie za cel.

Nie czekając na jej odpowiedź ponownie stanął twarzą w twarz ze swym po-tężnym przeciwnikiem.

— Wszyscy Sethowie Mitchellowie — wyjaśnił — to wcielenie chłopięcych ideałów, bazujących na rzeczywistości, jaką znałem. Tak więc wiedziałem, że ist-nieją poborcy podatkowi i prawnicy, lekarze, włóczędzy i policjanci. A w mia-steczku takim jak Harkdale bywali również turyści, wśród nich zaś przystojni młodzi ludzie z Nowego Jorku. Tak więc, znając zakres chłopięcych rojeń, można się domyślać, że do chwili obecnej istniał i kowboj Seth Mitchell, i myśliwy z sa-fari, i kapitan statku, i pilot samolotu, a nawet prawdopodobnie kilku słynnych kryminalistów.

Przerwał. — Wydaje mi się, że ty tego nie zrozumiesz, ponieważ w waszym świecie nie ma wcale chłopców, prawda?

Z oczami olbrzyma działo się coś dziwnego. Poruszały się niepewnie. Po czym Shalil powiedział:

— Jesteśmy duplikatami z kryształu. A więc prawdopodobnie będziemy żyć wiecznie — o ile zdołamy rozwiązać problem zużycia komórek. Co to jest chło-piec? — dodał niechętnie.

— Może właśnie na tym polega wasz problem — rzekł Seth. — Zapomnieli-ście o dzieciach. O wymianie genów.

Podniósł wzrok na olbrzyma. — Jestem wcieleniem marzeń chłopca — po-wiedział łagodnie — który przez dłuższy czas po zniknięciu Billy’ego Bingham

pozostawał pod wyjątkową presją i krytyką ze strony dorosłych, czego rezultatem była ucieczka w marzenia.

Spokojnie, pewnie mówił dalej:

— Wyobraźcie sobie te chłopięce rojenia o nieskończonej potędze: by porazić sobie z tymi podłymi dorosłymi, co traktują go jak kłamczucha... pewnego dnia on im wszystkim pokaże. Ale jak? Może to nawet nie było jednoznaczne dla małego Setha, który odczuwał urazę. Ale w odpowiedniej chwili będzie to wiedział. Nie postąpi jednak w ten sam sposób co oni. Będzie to więc swego rodzaju szlachetność z jego strony.

Obaj mężczyźni — najlepszy ze wszystkich możliwych Sethów Mitchellów z XX wieku i najlepszy ze wszystkich możliwych z XCIII wieku — stali naprzeciw siebie, w odległości paru metrów jeden od drugiego.

— Być może — zwrócił się Seth do olbrzyma łagodnym tonem — potrafisz lepiej niż ja określić, kogo kryształ stworzyłby na taki rozkaz.

— Skoro mowa o szlachetności — brzmiała ostra odpowiedź — czuję, że mogę bezpiecznie zbadać tę chłopięcą fantazję aż do końca. — Po czym wypowiedział kilka słów w nieznanym języku, rozkazującym tonem.

Edyta śledziła ten słowny pojedynek, myśląc z przerażeniem:

Boga naprawdę nie ma! Ci ludzie z dalekiej przyszłości nigdy o nim nie słyszeli.

Głęboki bas olbrzyma nagle zamilkł.

Edyta poczuła uderzenie od wewnątrz. Mgła przesłoniła jej oczy. Jak z bezkresnej dali dobiegły ją słowa Setha:

— Jedyne, co mogę zrobić, panno Price, to wysłać panią w przyszłość razem z nim. Wydaje mi się, że znalazła pani rozwiązanie. Kryształ urzeczywistni to, mam nadzieję.

W chwilę później pogрузzyła się w nieskończoności.

## XII

Ciało Edyty leżało bez czucia na elastycznym polu siłowym w kącie centrum administracyjnego kryształów. Co pewien czas zbliżał się do niej jakiś olbrzym i sprawdzał aparaturę kontrolną, która ją obserwowała, jednocześnie nadzorując utrzymujące ją niewidzialne pole.

\* \* \*

Minęła długa noc. Zaświtał w końcu nowy dzień. W słonecznym blasku, który oblał półprzezroczyste ściany, ukazało się teraz kilka olbrzymów, wraz z Shalilem,

zebranych wokół wolno oddychającego, nieruchomego ciała młodej kobiety z XX wieku.

Obudzić ją czy nie?

Dyskutowali nad tym zagadnieniem swymi niskimi, tubalnymi głosami. Ponieważ wszyscy byli uczonymi, znającymi najsubtelniejsze niuanse logiki, powstrzymywała ich świadomość, że ta mała kobieta stanowiła nieprawdopodobny paradoks.

Z wyglądu była bezbronna. Po nagłym rozkazie, jaki najlepszy Seth wydał kryształowi, Shalil zdołał jedynie uśpić Edytę i w tym poniżającym stanie znalazła się w XCIII wieku.

Czy też została unicestwiona we własnej epoce i stworzona na nowo przez kryształ w ich erze, już w stanie uśpienia.

Tak więc nawet przez ułamek sekundy Edyta nie miała wpływu na swój los. Jednak emanująca od niej nawet i teraz nieokreślona siła niepokoiła olbrzymów.

Nie była to siła zwyczajna, lecz totalna.

Siła totalna. Absolutna i nieograniczona. Czy to możliwe?

Jeszcze raz, posługując się zarówno zmysłem słuchu, jak i telepatią, wysłuchali uważnie Shalila, który ponownie przekazał im ściśle sprawozdanie z tego, co zdarzyło się mu w XX wieku. Relacja ta, znana już im, kładła nacisk na te same momenty kluczowe: pospolitość — a więc niegroźną cechę — wszystkich ludzi, z którymi zetknął się Shalil.

Raz jeszcze usłyszeli o momencie kryzysowym, kiedy najlepszy Seth doszedł do wniosku, że kryształ wytworzył niezwykłą moc, ucieleśniającą chłopiące sny o potędze. Oczywiście — przynajmniej było to oczywiste dla olbrzymów — iż reakcja kryształu na taki rozkaz dowodziła, że automatycznym punktem orientacyjnym kryształu był najlepszy z Sethów i że kryształ gromadził swą energię na później jeszcze wówczas, gdy Seth Mitchell był małym chłopcem. Z reakcji zaś samego kryształu olbrzymi wysnuli niepomyślny wniosek: Kryształy dysponują większą mocą, niż do tej pory sądziliśmy.

Jak to możliwe?

W rzeczywistości było nawet jeszcze gorzej.

Wydanie rozkazu pod adresem Edyty przez najlepszego ze wszystkich możliwych Sethów Mitchellów świadczyło, że odebrał on od niej przesłanie, prawdopodobnie za pośrednictwem kryształu, wskazujące, iż jest ona w stanie pokrzyżować plany całej nauki XCIII wieku.

Skoro Shalil przejął kontrolę nad kryształem, tego rodzaju przekaz informacyjny — prawdziwy czy fałszywy — nie powinien mieć miejsca. Zatem wypełnienie rozkazu Seta — wedle wszystkich naukowych analiz — było niemożliwe.

To prawda, nie poznali jeszcze całej prawdy o kryształach. Istniało jeszcze kilka nie wyjaśnionych zjawisk, które jednak wciąż badano. Ale już dawno dowiedziano, że nic ważnego nie pozostało do odkrycia.

Ponadto byli przekonani, że pod ścisłą naukową kontrolą kryształ wytworzyły najwyższe zdolności u biologicznie kontrolowanych istot z ich własnej epoki. Pod uwagę brano każdą wyobrażalną zdolność poszczególnych komórek oraz ich wspólnoty. A kryształ pilnie je odtworzył: lewitację, telepatię, sterowanie na odległość materią za pomocą myśli i tak dalej.

Zatem stąd wniosek, że oryginalne, nie kontrolowane biologicznie istoty mogą mieć jakieś specyficzne zdolności, które zostały zatracone przez ich dalekich potomków.

Niewątpliwie ten końcowy wniosek uczynił Edytę najlepszą ze wszystkich możliwych. Ale taka osoba nic nie znaczyłaby w XX wieku. A więc skoro ona wówczas nie wyobraziła sobie rysunku w kryształ, zatem to nie kryształ jest źródłem jej obecnej potęgi.

Było to coś jeszcze. Coś fantastycznego, niesłychanego, niedostępnego ich nauce.

### XIII

Edyta leżała na trawie. Coś dotknęło jej palców i twarzy. W nozdrza bił świeży zapach.

Otworzyła oczy i równocześnie podniosła głowę.

Dziewicza głusza. Pierwotna puszcza. Małe brunatne stworzonko z puszystym ogonkiem czmychnęło w gąszcz, gdy się podnosiła.

Ujrzała o kilka metrów od siebie olbrzyma. Także się podnosił, jakby w zwolnionym tempie, jak po ciosie w szczękę.

Dzień był mglisty, słońce stało jeszcze wysoko na niebie. Na prawo od Edyty, częściowo widoczny wśród listowia, znajdował się duży wzgórek szarej ziemi. Na lewo — pochyłe zbocze i mgła gęściejsza. W odległości ponad stu metrów była prawie nieprzenikniona.

Prawie, choć nie całkowicie. Niewyraźnie majaczyła w niej jakaś budowla.

Edyta ledwie zerknęła w tamtą stronę. Odwróciła się do olbrzyma i zapytała:

— Gdzie jesteśmy?

Shalil spojrzął na nią uważnie. Trudno było mu uwierzyć, że ona intuicyjnie tego nie odgadła. Wydawało się to prawie nie do przyjęcia, iż jej nieograniczonej potędze odpowiada tak niski poziom umysłowy.

Stała tak, wciąż twarzą zwrócona do niego. Wyczuwał jej niepokój. Niechętnie więc uznał, że analizy kolegów i jego samego mają nadal zastosowanie. Zauważyli bowiem, że motywem jej działania są nieświadome postawy i wspomnienia, tak namacalne w jej psychice jak stalowe sztaby. Przez całe życie postępowała według ścisłych zasad, przyjmując mentalność i zachowanie jakiejś grupy.

W sferze rozwoju osobowego Edyta poszła dalej, prostszą drogą niż przeciętna. W college'u, z dala od domu, dała się szybko wciągnąć w nonkonformizm młodzieżowego ruchu filozoficznego. Jakkolwiek u różnych osób w grę wchodziły rozmaite motywy, u Edyty była to wyłącznie silna wewnętrzna potrzeba należenia do grupy.

Taki był więc początek aberracji, która zawsze później odzwierciedlała się w jej postępowaniu. Tak więc, spostrzegł Shalil, zmagą się jakby z niewidzialną siłą, próbując wrócić do wewnętrznej normy. Więcej nauki, rozmaite zajęcia, różne miejsca zamieszkania, związki z licznymi mężczyznami — chaos był ogromny i trudno było określić, które z tych działań stanowi rzeczywisty cel w życiu.

Do tego chaosu dochodziła jeszcze ogromna, choć skończona lista drobnych powtarzających się czynności jak jedzenie, ubieranie się, praca, sen, spacer, reakcje, porozumiewanie się, myślenie — stereotypy.

Shalil nie mógł znaleźć w tym żadnego punktu zaczepienia, który by nie uruchomił od razu jednego ze stereotypów. Pozostali olbrzymi zakładali, że teraz coś się odstoni w jej świadomości; byli pewni, że Shalil to odkryje. Polecono mu, aby w przeciwnym razie znów ją uspił, tak by mogli przeprowadzić następną konsultację.

Ewentualność niepowodzenia budziła niepokój Shalila. Grając więc na zwłokę powiedział:

— To jest Ogród Kryształów w dziewięćdziesiątym trzecim stuleciu. Tu właśnie, w najbardziej dziwnym zakątku naszej planety, leżą zagrzebane w ziemi kryształy, strzeżone przez uczonych-strażników.

Po wypowiedzeniu tych słów miał jeszcze odrobinę czasu na zastanowienie i doszedł do wniosku, że problem, jaki przedstawia dla nich Edyta, może być rozwiązany jedynie za pomocą stałego werbalnego nacisku, by wypowiadała jeden po drugim nie kończące się stereotypy, jakie u niej wykryto. Tymczasem on czekałby czujnie właśnie na ten, po którym kryształ — na jego rozkaz — pozbawiłby ją potęgi, jaką (z powodów im nie znanych) ją obdarzył.

Widział, że Edyta czuje przede wszystkim obawę, iż nigdy już nie wróci do swej epoki. Zanim się dowie, że może tam wrócić natychmiast pomyślawszy tylko coś poprawnego, pozytywnego — jego zadaniem było trzymać ją w tym negatywnym stanie lęku, nieświadomą, zawiedzioną, błędzącą.

Shalil zdał sobie sprawę, że ów niepokój wywołał pośpieszną telepatyczną konsultację między jego kolegami. W chwilę później padła sugestia: „Odwróć jej uwagę pozwalając jej odnieść kilka zwycięstw i uwierzyć, że są one darami od ciebie”.

Wydawało się, że to dobry pomysł. Shalil spełnił go więc co do joty, jakby to był rozkaz.

## XIV

W Hotelu Harkdale był poranek. Marge Aikens zeszła na dół, z oczami załzawionymi od niewyspania. Prawie automatycznie zajrzała do sali konferencyjnej. Światła były pogaszone, story zaciągnięte. Ten półmrok i pustka legły nagłym ciężarem na jej duszy.

Z ciężkim sercem cofnęła się — i poczuła, że ktoś za nią stoi. Odwróciła się i stanęła oko w oko z jakimś mężczyzną.

Był to recepcjonista, Derek Slade, wzór męskiej mody nowojorskiej.

— Madame — zwrócił się do niej grzecznie.

Mówił coś jeszcze i po chwili sens tych słów dotarł do jej otępiełego umysłu. No więc zdawało mu się, że rozpoznaje w niej młodą kobietę, która poprzedniego popołudnia weszła do sali konferencyjnej w towarzystwie pięciu Sethów Mitchelłów.

Gdzie jest, chciał wiedzieć Derek, czterech żonatych Sethów? Ich żony wydzwaniały przez całą noc, jak wynika z notatki nocnego portiera. Oficer policji jest już w drodze, gdyż trzy panie Mitchell zawiadomiły w końcu władze.

Marge chciała odruchowo zaprzeczyć, że jest tą kobietą, którą Derek — jak sądził — widział. Ale jej uwagę przykuł fakt, że recepcjonista nie wspomniał o Sethcie-kawalerze. Zapytała więc o niego.

Derek potrząsnął głową.

— Nie ma go w pokoju. Mówiono mi, że wyszedł z samego rana.

Marge stała w drzwiach w otępieniu, zastanawiając się, co mogło się przytrafić najlepszemu Sethowi. Dlaczego wyszedł, skoro poprzedniego wieczoru mówił, że zje z nią razem śniadanie? Uświadomiła sobie naraz, że spojrzenie Slade'a biegnie gdzieś ponad jej ramieniem i szuka czegoś w ciemnym wnętrzu sali za jej plecami.

Opadła mu szczeka, oczy się zaokrągliły.

Z głębi sali dał się naraz słyszeć męski baryton. Marge odwróciła się.

Czterej Sethowie, którzy zniknęli poprzedniej nocy, stali teraz koło drzwi, odwróceny plecami do niej. To właśnie jeden z nich zawołał:

— Hej, kto zgasił światło?

Marge natychmiast uświadomiła sobie w pełni znaczenie tych słów. Pamięcią cofnęła się do tego, jak Billy Bingham określał przeskok w czasie: brak poczucia upływu czasu.

A teraz było tak samo.

Prawie bezwiednie sięgnęła do kontaktu i zapaliła światło. Wtedy z kąta pokoju wyszedł nagle piąty Seth. Wydał się oszołomiony. Uplętnęła dłuższa chwila, zanim rozpoznano w nim właściciela złotego cadillaca, nieoczekiwanie odtworzonego bez kuli w mózgu czy kropli wody na nieskazitelnym garniturze.

Marge rzuciła mu zaledwie przelotne spojrzenie, ponieważ szósty Seth pojawił się przy odległym końcu stołu konferencyjnego. Jego opanowanie, bystra czujność, z jaką rozejrzał się po sali, obrzucił spojrzeniem pozostałych Sethów i przeniósł wzrok na nią, rozpoznając ją z widoczną ulgą. . .

Ujrzawszy tego, w którym po licznych oznakach poznała detektywa, Marge rozkleiła się. Porzuciwszy nagle całą swą dotychczasową rezerwę wykrzyknęła:

— Seth. . . kochany!

Szli sobie naprzeciw wokół olbrzymiego stołu i spotkawszy się w pół drogi padli sobie w objęcia, gdy naraz Marge uświadomiła sobie, że o kilka stóp od niej stoi Edyta Price, rozglądając się wokół bojaźliwie.

Tuż obok Edyty pojawił się jeszcze jeden Seth. Ubrany był w roboczy kombi-  
nezon, więc Marge domyśliła się, że musi być farmerem.

Ledwie nań spojrzała. Uwolniwszy się z uścisku detektywa spostrzegła, że Edyta ubrana jest i uczesana inaczej. Dopiero jednak po pewnym czasie Marge i pozostali zrozumieli, że jest to ta Edyta, którą zamordował w Nowym Jorku najgorszy z Athtarów.

Po obu Athtarach nie było jednak śladu.

Czas upływał, kawaler-Seth stanął wreszcie w drzwiach, jednak Edyta będąca punktem orientacyjnym kryształu nie pojawiła się.

Najlepszy Seth wyjaśnił im, że udał się na przechadzkę i po przemyśleniu wszystkiego postanowił zrealizować swój projekt.

— A gdy wróciłem, zastałem was tu wszystkich — zakończył z optymizmem w głosie. — Każdy z was jest żywym dowodem na to, że Edyta odkryła już, co potrafi. Lub też — zrobił pauzę — ktoś inny to odkrył i jest na to gotów.

— Ale co ona potrafi? — zapytał jeden z Sethów ze zdziwieniem.

Seth-kawaler uśmiechnął się przyjaźnie.

— Podoba mi się ta młoda dama. W pewnym sensie przeciętna dziewczyna z naszej epoki, ale znalazła sposób, by stać się najlepszą. — Przerwał, popatrzył po kolei na duplikaty jednej twarzy i powiedział łagodnie: — Chcecie wiedzieć, co ona potrafi. Nie ośmieliłem się mówić o tym dotąd, lecz teraz. . . no dobrze. Jeśli nie ma Boga, co mogłoby go zastąpić?

— „Zatem ty sam jesteś Bogiem” — powtórzyła jak echo Marge. Zasłoniła usta ręką. — O, mój Boże, Edyta!

Najlepszy Seth powiedział z namysłem:

— Ciekaw jestem, co teraz robią Edyta i kryształ?

\* \* \*

Shalil był w poważnym kłopotcie. Wciąż czekał na czysto osobistą, ograniczającą myśl, która — jak sądził on i jego koledzy — zakończy władzę Edyty nad kryształem.

Edyta wyimaginowała sobie korytarz czasu pomiędzy XX i XCIII wiekiem. Przewornie zachowała kontrolę nad nim dla swej własnej grupy.

Właśnie gdy ustanowiła to niezwykle powiązanie i kontrolę, Shalil — w desperacji — ją uśpił. Znow znalazła się w polu siłowym. Uczeni zgromadzili się wokół pogrążonej we śnie i ponuro oceniali rozmiary swej porażki.

— Przyznajmy jednak — stwierdził niechętnie jeden z nich — że można z tym wszystkim żyć.

Problem polegał na tym, że nie zrobili żadnego postępu. Od Edyty wciąż emanowała totalna siła i w niewytłumaczalny sposób nadal wydobywała z kryształu moc, jakiej żaden z nich nie spodziewał się po kryształach.

Shalil doznał nagłego przecucia:

— Być może to właśnie powinno być przedmiotem naszych badań — nasze własne ograniczenia. Może rzeczywisty problem tkwi w tym, że w naszym naukowym zapale odrzuciliśmy możliwość zagadki.

Po tych słowach zapadła głucha cisza. Widział, że wszyscy są wstrząśnięci. Zagadka została przez nich odrzucona jako nienaukowy obszar myśli: taką zagadką jest wszechświat. Dlaczego istnieje? Jak powstał?

Od początków istnienia nauki naukowcy koncentrowali się na pytaniu, jak coś działa, nigdy d l a c z e g o. Ani też w j a k i s p o s ó b, w pojęciu d l a c z e - g o.

Szok minął, gdy jakiś olbrzym wybuchnął chrapliwym śmiechem.

— Nic mi nie wiadomo o zagadce — powiedział — i nie chcę wiedzieć. Ale jako uczonej znam swoją powinność... n a s z ą powinność. Musimy przywrócić tej kobiecie świadomość, poinformować ją o nieograniczonych rozmiarach jej potęgi i wtedy zobaczymy, co zrobi.

— A... ależ ona może nas wszystkich zabić — zaprotestował drugi. Po czym dodał prawie żałośnie: — Nigdy jeszcze nie byłem zabity.

— Byłoby to dla ciebie interesujące doświadczenie — odparł pierwszy. — Zupełnie odmienne niż unicestwienie.

Shalil wtrącił trzeźwo:

— Edyta nie jest morderczynią. — Urwał. Przebiegle: — Sądzę, że to doskonały plan. Na pewno przyniesie nam korzyść.

Uświadomiwszy sobie, co ma na myśli, zaaprobowali projekt przebudzenia.

Edyta ocknęła się.

Gdy się uspokoiła — po tym jak już jej powiedziano o jej nieograniczonych możliwościach — właśnie tak jak przewidzieli, nastąpiła u niej pierwsza automatyczna reakcja. Opanowała ją dzika nadzieja. Przede wszystkim chciała unieważnić wszystkie te swe mylne osady, co zapędziły ją w ślepią uliczkę licznych znajomości z mężczyznami, z których żaden nie traktował jej poważnie ani też nie uwzględniał jej zdolności posiadania dzieci. W porywie tego właśnie szczerzego pragnienia, wszystkie te lata frustracji ujawniły się teraz we łzach i słowach:



— Poza tym, co już wam powiedziałam — wymówiła ten właśnie zwrot, który umożliwił jej powrót do XX wieku — tak naprawdę to chciałabym wyjść szczęśliwie za mąż.

Olbrzymi wyczuli, że ma na myśli Seta Mitchella-kawalera.

Rozkazali więc kryształowi, by wypowiedziane przez nią życzenie spełniło się niezwłocznie, ściśle i dokładnie. A potem, bezpieczni już i spokojni, zadumali się nad trudnym pojęciem małżeństwa.

W epoce, gdzie wszyscy żyją wiecznie dzięki procesowi powstawania duplikatów z kryształu, oni nie byli nawet w stanie zadać właściwego pytania, które by dało taką właśnie odpowiedź.

— Możliwe — podsumował ostrożnie Shalil — że wzajemne oddziaływanie na siebie oryginalnych ludzkich istot z XX wieku i przetworzonych biologicznie z XCIII przyniesie złagodzenie ograniczeń obydwu tych grup.

Jego surowe czarne oczy patrzyły wyzywająco. Zdziwił się, że nikt nie poczuł się dotknięty. Nawet któryś mruknął w zadumie:

— Gdyby tak się stało, może nawet odkrylibyśmy, czym jest kryształ.

Ale naturalnie było to niemożliwe.

Kryształ był fenomenem kosmicznym. Przepływ energii w tej przestrzeni, z niej i do niej, miały wpływ na poszczególne wydarzenia, rzeczy, osoby. Ale była to tylko funkcja wtórna — jak ośrodek ruchu w ludzkim mózgu, który uruchamia mięsień w koniuszku małego palca.

Mięsień musi być jednak ruchomy. Lecz gdyby ów mięsień doznał trwałego uszkodzenia, nie byłby zauważony przez świadomą część mózgu.

Na tym poziomie istnienia odwzorowywane wzajemne oddziaływania w kryształach, wokół niego i poza nim, przekraczały  $10^{27}000$  razy liczbę atomów we Wszechświecie — wystarczająco dla wszystkich konfiguracji wszystkich żyjących kiedykolwiek ludzi: być może wystarczająco dla wszystkich, którzy kiedykolwiek będą żyli na Ziemi.

Lecz dla kryształu był to drobiazg. Jako wzorzec przepływów czasu i przestrzeni on powstrzymał owe przepływy na dwadzieścia pięć lat, leżąc w muzeum w Harkdale. To było bez znaczenia. Prawie tyle co nic. Jako ukształtowanie przestrzeni, miał egzystencję ciągłą. Jako forma przestrzeni, zajmował miejsce i znajdował się w odniesieniu. Choć nie wykazywał przepływów przez ćwierć wieku, nie zapisał się, nie miał pamięci ani dorobku, to mimo to wiedział, miał, był i mógł.

Znalazszy go, a także dziesiątki tysięcy podobnych, ludzie z ósmego i dziewiątego tysiąclecia zrobili użytek z interakcji i przepływów, nigdy zaś z jego funkcji przestrzennej. Odkryli podstawowe „prawa” — „jak” i „co” — wedle których działają kryształy i zdecydowani byli znaleźć w końcu zasady, które „wyjaśniałyby” pewne nieznanne fakty w falowym układzie wewnątrz i wokół kryształów.

Pewnego dnia wszystkie interakcje całego życia i wszystkich czasów zostaną równo podzielone pomiędzy te kryształy. Wtedy przybiorą swą prawdziwą formę: jeden kryształ krystaliczny — jedna przestrzeń. Osiągną wtedy pełnię, ich intencje się wykonają.

Nie ma pośpiechu.

Tak więc czekał. A równocześnie spełniał jeszcze inne cele poza własnym; drugorzędne, nieistotne, z udziałem przepływów i interakcji, odbijające iluzje ruchu: wydarzenia, osoby, nie dotyczące niczego, w gruncie rzeczy...

\* \* \*

Tak więc dziś w Harkdale stoi jednopiętrowy budynek o niezwykłym przeznaczeniu. Stoi on dokładnie w tym miejscu, gdzie zniknął kiedyś Billy Bingham, nad brzegiem jeziora Naragang. Ma on solidną konstrukcję i swoiste piękno. Na złotej tabliczce obok ozdobnych drzwi frontowych znajduje się napis:

KRYSZTAŁ, Sp. z o.o.  
Własność i zarządzanie  
Sethowie Mitchellowie i Edyty Price  
Niezatrudnionym wstęp wzbroniony

Turyści, którzy zatrzymują się tu, by spojrzeć na ten napis, zawsze dziwią się nazwiskom w liczbie mnogiej. Stali mieszkańcy, gdy ich o to zapytać, przypuszczają, że firma ta zajmuje się kryształami znalezionymi w tworach skalnych, a także w okolicy wzgórz i jeziora.

Jest tam także wielki piękny dom wraz z przyległymi doń obszernymi terenami. W domu tym mieszkają Seth i Edyta Mitchellowie.

Ku zdumieniu sąsiadów państwo Mitchellowie rozpoczęli swój staż małżeński od zaadoptowania trzynastoletniego chłopca, który nazywa się obecnie Billy Bingham Mitchell.

# Namiastka nieśmiertelności

## *Ersatz Eternal*

Grayson zdjął kajdanki z rąk i nóg drugiego mężczyzny.

— Hart! — zawołał.

Leżący na łóżku polowym nie poruszył się. Grayson zawahał się, potem kopnął go umyślnie.

— Hart, słuchaj mnie, do cholery! Uwalniam cię — na wypadek, gdybym nie wrócił.

John Hart nie otworzył oczu ani nie zareagował na cios. Leżał bezwładnie; jedyną oznaką życia było jego ciało — miękkie, a nie sztywne. Twarz miał bladą, bez kropli krwi; włosy wilgotne, zlepione.

— Hart, idę szukać Malkinsa — Grayson był nieustępliwy. — Pamiętasz, miał wyjść tylko na dwadzieścia cztery godziny, a minęły już cztery dni.

Nie otrzymawszy odpowiedzi już chciał się odwrócić, ale zawahał się i znów powiedział:

— Hart, jeśli nie wrócę, musisz sobie uzmysłwić, gdzie jesteśmy. To jakaś nieznaną planeta, rozumiesz? Nigdy tu jeszcze nie byliśmy. Nasz statek się rozbił i my trzej przylecieliśmy tu w szalupie ratunkowej. Potrzebne jest nam paliwo. Właśnie dlatego wyszedł Malkins, a teraz ja idę jego szukać.

Postać na łóżku pozostała obojętna. Grayson z ociąganiem otworzył drzwi i ruszył w stronę wzgórz. Bez specjalnej nadziei.

Trzech mężczyzn na Bóg raczy wiedzieć jakiej planecie — a jeden z nich jest niebezpiecznym szaleńcem.

Idąc rozglądał się wokół siebie ze zdziwieniem. Krajobraz przypominał ziemski: drzewa, krzewy, trawa i dalekie góry osnute błękitną mgiełką. Było to dziwne, zważywszy na to, że po wylądowaniu mieli z Malkinsem nieodparte wrażenie, iż trafili na pustynną, kamienistą planetę, pozbawioną atmosfery i martwą.

Twarz musnął mu łagodny wietrzyk. W powietrzu unosił się zapach kwiatów. Grayson ujrzał ptaki śmigające wśród drzew, raz nawet usłyszał śpiew łudząco podobny do głosu skowronka.

Szedł cały dzień i nie napotkał śladu Malkinsa. Ani żadnego osiedla, które by wskazywało, że na planecie istnieją rozumne formy życia. Tuż przed zmierzchem usłyszał, że jakaś kobieta woła go po imieniu.

Odwrócił się gwałtownie. Była to jego matka, wyglądająca o wiele młodziej, niż wtedy, gdy osiem lat temu leżała w trumnie. Podeszła do niego i powiedziała surowo:

— Billy, nie zapomnij włożyć kaloszy.

Grayson patrzył na nią z niedowierzaniem. Potem powoli zbliżył się i dotknął jej. Schwyciła go za rękę; miała palce ciepłe, pełne życia.

— Powiedz ojcu, że obiad już gotowy — poleciała.

Grayson uwolnił się i cofnął o krok, po czym rozejrzał się z napięciem dookoła. Oboje stali na porośniętej trawą równinie. W oddali błyszczała srebrzyście rzeka.

Odwrócił się od kobiety i wkroczył w mrok. Kiedy się obejrzał, nikogo już za nim nie było. Wkrótce jednak zjawił się obok niego jakiś chłopak. Grayson z początku nie zwracał nań uwagi, jednak po chwili rzucił mu ukradkowe spojrzenie.

Był to on sam w wieku piętnastu lat.

Nim zapadająca noc okryła wszystko ciemnością, ujrzał drugiego chłopca idącego obok pierwszego: siebie samego w wieku około jedenastu lat.

Trzech Billów Graysonów, pomyślał. Zaśmiał się dziko.

Potem zaczął biec. Gdy się obejrzał, był już sam. Szlochając cicho zwolnił i prawie w tej samej chwili usłyszał śmiech dzieci w półmroku. Głosy były znajome, wrażenie jednak oszałamiające.

— Ależ to ja, w różnym wieku — mamrotał Grayson. — Wynoście się! Wiem, że to złudzenie.

Kiedy już całkiem zdarł sobie głos, z którego pozostał tylko chrapliwy szept, pomyślał: Tylko złudzenie? Czy aby na pewno?

Poczuł się niesłuchanie przygnębiony i wyczerpany.

— Hart i ja — powiedział na głos, znużony — powinniśmy się znaleźć w tym samym domu wariatów.

Nadszedł świt, a wraz z nim chłód. Miał nadzieję, że wschód słońca położy kres szaleństwu. Gdy światło z wolna zalewało ziemię, Grayson rozejrzał się ze zdumieniem. Znajdował się na wzgórzu, poniżej zaś rozpościerało się jego rodzinne miasto — Calypso w stanie Ohio.

Spojrzał w dół, nie dowierzając własnym oczom. Miasto wyglądało jak żywe, puścił się więc biegiem po zboczu wzgórza.

To było Calypso, ale takie jak za jego chłopięcych lat. Zdażał ku własnemu domowi. I tam także był on — wszędzie poznałby tego dziesięcioletniego chłopca. Zawołał go; chłopak zmierzył go wzrokiem, odwrócił się i wbiegł do domu.

Grayson leżał na trawniku z zamkniętymi oczami. — Ktoś — powiedział sobie — coś fotografuje moją pamięć i wyświetla mi jej obrazy.

Zdawało mu się, że jeśli chce pozostać przy zdrowych zmysłach — i przy życiu — musi się trzymać tej myśli.

\* \* \*

Mijał szósty dzień po odejściu Graysona. Na pokładzie szalupy ratunkowej John Hart poruszył się i otworzył oczy.

— Głodny — powiedział głośno, w przestrzeń.

Czekał, nie wiedząc na co, aż wreszcie znudzony usiadł, zsunął się z łóżka i ruszył do kuchni. Po posiłku podszedł do drzwi i stał tam dłuższą chwilę, przyglądając się rozpościerającemu się przed jego oczami, podobnemu do ziemskiego krajobrazowi. Poczuł się jakoś lepiej.

Raptownie zeskoczył na ziemię i ruszył w stronę najbliższego wzgórza. Zapadały ciemności, ale to nie zawróciło go z drogi.

Wkrótce statek pograżył się za nim w mroku.

Pierwsza przemówiła do niego dziewczyna z czasów jego młodości. Wyszła z mroku, rozmawiali długo. W końcu postanowili się pobrać.

Ceremonii ślubnej natychmiast dopełnił pastor, który nadjechał samochodem i zastał obie rodziny w komplecie w pięknym domu na przedmieściach Pittsburga. Pastor był starym człowiekiem, znanym Hartowi od dzieciństwa.

Młoda para spędziła miesiąc miodowy w Nowym Jorku i nad Niagarą, a potem wyjechała aerotaksówką do Kalifornii. Nagle pojawiła się trójka dzieci, a oni sami byli właścicielami stutysięcznoakrowego rancza z milionem sztuk bydła; pracowali tam kowboje ubrani jak do filmu.

\* \* \*

Graysonowi cywilizacja, która nagle dojrzała wokół niego z tego, co pierwotnie było tylko skalistym pustkowiem, jawiła się koszmarem. Ludzie, jakich spotykał, żyli przeciętnie do siedemdziesięciu lat. Dzieci rodziły się w dziewięć miesięcy i dziesięć dni od poczęcia.

Pochował już szóste pokolenie rodziny, którą tu założył. Aż pewnego dnia, gdy przechodził przez Broadway w Nowym Jorku, zatrzymał się widząc zdecydowany krok i pewność siebie mężczyzny nadchodzącego z przeciwnej strony.

— Henry! — krzyknął. — Henry Malkins!

— A niech mnie... Bill Grayson.

Uścisnęli sobie ręce, milknąc po początkowej ekscytacji przy powitaniu. Malkins przemówił pierwszy:

— Tu za rogiem jest bar.

Przy drugim drinku wspomnieli Johna Harta.

— Jakaś siła żywotna, poszukująca dla siebie kształtu, posłużyła się jego umysłem — stwierdził rzeczowo Grayson. — Najwidoczniej nie miała własnej osobowości. Próbowwała wykorzystać mnie... — Popatrzył badawczo na Malkinsa. Drugi mężczyzna przytaknął:

— Mnie również.

— Sądzę, że opieraliśmy się jej dostatecznie wytrwale.

Malkins otarł pot z czoła.

— Bill — powiedział — to wszystko jest jak sen. Żeniłem się i rozwodziłem co czterdzieści lat. Zawsze biorę sobie za żonę, zdawałoby się, dwudziestoletnią dziewczynę, a po kilkudziesięciu latach ona wygląda na pięćset.

— Czy sądzisz, że to tylko nasza imaginacja?

— Nie, to nie to. Myślę, że cała ta cywilizacja istnieje naprawdę: cokolwiek by rozumieć przez „istnienie”. — Malkins jęknął. — Lepiej nie wnikajmy w to. Kiedy czytam filozoficzne rozprawy wyjaśniające, czym jest istnienie, czuję się, jakbym stał na skraju przepaści. Gdybyśmy tylko mogli się jakoś pozbyć Harta.

Grayson uśmiechnął się ponuro.

— A więc jeszcze tego nie odkryłeś?

— O czym mówisz?

— Czy masz przy sobie broń?

Malkins w milczeniu wyjął promiennik. Grayson wziął go, wymierzył w swą prawą skroń i nacisnął wygięty spust. Malkins rzucił się ku niemu jak oszalały, lecz było już za późno.

Cienki biały promień, zdawało się, przeszył głowę Graysona na wylot. W boazerii obok pojawiła się okrągła czarna dziura. Zdrowy i cały Grayson z zimną krwią wycelował wylot trójkątnej lufy w swego towarzysza.

— Chcesz, żebym wypróbował na tobie? — zapytał jowialnie.

Starszy z mężczyzn zadrżał i wyciągnął rękę po broń.

— Oddaj mi to! — powiedział.

Potem uspokoił się i zapytał:

— Zauważyłem, Bill, że wcale się nie starzeje. Co nas czeka?

— Sądzę, że trzyma się nas w rezerwie — odpowiedział Grayson.

Wstał i podał Malkinsowi rękę.

— No, Henry, miło mi było cię spotkać. Powiedzmy, że będziemy się tak spotykać co roku i wymieniać doświadczenia.

— Ależ...

Grayson uśmiechnął się z przymusem.

— Weź się w garść, przyjacielu. Czyż nie rozumiesz? To najwspanialsza rzecz w całym Wszechświecie. Będziemy żyć wiecznie! Jesteśmy potencjalnymi substytutami, gdyby coś poszło nie tak, jak trzeba.

— Ale co to jest? Z czego to się bierze?

— Zapytaj mnie o to za milion lat. Może wtedy będę znał odpowiedź.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z baru, nie oglądając się za siebie.

# Tajemnica farmy

## *Footprint Farm*

Kiedy samochód wjechał na wzgórze, Peter Tasker doznał wrażenia, że farma wychodzi mu na spotkanie i wita go przyjaźnie. Rzucił okiem na siedzącą obok niego Evane, żywiąc nadzieję, że ona odczuwa to samo. Już chciał zawołać z entuzjazmem: „No, co tam słyhać, po dwóch latach?”, ale oczywiście nie zrobił tego. Po pierwsze dlatego, iż ten jego wymysł, że farma może doznawać jakichś uczuć, stanowił regułę gry, w którą Tasker grywał jedynie sam ze sobą; a po drugie — ponieważ Evana siedziała sztywno, z niebieskimi oczami utkwionymi prosto przed siebie.

Odwrócił głowę, żeby się przekonać, co robi dziewięcioletnia Tiffy. Dziewczynka spała na tylnym siedzeniu, zwinięta w kłębek, z twarzą wciśniętą w poduszkę. Sąd przyznał mu prawo opieki nad córką przez sześć miesięcy w roku, poczynając od pierwszego kwietnia. Od dzisiaj.

Samochód zsuwał się po zboczu. Pod nimi rozpościerała się farma; z góry widać było wyraźnie, że kształtem przypomina ślad stopy; jej zewnętrzna krawędź — płytki parów — obejmowała łukiem zielone wzniesienie — „sklepienie” stopy — na którym stał piętrowy dom z przybudówkami. Z tyłu, ledwie widoczne teraz w gęstniejącym mroku, znajdowało się skaliste półkole „pięty”, gdzie — zgodnie z oświadczeniami ekspertów — jakieś czterysta lat temu spadł meteoryt.

Już prawie po raz tysięczny Tasker ujrzał w wyobraźni tamten odległy dzień, kiedy rozżarzony głaz zbliżył się do „sklepienia” i zwałił z hukiem na oporną ziemię, odciskając „piętę” gigantycznej stopy. Grzmot musiał przebiec echem pobliskie doliny. Jeszcze w odległości stu kilometrów od tego miejsca wstrząsnął powietrzem, które potem westchnęło i zapulsowało, kiedy wibracje od uderzenia rozeszły się we wszystkich kierunkach jednocześnie.

W swoim oświadczeniu dla sądu Tasker napisał: „Z powództwa rozwodowego mojej żony wynika, a wszyscy mają w to uwierzyć, iż jeśli Tiffy będzie nadal kopać na naszej farmie w tym miejscu, gdzie został znaleziony meteoryt, może jej się przytrafić coś złego. Moja żona przezornie jednak przemilcza, jaką postać

miałoby przybrać to «zło», ponieważ jest to, oczywiście, jedynie wytwór jej wyobraźni. Po rozważeniu tego twierdzenia można je uznać za sprzeczne z logiką”.

W związku z tym punktem Tasker wykazał — co zostało poparte przez orzeczenia naukowców — iż żaden meteoryt nie zawierał nigdy bakterii, nie był radioaktywny ani chemicznie skażony.

— Peter! — zabrzmiał donośnie głos Evany.

Ocknął się z zamyślenia; zdał sobie sprawę, że Evana mówi już do niego od dłuższego czasu. Rzucił jej szybkie spojrzenie. Miała silne rumieńce; po raz pierwszy tego dnia patrzyła mu prosto w twarz.

— Mieliśmy postanowić, co będzie ze mną.

Tasker niespokojnie poruszył się za kierownicą. Poprzedniego dnia wyskoczył do miasta mając zamiar namówić Evane, by przyjechała tu z nim, na farmę, i w ciągu tych sześciu miesięcy opiekowała się Tiffy. Zanim teraz zdążył jej to zaproponować, odezwała się pierwsza:

— Mogę robić cokolwiek, jeśli się tylko zgodzisz, żebym z wami została.

— Ależ to właśnie... — zaczął.

Zaskoczył go wyraz jej twarzy. Była blada, napięta. Wpatrywał się w nią, zdumiony odkryciem, że składa ofertę matrymonialną swemu byłemu mężowi.

— Cokolwiek? — zapytał w końcu z przymusem.

Przytaknęła.

Ze zdumieniem potrząsnął głową.

— Kochanie — powiedział miękko — możesz z nami zostać bez żadnych warunków.

— Ale ja mam jeden — powiedziała stanowczo. — Peter, jeśli pozwolisz jej znów kopać w ziemi, nie zniosę tego dłużej.

Jej słowa zmroziły go. Evano, pomyślał, przecież to tylko ziemia, tylko skała, nic poza tym. Ale mówiąc to sobie w duchu, wiedział, że nie należy tych słów powtarzać na głos. Ona nienawidziła farmy od samego początku, ta miastowa panna. To jasne, że się tu nigdy nie zaaklimatyzuje.

Kiedy już wprowadził samochód przez bramę na podwórze, ustąpił z westchnieniem:

— No dobrze, wygrałaś. Żadnego grzebania w ziemi.

W chwilę później dźwignął śpiącą Tiffy z tylnego siedzenia samochodu i cicho poszedł za Evaną do domu.

Tej nocy, ku jego zaskoczeniu, farma była usatysfakcjonowana.

— Śpij! — tchnęła spokojem. I Tasker spał. Kiedy się obudził następnego dnia, ze zdziwieniem stwierdził, że jest już dziesięć po dziesiątej.

Z dwóch pozostałych sypialni nie dochodził żaden dźwięk.

— A to leniuchy! — mruknął z czułością, ubierając się.

Spędził rano na polerowaniu małych kawałków meteorytu. Do godziny dwunastej myślami był gdzie indziej.



Jasnowłosa smukła Evana, taka pogodna w bładoniebieskiej bawełnianej sukience, obejrzała się, gdy wchodził do kuchni.

— Tiffy ciągle jeszcze śpi — powiedziała. — Chyba trzeba jej dać porządnie odpocząć, skoro tego potrzebuje.

— To pewnie zmiana klimatu — odrzekł.

Południe spędził obsiewając jałową glebę na wzgórzu. Kiedy wrócił na kolację, Tiffy kończyła już jeść. Zawsze do tej pory jedli razem. Zastanawiał się, czy przypadkiem Evana nie próbuje pozbawić go towarzystwa córki.

Mała uniosła ku niemu buzię i ziewnęła.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje, tatusiu. Jestem taka śpiąca. . .

Z kuchni wyszła Evana. — Ona chce iść do łóżka zaraz po kolacji. Prawda, kochanie?

To wyjaśnienie uspokoiło go. W obecności tych dwu istot czuł, że robi mu się ciepło w duszy.

— Oto, co znaczy świeże powietrze — zauważył.

Gdy Tiffy poszła już na górę, Evana podała kolację.

— Już byś sobie darował ten swój stary tekst ze świeżym powietrzem — powiedziała kwaśno. — Zupełnie jakbyś był wieśniakiem.

— Dlaczego nie? — odparował cios. — Przecież nim jestem.

— Nie wygłupiaj się — powiedziała szorstko, widać przywiązując do tego wagę.

Następnego dnia Tiffy też zasnęła. I następnego także.

Czwartego ranka Tasker zaniósł budzik do jej pokoju i czekał, podczas gdy budzik dzwonił i dzwonił bez końca. Wreszcie Tasker potrząsnął dziewczynką, z początku delikatnie, potem silniej.

— Obudź się, Tiffy!

Żadnej reakcji. Pochylił się nad nią niżej i krzyknął jej prosto w ucho. Wtedy poruszyła się i wymruczała:

— Jestem taka zmęczona. Daj mi spać.

Głos zamarł mu w gardle. I wtedy po raz pierwszy przyszło mu na myśl, żeby zabrać ją do lekarza.

Tuż przed południem ujrzał córkę na podwórzu. Zawołana, przyszła do jego warsztatu: chuda, wysoka na swój wiek dziewczynka, z ciemnymi włosami związanymi bladnoróżowymi wstążkami. Była dziwnie apatyczna.

Trochę się ożywiła, gdy oglądała przez mikroskop próbkę meteorytu.

— Jejku! — zawołała — on jest cały pokarbowany.

Jej reakcja podsycała nadzieję Taskera, że może udałoby mu się rozbudzić w niej zainteresowanie tym, co robił: pięć lat temu zapalił się do projektu przeprowadzenia naukowych badań nad tym okazem, który — jak wierzył — zostanie kiedyś uznany za najbardziej interesujący i niezwykły meteoryt, jaki kiedykolwiek spadł na ich planetę. Wyjaśnił teraz dziewczynce, że ślady te powstały przed

wiekami od gorąca wskutek tarcia, gdy olbrzymi głaz spadał z przestrzeni kosmicznej do atmosfery ziemskiej. Tiffy pokiwała głową, obejrzała jeszcze kilkanaście innych okazów i skierowała się do wyjścia.

— Obejrzałam już chyba wszystko — powiedziała obojętnie.

Tasker obserwował ją, zaniepokojony.

Nieco później wyrzwał przez okno warsztatu i zobaczył Tiffy drzemiącą przy płocie, obok domku dla lalki.

Poruszony tym widokiem, z przykrym podejrzeniem w duszy, podszedł do dziewczynki.

— Tiffy!

Żadnej odpowiedzi.

Delikatnie wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Evana przytrzymała mu drzwi; widocznie śledziła całą scenę z kuchni. Szła przed nim na górę po schodach, kołysząc się lekko. Kiedy już przykryła Tiffy, gwałtownie odwróciła się do niego:

— Przekłęta farma! — powiedziała ze złością.

Podejrzliwość Taskera wzmoogła się. Zrobiło mu się ciemno w oczach.

— Dajesz jej jakieś środki oszalamiające? — wyrwało mu się. Było już za późno, żeby cofnąć przykre słowa.

Jej złość nagle odeszła, zupełnie jakby ją uderzył. Wyraz bólu, jaki pojawił się na jej twarzy, nadawał jej wygląd skrzywdzonego dziecka. Zaczęła płakać.

Tiffy spała z zamkniętymi pięściami; jej chude ciało leżało bezwładnie pod kołdrą. Tasker patrzył na nią ze ściśniętym sercem, teraz już przekonany, że jego oskarżenie było bezpodstawne.

— Coś niedobrego się tu dzieje — odezwał się ochryple. — Nie wierzę w te bzdury, że może to mieć coś wspólnego z meteorytem. A-ale uważam, że powinniśmy z nią pójść do doktora Merricka, zaraz jak tylko mała się obudzi.

\* \* \*

Tiffy płażała w prywatnym gabinecie lekarskim, wykręcając piruety za plecami ojca, póki nie zatrzymała się przed wielkim dębowym biurkiem. Oczy jej błyszczały.

— Panie doktorze, a ja pana pamiętam. — Jej głos był przenikliwy i pełen radości.

Doktor Merrick wstał. Był to dobrze ubrany, żwawy czterdziestoletni mężczyzna, o przyjaznym szerokim uśmiechu.

— No proszę, proszę — powiedział — co za żywotna osóbką.

Po badaniu przyciągnął do siebie Tiffy, której oczy płonęły, i chwycił szybkim, energicznym ruchem jej mocno zaciśnięte pięści. Zaskoczony Tasker zobaczył, że mała stawia opór.

Trudno to właściwie było nazwać oporem: wykręcała się niezdarnie całym ciałem. Jej twarz, zmieniona, skrzywiona w grymasie, który odsłaniał jej drobne zęby, miała niemal zwierzęcy wyraz. Potem, nie mogąc uwolnić rąk z mocnego uchwytu lekarza, nagle rzuciła się na kolana gryząc z furją jego palce.

I tak w jednej chwili to zdawałoby się do niedawna zdrowe dziecko przeistoczyło się w wierzgajacę, skomlać zwierzątko.

— Przestań! — powiedział Tasker, bez sił.

Rzucił wzrokiem na Evane. Ujrzawszy wyraz jej twarzy wykonał półobrót, aby uchronić ją przed osunięciem się z krzesła. Nim zdążył się podnieść, by jej pomóc, surowy głos doktora wzbiał się ponad wrzawę:

— Trzymaj dziecko!

Tasker skoczył do przodu. Jego ręce, zaskakująco brutalne, przytrzymały Tiffy za ramię i głowę. Dziewczynka wiała się i szarpała ze zdumiewającą siłą; mała twarzyczka wykrzywiona była w maskę straszliwej furii. Ale nie puścił jej.

I wtedy nieubłagany doktor otworzył jej dłonie. Tiffy krzyknęła, a potem stała już spokojnie, bez sił, ze zwieszoną głową. Cały jej opór uszedł z niej bez śladu. Naraz stała się znów małą, bardzo zmęczoną dziewczynką.

— Tak właśnie przypuszczałem — odezwał się doktor Merrick. Spojrzał z gniewem na Taskera: — Dlaczego mi pan powiedział, że mała już nie kopie w ziemi?

— Bo nie kopie — odpowiedział machinalnie Tasker. — Mamy ją pod stałą. . .

Dalsze słowa utkwiły mu w gardle. W jego oczach pojawiły się łzy współczucia.

— Tiffy, najdroższa — wyszeptał. — Twoje ręce. . .

Nie mógł zrozumieć, jak zdołała je ukryć przed nimi. Były całe pokaleczone i pokrwawione. Na obu dłoniach miała pęcherze, które mogłyby śmiertelnie przerazić nawet dorosłego.

Po zabandażowaniu tych biednych poranionych rączek lekarz powiedział spokojnie:

— Jej reakcje były opóźnione. Na pozór była wesoła i pełna życia, ale jej stan fizyczny i psychiczny wskazywał na skrajne wyczerpanie. Wtedy, szczęśliwym trafem, spojrzałem na jej prawą dłoń. . . Panie Tasker, chciałbym, żeby pańska żona zabrała teraz małą do poczekalni. Muszę z panem porozmawiać.

Kiedy zamknęły się drzwi za matką i córką, Tasker odezwał się:

— Nie rozumiem, jak to się mogło stać. Mieliśmy ją pod stałą obserwacją.

— Czy w nocy też?

— Ależ to niemożliwe — zaprotestował Tasker gwałtownie. — Nie wierzy pan chyba w to, że wymykała się z domu, żeby w ciemnościach. . .

Rozważał w myślach to przypuszczenie. — No tak, oczywiście. To dlatego śpi tak długo.

Wstał wstrząśnięty. Zanim zdołał się odezwać, lekarz mówił już coś o pójściu z Tiffy do psychiatry. Do Taskera dotarło tylko: „uraz psychiczny” i „przymus nerwicowy”.

Podświadomie odrzucił te słowa. Dla niego ta rada była bez wartości. Miał uczucie, że jest na dnie przepaści, ale nie pragnął się opierać natrętnym myśłom. A więc Evana miała rację. Jak odgadła prawdę? Był to problem zbyt zawiły, żeby teraz go rozważać. Jej lęk przed meteorytem, widziany teraz w nowym świetle, wypływał — jak się okazało — z jej wyjątkowej wrażliwości i niespotykanej intuicji. A Tasker był do tej pory przeświadczony, że to on rozumuje logicznie.

— Dobrze, doktorze — powiedział na głos. — Zawiozę dzisiaj Evane i Tiffy do miasta, a potem... — urwał. Miał wrażenie, że jeśli się nie będzie kontrolować, to wygada się przed lekarzem, iż chce sam w nocy wrócić na farmę. Po co? Tego jeszcze nie wiedział. Czy „to” jest zakopane tam, gdzie znajduje się „pięta”? Cokolwiek by to było, on winien teraz to odszukać. Nie czas na wyjaśnienia. Potrzebował prawie pięciu lat na odkrycie prawdy, której Evana domyśliła się już w pierwszych tygodniach pobytu na farmie. Poczul niewypowiedzianą pokorę w obliczu tego prostego faktu.

Było już po północy, kiedy po zawiezieniu Evany i Tiffy do domu wjeżdżał na podwórze farmy. Poszedł od razu na górę i wyczerpany padł na łóżko z jedną tylko myślą: Jutro... pójde tam kopać... jutro...

Jak przez mgłę usłyszał telefon. Farma nie chce, żebym go odbierał, przyszło mu na myśl. Znowu zapadł w drzemkę, gdy uderzyła go niezwykłość tej myśli.

— Oczywiście, że odbiorę — powiedział do siebie, ziewając.

— Nie!

Poddał się ogromowi zmęczenia. Właśnie zapadał w sen, kiedy telefon, który zamilkł na krótko, zadzwonił znowu. To go obudziło. Usiadł na łóżku mrugając oczami, śmiertelnie przerażony. Prawda, która wreszcie do niego dotarła, poraziła go: Coś mnie próbuje uspić. Wrażenie, jakiego doznawałem przez wszystkie te lata, że farma ma cechy istoty rozumnej, nie było moją fantazją. Byłem pionkiem w tej grze.

Intryga okazała się prosta, ale kryło się za nią jakieś nieznanne niebezpieczeństwo. Zaraz też odkrył, że ten nowy obrót sprawy ma i korzystne aspekty. Wskazówki zegarka wskazywały pięć minut po trzeciej, a więc nie stracił zbyt wiele czasu.

Na dole znowu odezwał się telefon. Pędząc po schodach jak szalony Tasker schwycił słuchawkę drżącymi rękami i zdyszany wysapał „halo”. Po długiej stronie usłyszał głos Evany:

— Co się z tobą dzieje, Peter? — Jej słowa przerywało łkanie. — Wydzwaniam do ciebie już od godziny. Słuchaj, ona uciekła! Mówię o Tiffy! Pewnie wróciła z tobą na farmę. Musiała się gdzieś schować w twoich rupieciach w pikapie. Jest tam? Znalazłeś ją? Peter, powstrzymaj ją, nie pozwól jej kopać!

Kiedy wreszcie dotarł do niego sens tych chaotycznych słów, wziął się w garść.

— Posłuchaj, Evano — powiedział — teraz wychodzę. Czekaj na mój telefon.

— Nie, poczekaj, poczekaj! Nie dzwonię z domu. Jestem w drodze na farmę. Będę tam za jakieś trzy godziny.

Wybiegł z holu do przedsionka i zawahał się, bo nie mógł sobie przypomnieć, czy odłożył słuchawkę. Musiał przezwyciężyć w sobie to zamięłowanie do porządku, które pchało go teraz z powrotem. Pędził bez tchu podwórkiem i przez pastwiska, w stronę „pięty”. Ostrożnie zbliżył się do krawędzi urwiska i wpatrywał się w ciemność. Dostrzegł z góry niewyraźne poruszenia.

Tiffany kopała łopatą w ziemi, nocą, przy świetle księżyca podobnego do odwróconego spodka, wiszącego nisko na zachodzie. Kopała spokojnie i pilnie dół, który nawet teraz, w mroku, wydawał się olbrzymi i bez dna.

Tasker klęczał na ziemi, zdjęty litością nad córką, której ciało i umysł podporządkowała sobie bez skrępowań jakaś pozaziemska istota, nadwerężając jej siły dla osiągnięcia własnych celów.

Zbiegł z góry. Bez wahania wskoczył do wykopu, obok dziewczynki, i delikatnie wyjął z jej rąk łopatę. Nie stawiała oporu. Kiedy wziął ją na rękę i wniósł na wzgórze, idąc do domu czuł, że mała drży na całym ciele.

Na górze, w łazience, zdjął podarte, brudne bandaże, którymi doktor Merrick owinął jej ręce poprzedniego dnia. Ostrożnie umył biedne, umęczone dłonie i delikatnie zabandażował je znowu. Potem zniósł ją po schodach do garażu i posadził w pikapie. Wybrał sobie młot, kilof i łopatę. W chwilę później reflektory oświetlały drogę prowadzącą do „pięty”.

Próbował sobie wyobrazić, jak „to” może wyglądać, i zastanawiał się, w jaki sposób ma je zniszczyć, kiedy Tiffany zapytała cicho:

— Co chcesz zrobić?

Ujrzał jej szeroko rozwarte, wpatrzone w niego oczy.

O Boże! pomyślał, „to” mówi do mnie poprzez nią.

Zatrzymał samochód. Zanim zdołał się odezwać, Tiffany powiedziała:

— Jedyna rzecz, jakiej pragnę przez wszystkie te lata, to wolność. Próbuję namówić każdego, co tędy przechodzi, żeby mnie odkopał, ale niełatwo podporządkować sobie dorosłych. W twoim przypadku spróbowałem więc innej metody: udało mi się skłonić ciebie do pozostania tutaj, na farmie. . .

— Dlaczego zawładnąłeś ciałem bezbronnego dziecka — zapytał Tasker — i wysysasz z niej wszystkie siły? To nadweręży jej zdrowie już na zawsze.

— Jestem pewien, że się mylisz. Starłem się być ostrożny, usypiałem ją na wiele godzin w ciągu dnia. Ale przyznaję, że nic nie wiedziałem o pęcherzach.

Ten ostatni argument trafił do Taskera. Brzmiało to przekonująco: skąd istota pozaziemska mogłaby wiedzieć o granicach ludzkich możliwości?

— Dlaczego nie próbowałeś się z nami porozumieć wcześniej?

Dyskrecję dziewczynki Tasker był w stanie zrozumieć. Tiffy po prostu nie wiedziała, że jest pod czyimś wpływem. Z pewnością zdawała sobie sprawę z tego, że źle robi wymykając się nocą z domu, żeby kopać ten dół, więc dziecięcym zwyczajem zachowywała tę tajemnicę dla siebie.

— Dwa lata temu, zanim jeszcze stąd wyjechała, panowałem tylko nad jej ciałem. Teraz wydaje mi się, że się zmieniła.

Tasker zastanawiał się, jak można wyjaśnić proces dojrzewania u człowieka, gdy Tiffy zapytała:

— Czego się obawiasz?

Jej oczy, wpatrzone w niego uparcie, w świetle deski rozdzielczej były jasnoniebieskie, spokojne, niezgłębione. Zrozumiał, że pytanie to nie dotyczy jedynie chwili teraźniejszej. Wstrząsnęło ono nim do głębi. Zupełnie jakby odgłos rzuconego głazu w studnię czasu — w nim samym — odbił się echem po milionie lat jako dziedzictwo tamtego dnia.

Miał wizję siebie samego jako potomka kontynuującego linię genealogiczną dziesięciu tysięcy przodków — począwszy od tego dnia, kiedy pracłowiek wyprostował się i spojrzął w gwiazdy, aż po dzień, kiedy ludzkość sięgnęła do najbliższych planet. Z takim rodowodem — czegoż się bać?

A jednak! Nocy i nieznanego! Ciemności i rzeki, grzmotu i błyskawic, i niejasnych zamysłów w spojrzeniach innych ludzi. Bał się rzeczy nie nazwanych i — o, wstydzie! — siebie samego.

Tiffy znów milczała. Włączył więc pierwszy bieg i prowadził pikap w dół po zboczku stromą spadzistą drogą, która już mu kiedyś służyła przy zwożeniu kamieni. Jadąc zygzakiem w dół wziął gwałtownie ostry zakręt; reszty dokonał hamulec. Reflektory wypełniły światłem półtorametrowy dół, który Tiffy wykopała w twardym kamienistym gruncie.

W jakąś godzinę później, kiedy na wschodzie już gęstniało od światła, Tasker uderzył łopata w kawałek skały, która zadźwięczała jak metal. Odrzucił ziemię z błyszczącej powierzchni i energicznie wymierzał jej brzegi, kiedy łopata raptownie zapadła się głębiej. Wyszarpując ją, przestraszony wyczuł zwał sypkiej ziemi wypełniającej wgłębienie o półmetrowej średnicy.

I wtedy na dnie wykopu dostrzegł jakieś poruszenie: niewyraźny obiekt wirował, kierując się w stronę porannego światła. Dwukrotnie próbował się dźwignąć, ale do wylotu dołu było za wysoko.

— Czekaj! — Głos Taskera drżał. — Cofnij się!

Pierwszy wstrząs już minął. Robiło się coraz jaśniej. Ziemia była twarda i zbita. Wszystko to przywracało mu poczucie rzeczywistości. Spojrzął w ciemną cześć wykopu i nieoczekiwanie mały rozmiar tego zagadkowego obiektu utwierdził go w przekonaniu, że robi słusznie starając się go uwolnić.

— Odsuń się! — zawołał. — Powiększ wylot.

— Pośpiesz się! — odezwała się Tiffy tuż za nim. — Nadjeżdża.

— Kto? — zapytał, nie rozumiejąc.

U podnóża wzniesienia rozległ się warkot silnika, potem ucichł. Trzasnęły drzwiczki samochodu. Słysząc było odgłos wdrapywania się na górę. I na tle jasnego nieba zarysowała się sylwetka Evany.

W rześkim powietrzu poranka rozległ się głos Taskera:

— Evano, zejdź tu do mnie i zabierz Tiffany. Już „go” prawie uwalniam.

Kobieta wydała nieartykułowany okrzyk i potykając się zaczęła zbiegać ze zbocza. Dwa razy upadła, ale za każdym razem szybko podrywała się na nogi. Już była na dnie wykopu i trzymała córkę w ramionach.

— Kochanie, nic ci się nie stało?

— Evano — powiedział stanowczo — proszę, pośpiesz się. Wracaj do domu. Chyba nie chcesz być w pobliżu, gdy „to” wydostanie się na zewnątrz.

Kobieta ostrożnie puściła dziewczynkę. Patrzyła teraz na Taskera.

— Mówisz, że tam coś jest? — W jej głosie brzmiało zaintrygowanie.

W końcu jego słowa dotarły do jej świadomości. Krew odpłynęła jej z twarzy.

— ... wydostanie się na zewnątrz... — powtórzyła. — Jesteś szalony, musisz to zabić!

Zanim się zorientował, co zamierza zrobić, z furją rzuciła się na niego. Było to tak niespodziewane, że stracił równowagę. To pozwoliło jej chwycić łopatę.

Działała na osłep. Jej pierwsze pchnięcie łopatą poszerzyło dół o ponad stopę. W chwilę potem Tasker oprzytomniał i rzucił się na nią. Evana miała metr siedemdziesiąt wzrostu, ważyła nie więcej niż sześćdziesiąt kilo. Jej mięśnie naprężyły się, gdy walczyła zaciekle od momentu, gdy ją dźwignął, przez całą drogę, którą ją niósł. Ale mężczyzna był silny od długoletniej pracy fizycznej. W końcu wciągnął ją na górę.

Rzucił ją dosłownie na ziemię i powiedział szorstko:

— Zabierz dziecko do domu! W takim stanie nie masz tu co robić. To jest kontakt z inteligencją pozaziemską, z czymś fantastycznym i cudownym, co żyje na meteorytach albo w nich, rozumiesz?

Ale wiedział, że nie rozumie. Leżała wciąż na ziemi, z martwą twarzą. Pośpiesznie odwrócił się do Tiffany.

Dziewczynka była w dole, wyciągała łopatę. Naraz zrobiła krok do tyłu.

Obiekt, który unosił się w górę, wyglądał jak zrobiony z ciemnego matowego szkła. Tysiące jego płaszczyzn — jak w oku muchy — mierzyło w stronę światła. Jego piękno było pięknem niezwykłego, oszlifowanego szmaragdu; w miarę jak wydobywał się na powierzchnię, stawał się zielony. Zamigotał; zdawał się wahać przez chwilę, potem uniósł się wyżej. Kiedy znalazł się blisko Tiffany, zбочzył z drogi i musnął jej policzek. Dziewczynka zaśmiała się, uszczęśliwiona, i dotknęła zielonej powierzchni zabandażowanymi dłońmi.

Słońce na wschodzie, wciąż jeszcze pod linią horyzontu, rozpostarło czerwoną szatę, która rozjaśniła niebo.

Lekko jak puch „szmaragd” uniósł się w górę. Na wysokości stu metrów wpłynął wprost w promienie wschodzącego słońca. Naraz poderwał się w górę jak podrzucony. Niby spadająca gwiazda przeszył niebo. Teraz poruszał się szybciej, błyszczał jaśniej. Stał się mikroskopijnym punktem na granicy pola widzenia. Wreszcie zamigotał i zniknął.

Tasker zdał sobie sprawę, że Evana cicho szlocha.

— Och, Task — powiedziała, bezwiednie używając jego dawnego pieszczotliwego przezwiska. — To było piękne.

Wtedy zwrócił uwagę na przejętą małą twarzyczkę zwróconą w górę.

— Tato, mamusiu... kiedy to mnie dotknęło... powiedziało, że wróci, jak tylko... nie całkiem zrozumiałam... To było coś, że odkrycie żywych istot, jak my, na tej planecie będzie kompletnym zaskoczeniem dla... dla... — zająknęła się. — Nie wszystko zrozumiałam.

Tasker zdecydowanym krokiem podszedł do Evany i ujął jej bezwładne ramię. Podprowadził ją do Tiffy i objął córkę drugą ręką.

— Wracajmy... do domu — powiedział.